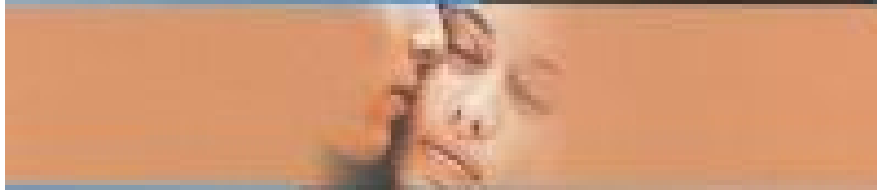


SIMON
MAWER



UPADEK

Świat Książki

SIMON MAWER

UPADEK

Z angielskiego przełożyła Małgorzata Zbikowska

Tytuł oryginału THE FALL

Dla Gilly

Upadek

Warunki pogodowe w masywie górskim Snowdon w północno-zachodniej Walii były dobre. Przez cały dzień nie padał deszcz, a wiejący wiatr osuszył skały, nie pozostawiając śladu wilgoci. Od czasu do czasu zza chmur wyjrzało słońce, rozświetlając kocioł, lecz omijało żłobkowane uskoki i gładkie płyty, była to bowiem północna ściana.

- Hej, spójrzcie! - zawołał ktoś, zapewne turysta, bo wspinacze tak by nie zareagowali. Ten ktoś krzyknął, wstał i wskazał na wschodnie żebro.

Wspinała się po nim samotna postać. Znajdowała się na wysokości około sześciu metrów nad ziemią. Mężczyzna, który krzyknął, śledził ją przez chwilę wzrokiem, lecz że jest to samotny alpinista, okazało się, gdy przeszedł owe sześć metrów po centralnej ścianie wschodniego żebra. Dla niedoświadczonego oka ten fragment drogi, prowadzący po gładkiej, lekko wypukłej skale magmowej o metalicznej barwie, sprawiał wrażenie niemożliwego do sforsowania.

- Jakiś kretyn czy co?

- Czy on zamierza przejść Wielką Ścianę?

- Bez żadnej asekuracji, żadnych lin. W pojedynkę!

Samotny śmiałek piął się wzdłuż wąskiej rynny wyznaczającej trasę wspinaczki. Poruszał się w szerokim rozkroku, stawiając stopy na krawędziach rynny, co nadawało sylwetce kształt grotu strzały. Widać było, jak sięga dłońmi nad głowę i odnajduje drobne nierówności służące za chwyt. Dawniej alpiniści znaleźliby dla nich jakąś poetycką nazwę, korzystając z klasycznej wiedzy zdobytej w szkole, ale współczesny wspinacz powiedziałby po prostu „syte miejsce” i tyle.

- Chyba wie, co robi - rzekł turysta do współtowarzyszy.

- Nie ma kasku - zauważył inny.

Teraz wszyscy już patrzyli, jedni stojąc, drudzy siedząc na skałach, bo trawa była jednak wilgotna.

Alpinista posuwał się w górę z kocią zwinnością, jakby nie potrzebował żadnych chwytów, jakby był pewien każdego ruchu. Przypominał muchę siedzącą w samym środku szarej tafli. Sięgnął ręką wyżej, odnajdując następny chwyt, i podciągnął się w górę, cały czas rozpierając się szeroko nogami. Szukał teraz haka tkwiącego w tym miejscu od trzydziestu siedmiu lat niczym relikwiarz wspinaczkowy, który ktoś wbił przy zjeździe wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, pewnego deszczowego, wietrznego dnia. Hak

utlenił się, ale zachował gładką powierzchnię dzięki licznym (no, może niezbyt licznym) chwytającym go palcom. Będzie tam tkwił jeszcze przez wiele lat, lecz nie wiecznie, bo nawet skała nie trwa wiecznie.

- Patrzcie!

Widzowie gwałtownie wciągnęli powietrze w płuca, gdy alpinista kilkoma płynnymi ruchami pokonał następny odcinek i sięgnął do haka.

- A jeśli się poślizgnie? - zaniepokoiła się jakaś młoda dziewczyna.

- To zginie - odpowiedział męski głos.

W grupie rozległy się szepty. Do tej pory wszyscy traktowali tę wspinaczkę jak rodzaj przedstawienia, i nagle uświadomili sobie, że to sprawa życia lub śmierci.

- Kto to jest? - zapytał jeden z uczestników wycieczki.

Ten nieznany, samotny alpinista, postać z krwi i kości, musiał być kimś.

- Cholerny kretyn!

Po chwili - odpoczynku? (Czy można było odpoczywać na pionowej ścianie?) - śmiałek podjął wspinaczkę. Odcinek, który pozostał mu do pokonania, kończył się wąskim, pochyłym tarasem z kępkami trawy rozpraszającymi monotonię szarości. Mężczyznę dzieliła od niego spora odległość, lecz wydawało się, że tam byłby już bezpieczny. Sylwetka wspinacza zakołysała się i uniosła w górę, stopy dotknęły skały z wprawą doświadczonego tancerza powtarzającego wyuczone kroki i pozy. Widzowie zauważyli teraz, że alpinista ma jasne włosy, ale nic więcej. Wciąż pozostawał dla nich jedynie nieznany śmiałkiem wspinającym się na walijskiej skałce o południowej godzinie w suchy i wietrzny dzień. Kim był ten człowiek?

I wtedy runął w dół.

Później spierano się, czy to on krzyknął. Bo krzyk słyszeli wszyscy. Równie dobrze mógł to zrobić jakiś turysta lub też para alpinistów wspinająca się po skałce obok. Nie brzmiały w nim żadne słowa, jedynie zaskoczenie.

W tym upadku wyczuwało się coś nieuchronnego. Zwinność i lekkość ruchów musiały ustąpić miejsca czemuś tak nieciekawemu jak przyciąganie ziemskie. I gwałtowne przyspieszenie. Dziesięć metrów na sekundę. Jakies dwie i pół sekundy. A potem ciało uderzyło w zbocze u podstawy ściany, obróciło się lekko i znieruchomiało.

Ludzie poderwali się z miejsc i rzucili w tamtą stronę, potykając się i ślizgając na stromym zboczu. Para wspinaczy z drugiej strony skały zaczęła szykować linę zjazdową. Jakaś dziewczyna zaczęła płakać. Chociaż wszyscy spieszyli się, by dotrzeć na miejsce wypadku, nikt tak naprawdę nie miał na to ochoty. Kiedy się tam znaleźli, stwierdzili, że ten

człowiek wciąż żyje, chociaż jest nieprzytomny. Okazało się również, że nie jest to jakiś lekkomyślny młodzieniaszek, który nie przestrzega zasad bezpieczeństwa i nie przejmuje się tym, że robi coś tak głupiego jak wchodzenie w pojedynek na Wielką Ścianę, lecz mężczyzna w średnim wieku, szczupły, wysportowany, o ogorzałej twarzy (straszenie potłuczonej, ze złamaną i przemieszczoną szczęką). Z ust i ucha płynęła mu krew. Nogi leżały rozrzucone pod dziwnym kątem. Przypominał szmacianą lalkę wyrzuconą przez okno na trawnik.

Ktoś kucnął przy nim, by zbadać puls na szyi, ktoś inny wyjął telefon komórkowy i wezwał policję, reszta jedynie stała bezradnie. Przez krótką chwilę ten ratownik mimo woli wyczuwał jeszcze tętno pod palcem. Wspinacz zmarł na ich oczach.

Dowiedziałem się o tym, wracając samochodem do domu. Wiadomość zastała mnie wśród tej koszarnej plątaniny dróg szybkiego ruchu, autostrad i estakad otaczających i przecinających Birmingham. W zapadającym mroku rozsnuwały się wstęgi świateł, długie naszyjniki osiedli mieszkaniowych, migotały wisiorki fabryk i magazynów. Był to krajobraz bez żadnej przewodniej myśli, o dziwacznej formie niemającej nic wspólnego z estetyką. Nad tym wszystkim sunęły rzędami samochody zmierzające do Liverpoolu i Manchesteru, Londynu i na południowy wschód.

Wydarzenie było na tyle ważne, by zrobić z niego wiadomość dnia, zwłaszcza gdy nic nadzwyczajnego się nie działo, najwyżej jedno, góra dwa morderstwa, jakieś sześć gwałtów, w tym również te podczas randek, negocjacje pokojowe się przeciągały, a wybory nie przyniosły rozstrzygnięcia. „Znany alpinista uległ śmiertelnemu wypadkowi” - poinformował spiker radiowy beznamiętnym tonem. Wiedziałem, o kim mówi, jeszcze zanim podał jego nazwisko. Swoją drogą to dziwne, że właśnie o nim pomyślałem.

„Jim Matthewson, mieszkający w północnej Walii, który zdobył najwyższe i najtrudniejsze szczyty, zginął, wspinając się na miejscową skałę, na której połamał sobie zęby przed z górą trzydziestu laty...”

Zwolniłem i zjechałem na wolny pas ruchu za ciężarówką z naczepą „Podoba ci się moja jazda?” - głosił napis na tylnej klapie. Poniżej był numer telefonu, na wypadek gdyby się nie podobała. Następny zjazd prowadził na drogę A5 i do północnej Walii. Zwolniłem i skręciłem w lewo. Spiker mówił o helikopterze, licznych obrażeniach alpinisty i stwierdzeniu zgonu przez służby ratownicze. Nie podjąłem żadnej decyzji, a na pewno żadnej świadomej decyzji, lecz zareagowałem jak podczas wspinaczki - ruch zastępował wszystko, nawet myśli, ciało i umysł stopiły się w jedno, co więcej, umysł jakby się skurczył, za to ciało przejęło funkcję wiodącą. Dzisiaj, w codziennym życiu, oddziela się umysł od ciała, dawniej jednak było inaczej.

Kiedy telefonowałem do domu, spiker poinformował, że gdzieś w Afryce Zachodniej został uszkodzony ropociąg. Zrobili to miejscowi wieśniacy, by móc zbierać ropę. Stojący w hallu mojego domu telefon rozdzwonił się w chwili, gdy afrykańscy wieśniacy pomstowali na skorumpowany rząd i wysokie ceny za coś, co wypływało z metalowej rury biegnącej za ich wioską. Nie sposób było nie przyznać im racji.

Miałem nadzieję, że odbierze któraś z dziewcząt, lecz usłyszałem głos Eve.

- Halo?

- To ja.

- Gdzie ty, na Boga, jesteś?! - spytała z przesadną emfazą w głosie.

- Słuchałaś wiadomości?

- Jakich wiadomości?

- Przez radio. Podali, że Jamie nie żyje.

Zaległa wymowna cisza. Jak cisza w słuchawce może być wymowna? Ale była.

- Jak to się stało?

- Nie mam pojęcia. Powiedzieli, że spadł. Jestem gdzieś w okolicy Wolverhampton.

Jadę tam.

- Dokąd?

- Do Walii.

- Do Walii? - powtórzyła z niedowierzaniem. - A gdzie będziesz nocować? Na litość boską, przecież Allie ma dziś wieczorem próbę chóru! Obiecałeś ją na nią zawieźć. I nic ze sobą nie masz.

- To żaden problem. Na pewno znajdzie się i dla mnie jakieś łóżko w ośrodku.

Kolejna chwila ciszy.

- Po co tam jedziesz?

- Był moim przyjacielem. Na rany Chrystusa, Eve, przecież to mój najlepszy przyjaciel!

Właściwie to dzieci używają takich określeń. Najlepszy przyjaciel, najlepsza przyjaciółka, przyjaciółka od serca - domena dziewcząt. Chłopcy się raczej tego wstydzą.

- Ale już nie żyje. Poza tym od lat go nie widziałeś. Mógłbyś wysłać list, zatelefonować czy coś w tym rodzaju. Nie musisz *pędzić na ratunek jak jakiś skaut*. Zresztą *nie ma kogo ratować*.

- Jest Ruth.

- Wiem, że jest Ruth. I jak masz zamiar ją ratować?

Zapadła niezręczna cisza, tym bardziej krępująca, że byliśmy jedynie głosami bez

twarzy i ciała.

- Rob Eve - zabrzmiało niemal jednocześnie.

- No mów. Co chciałeś powiedzieć?

- Nie, ty pierwsza.

- Kiedy...

- Tak?

- Kiedy wrócisz?

- Za dzień lub dwa - odpowiedziałem po chwili namysłu. - Trzeba uporządkować parę spraw, zobaczyć się z Caroline i tak dalej. Eve...

- Tak?

- Ucałuj ode mnie dziewczynki. Powiedz Allie, że przykro mi z powodu tej próby. W przysłym tygodniu z nią pojedę.

- Obiecujesz?

Trudno było wyczytać coś z tonu jej głosu i chyba z mojego także.

- Eve, zaparkowałem na poboczu. Muszę już jechać. Później do ciebie zadzwonię. Ucałuj dziewczynki. Ciebie też całuję.

- Tak - odpowiedziała, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Birmingham to coś w rodzaju punktu granicznego. Nic na to nie wskazuje, jednak po wyjechaniu z miasta uwalniamy się nagle z objęć Londynu, tego bezkształtnego, egoistycznego miasta, które chce mieć wszystko i wszystkich, które zagarnęło dla siebie prawie całą południową Anglię i spogląda pożądliwym wzrokiem na resztę. Kiedy nikną w oddali światła Birmingham, wkraczamy na zroszone krwią pogranicze angielsko-szkockie i wąską wstęgę drogi A5, prowadzącej do Walii. Nagle Londyn zostaje daleko w tyle.

W gęstniejącym zmroku mijałem znajome nazwy i okolice: Telford, Shrewsbury. Przedemną piętrzyły się ciemne wzgórza. Offa's Dyke to drogowskaz dla turystów. W Oswestry pojawiły się pierwsze zmiany w języku i krajobrazie. Chirk i Newbridge ustąpiły miejsca Pentre i Cefn Mawr, a droga gwałtownie skręciła na zachód, w wąski przesmyk między górami. Tu czekał drogowskaz do Llangollen, dokąd najczęściej docierają turyści zapuszczający się w wąskie, nieprzyjazne, tajemnicze Góry Kambryjskie.

Po obu stronach doliny piętrzyły się strome ściany. Reflektory przecinały gęsty walijski mrok, wyluskując z ciemności celtyckie nazwy: Cerrigydrudion, Pentrefoelas, Capel Garmon. Przez otwarte okno do wnętrza samochodu wpadało ostre górskie powietrze, zapach skroplonej mgły i chłodu płynącego od gór.

Zalała mnie bezładna fala wspomnień. Eve i dzieci pozostały gdzieś bardzo daleko, w

innej krainie, w bezpiecznym miejscu, gdzie wszystko można przewidzieć i nikt nie ryzykuje. Tu jednak było inaczej: otaczał mnie widmowy krajobraz stratowany przez duchy przeszłości. Przed sobą miałem znajomą sylwetkę najwyższego szczytu Gór Kambryjskich - Yr Wyddfa, Snowdon - a nad głową gwiazdozbiór Orion i chyba planetę Jowisz, mrugającą złowrogo na ziemski świat. Jedną z naszych dróg wspinaczkowych nazwaliśmy Jowisz. Przypomniałem sobie słowa zawarte w przewodniku: „Dinas Mot: start w prawo od Gandalfa, skrajnie trudno”. Pamiętam Jamiego pnącego się w górę po niewidocznych chwytach, a za nim ja na końcu liny spływający potem. Jeszcze teraz, po trzydziestu latach, czułem zapach tego potu.

Skręciłem z głównej drogi w górską dolinę. W ciemności, niczym srebrna sztabka, połyskiwało długie, wąskie jezioro. Zaparkowałem przed jedynym w okolicy oświetlonym budynkiem. Kiedy pchnąłem drzwi do baru, powitała mnie ciepła, senna atmosfera dawnych czasów. Ściany wyłożone drewnianą boazerią, szklana gablota ze starą konopną liną i podpisy sławnych ludzi na suficie: Tenzing Norkay i Edmund Hillary, Tom Bourdillon i Charles Evans. Gdzieś tam wśród nich było również nazwisko Guya Matthewsona.

Zamówiłem piwo. Dwóch siedzących przy barze mężczyzn rozmawiało z cicha autorytatywnym tonem o wypadku. Mieli na sobie tweedowe marynarki i palili fajki. Ten hotel z jego zwyczajami zawsze różnił się od naszego świata. Tu był świat pumpów, ciężkich butów i fajek. Nasz znajdował się w Padam Lake w Llanberis. My nosiliśmy dzinsy, lekkie buty wspinaczkowe i paliliśmy papierosy, a czasami skręty.

- A czego się spodziewasz? - mówił jeden do drugiego. - Dzisiaj ludzie nie mają szacunku dla gór. Jego ojciec był oczywiście przedstawicielem starej szkoły...

W rogu stał telefon. Znalazłem numer w książce telefonicznej i po chwili usłyszałem głos Jamiego. „Tu Ośrodek Wspinaczkowy Matthewsona. Nie możemy w tej chwili odebrać, ale proszę zostawić po sygnale nazwisko i numer telefonu, to oddzwonimy, jak tylko będziemy mogli”.

Nie zostawiłem wiadomości. Dokończyłem piwo i pozwoliłem obu panom pławić się w samouielbieniu.

Droga z hotelu wiała się pod górę ku przełęczy. Z ciemności wyłoniły się światła schroniska młodzieżowego. Z tyłu budynku połyskiwały płaty śniegu. Z lewej potężna ściana Crib Goch pięła się ku gwiazdom. Potem droga zaczęła opadać w dół i pamięć przywróciła do życia nazwy skałek - Dinas Mot, Dinas Cromlech, Carreg Wastad, Clogwyn y Grochan. Wąską dolinę wypełniały głazy narzutowe, występy skalne i legendy; była to jednocześnie kolebka i tygiel. Nant Peris z porozrzucanymi domkami.

Skręt z głównej drogi wydawał się dziwnie znajomy, jakby czas się zatrzymał i

jakbym przejeżdżał tędy zaledwie tydzień temu. Po chwili światła samochodu wychwyciły kamienną płytę z wyrytym na niej napisem:

BRYN DERW - OŚRODEK WSPINACZKOWY MATTHEWSONA

Zobaczyłem niski szary budynek z przybudówkami zamienionymi na pokoje gościnne i pusty parking. Wsiadłem w chłodne nocne powietrze, czując się jednocześnie częścią tego miejsca i obcym przybyszem, współwłaścicielem i kimś z zewnątrz.

W oknach na dole paliło się światło. Gdy wcisnąłem dzwonek, usłyszałem w środku czyjeś kroki.

- Jest pan dziennikarzem? - spytał nieznany mi męski głos.

- Jestem przyjacielem.

- Każdy tak mówi. Lepiej, żeby to była prawda.

Drzwi wolno się uchyliły i ukazała się w nich twarz o ziemistej cerze i kilkunastu dniowym zarostem przypominającym opiłki żelaza. Długie włosy ściągnięte były bandaną.

- Gdzie Ruth? - spytałem i wszedłem do środka.

Na ścianach w hallu wisiały znajome fotografie, wśród nich czarno-biała przedstawiająca stromą skalną ścianą i przyklejonych do niej chudych wspinaczy w baletowych pozach, a także kolorowe zdjęcia ciemnych szczytów, błękitnego nieba i bezbrzeżnego śniegu. Na jednej z nich był Jamie na jakiejś przewieszce, na innej dwóch mężczyzn w kurtkach puchowych i kaskach szczyrzyło się do kamery, mając za plecami apokaliptyczny obraz zachodzącego słońca - to Jamie i ja. Jeszcze inna ukazywała dziewczynę z długimi włosami i w obcisłym podkoszulku, wspinającą się po stromej ścianie. To była Ruth przed trzydziestu laty. Wszystkie fotografie miały po trzydzieści lat i pochodziły z czasów naszej młodości.

- Jest w kuchni. Kogo mam...?

- Nie trzeba.

Minąłem go i poszedłem dalej korytarzem. Chłopak podążył za mną, pewnie zastanawiając się, czy aby nie zawiódł jako ochroniarz i czy ten dziwny gość nie wyciągnie zaraz notatnika i nie zapyta Ruth, co czuje po śmierci Jamiego i jak to jest być żoną człowieka, który każdego dnia wymykał się śmierci, a tak głupio skończył.

Znalazłem ją w kuchni, zgodnie z tym, co powiedział ochroniarz. Robiła coś przy dzbanku do kawy, próbując zająć ręce mało znaczącymi czynnościami, jak to zwykle bywa w podobnych okolicznościach. Odwróciła się, by zobaczyć, kto przyszedł, i przez krótką chwilę jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Tę scenę mogłaby odegrać pośledniejsza aktorka bez wyobraźni. Odsunęła z czoła pasmo włosów tak dobrze znanym mi gestem. Krótco obcięte

paznokcie były poplamione farbą.

- Dewar - powiedziała.

Znakomicie zagrane. Zawsze zwracała się do mnie po nazwisku, od początku naszej znajomości. No, prawie zawsze.

Ochroniarz wycofał się.

- Dowiedziałem się z radia.

- Gdzie wtedy byłeś? - spytała, marszcząc czoło.

Zbyłem pytanie wzruszeniem ramion, podszedłem do niej, objąłem i pocałowałem w policzek. Znowu doznałem tego dziwnego uczucia bliskości, jakby pomimo upływu lat właśnie tu było moje miejsce.

- Pomyślałem, że się na coś przydam. Tylko nie bardzo wiem, na co.

- Jako ramię do wyplakania?

- Chociażby.

Spytała, czy nie napiję się czegoś, może piwa. A może chciałbym coś zjeść. Wziąłem piwo i usiadłem przy stole. W trakcie szykowania posiłku Ruth opowiedziała mi o wszystkim, a głównie o szpitalach - zgon stwierdzono na miejscu - o raporcie policji i tego typu sprawach.

- Ma być przesłuchanie u koronera, ale powiedzieli, że wydadzą ciało, by można było je pogrzebać. - Zacisnęła wargi. - Nie obejdzie się bez pompy, prasy i telewizji. Wydzwaniali tu przez cały wieczór.

Ten jej walijski akcent. Ludzie mówią, że jest jednostajny, lecz w tym właśnie tkwi romantyzm. W akcencie walijskim pobrzmiewały monotonia i rezygnacja, bo to głos ludzi, którzy walczyli o przetrwanie na obrzeżach Brytanii, gdy zepchnęli ich tam najeźdźcy. To akcent pokonanych.

- Co on robił?

- Robił?

- Tak. Jak to się stało? W radio powiedzieli tylko, że spadł.

Uniosła wzrok.

- Wspinał się na Wielkiej Ścianie. Sam.

- Co takiego?!

- To, co słyszałeś.

Miała ściągniętą twarz, jakby smaganą wiatrem, którego świst sprawiał, że nie słyszała, co się do niej mówi. Można było stać tuż obok i krzyczeć, a wiatr i tak zagłuszał słowa.

- Solo? Na coś podobnego porywają się dzieciaki.

Wzruszyła ramionami.

- To chyba przekraczało jego możliwości. Nawet z liną. Jaki to stopień trudności? E trzy? Już wtedy była to trudna droga.

- Cztery. E cztery.

- E cztery solo? W jego wieku? To samobójstwo.

Zapadła cisza. Okna wyglądały niczym płyty z czarnego granitu, a w powietrzu unosił się nikły zapach gazu z kuchenki.

- Był w formie - odezwała się w końcu Ruth, jakby uznała, że należy coś powiedzieć. - Stałe w ruchu, wciąż się wspinał.

- Pamiętam, jak kiedyś odpadłem z Wielkiej Ściany, gdy szedłem za nim na drugiego. Musiałem wybrać linę na sztywno. Jamie uważał, że to cholernie zabawne. Pamiętam, gapił się na mnie z górnego stanowiska, szczerząc zęby jak idiota.

- To do niego podobne.

- Gdzie teraz jest?

Przez chwilę wydawało mi się, jakbyśmy rozmawiali o kimś żywym, o szczupłym mężczyźnie z ironicznym wyrazem twarzy i mrocznym spojrzeniem.

- W zakładzie pogrzebowym - wyjaśniła. - Wszystkim się zajęli. Pełna obsługa. Wspaniale, prawda? Słuchaj, nie musisz tu zostawać.

- Ale chcę.

- Masz gdzie nocować? Chcesz pokój?

- Tak.

- Dobrze.

Uciekła spojrzeniem w bok, jakby usiłowała zająć myśli czymś innym.

- Jakie masz plany? - spytałem.

- Plany?

- W związku z ośrodkiem.

- Pewnie sprzedam moje udziały. Dominie jest teraz współnikiem. Dominie Lewis.

Znasz go?

- Słyszałem to nazwisko. To on tak miło mnie przywitał.

- Jest bardzo pomocny.

- Nie wątpię.

- I kupię domek w Hiszpanii - zażartowała.

Uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałem tym samym. Wokół nas rozbrzmiały echa

przeszłości, odległej przeszłości, całego życia.

- A raczej zamek. Zamek w Hiszpanii.

- Albo w chmurach.

Spałem w głównym budynku, w pokoju ze spadzistym sufitem i fotografią przedstawiającą Dominica Lewisa na Pendragonie. Była to jedna z dróg wspinaczkowych, którą kiedyś wspólnie z Jamiem poprowadziliśmy. Doskonale pamiętałem ten wyciąg. Zresztą jak wiele innych szczegółów: kontakt dłoni ze skałą, ten, a nie inny chwyt, tę szczelinę, to ziarno kwarcu, które było kluczowym chwytym. To było jak rycie w metalu - każdy ruch pozostawał w pamięci, powtarzany na wiele sposobów w myślach i w gestach. „To jest jak seks - mawiał Jamie. - Fizyczne i umysłowe doświadczenie. Umysł i materia”. Był z niego taki domorosły filozof. Na fotografii Lewis prężył mięśnie w purpurowym trykocie, zaciskając palce na odstrzelonym chwycie, i patrzył z półuśmiechem w obiektyw aparatu. Nad nim piętrzył się różowy ‘gneis, a w dole kotłowały się morskie bałwany. Malownicze ujęcie. Oczywiście wspinał się solo. Bez wątpienia zrobiłby Pendragon „od strzału”, jako rozgrzewkę przed czymś trudniejszym. Lewis należał do nowego pokolenia, stosującego nity i magnezję, rozpoznawanie ze zjazdu i wspinaczkę z asekuracją z góry, żeby znaleźć właściwą sekwencję ruchów.

Pomyślałem o Jamiem wspinającym się solo na Wielkiej Ścianie. To się nie mogło udać, nie w jego wieku. Potem musiałem usnąć, bo nagle usłyszałem ciche skrobanie. Gdy się obróciłem, na czarnej płaszczyźnie ściany pojawiła się wąska smuga światła, a w otwartych drzwiach zamajaczyła ciemna sylwetka.

- Kto tam?

Deski cicho zaskrzypiały. Wyczułem w ciemności jej obecność.

- Mogę? Potrzebuję towarzystwa. Czuję się trochę samotna.

Użyła walijskiego słowa „digalon”. Miała kilka takich słów.

Innym było „cariad” - ukochany, najdroższy.

Wymamrotałem jakieś przeprosiny czy może ostrzeżenie, lecz nie słuchała. Uniosła koc i położyła się obok mnie. Poczulem przy sobie tak dobrze znane mi kształty: mocne nogi, silnie zarysowane wypukłości, pełne piersi, jej zapach.

Wyszła, gdy szary, zamglony świt zajrzał w wąskie okna gościnnego pokoju. To, co się zdarzyło, było jak sen lub wspomnienie.

Śniadanie przebiegło w zupełnej ciszy. Cała nasza trójka spoglądała na siebie podejrzliwie. Lewis pewnie się zastanawiał, co mnie łączy z tym dziwnym światkiem w walijskich górach. Ruth unikała mojego wzroku, zajęta parzeniem kawy innymi domowymi

czynnościami, które były jej zupełnie obce.

- Pan kiedyś partnerował Jimowi, prawda? - spytał Lewis.

Mówił z bezbarwnym akcentem mieszkańca Manchesteru, do którego nie pasowało błyskotliwe imię Dominie. Kiedyś miałby na imię Don lub Joe, jeździłby na motorze i spędzał weekendy, biwakując u stóp jakiejś góry. Dziś sponsorował go producent sprzętu do wspinaczki. Nazwa firmy widniała na przodzie koszulki: Top Peak.

- Przez kilka lat.

Uśmiechnął się.

- Zrobił pan z nim niemało dróg.

- Rzeczywiście niemało. Wśród nich Pendragon.

- No jasne. Matthewson i Dewar, dwaj równorzędni partnerzy.

- Czytał pan przewodnik.

- Nie przeszedłem Pendragonu od razu, jeżeli o to panu chodzi. Omal nie odpadłem od ściany w punkcie kulminacyjnym. Straszliwie utknąłem.

- Na fotografii tego nie widać.

- To na użytek obiektywu - uśmiechnął się i wsunął do ust pełną łyżkę płatków kukurydzianych. - Piękna droga - dodał z pełnymi ustami. - Robi wrażenie. W tamtych czasach to było coś. - Przez chwilę jadł w milczeniu. - Zdaje się, że to pan był z nim na Eigerze. Na północnej ścianie.

- Tak - odpowiedziałem krótko, nie zachęcając Lewisa do dalszych pytań. Nie miałem ochoty dyskutować z nim na ten temat. Przeniosłem wzrok na Ruth. - Czy Caroline...?

Uśmiechnęła się domyślnie.

- Żyje? Oczywiście.

- Wciąż mieszka w Gilead House?

- Tak. Rozmawiałam z nią wczoraj przez telefon. Powinnam do niej pojechać, ale...

- Pojadę ją odwiedzić.

- Będzie na pogrzebie.

- Mimo to pojadę.

Trzeba stawić czoło przeszłości. Prędzej czy później przyjdzie się z nią zmierzyć. Nie przemija, wciąż w nas tkwi. Bo to my jesteśmy przeszłością i nic nie możemy na to poradzić.

Podróż zajęła mi półtorej godziny. Droga wiodła przez dolinę, przecinała przełęcz, przez góry, potem w dół, gdzie znowu rosły drzewa, szumiały wodospady i bieleły się domki z szarymi dachówkami i tabliczkami informującymi o wolnych pokojach ze śniadaniem. Zielona dolina u stóp niedostępnych szczytów.

Za miasteczkiem droga pięła się stromo pod górę. Zabłądziłem i musiałem wracać po własnych śladach, lecz w końcu odnalazłem drogę. Niewiele się tu zmieniło, ale pamięć jest wybiórcza, nie przekazuje trasy czy nawet wskazówki takiej jak ta otrzymana przez Mojżesza na górze Nebo, skąd Bóg pokazał mu Ziemię Obiecaną, do której nie było mu dane wejść.

Nagle pojawił się znajomy pas zielonej łąki i szary dom w połowie wzgórza pod lasem, z podwórzem z jednej strony i górnym ogrodem z tyłu, a wszystko otoczone kamiennym murem. W cynowym wazonie niczym klejnoty na zielonym aksamicie pyszniły się róże i fuksje. Oryginalna nazwa domu wywodziła się od stojącej tu kiedyś kaplicy. Część jej ścian wykorzystano potem przy budowie domu.

- Może być - stwierdziła przed laty matka Jamiego. - Nie jest to dom, ale może być.

Zatrzymałem samochód i wysiadłem. Poniżej, u stóp stromo opadającego wzgórza, widać było rzekę i miasteczko. Rozpoznałem kościół anglikański, kaplicę metodystów i budynek urzędu miejskiego tkwiący między nimi niczym hybryda. Srebrzyste meandry rzeki równoważyła prosta linia torów kolejowych. W nieruchomym powietrzu unosiły się smużki dymu przypominające gęsie pióra w kałamarzach. W górnym biegu rzeki wznosił się siedemnastowieczny most zdobiony miejscowe pocztówki. Podobno zbudował go Inigo Jones, lecz jedyne, co ten człowiek miał walijskiego, to nazwisko, bo urodził się i wychował w Londynie.

Zanim otworzyłem furtkę, zatelefonowałem do Eve. Powiedziałem, że jeszcze nie wiem, kiedy wrócę, że będę musiał zostać do pogrzebu. No i czeka mnie przesłuchanie u koronera. Gdy to wszystko się skończy...

- Przecież wszystko skończyło się wiele lat temu - wtrąciła.

- Tak, ale...

Ale co? Usiłowałem to wytłumaczyć, lecz słowa nie oddawały tego, co chciałem wyrazić.

- Raz cię już przed nimi uratowałam - powiedziała cicho. - Nie wiem, czy zdołam zrobić to jeszcze raz. Nie po tylu latach.

I rozłączyła się.

Stałem przez chwilę z telefonem w ręku. Gdzieś szczekał pies i beczały owce. Ich charakterystyczne głosy, zawodzenie starej owcy i płacz jagnięcia, na trwałe wryły się w

miejscowy krajobraz.

- Cholerne owce - mruknęła matka Jamiego. Takie słowo w jej ustach szokowało. - Cholerne owce. Boże, jak tu można żyć?

Pojechałem z nimi obejrzeć dom Podróż była długa i niewygodna, odbyta na tylnym siedzeniu wynajętego samochodu. Zgubiliśmy się i musieliśmy zapytać we wsi o drogę jakiegoś starego człowieka.

- Gilead? - powtórzył. - Gilead House? - Trzeba jechać na Gwytherin. To niedaleko stąd.

Rzeczywiście, nie było daleko. Na szczycie wzgórza, u stóp którego leżało miasteczko, na skraju doliny, wśród drzew i białych łąk śniegu wznosił się szary dom ze zniszczonymi trawnikami od frontu i łąką pełną owiec.

- Cholerne owce - powiedziała, trzymając Jamiego za rękę (usiłował się wyrwać, ale nie puszczała). - Czy tu da się mieszkać?

A jednak mieszkała, nie przez cały czas, za to od ponad czterdziestu lat.

Wjechałem przez bramę, wróciłem, by ją zamknąć, po czym przeszedłem po żwirze do drzwi. Wokół nie dostrzegłem nikogo, lecz kiedy zadzwoniłem, usłyszałem w środku szuranie i szcęk otwieranego zamka. W tym momencie uświadomiłem sobie, że nie zapytałem Ruth o zdrowie Caroline. Nadmieniła tylko, że matka Jamiego jest w świetnej kondycji, ale co to znaczy, gdy się ma... chyba osiemdziesiąt lat? Usiłowałem obliczyć w pamięci. Siedemdziesiąt czy siedemdziesiąt pięć? Nie byłem pewny nie dlatego, że nie wiedziałem, ile minęło lat. Właściwie to nawet wówczas nie znałem jej wieku. Nie byłem pewny, ile dodać do czterdziestu lat, które oddzielały wówczas od dziś, wzgórze z początku lata od tamtego z przeszłości. Wsłuchując się w zgrzyt zamka, zastanawiałem się, jakim dolegliwościom wieku starczego przyjdzie mi stawić czoło - artretyzmowi, chorobie Parkinsona czy Alzheimera. Nagle ogarnął mnie strach na myśl o ponownym z nią spotkaniu.

Drzwi się otworzyły i wyjrzała przez nie pomarszczona, bezzębna twarz z malującym się na niej wyrazem podejrzliwości, charakterystycznym dla wszystkich Walijszyków.

- *A chi sy o V Bwrdd Dwr?*

Poczułem absurdalną i zupełnie irracjonalną ulgę. To była miejscowa kobieta, gosposia.

- Przepraszam, nie jestem Walijszykiem. Moja znajomość walijskiego kończy się na *bore da*.

Spojrzała na mnie z irytacją.

- Czy jest pan z Water? - spytała, cedząc słowa.

- Z Anglii - odpowiedziałem. - Jestem starym przyjacielem domu.

Kobieta przyjęła tę informację ze stoickim spokojem.

- Oczekujemy kogoś z Water.

- Obawiam się, że nie będę mógł pomóc. Chciałem jedynie zobaczyć się z panią Matthewson, jeżeli jest.

- Ona nie przyjmuje gości.

- Myślę, że mnie przyjmie. Proszę jej powiedzieć, że przyszedł Robert.

Gospoia starannie rozważyła ten problem, poruszając wargami, jakby go smakowała.

- Czy pani ma na imię Mary? - spytałem.

- Alice.

- Kiedyś była tu Mary.

Chmurę podejrzliwości rozjaśnił uśmiech.

- Mary była moją siostrą, niech Bóg jej błogosławi.

- Dobrze ją pamiętam.

- Naprawdę? - Pamięć okazała się rodzajem przepustki. - No to niech pan wejdzie.

Spytam panią Matthewson, czy zechce pana przyjąć. Pan Robert, tak?

- Robert. Po prostu Robert.

Odeszła, szurając nogami. Czekałem w hallu, ciemnym, brązowym hallu z zegarem szafkowym, który odmierzał ciszę. Prowadzące na górę schody znikwały w cieniu. Na podeście znajdowało się okno z witrażem przedstawiającym arturiańskiego rycerza spoglądającego ku swej damie - raczej nieciekawym przykładem stylu Bume-Jonesa. Pamiętałem tego rycerza. Pamiętałem, jak się z niego śmiałem, bo ona się śmiała. Na ścianach wisiały obrazy: akwarele z widokami Walii i olej przedstawiający uliczkę w górskim miasteczku z łupkowymi skałami. Malarz nakładał farbę szpachlą, co doskonale oddawało strukturę skał - błyszczące płyty, śliskie od deszczu. Dość dobrze znałem ten styl, domyśliłem się więc, kim jest autor obrazu, jeszcze zanim spojrzałem na podpis u dołu: „Ruth Phoenix 1979”.

Była również głowa rekina złowionego u wybrzeży Nantucket. Caroline opowiedziała mi związaną z nią historię, śmiejąc się na jej wspomnienie. „Sama go złowiłam. Mężczyźni drwili ze mnie i mówili, że nigdy mi się to nie uda, i tym podobne bzdety. Udało się i oto on”.

Jak wiele się tu zmieniło? Miałem wrażenie, że pamiętam wszystkie przedmioty, wszystkie *objets d'art* (jakbym słyszał jej głos wypowiadający ten francuski zwrot): szklana butelka - Lalique? - przypominała intymny damski organ; porcelanowa pastereczka - Miśnia? - uśmiechała się do widza, jakby dumna z utraconego dziewictwa; obraz olejny autorstwa prawdopodobnie Marie Laurencin (Caroline nigdy jednak nie ośmieliła się poddać go

ekspertyzie). Patrzyłem na te przedmioty świeżym okiem, jak ktoś, kto ocenia ich wartość. Na przeciwległej ścianie wisiała fotografia Jamiego: przykucnięta sylwetka w kasku na głowie ze spiętrzonymi skałami w tle i jasnymi alpejskimi łąkami w dole. Jamie na Biwaku Śmierci. Dobrze znałem tę fotografię, bo sam ją zrobiłem.

Z góry dobiegły jakieś głosy, lecz nie mogłem rozpoznać słów. Potem na schody padła smuga światła.

- Tak?

Odwróciłem się. Ktoś schodził na dół. Caroline zatrzymała się na podeście przy witrażu.

- Słucham.

Jej widok był dla mnie szokiem. Jakbym otrzymał cios w brzuch od kolegi w szkole, kiedy się tego najmniej spodziewałem, i następujący po nim skurcz serca i przepony. Cios był pomyślany jako żart, więc należało się uśmiechnąć.

- Jestem Robert - przedstawiłem się.

- Ach, Robert. - Uśmiechnęła się lekko.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy w ogóle mnie poznaje.

- Chciałem zobaczyć, jak się miewasz. Byłem w ośrodku Jamiego. U Ruth. Przyjechałem, by złożyć ci kondolencje.

Banalne słowa. Może dlatego się uśmiechnęła. Banalność zawsze ją bawiła. Miała na sobie spodnie i białą koszulową bluzkę. Dłonie trzymała ściśnięte z przodu, jakby próbowała powstrzymać ich drzenie. Zeszła ostrożnie po schodach do hallu, jedną ręką przytrzymując się poręczy, a drugą przyciskając do piersi.

- Widziałeś go? - spytała.

Przez jedną straszną chwilę pomyślałem, że ona o niczym nie wie, że straciła rozum.

- Caroline, Jamie nie żyje - powiedziałem łagodnie.

Podeszła do mnie, żeby wyraźniej widzieć moją twarz. To było jak patrzenie na kogoś przez zasłonę czy może japoński parawan: kobieta, którą niegdyś znałem, spoglądała teraz na mnie zza warstw minionych lat.

- Wiem o tym - odparła cicho. - Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Nie zapominaj, że mam w tym praktykę.

Lewą ręką, która trzymała balustradę i jeszcze wiele innych rzeczy, chwyciła mnie za ramię. Druga pozostała nieruchoma na brzuchu. Caroline pochyliła się ku mnie i podstawiała policzek do ucałowania. Był miękki i gładki.

- Świetnie wyglądasz - powiedziałem.

Pokręciła głową.

- Zapomnij o komplementach. Jedyne, co ma znaczenie w starszym wieku, to niespodzianki, które starość ze sobą niesie. Oczywiście śmierć nie jest żadną niespodzianką. Nigdy jednak nie wiesz, kto umrze. Założę się, że on liczył, iż to ja odejdę pierwsza. I założę się, że ty także. Pewnie myślałeś, że już dawno leżę w grobie.

- Nie żartuj, Caroline.

To imię w jej wieku brzmiało absurdalnie, bardziej pasowało do młodej dziewczyny. Kiedyś nazywano ją Caro. Zawsze twierdziła, że to niepoprawna forma, bo Caro jest imieniem męskim, a ona powinna być Cara.

- Ależ tak, myślałeś.

Kolejna z jej cech - nie znosiła dyskusji.

Przeszła do saloniku wypełnionego zdjęciami - między innymi ojca Jamiego, jakby zastygłego w młodości - i innymi eksponatami, takimi jak stary gramofon z czasów, gdy wyglądał jak szafka. Wisiał tu również jeszcze jeden obraz Ruth, tym razem akt kobiety stojącej przy łóżku. Jej ciało tonęło w świetle wpadającym przez okno: białe nogi i ciemny trójkąt włosów łonowych.

- Czego się napijesz? Herbaty?

Zadzwoiła po gosposię. Przypomniałem sobie, że na ścianie w kuchni wisiała skrzynka z małymi mechanicznymi chorągiewkami odpowiadającymi poszczególnym pokojom. Ostały się nawet zielone drzwi oddzielające część przeznaczoną dla służby. Caroline śmiała się, gdy mi je pokazywała. Był to jeden z argumentów, który - jak w jakiejś dyskusji, miał przekonać ją, że ten samotny dom stojący na samotnym wzgórzu nadawał się do zamieszkania.

- Kolejna kwestia związana z wiekiem - powiedziała - to to, że dopiero gdy jesteś stary, uświadamiasz sobie, iż wszystko, co robisz, robisz już na zawsze. To, co wydaje się ciekawym eksperymentem, staje się czymś trwałym i jedynym, co ci pozostało lub pozostanie. Czemu tak długo zwlekałeś z przyjazdem tutaj?

- Chyba nie tak długo - odparłem wymijająco. - Wydaje mi się, jakbym tu był wczoraj. Zaśmiała się.

- Oto jeden z symptomów starości. Mija trzydzieści lat, a wydaje się, jakby to było wczoraj.

Zjawiała się Alice z tacą. Gdy pani domu nalewała herbatę, zauważyłem, że prawa ręka leży na kolanach niczym małe bezbronne szczenię. Wtedy zrozumiałem, że coś jest nie tak z nerwami czy mięśniami odpowiadającymi za ruch. Dostrzegła moje spojrzenie.

- Udar, mój drogi - wyjaśniła. - Na szczęście lekki. Doktor twierdzi, że pożyję jeszcze wiele lat. - Skrzyżowała nogi. Nadal miała szczupłe kostki, lecz sprawiały teraz wrażenie kruchych. - Powiedz mi, jak się miewa twoja matka.

Wzruszyłem ramionami.

- Jest w domu opieki. Fizycznie czuje się dobrze, ale jej umysł... gdzieś błądzi.

Czyżbym dostrzegł współczucie w oczach Caroline? Ona oczywiście nie miała problemów z głową. Jej umysł funkcjonował doskonale.

- A co u ciebie? - spytała. - Ożeniłeś się? No tak, Jamie mi mówił. Jesteś szczęśliwy?

- Nie narzekam.

- Enigmatyczna odpowiedź, Masz dzieci?

- Dwie dziewczynki. Jedna ma dwadzieścia jeden, druga siedemnaście. Uniwersytet i celujące oceny.

- A co porabia tatuś?

- Nie wiesz?

- A powinnam?

- Myślałem, że Ruth ci mówiła. Zajmuję się sztuką. Współczesną sztuką. Prowadzę galerię w Londynie, drugą w Birmingham, mamy także filię w Nowym Jorku.

- Połówki krów w formaldehydzie, cos w tym rodzaju?

- Nie zawsze.

Zamyśliła się. Pod maską starości dostrzegłem nagle młodszą kobietę.

- Ale jesteś szczęśliwy? - spytała ponownie. - Czy Rob jest szczęśliwy?

Wzruszyłem ramionami. Czy ze szczęścia się nie wyrasta? Tylko dzieci mają nadzieję na szczęśliwe życie. Potem uświadamiamy sobie, że prawdziwe, długie i trwałe szczęście nie istnieje.

- Już mówiłem. Nie narzekam.

Uśmiechnęła się tak, jak tego oczekiwałem. Chociaż ukryty pod maską starości, był to jednak ten sam, dobrze mi znany uśmiech.

- Drogi Robert, jak zawsze enigmatyczny.

To ona nauczyła mnie tego słowa, jak zresztą wielu rzeczy.

3

W intencji Jamiego zostało odprawione nabożeństwo żałobne. To był pomysł Ruth, chociaż, o ile mi wiadomo, Jamie nie chodził do kościoła i w nic nie wierzył.

- Co więc pozostanie? - spytała, gdy zaprotestowałem. - Tylko ta straszna kremacja?

Zatelefonowałem do domu i zaproponowałem Eve, żeby przyjechała, lecz odmówiła.

- To są twoi przyjaciele - powiedziała. - Nie moi. Pamiętasz, jak cię potraktowali?

Nabożeństwo odprawiono w miejscowym kościele. Przyszło mnóstwo ludzi: wielu z nich znałem, kilku jedynie z widzenia; wszyscy o ogorzałych twarzach, jeden lub dwóch z brodami. To ci, którzy przeżyli. Na ośmiu himalaistów jeden nie wraca. Jeżeli chodzi o duże wysokości, statystyka jest gorsza. Z tych, którzy przekraczają granicę siedmiu i pół tysiąca metrów, przeżywa mniej niż połowa. Na pogrzebie Jamiego Matthewsona było zapewne tyle samo duchów, co żywych żałobników.

Siedziałem w pierwszym rzędzie między Caroline i Ruth. Caroline miała na sobie jedwabne szarości - szarość popiołu, szarość łupków, szarość zdołała też jej nadal jasną karnację. Ruth wybrała czerń, czarny płócienny kostium, który sprawiał, że wyglądała jednocześnie na silną i kruchą. To jedna z jej sztuczek. Nie umalowała się. Gładko zaczesane do tyłu włosy podkreślały linię szczęki, a ściągnięta bólem twarz skojarzyła mi się z namiotem podczas burzy. Za Ruth siedział Dominie Lewis z niepewną miną, ubrany w coś, co przypominało marynarkę i krawat.

Zaśpiewaliśmy hymn, a pastor w krótkiej mowie wspomniął o tęsknocie do wspinania się, by ze szczytu ujrzeć Ziemię Obiecaną, i o tego typu rzeczach. Potem przyszła kolej na innych. Carrington opowiadał o udziale Jimiego w wyprawie na Everest, o jego bezinteresowności i gotowości niesienia pomocy, o umiejętności rozśmieszania dobrym żartem i o tym, jak dzielnie znosił trudy przy zakładaniu obozu szczytowego. Philips mówił o tym, jak Jim stał zdjęty trwogą na szczycie K2, gdy wspólnie oglądali zachód słońca, szykując się do biwaku, który mógł przynieść im śmierć. Ktoś zwrócił uwagę na działalność biznesową Jamiego, Anglika, który znalazł w Walii dom i wspierał miejscową gospodarkę. Wreście Dominie Lewis wymamrotał wiersz o Ikarze spadającym z nieba. Zdaje się, że jego autorem był Auden. Ruth prosiła, żebym dodał coś od siebie. Nie bardzo chciałem, ale nie mogłem odmówić, kiedy więc przyszła moja kolej, podszedłem do mównicy. Patrząc na zebranych, zastanawiałem się, czy oni w ogóle wiedzą, kim jestem.

- Poznałem Jamiego, gdy miałem jedenaście lat - poinformowałem ich, żeby wiedzieli, czego się trzymać. - Potem zaczęliśmy się razem wspinąć. Wiele wspólnie przeżyliśmy, jak to bywa z partnerem: posiłki, wspinaczki, namioty, płachty biwakowe, kawały. Od czasu do czasu zmienialiśmy się na prowadzeniu. Kiedy mi na to pozwolił.

Zaśmiali się. Rozpaczliwie pragnęli śmiechu. Urwałem, popatrzyłem na nich i chciałem opowiedzieć o wielu innych rzeczach: o pierwszej wspinaczce, o zimach w Szkocji i letnich sezonach w Alpach. Chciałem też opowiedzieć o Caroline. Patrzyła na mnie z

zagadkowym wyrazem twarzy, jakby nie mogła sobie przypomnieć mojego imienia. A także o mojej matce, która wegetowała w domu opieki i zastanawiała się, kim jestem, gdy przychodziłem do niej w odwiedzinach. Chciałem opowiedzieć o ojcu Jamiego i o Ruth. Przede wszystkim o Ruth.

W szarym kościele zapadła głęboka cisza, chłodna i pełna wyczekiwania.

- Łączyło nas nawet więcej - zacząłem. Ruth patrzyła na mnie z lęklwym uśmiechem na twarzy. Ale im nie powiedziałem. Zamiast tego otworzyłem książkę i zacząłem czytać: „Przedstawienie dobiega końca i za chwilę spadnie kurtyna. Zanim się rozstaniemy, jeszcze kilka podstawowych ostrzeżeń związanych z górami”.

Nie wiem, czy rozpoznali ten fragment - siedzieli, jak to zwykle na pogrzebach, z twarzami wyrażającymi smutek i skrępowanie, lecz czy było tam coś jeszcze?

- „Trwałe i nieruchome, otaczają nas smutne wspomnienia. Czasami przepływają niczym mgłą, zasłaniając słońce i wnosząc chłód do wspomnień o szczęśliwszych dniach. Były radości zbyt wielkie, by opisać je słowami, i cierpienia, o których nie miałem śmiałości mówić. Z tym bagażem doświadczeń mówię: Wspinaj się, jeżeli tego pragniesz, pamiętaj jednak, że odwaga i siła są niczym bez roztropności. Chwila lekkomyślności może zniweczyć radość całego życia. Niczego nie rób w pośpiechu, zważaj na każdy krok i zawsze myśl o tym, jak to się może skończyć”.

Jakże często ludzie lekceważyli tę radę, zarówno podczas wspinaczki, jak i w życiu. Zaniknąłem książkę i wróciłem na swoje miejsce. Potem wspólnie odśpiewaliśmy *Prowadź mnie, o Wielki Jahwe** [*Edward Whymper, *Scrambles Amongst the Alps* (1871) [przyp. tłum.]]. To był piękny hymn.

Po nabożeństwie procesja samochodów pojechała do krematorium. W kaplicy siedziałem obok Ruth. Chwyciła mnie za rękę, gdy trumna cicho przejechała przez czerwoną aksamitną kotarę przy wtórze niebiańskiego elektronicznego chóru. Caroline siedziała z drugiej strony. Po ceremonii staliśmy na zewnątrz w deszczu, patrząc na mokre wiązanki i czytając napisy na szarfach, zanim woda nie zmyła farby.

- Kim są ci ludzie? - zapytałem raz czy dwa.

- Och, po prostu jego znajomi - usłyszałem w odpowiedzi.

Na jednej z szarf widniał napis: „Od wszystkich członków Londyńskiego Klubu Wysokogórskiego - dalej pniij się na szczyt, mały”. Ruth uciekła spojrzeniem w dal, ponad cmentarz porośnięty mokrą od deszczu trawą i małymi tabliczkami nagrobnymi.

Podeszła Caroline, by się pożegnać. W jej zachowaniu wyczułem obojętność, jakby nasze spotkanie przed dwoma dniami w ogóle nie miało miejsca.

- Jestem zaskoczona, że cię tu widzę, Robercie - powiedziała. - Myślałam, że zerwaliście z Jamiem kontakty. Co cię tu przywiodło?

- Był moim najstarszym przyjacielem - odparłem. - Bez względu na to, co potem zaszło.

- A Ruth?

- Ruth także.

Uśmiechnęła się. Nie potrafiłem odczytać wyrazu jej twarzy. Czy według niej powinienem czuć się winny? Omal jej o to nie zapytałem. Omal nie wyprowadziła mnie z równowagi.

- Jak się miewa Diana? - spytała.

- Fizycznie dobrze. Już ci mówiłem.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się z trudem. - Pamięć. To drugi powód, żeby odejść.

- A jaki jest pierwszy?

- Robercie, kochanie, na pewno domyślasz się, jaki jest ten pierwszy. - Dotknęła mojego ramienia. - Przekaż Dianie ucałowania. Powiedz jej...

- Co takiego?

- Powiedz jej, że wygrała.

- Nie sądzę, by zrozumiała. Zresztą ja też nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się w stronę wielkiego czarnego samochodu, który na nią czekał.

- To nie ma znaczenia - powiedziała. - Nic już nie ma znaczenia.

Patrzyliśmy, jak odjeżdża. Ruth i mnie czekał jeszcze powrót do hotelu, gdzie przygotowano przekąski. Krążyło piwo i wino. Rozmawiano, śmiano się, wspomniano nieprawdziwe zdarzenia i mrozące krew w żyłach wyczyny. Alpiniści mają wiele cech charakterystycznych dla celtyckich ludów pogranicza Brytanii, a na stypach dorównują Irlandczykom. Może dlatego, że często w nich uczestniczą. Stałem obok Ruth, uśmiechałem się, kiwałem głową i przez chwilę czułem się członkiem tej społeczności.

Wróciliśmy do ośrodka, gdy już zmierchało. Ktoś zapalił światła w głównym budynku, choć nikogo tam nie było. Poszliśmy do kuchni, centralnego punktu domu. Ruth wstawiła wodę na herbatę.

- Mówiłam ci, że on chciał, by rozsypać jego prochy?

- Mówiłaś.

Pokazała mi nawet jego ostatnią wolę. „Jeżeli moje ciało zostanie odnalezione, to chcę, by je skremowano, a prochy rozsypano”. Podobał mi się ten praktyczny zwrot: Jeżeli

moje ciało zostanie odnalezione”. Przynajmniej nie zażądał, by go zamrożono i pozostawiono na szczycie Kangczendzongi.

- Zrobisz to dla mnie? - spytała.

- Jeżeli ze mną pójdziesz.

- Pójdę z tobą.

Kiedy woda się zagotowała, wlała ją do dwóch kubków, po czym usiadła przy stole. Wydawała się niższa i drobniejsza, jakby przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny postarzała się o dwadzieścia lat. Popijała herbatę i wpatrywała się w cienie gromadzące się w kątach kuchni. Zaczęliśmy rozmawiać.

Część pierwsza

1

Powrót do przeszłości. Cofnięcie się prawie o czterdzieści lat. To szmat czasu. Świat wydaje się zupełnie inny i ludzie w nim kompletnie inni. Stoimy z matką w hotelowym hallu. Obejmuje mnie ramieniem, jakby chciała mnie przed czymś ochronić. Nagle w drzwiach pojawia się kobieta, ciągnąca za rękę syna.

- Diana, kochanie! - wykrzykuje z zaskoczeniem w głosie. - Jak to miło znów cię zobaczyć!

Reakcja matki jest zupełnie odmienna: nie ma w niej zaskoczenia ani wykrzykników, jedynie stwierdzenie faktu.

- Meg. Ile to już lat?

Obejmują się, lecz jakoś dziwnie, jakby starały się uniknąć intymnego kontaktu. Jedynie policzki się stykają, jeden upudrowany, drugi naturalny. Dziecko dostrzega takie rzeczy. Stoi i patrzy, a szczegóły tkwią w pamięci jak drzazgi w oku.

Ta kobieta była cała w tonacji różowo-kremowo-złotej i sprawiała wrażenie przybysza z innego świata, obcego i zdecydowanie barbarzyńskiego świata. Złota biżuteria na szyi (z wydatnymi ścięgnami i pierwszymi oznakami starzenia się), obcisły kostium z wąską spódniczką i łagodne wzniesienia piersi w wycięciu żakietu.

- Teraz używam imienia Caroline, nie Meg - powiedziała ta kobieta.

- Caroline? Dlaczego Caroline?

- Po prostu je wolę. Zresztą od zawsze byłam Caroline. Margaret Caroline.

- Dla mnie zawsze będziesz Meg.

- Wolalabym nie, kochanie. Meg brzmi jak imię psa pasterskiego.

Kobieta dwojga imion rozejrzała się po hallu („Uprasza się gości, by mieli wzgląd na innych i nie podkręcali siły głosu odbiornika telewizyjnego”) z odcieniem lekkiego niesmaku. Zauważyłem to i poczułem wstyd.

- Więc tym się teraz zajmujesz?

- Jakoś sobie radzimy.

Zatrzymała się przed fotografią mojego ojca, wiszącą na ścianie niczym ostrzeżenie, niemy wyrzut sumienia.

- Alan - powiedziała. - Wygląda na takiego stanowczego. - Rozejrzała się wokół. - Napisałam do ciebie, gdy dowiedziałam się o waszym rozwodzie, ale na twój dawny adres.

Tylko taki miałam.

Matka się uśmiechnęła. Wtedy nie bardzo wiedziałem dlaczego, teraz jednak zrozumiałem. Odpowiadała uśmiechem na kłamstwo. Kobieta skierowała wzrok na mnie.

- A to jest twój syn? Jak ci na imię, młody człowieku?

Odpowiedziałem, że Robert.

- A ja jestem Caroline. I tak masz się do mnie zwracać. Żadna tam pani Matthewson, a już na pewno - tu wykrzywiła wargi z niesmakiem - nie Meg.

Podaliśmy sobie dłonie. Jej uścisk był zarazem mocny i delikatny. Dziwne wrażenie.

- A to jest Jamie.

Stał obok matki z ponurą miną kogoś, kto wiedział, co oznacza dorosłość, i nie miał ochoty w nią wkraczać.

- Jamie niedawno skończył trzynaście lat.

Miałem dopiero jedenaście, znacznie mniej od niego w hierarchii dziecięcej. Dzieliły nas wówczas całe wieki.

Zapadła niezręczna cisza. Matki pewnie zastanawiały się, co zrobić z tą dwójką niewychowanych dzieci.

- Robercie, może pokażesz Jamiemu okolicę - zaproponowała matka.

Jamie zawahał się.

- Idź - powiedziała Caroline z odcieniem niecierpliwości w głosie. - Mamy z matką Roberta tyle do opowiedzenia.

Staliśmy obaj ubrani w ówczesne mundurki - błękitne koszule, szare szorty i tenisówki, jedno czarne, drugie białe - i czekaliśmy.

- No to idźcie.

Wyszliśmy więc do ogrodu, ramię w ramię, lecz nie razem, i idąc, kopaliśmy to, co nadawało się do kopania. Kiedy odwróciliśmy się w stronę domu, nasze matki siedziały w salonie zajęte rozmową. Wyglądały jak pokratkowane na tle podzielonych na kwatery okien. Jedna miała włosy mysiego koloru, druga była perfekcyjną blondynką. Zastanawiałem się, czy mógłbym czytać z ruchu ich warg - wąskich i zaciśniętych matki i starannie podkreślonych perłową szminką warg Caroline. Wargi. Już samo słowo rozbudzało moją wyobraźnię.

- Mój ojciec ma inną rodzinę - oznajmiłem. Chyba czułem, że muszę to wyjaśnić. - Dlatego nie ma go tutaj.

Jamie przez chwilę ważył w myślach tę informację, po czym dokonał zwycięskiego posunięcia.

- A mój nie żyje.
- Nie żyje?
- Tak. Zginął w górach.
- Z tego wzgórza też możesz zobaczyć góry.
- To nie są prawdziwe góry. To tylko walijskie góry. Mój ojciec zginął w Himalajach.

Na Kangczendzondze.

Nigdy nie słyszałem o Kangczendzondze.

- Co się z nim stało?

- Zamarzył w czasie burzy śnieżnej.

Śmierć z wychłodzenia uchodziła za bohaterską. Tak zginął Scott i jego towarzysze.

- Jak to jest mieć nieżyjącego ojca? - spytałem.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- W porządku - odpowiedział.

Po tym pierwszym spotkaniu Matthewsonowie zamieszkali w hotelu. Tylko na kilka wakacyjnych tygodni, na czas remontu ich domu. Zajęli trzy pokoje na pierwszym piętrze („Trzy pokoje, wyobrażasz sobie?!” - wykrzyknęła matka) - i nareszcie znalazłem towarzysza. Pomimo różnicy wieku wiele nas łączyło: samotność Anglików między Walijszczykami, brak ojca, fakt, że byliśmy jedynakami, i ciekawość świata. Dzielącą nas barierę lat pokonały liczne podobieństwa i wewnętrzne przyciąganie.

Uwielbiałem Jamiego, jak pies wielbi swojego pana i jak młodszy chłopiec starszego. Przez następne tygodnie chodziłem za nim jak akolita za swoim mistrzem. Kopaliśmy puszkę na leżącym odłogiem polu. Uczestniczyliśmy w emocjonującym pojedynku - nieprzyjemnej mieszance sympatii i nieufności - z grupą innych dzieci na placu zabaw, w którym starszeństwo i wojowniczość Jamiego pokonały przeciwników. Zawarliśmy przypadkową znajomość z dziewczynką o imieniu Bethan, mieszkającą w osiedlu domków komunalnych. Obserwowaliśmy smugi na błękitnym niebie i zastanawialiśmy się, czy pochodzą z radzieckich samolotów szpiegowskich, szykujących się do opanowania świata kapitalistycznego. Może gdzieś tam, wśród gwiazd, kryły się satelity, radzieckie sputniki, obserwujące nasz mały skrawek Ziemi. Wyruszyliśmy razem do miasta. Podążałem za nim plażą wzdłuż ławek, na których siedzieli ponurzy wczasowicze, i wsłuchiwałem się w obcy akcent z Liverpoolu i Manchesteru. Jamie chodził szybciej ode mnie; cały czas musiałem go gonić. W pasażu handlowym odkryliśmy automaty. Jeden z nich był ze sprośnymi fotografiami. Jamie wrzucił do niego monety i odsunął się, bym mógł spojrzeć przez wizjer. Zobaczyłem niewyraźny i nieostry damski biust w koronkach. To było pouczające

doświadczenie.

Pewnego dnia śledziliśmy ludzi w poszukiwaniu szpiegów, i trafiliśmy na akwizytora z wtartą we włosy brylantyną, który chodził od drzwi do drzwi, usiłując namówić gospodynie domowe na kupno szczotek.

- Zjeżdżajcie stąd, gówniarze! - krzyknął, gdy zauważył, że go śledzimy. - Opowiem o wszystkim waszym rodzicom.

Uciekłem wystraszony w obawie, że spełni groźbę i jakimś cudem dowie się, jak się nazywam i gdzie mieszkam. Lecz Jamie zaśmiał się tylko.

- On pewnie pieprzy się z tymi babami - powiedział i dodał w zamyśleniu: - Może daje im za to szczotki.

Słowo „pieprzyć” zawierało w sobie wielką moc, było przepustką do nieznanego świata dorosłych. Jamie pokazał mi wydany przez Penguina egzemplarz *Kochanka lady Chatterley*, który niczym ten feniks z okładki wyłonił się z popiołów cenzury. Przewertowaliśmy powieść, szukając słowa „pieprzyć” i jego pochodnych. Doliczyliśmy się dwudziestu sześciu. Jamie powiedział, że książka jest własnością matki. Moja matka na pewno by jej nie przeczytała i nie chciałyby jej mieć, nigdy też nie użyłyby takich słów. Fakt, że matka Jamiego miała taką książkę, przeczytała ją i bawiła się w myślach tymi słowami, czynił z niej osobę niebezpieczną i wywrotową. Obserwowałem ją uważnie niczym szpieg: zauważyłem wygiętą linię łydek, misterne linie podbródka i ucha, subtelne zagłębienie u nasady szyi i niszę między osłoniętymi do połowy piersiami.

- Widziałem moją matkę nagą - oświadczył Jamie.

- Niemożliwe.

- A żebyś wiedział! Ona nie ma nic przeciwko temu. Jesteśmy przecież rodziną.

Zastanawiałem się, jak to jest oglądać ją kompletnie nagą. Moja matka była strasznie pruderyjna. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, że pokazuje mi piersi, a tym bardziej rozchyła nogi, bym mógł między nie zajrzeć. Tymczasem matka Jamiego pozwalała oglądać siebie nago.

- Jak ona wygląda?

Wzruszył ramionami.

- Jak każda kobieta. Cycki, włosy.

- Włosy?

- Na dole.

- Widziałeś je?

- Jasne.

Włosy wydawały się czymś niewyobrażalnym. Wszystkie dowody, jakimi dysponowałem (co prawda nieliczne), mówiły coś zupełnie przeciwnego - rzeźby, obrazy, nawet fotografie w automacie. To mężczyźni byli owłosieni. Dowodziły tego obrazy. Poza tym miałem okazję sam się o tym przekonać w rozbieralni na miejskim basenie. Mężczyźni byli duzi, ciemni i owłosieni. Lecz nie kobiety. W saloniku dla gości znalazłem album z reprodukcjami i pokazałem je Jamiemu jako dowód. Peter Paul Rubens, kimkolwiek on był. Malowane przez niego kobiety nie martwiły się o swoje figury. Ciała rosły na nich jak ciasto drożdżowe. Ale nie miały włosów.

- To sztuka - odparł lekceważącym tonem Jamie.

Dopiero Bethan rozwiała wszelkie wątpliwości za szopą na tyłach ogrodu jej rodziców. Uniosła spódnicę, byśmy mogli popatrzeć.

- Tylko nie wolno wam dotykać - ostrzegła, spuszcżając majtki. - Dotykane jest nieprzyzwoite.

Nie było wiele do oglądania: rzadkie, krótkie, ciemne włosy i małe pęknięcie jak rozciągnięte w uśmiechu wargi.

- Tylko tyle? - spytałem.

- W środku też coś jest - odparła.

- Włosy? - Włosy wewnątrz wydawały się czymś wyjątkowym.

- Nie włosy, głupku. Różne rzeczy.

Rozwarła pęknięcie i rzeczywiście ujrzeliśmy tam różne rzeczy - koralowe i błyszczące. Fałdki, błony, mały wzgórek. Przyglądaliśmy się im w milczeniu.

- To mój ptaszek - wyjaśniła. - Pewnego dnia zmieni się w siusiaka.

- Czyś zgłupiała? - powiedział Jamie.

- Właśnie że tak. - Podciągnęła majtki. - Teraz wy.

- A kto mówił o nas?

- Tak jest sprawiedliwie.

Staliśmy między szopą a pokrzywami, zastanawiając się nad sprawiedliwym wyjściem z sytuacji.

- Nie obaj - zdecydowałem. - Dwóch byłoby niesprawiedliwie.

- No to jeden z was.

Więc Jamie się zgodził. Taki już był. To on zaproponował, by śledzić sprzedawcę szczotek, on odkrył automat z fotografiami nagich kobiet, on znalazł egzemplarz *Kochanka lady Chatterley*, on rozpiął spodnie i zsunął slipki. Jego członek - mały i gładki, ze sklepioną główką przypominającą grzyb - otaczały jasne włosy.

- Okrągłowy - powiedziałem, chcąc przerwać nieznośną ciszę. - To jest okrągłowy.

W szkole dzieliliśmy się na Okrągłowy eh i Kawalerów. Czasami rozgrywaliśmy mecze piłki nożnej, bawiliśmy się w berka lub po prostu walczyliśmy ze sobą. Kawalerowie byli odważni i beztroscy, jak ich historyczni odpowiednicy, a Okrągłowi w hełmach na głowach zdecydowani i sprawni.

- Nigdy jeszcze takiego nie widziałam - stwierdziła Bethan. - Mogę go dotknąć? - Jego członek nagle poruszył się jak zwierzę, które budzi się ze snu.

- Myślałem, że dotykanie jest nieprzyzwoite - zaprotestowałem.

Jamie się nie odezwał, stał nieruchomo, tylko jego członek powoli się unosił.

Możesz - odezwał się po chwili, wówczas Bethan objęła go drobnymi brudnymi palcami i ściągnęła wierzchnią skórę, odsłaniając główkę penisa.

- Kiedy robię to chłopcom, czasami coś z nich sływa - powiedziała Bethan.

Po rozstaniu z Bethan wracaliśmy w milczeniu do domu, rozmyślając o sprawach seksu.

- Czy twoja matka tęskni za twoim ojcem? - spytałem w końcu.

Pokręcił głową przecząco.

- Ma znajomych.

Zabrzmiało to niebezpiecznie.

- Moja wciąż kocha mego ojca - zapewniłem go, chociaż miałem wątpliwości. - Tak mi powiedziała.

Wspięliśmy się na górę na tyłach hotelu. Rozciągał się z niej widok na ujście rzeki, most wiszący i zamek. Trwał odpływ i płachty błota połyskiwały jak stal. Usiedliśmy na trawie i patrzyliśmy na góry. W smugach deszczu wyglądały jak chmury burzowe, a pod błękitnym niebem, takim jak owego dnia, przypominały siedzibę bogów, celtyckich bogów, którzy niegdyś władali tą ziemią szarych kaplic, szarych nagrobków i rozświetlonych zielonych pól.

- Kim ty jesteś? - spytał Jamie.

- Nie rozumiem.

Podniósł z ziemi kamień i rzucił go bez wyraźnego celu.

- Okrągłowym czy Kawalerem?

- Kawalerem.

- Pokaż mi.

- Nie.

- Mój widziałeś.

Rozpiąłem więc spodnie i pokazałem mu. To był żart, chłopięcy wyglup. Jamie chwycił palcami członek, nim zdążyłem go powstrzymać.

- Robisz się twardy - powiedział.

Poczułem w łądźwiach coś niepokojącego, dziwną słabość i miałem wrażenie, że spadam. Zaśmiał się, widząc moje zmieszanie.

- Podoba ci się?

- A tobie podobało się z Bethan?

- Było w porządku.

Przełknąłem ślinę.

- No.

Później leżeliśmy w trawie i wpatrywaliśmy się w góry.

- To jest nic - powiedział Jamie. - Kangczendzonga ma ponad osiem tysięcy metrów wysokości. Możesz sobie wyobrazić osiem tysięcy metrów? To jak samolot.

Milczałem, usiłując wyobrazić sobie osiem tysięcy metrów w pionie, co wydało mi się znacznie więcej niż w poziomie.

- Ojciec mi mówił, że tam właśnie mieszkają bogowie - ciągnął Jamie. - Tamtejsi ludzie w to wierzą. Matka twierdzi, że on też w to wierzył. Nikt jeszcze nie wszedł na szczyt przez szacunek dla bogów. On tam teraz jest, wiesz? - dodał po chwili.

- Gdzie?

Pomyślałem o niebie ponad chmurami. Może on teraz na nas patrzył.

- Na tej górze. Nigdy go nie znaleźli. Nie ściągnęli na dół. Jest gdzieś tam, na Kangczendzondze. Kiedyś będę się wspinał tak jak on.

- Ja też - powiedziałem, bo chciałem robić to, co Jamie. Cokolwiek to było.

2

- Jamie mówi, że jego ojciec był alpinistą.

- To prawda - przyznała matka.

Jak się czyta z twarzy dorosłego? Dzieci tego nie potrafią. Jako jedenastolatek dostrzegłem w oczach matki dezaprobatę.

- Czy to prawda, że był bohaterem?

- Dla pewnych ludzi tak. Dla innych pozostał po prostu człowiekiem. Przyjacielem. Wyjątkowym przyjacielem.

- Twoim też?

Czyżby się uśmiechnęła? Ten dziwny grymas, którego nie rozumiałem, miał tyle

wspólnego z uśmiechem, co ból z radością.

- Był wspaniałym człowiekiem, odważnym i trochę naiwnym.

- Czy dlatego umarł?

- Czy w ogóle wiadomo, dlaczego się umiera? - odpowiedziała.

- Było ci smutno?

- Tak. Ale Meg chyba nie. Niedługo potem wyjechała z jakimś Amerykaninem. A teraz wróciła, znów jest panią Matthewson i chce wprowadzić się do Gilead House, którego nigdy nie lubiła, nigdy nie czuła się tam szczęśliwa i nigdy tak naprawdę w nim nie mieszkała.

Gilead House. Ta nazwa kojarzyła się ze złotymi liliami, poczuciem winy i wiernością. Wedle opisu Jamiego to było coś jak dwór, a nawet zamek.

- Możesz pojechać i zobaczyć, jeśli chcesz - zaproponował.

- Chciałbym.

- Nie ma problemu - odparł, wzruszając ramionami.

Podobał mi się sposób, w jaki to powiedział. Trenowałem to przed lustrem, wypinając pierś i wtykając kciuki w kieszenie spodni.

Ku mojemu zdziwieniu matka nie przyjęła zaproszenia na wycieczkę, tłumacząc się nawałem pracy. Była zbyt zajęta. Na dowód odwróciła się z wymownym gestem w stronę sterty papierów leżących na biurku.

- Jedź sam, jeśli masz ochotę - powiedziała.

Wyruszyliśmy więc we troje. W samochodzie dusiłem się od zapachu perfum pani Matthewson, a podróż ciągnęła się w nieskończoność. Zrobiło mi się niedobrze i musieli się zatrzymać. Staliśmy na szczycie wzniesienia, niedaleko domu. Powietrze zapierało dech w piersiach swoją rzeźkością. I ten zapach owiec. Patrzyliśmy na dolinę, na targowe miasto Llanbedr i na góry w oddali. Wtedy chwyciły mnie mdłości i zwymiotowałem. Matka Jamiego otoczyła mnie ramieniem.

- To już niedaleko - zapewniła, gdy wsiedliśmy z powrotem do samochodu.

Po przejechaniu jakichś trzech kilometrów nacisnęła hamulec. Zobaczyłem drewnianą bramę i wyblakłą tabliczkę z napisem „Gilead House”. Dom odsunięty był od drogi, wtulony w lesistą dolinkę. Nadal miał w sobie coś z kaplicy - spiczasty dach z szarych dachówek, wieżyczkę w narożniku, zapewne pełniącą kiedyś rolę dzwonnicy, imponujące wejście, które prowadziło niegdyś do głównej nawy. Na podjeździe stała furgonetka i kręcili się robotnicy w kombinezonach. Trawnik był zarośnięty, a łąka przed domem pełna owiec. Wydały z siebie cienki, wibrujący dźwięk protestu.

- Cholerne owce - powiedziała matka Jamiego. - Czy tu się da mieszkać?

My z Jamiem spojrzeliśmy ponad doliną, lasami i okolicznymi wzgórzami ku piętrzącym się na horyzoncie szczytom górskim i uznaliśmy, że to wspaniałe miejsce.

Tydzień później Matthewsonowie wyprowadzili się z hotelu. Załadowali walizki do bagażnika samochodu i odjechali z obietnicą, że zaproszą mnie do siebie. Pożegnał mnie chłodny uśmiech pani Matthewson i równie chłodne machnięcie ręki Jamiego przez tylne okno malejącego w oddali samochodu. Nagle i nieoczekiwanie poczułem się samotny.

- Wkrótce będziesz w nowej szkole - pocieszała mnie matka - i znajdziesz sobie wielu nowych przyjaciół.

Przyjaciele to przypadkowa i nieprzewidywalna jednostka. Jamie był moim przyjacielem, mistrzem i przewodnikiem po świecie dorosłych. Ale odjechał.

Kiedy miała miejsce ta podróż pociągiem? W jakiej części przeszłości należało ją umieścić? Dolinę przecinała nitka torów linii kolejowej, biegnącej od ujścia rzeki, potem górą i kończącej się w jednym z tych łupkowych miasteczek. Szybko by ją zlikwidowano ze względu na nierentowność, gdyby nie upór miejscowej społeczności, która obroniła ją przed zimnymi ekonomicznymi wiatrami. W miejscach, gdzie linia miała podwójny tor, pociąg stawał i czekał na drugi. Wtedy następowało ceremonialne przekazanie buławy, klucza, pałeczki pozwalającej jednemu pociągowi wjechać na pojedynczy tor, który właśnie został zwolniony przez drugi pociąg. Ta metoda, uświęcona miejscową tradycją, okazała się bezpieczna: dopóki był tylko jeden klucz i dopóki maszynista trzymał się odwiecznej zasady, że jeżeli klucza nie ma, to nie powinien wjeżdżać na odcinek toru objęty kluczem, dopóty nie mogło dojść do kolizji. Ten rytuał sprawiał wrażenie tajemnego, jakby mistycznego i typowo walijskiego, i miał w sobie coś z królewskiego dostojenstwa. Owa pałeczka czy buława mogła być Ekskaliburem, magicznym mieczem króla Artura.

Jechałem w zupełnie pustym przedziale i byłem chyba jedynym pasażerem w całym wagonie. Wagony te nie miały korytarzy. Mimo chłopięcego wyglądu czułem się wielki i ważny. Nadal chodziłem w krótkich spodenkach i wyblakłych tenisówkach i nosiłem krótko ścięte włosy, które bardziej pasowałyby w wojsku.

Pociąg toczył się dnem doliny, mijając miasteczko, które ucierpiało wskutek obsunięcia się ziemi (wzdłuż nowo odbudowanych domów leżały kamienie, pozostawione tu na pamiątkę po tamtym zdarzeniu), potem kolejne z przędzalnią wełny i kamieniołomem, następnie Llanbedr ze stacją o nazwie Peterschurch, gdzie miał czekać Jamie. Pamięć uwieczniła tę drogę, lecz nie przygotowania do podróży - telefon z propozycją wycieczki, rozmowę z matką, cokolwiek, co wiązało się z tym wydarzeniem i pozwoliłoby umieścić je w

czasie. Pozostała jedynie ta podróż pociągiem i Jamie czekający na peronie w Llanbedr, ubrany podobnie jak ja, w mundurek chłopca uczęszczającego do szkoły z internatem. Pamiętam, że też miał krótkie spodenki.

Otworzyłem drzwi do mojego przedziału. Wsiadł i znowu byliśmy razem. Jego matka pomachała nam z peronu - niewyraźna postać o blond włosach, umykająca z pamięci, podobnie jak jej sylwetka w miarę oddalania się pociągu.

- Jak nowy dom? - zapytałem, sądząc, że wypada zadać to pytanie, wzorem dorosłych, którzy pytają: Jak pogoda? Co w domu? A co tam w pracy?

- W porządku. Jest w nim taki stary pokój, zwany pokojem do gier, i stajnia, ale podłogi są spróchniałe i nie wolno mi tam wchodzić, bo mogą się zarwać...

- Ale ty oczywiście wszedłeś.

- Oczywiście.

Pociąg jechał dalej, mijając lasy, skały i górski potok. Przeważały kolory zielony i szary. Tego dnia nie padało. Pamiętam świetlne wodospady błyskające między drzewami i dziwne nazwy w tym dziwnym języku, którego żaden z nas nie znał: Pont-y-pant, Dolwyddelan, Pentre-bont. Nazwy na granicy absurdu, jakby ktoś wymyślił je dla śmiechu.

- Pont-y-pant - powiedział Jamie z uśmiechem, gdy pociąg stanął na stacji. Był to powściągliwy, dojrzały uśmiech.

Utkwiłem wzrok w oknie. Pociąg mijał nagie skały, bezbarwne farmy ogołoczone przez owce jak pole bitwy przez żołnierzy, gdy ucichną strzały, miny zamku, szare na tle błękitnego nieba. Potem zniknął w tunelu i jechał w ciemnościach, a nasze twarze odbijały się w ciemnym oknie i nagle zniknęły, gdy wjechaliśmy w światło i stanęliśmy w jakimś ponurym miasteczku. Zobaczyliśmy semafor, pusty peron i szary budynek stacji. Wysiedliśmy z przedziału i patrzyliśmy, jak zawiadowca dmucha w gwizdek i podnosi zieloną chorągiewkę. Pociąg ruszył i zostawił nas samych.

Dlaczego tu wysiedliśmy? Miasteczko nazywało się Blaenau. Wymawiało się „blajn aj” i brzmiało to jak wada wzroku, którą należało skorygować odpowiednimi szklami lub operacyjnie. Krótkowzroczność pamięci. Wysiedliśmy, bo to była końcowa stacja.

- Chodźmy - powiedział Jamie.

Wymówił to z amerykańską intonacją, jakbyśmy byli kowbojami czy kimś w tym rodzaju i mieli dokąd iść. Całe miasteczko - ciche i opustoszałe - składało się z kilkunastu domów stojących u podnóża góry. Świat Blaenau ograniczał się do łupków: łupkowy był krajobraz, łupkowe niebo, łupkowe rzędy posklejanych ze sobą domków, łupkowa droga. Eksploatowane tu niegdyś kamieniołomy stały teraz nieczynne. Zbyt na łupki się skończył, bo

nikt nie krył już nimi dachów. Czego w zamian używali? Płytek ceramicznych? W każdym razie nie walijskich łupków. Kopalnie zamknięto, młodzi mężczyźni odeszli i Blaenau stało się wojennym miasteczkiem zamieszkanym tylko przez kobiety, dzieci i starców.

Szliśmy pustymi uliczkami. Zajrzeliśmy do sklepu ze słodyczami i kupiliśmy rurki z nadzieniem owocowym, a potem w kiosku kupiliśmy pismo o nazwie „Weekend” z dziewczętami w kostiumach kąpielowych. Zatrzymaliśmy się dopiero na skraju miasteczka przed zardzewiałą bramą w wysokim płocie i tablicą z napisem: „Perygl, Cadwch Allan - Przejście wzbronione”.

Był to kamieniołom. Bez słowa zachęty czy sprzeciwu pchnęliśmy bramę i ruszyliśmy drogą biegnącą wąską czarną doliną o zboczach z popękanych łupków.

- A jeśli ktoś nas zobaczy? - spytałem.

- No to co? - rzucił Jamie tonem odważnego, obeznanego ze światem dorosłych mężczyzn.

Maszerowałem obok niego, a właściwie o pół kroku za nim. Droga zaprowadziła nas na wyciosaną w górskim zboczu wielką arenę ze stromymi ścianami i płaskim dnem. Cała płaszczyzna areny zasypana była kawałkami łupków, przypominającymi odłamki szrapneli po zakończonej bitwie, które chrzęściły pod stopami. Zardzewiała maszynyria - transporter, zbiornik, pochylnia - układała się nad nami w litery N, A, Y. Wyglądały jak znaki z dawno przebrzmiałej epoki przemysłowej. Ściany kopalni miały barwę stalowoszarą, tak szarą, stromą i spadziłą jak burta okrętu wojennego, wygładzone i wypolerowane na brzegach. Jak wysoko sięgały? Sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów? Nie potrafiłem tego ocenić. Na samym szczycie można było zobaczyć to, co istniało, zanim zjawił się tu człowiek z dynamitem i kilofem - krzywiznę góry i stok porośnięty paprociami, dobrymi duchami zbocza. Lecz to wszystko zostało zniszczone, rozszarpane olbrzymimi pazurami, jakby zjawił się tu prehistoryczny walijski smok, Draig Goch, i rozorał całą górę.

- Cor - wyszeptał Jamie.

Wiatr szarpał nas za rękawy. Perygl Marwolaeth, mówił, strzeżcie się śmierci. Podeszliśmy bliżej. Ściany wabiły nas do siebie. Stanęliśmy dokładnie pod nimi i unieśliśmy w górę głowy. Naszym oczom ukazała się idealnie pionowa ściana skalna, ciągnąca się setki metrów. Zbocze połyskiwało; nie było mokre, jedynie wilgotne; poszarpane, ostre, niebezpieczne.

- Założę się, że nie dałbyś rady - szepnąłem w zamyśleniu. Dokładnie wiedziałem, o czym mówię.

Jamie ssął cukierka. Uniósł wzrok, mrużąc oczy. Potrafił dostrzec różne rzeczy:

pofałdowania ściany, jej nachylenie, ukośną linię pęknięcia, półkę z kępkami trawy.

- Założę się, że dałbym - powiedział.

- O co?

Skończył gryźć cukierka i otarł wargi.

- Mój X-piętnaście przeciw twojemu FD dwa.

Były to plastikowe modele samolotów, bardzo dla nas cenne.

- Dobra.

Przypięczętowaliśmy zakład uściskiem dłoni. A potem on podszedł do ściany, znalazł jakiś chwyt i podciągnął się w górę, aż broda znalazła się na wysokości dłoni. Przez chwilę młócił stopami skałę, w końcu sięgnął ręką nad głowę, podciągnął nogę, znalazł oparcie dla stopy i wyprostował się. Nic widziałem, na czym stoi; była to zaledwie drobna fałdka. Kolejny ruch ramieniem, seria błyskawicznych kroków w górę w lewo, zagięte niczym szpony palce, czarne podeszwy tenisówek ślizgające się po gładkiej powierzchni skały w poszukiwaniu występu. Z tej wysokości nie mógł już zeskoczyć na ziemię, nawet gdyby chciał.

Poczułem niepokój. Odsunąłem się od ściany, by lepiej widzieć.

- Jamie, uważaj! - zawołałem.

Dotarł już do kępek trawy. Chwytał je palcami, podciągnął się w górę, oparł ciężar ciała na prostych rękach i pochylił się w przód. Następnie uniósł prawą stopę do wysokości ręki i stanął na półce. Potem spojrzał w dół przez ramię.

- Wchodź.

- Nie umiem.

- Ja wszedłem.

- Co teraz zrobisz?

- Ty wejdiesz do mnie.

- Już mówiłem, nie umiem.

- Wygrałem zakład.

- Tak, ale jesteś teraz na górze.

- A ty jesteś mi winien FD dwa.

- Ale musisz najpierw zejść na dół.

Cofnąłem się jeszcze, żeby lepiej go widzieć. Stał na wąskiej półeczce, która biegła dalej po obu stronach, żeby zaniknąć w gładkiej tafli. Jak to wysoko? Ile metrów ma dom? Osiemnaście? W takim razie stał na dachu domu. Nie tak wysoko jak Kangezendzonga, ale na tyle, by zrobić dziurę w ziemi, jeżeli spadnie. Co prawda nie w tej ziemi. Kopnąłem na próbę

jeden z łupków i poczułem lekki ucisk w okolicy przepony. Wiedziałem, gdzie jest przepona. Widziałem ją na manekinie, który dostałem na ostatnie urodziny. Znałem się na częściach ciała i ludzkich wnętrznościach. Gdyby Jamie spadł, jego wnętrzności rozprysłyby się na wszystkie strony.

- Idę dalej! - zawołał.

- A jeśli spadniesz?

- Nie spadnę.

- Sprowadzę kogoś.

I Nic bądź głupi. nagle pojawił się ten człowiek. Przypuszczalnie wyszedł z jednego z budynków. Może uciął sobie drzemkę. Nie wiem. Miał na sobie ciemnoniebieski kombinezon i szedł w naszą stronę z szybkością kogoś, kto widzi, że jego świat rozpadnie się za chwilę przez lekkomyślność jakiegoś głupiego szczeniaka.

- Natychmiast stamtąd złaź, gówniarzu! - wrzasnął.

Miał pociągłą twarz, wąsy i groźnie zmarszczone brwi. Jego widok wywołał we mnie mieszaninę strachu i nadziei.

- Co wy tu, u diabła, robicie?! Nic macie prawa tu być. Nie umiecie czytać? Natychmiast stamtąd złaź!

W tym właśnie tkwił problem. Gdyby Jamie natychmiast stamtąd zszedł, zginąłby na miejscu. Spojrzałem w górę, zastanawiając się, co zrobi.

I Natychmiast! - wrzasnął mężczyzna. wtedy stojąca wysoko postać przesunęła się wzdłuż półki, po czym dwoma, trzema, czterema krokami, niczym zwierzę, nie człowiek, raczej jak małpa albo kot, poszła w górę, spojrzała w dół, następnie wspięła się jeszcze wyżej, trawersując w lewo, w kierunku przełamania ściany.

- W tej chwili złaź na dół! - krzyknął mężczyzna, lecz zaraz umilkł, gdy dotarło do niego to, co zobaczył. Ten chłopak wspinał się po ścianie, jakby był do niej przyklejony, jakby był jej częścią.

Jamie ponownie spojrzał w dół. Jego twarz wyglądała jak biała plama na tle szarej skały. W następnej sekundzie zniknął za rogiem.

Strażnik odwrócił się w moją stronę. Miał czerwoną, błyszczącą twarz z kropelkami potu na czole.

- Pójdiesz ze mną, młody człowieku - oznajmił i chciał mnie złapać za rękę.

Cofnąłem się.

- Przepraszam pana - wybąkałem.

- Nie jestem żadnym panem! - krzyknął mężczyzna.

Sięgnął ku mnie ręką i wtedy rzuciłem się do ucieczki.

Nigdy w życiu nie biegłem tak szybko, nawet w czasie meczu w rugby w szkole czy biegu na sto metrów w dniu sportu. Dotarłem do końca ściany i skręciłem za ten sam róg, za którym zniknął osiemnaście, dwadzieścia metrów wyżej Jamie. Łupki chrzęściły mi pod stopami jak kawałki potłuczonych skorup. Za rogiem, na wprost mnie, znajdowała się hałda gruzu, przylegająca do tylnej ściany kopalni. Tworzyły ją fragmenty tłucznia, zrucane tu z górnych poziomów. Na jej szczyt biegła ubita ścieżka. Ruszyłem więc w górę, ślizgając się po kamieniach. W pewnym momencie ścieżka zmieniała się w szyb, powstały po wysadzeniu skały, i tam właśnie czekał na mnie Jamie.

- Szybciej, Rob! - krzyknął. - Zaraz się stąd wydostaniemy.

Strażnik, potykając się, biegł za mną. Ślizgałem się na kamieniach, robiąc trzy kroki w górę, to znów trzy w dół, jak w sennym koszmarze, gdy czujesz, że pogoń depcze ci po piętach, a ty boisz się spojrzeć za siebie i biegniesz nie wiadomo dokąd.

- Szybciej, Rob!

- Stój, gówniarzu!

Może miał większe stopy, a może dzięki większemu ciężarowi łatwiej mu było pokonywać usypisko, dość że mnie dogonił. Poślizgnąłem się i oparłem na rękach. Zanim zdążyłem wstać, poczułem jego dłoń na ramieniu. Przyciągnął mnie do siebie i odwrócił, bym mógł spojrzeć w płonące oczy, półotwarte usta i bruzdy na twarzy.

- Ty szczeniaku - powiedział.

Ciężko oddychał. Jego oddech pachniał gazem z kuchenek gazowych i opalanych gazem piecyków w sypialniach.

- Rob! - krzyknął Jamie.

Mężczyzna spojrział w górę ponad moim ramieniem.

- Złapałem go! - zawołał. - Radzę ci zejść.

- Nie schodź, Jamie! - wrzasnąłem do ciemnoniebieskiego kombinezonu, który strażnik miał na sobie. - Nic schodź!

Jamie jednak nie usłuchał i ruszył w dół wąskim przesmykiem, po stromych stopniach służących niegdyś górnikom do wspinania się na wyższe kondygnacje. Obróciłem się, by popatrzeć. Schodził ze skupionym wyrazem twarzy i wzrokiem wbitym we mnie i strażnika na zboczu poniżej.

- Puść go! - krzyknął. - On nic nie zrobił.

Stały mi przed oczami historie o dzielnych chłopcach, którzy stawali w obronie przyjaciół i nie pozostawiali ich w niebezpieczeństwie. Kochałem Jamiego. Pamiętam jak dziś

to uczucie prawdziwej miłości.

Zagrzechotały spadające kawałki łupków i po chwili Jamie stanął przy nas w wyzywającej pozie. Strażnik chwycił go za rękę.

- Pójdziecie ze mną, panowie - oznajmił.

Pomyślałem, że może nie jest taki zły, skoro nazwał nas panami. Wciąż jednak mocno nas trzymał, gdy ślizgając się i potykając, schodziliśmy z hałdy.

- Co pan chce zrobić? - spytał Jamie.

- Zobaczymy.

- Chcę zadzwonić do mojej matki.

- O tym też pomyślimy.

Poprowadził nas do baraku stojącego w cieniu zardzewiałej maszynarii. Na drzwiach widniał znak informujący, że to teren kopalni, i zabraniający wstępu. Tu strażnik natrafił na problem.

- Otwierajcie - polecił, nie puszczając nas.

- To boli.

- Otwierajcie.

Wymieniliśmy z Jamiem porozumiewawczy uśmiech.

- Otwierajcie.

- Sam niech pan otworzy - odpowiedział Jamie.

Mężczyzna mocniej ścisnął mnie za rękę. Uznał, że jestem słabszy, i pchnął mnie w przód.

- Otwieraj, gnojku.

Chwyciłem za gałkę i przekręciłem ją. Była zamknięta.

Strażnik zaklął i rozluźnił uścisk.

- Stój tu, zrozumiano? - warknął.

Skinąłem głową.

- Nie waż się ruszyć.

Pokiwałem głową. Powoli, jakby w obawie, że mogę stracić równowagę, puścił moją rękę. Nie ruszyłem się z miejsca. Sięgnąłem do kieszeni, a ja czekałem, aż wsunie głębiej dłoń.

- Uciekaj, Rob! - krzyknął Jamie.

Rzuciłem się do ucieczki, odprowadzany przekleństwami strażnika, czując wokół siebie wolność połyskującą w szaroniebieskich łupkach.

- Uciekaj, Rob! - krzyczał Jamie, a ja gnałem w panice przed siebie.

Zatrzymałem się dopiero przy wąskiej przełęczy między spadzistymi stokami, na

drodze, która zaprowadziła nas do bramy ze znakiem „Wstęp wzbroniony”. Obejrzałem się za siebie. Strażnik i Jamie zniknęli. Musieli wejść do baraku. Pewnie mężczyzna otworzył drzwi, wpełznął Jamiego do środka, a teraz zacznie rozglądać się za mną. Zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Dręczył mnie strach i wyrzuty sumienia. Ten człowiek był przedstawicielem prawa, a my je złamaliśmy. Lecz co z Jamiem, który został tam jako zakładnik?

Czekałem, ale mężczyzna się nic pojawił, z baraku też nie dochodził żaden dźwięk i w całym kamieniołomie panowała cisza. Czekałem. Nie wiem, jak długo. W końcu jednak powoli, ostrożnie wróciłem. Łupki chrzęściły mi pod stopami jak kawałki szkła. Podeszedłem na palcach do porzewiałych maszyn do baraku. Nie dochodził z niego żaden dźwięk. Podkradłem się pod szare z brudu okno, pod którym leżały stalowe stemple. Wszedłem ostrożnie na jeden z nich i zajrzałem do środka.

Niewielkie pomieszczenie, jakieś sześć metrów na cztery, drewniana podłoga, pod ścianą kilof, łopata, lina, kawałki łupków i drewniana prycza. Padające z dwóch okien - jednego, przy którym stałem, i drugiego na przeciwległej ścianie - światło przydawało wnętrzu tajemniczości jak na religijnym obrazie, bo i scena sprawiała wrażenie religijnej: Jamie klęczał przed mężczyzną, jakby się do niego modlił.

Poczułem coś między dziecięcą ciekawością a zupełnie niedziecięcym przerażeniem. Nie rozumiałem tego, co zobaczyłem. Wyczuwałem jedynie coś, jakiś ładunek emocjonalny, napięcie, jakie czuje się przed pierwszą błyskawicą, tę samą ciężką atmosferę w powietrzu. W tamtej jednak chwili niczego nie rozumiałem. Teraz oczywiście tak. Teraz już potrafię zinterpretować scenę, która pozostała mi w pamięci. Wtedy jednak z czym mogłem ją porównać? Nie miałem żadnego punktu odniesienia.

Przez chwilę obserwowałem szybkie, gwałtowne ruchy, a potem wolno zszedłem z mojego stanowiska, podkradłem się pod drzwi i ostrożnie przekręciłem gałkę. Odgłosy dochodzące z wnętrza, których nie potrafiłem zidentyfikować, zagłuszyły skrzyp otwieranych drzwi i zagłuszyły całą niewinność. Drzwi rozwarły się z impetem.

- Co tam?!

Światło dnia padło na mężczyznę, śmiesznie wyglądającego z opuszczonymi spodniami, obnażonym ciałem i pobladłą, zszokowaną twarzą.

- Czego?! - Złapał za spodnie. - Ach, to ty, gnojku! - zawołał z czymś w rodzaju ulgi w głosie.

Jamie odsunął się od niego i zamarł w bezruchu. Mężczyzna porządkował ubranie i gadał do mnie. W jego głosie słychać było zadyszkę, jakby przed chwilą biegł.

- Wróciłeś, żeby popatrzeć, tak? To ten gówniarz chciał tego. On mnie o to prosił. Pewnie ty też jesteś ciekawy, co? Chciałeś zobaczyć, co robimy, tak?

- Wracamy do domu - powiedziałem.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem. Nie było w nim jednak wesołości.

- Mam parę obrazków - rzekł. - Chcecie obejrzeć? Dziewczynki. Cycuszki i cała reszta. Chcecie popatrzeć?

- Idziemy - powtórzyłem.

Stałem przy drzwiach, gotowy do ucieczki, a ten człowiek gadał, zapinał spodnie i przesuwał się w moją stronę. Za jego plecami stał Jamie z wyrazem strachu malującego się na twarzy. A może to nie był strach. Nie potrafiłem ocenić. Nigdy dotąd nic widziałem strachu, jedynie na filmach.

Mężczyzna podszedł bliżej.

- Chcesz obejrzeć cycuszki?

Cofnąłem się.

- Idziemy, Jamie.

Jamie jakby obudził się ze snu, minął mężczyznę i wybiegł z baraku.

- To on tego chciał, ten plugawy gnojek! - zawołał za nami strażnik. - Tylko nie mówcie nikomu! - krzyknął jeszcze. - To będzie nasza tajemnica!

Całą drogę do miasteczka przeszliśmy w milczeniu. Peron był pusty. Usiedliśmy na ławce i czekaliśmy na pociąg. Nie wiem, jak długo to trwało. Może trzy kwadransy. Jamie przez cały czas milczał. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos brzmiał zwyczajnie, jakby mówił o codziennych sprawach.

- To on mnie do tego zmusił. Obiecał, że mnie wypuści, jeżeli to zrobię.

- Opowiesz o tym?

- Komu?

- No, twojej mamie.

- A co tu jest do opowiadania? Przecież to pedzio.

Przyjechał pociąg. Wsiadło z niego kilka osób, lecz tylko my dwaj wsiedliśmy. Zawiadowca machnął chorągiewką, zagwizdał i pociąg ruszył. Jamie z obojętnym wyrazem twarzy wpatrywał się w okno. Pociąg wjechał do tunelu. Zapadła ciemność i twarz Jamiego odplynęła w czerń. Miałem wrażenie, jakby oddalił się ode mnie, jakby został po nim jedynie obraz, obraz z telewizora przesłany gdzieś z bardzo daleka.

- To nic ma znaczenia - rzekł w zamyśleniu, jakby się zastanawiał, czy rzeczywiście tak jest. - To nie ma znaczenia - powtórzył.

Kiedy wyjechaliśmy z tunelu, popatrzył na mnie, a potem znowu w okno.

- Nie było tak źle. To taki sam siusiak jak twój.

Na stacji w Llanbedr czekała jego matka. Uśmiechnęła się na nasz widok i wyciągnęła ręce, gdy Jamie wysiadł z wagonu. Skrzywiła się, kiedy wysunął się z jej objęć. Potem uniosła wzrok, dostrzegła w oknie moją twarz i pomachała mi. Dobrze się bawiliście? - spytały jej wargi. Trzasnęły drzwi, rozległ się gwizdek i pociąg mszył. Dobrze się bawiliście? Dziwne, że udało mi się odczytać te słowa z jej warg. Wargi. Ten zawrót głowy.

3

Po tym zdarzeniu Jamie więcej się nie odezwał. Zaważyło ono na naszej przyjaźni. Z przyjaźniami tak bywa - potrafią znieść burzę i rozpaść się bez wyraźnego powodu. Są kruche jak łupki. Czy to miało coś wspólnego z tym strażnikiem w kamieniołomie? Może tak, a może nie. Moja matka przyjaźniła się kiedyś z jego matką. Były podobno najlepszymi przyjaciółkami. A potem ich przyjaźń się rozpadła. Czasami rzuciła jakąś uwagę na temat pani Matthewson, lecz tak mimochodem, jakby nie chciała kontynuować tematu.

- Tak, byliśmy sobie kiedyś bliskie. Ciebie nie było jeszcze wtedy na świecie. Jeszcze przed wojną i w czasie wojny. Ale wiesz, jak to bywa, ludzie się rozchodzą.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem.

Tak więc Jamie stał się jedynie wspomnieniem, przyjacielem z dzieciństwa, jednym z tych, których chowa się gdzieś głęboko w pamięci, by potem spotkać po latach na ulicy, w barze czy na przyjęciu, gdy różnica wieku nie ma już znaczenia.

Któregoś dnia otrzymałem od niego pocztówkę. Bez adresu zwrotnego. Trafiła do mnie jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Jamie nie znał dokładnego adresu mojej szkoły, musiał zapamiętać go jedynie z naszej rozmowy. „Robert Dewar, Rhodes School, Surrey” - napisał. Kiedy to było? Pamięć płata figle, zniekształca czas, łączy ze sobą niepodzielne wymiary. Może minęło kilka lat. Może trzy. Odległości czasowe są dziwne i plastyczne jak zegarki na obrazach Dalego, które wówczas podziwiałem, jak rzeźby Henry’ego Moore’a o złudnych liniach, tajemniczych otworach, gładkich i bezkresnych płaszczyznach. Kartka była podpisana „James”. Nie miałem pewności, kim jest ów James, póki nie przeczytałem dopisku: „Do zobaczenia w Walii”. Fotografia na pocztówce przedstawiała góry zupełnie inne od tych w Walii, które podziwialiśmy jako dzieci. Były to wyniosłe, pokryte śniegiem szczyty Alp Berneńskich: Jungfrau, Mönch, Eiger, Młoda Kobieta, Mnich i Wilkołak. Interesujące lubieżne trio. „Weszliśmy na Jungfrau” - napisał Jamie, nie wyjaśniając jednak, co kryło się pod tą liczbą mnogą.

Poczułem lekkie ukłucie zazdrości. Bez względu na to, kim Jamie teraz był, gdzie przebywał i z kim, robił to, o czym rozmawialiśmy przed laty: wspinał się w prawdziwych górach. Ja jedynie wszedłem na Snowdon w deszczu i we mgle i spędziłem okropny weekend na obozie w Lalce District ze szkolną wycieczką. A Jamie zdobył prawdziwą górę - Jungfrau.

Kiedy przyjechałem na wakacje do domu, na próżno szukałem w notesie adresowym matki numeru telefonu do Matthewsonów.

- Nie sądzę, bym go zapisywała - odparła. - A w ogóle to po co chcesz go odnaleźć?

Był fajnym kumplem. I napisał do mnie. Chryste, mamgo, przecież się przyjaźniliśmy.

Nazwiska Matthewson nie było też w książce telefonicznej. Matthewsów było mnóstwo, lecz żadnego Matthewsona.

- Pewnie zastrzeżony - stwierdziła matka tonem sugerującym, że obecność na liście abonentów łączy się z czystością moralną, podczas gdy rozmyślne ukrywanie się jest czymś haniebnym. - Typowe dla Meg.

Pojechałem więc do niego. Najpierw pociągiem do Llanbedr. Tu musiałem czekać pół godziny na autobus, lecz nawet wtedy nie byłem pewny, czy wsiadłem we właściwy. Pamiętałem nazwę Gwytherin. Autobus przetoczył się przez miasto, minął kościół, kino i targ bydłęcy. Potem zaczął się wspinać pod górę, mijając skalne urwiska, zielone łąki, na których pasły się owce, i lasy o niespotykanej ciemnej zieleni. W pewnej chwili dostrzegłem biegnącego lisa. I nagle pojawił się dom, który zapamiętałem. Teraz miał nową łupkową tabliczkę z wyrytym napisem: „Gilead House”.

Na podjeździe stał wielki biały mercedes, wyglądający dziwacznie na tym walijskim wzgórzu.

Kiedy pchnąłem furtkę i podszedłem do drzwi, zaczęło mżyć. Wcisnąłem dzwonek. Nastąpiła długa cisza, a potem gdzieś w głębi usłyszałem hałas. Drzwi się otworzyły i wyrzała przez nie Walijka o ciemnych włosach i ciemnych nieufnych oczach.

- Słucham?

- Czy jest James?

- James? - powtórzyła z zaskoczeniem. - Nie.

W rozciągniętym aż do przesady słowie „nie” brzmiało rozczarowanie, rozbawienie i lekki uśmiech. Omal nic przeprosiłem i nie odszedłem z podwiniętym ogonem.

- A pani Matthewson?

- A kogo mam zapowiedzieć?

- Kto to, Mary? - rozległ się głos gdzieś za jej plecami, z tonącego w cieniu hallu.

Mary obejrzała się przez ramię.

- Jakiś młody pan pyta o panicza Jamesa.

Panicz James. Dobrze, służalcze określenie.

- Jak się nazywa? - spytał głos.

Podeszła bliżej, gdy służąca usunęła się na bok. Była niższa, niż ją zapamiętałem. Naturalnie wzrost jej się nie zmienił, tylko ja urosłem. Przewyższałem ją teraz o głowę, patrząc z góry na obciste białe spodnie i różową bluzkę. Lecz to ona wydała mi się mniejsza i młodsza. Miała też inną fryzurę. Nawet dorośli ulegają modzie. Zniknął gdzieś błyszczący sztuczny wygląd, ustępując miejsca ciemniejszym i bardziej naturalnym barwom - barwom pszenicy: te same smugi i te same cienie jak na polu pszenicy. Zacerwieniłem się.

- Szukam Jamesa.

- Tak?

Nie poznała mnie. Uśmiechnęła się lekko, jakby przez uprzejmość, zastanawiając się jednocześnie, czy jej wysiłek jest tego wart.

- Jestem Robert.

- Robert! - Wyraz twarzy uległ zmianie, pojawił się na niej szeroki uśmiech. - Robert, syn Diany. To... - oddech i spojrzenie oznaczające, że mnie rozpoznała - nadzwyczajne. Boże, jak ty wyrosłeś!

- Myślałem...

- Myślałeś, że zastaniesz tu Jamiego? Wielka szkoda. Był tu na Wielkanoc. Mówiłam mu, żeby się z tobą skontaktował, ale wiesz, jaki on jest. Wejdz. Napijesz się czegoś? Dlaczego nie zatelefonowałeś?

Idąc za nią, dostrzegałem obrazy, przedmioty, meble, wszystko to, co tworzy własny klimat. Na ścianie wisiał szkielec, chyba rekina. Miał kształt klepsydry zakończonej sztyletami z kości słoniowej. Od czasu mojej ostatniej wizyty Gilead House stał się tym, czym nasz nigdy tak naprawdę nie był - domem.

- Mary, możesz nam zrobić kawy czy herbaty, co wolisz?

Pytanie pani Matthewson przeniosło się ze służącej na mnie, w chwili gdy przyglądałem się dziwnemu eksponatowi.

- Ach, to moje trofeum. Złowiłam go u wybrzeży Nantucket. Osobiście. Mężczyźni śmiali się ze mnie i mówili, że nigdy mi się to nie uda, i tym podobne bzdety. - „Bzdety”, moja matka byłaby zszokowana. - Ale udało się i oto on.

Roześmiała się, a ja przez krótką chwilę miałem wrażenie, jakbym znalazł się w blasku słońca. Poszedłem za nią na górę, mijając po drodze okno z witrażem przedstawiającym średniowiecznego rycerza i jego damę, do pokoju, który nazwała

dziennym, a który był po prostu salonem z oknem wychodzącym na ogród i las na tyłach domu. Na ścianie wisiał olejny portret dziewczynki z obojętnym wyrazem twarzy czarnymi jak węgle oczyma.

- Czy to pani? - spytałem.

Roześmiała się czarująco. Nie, znalazła ten obraz na pchlim targu. Zaskoczyło mnie to określenie. Chyba po raz pierwszy je wtedy usłyszałem. Wyobraziłem sobie, że to rodzaj wyprzedaży, jaką organizował miejscowy kościół: stoiska z używaną odzieżą aż ruszające się od insektów.

- Przypuszczam, że to oryginał. Znasz Laurencin?

Nie znałem. Razem patrzyliśmy na obraz, na grube warstwy farby i podpis na dole w rogu: „Marie Laurencin”. Kiedy tak staliśmy, owionął mnie zapach pani Matthewson - podstępna mieszanka składników, których nie umiałem nazwać: piżma, pomarańczy, drzewa sandałowego, jaśminu. Było to coś znacznie subtelniejszego i przekonującego niż obraz Marie Laurencin, bez względu na to, czy oryginalny, czy też kopia.

- Kłopot w tym - powiedziała (ten zapach czułem też w jej oddechu) - że nie mam odwagi pokazać go ekspertowi. Na wypadek, gdyby okazał się kopią.

Zostawiła obraz, usiadła w fotelu i zaczęła mi się przyglądać z zaciekawieniem, jakby się nad czymś zastanawiała i za chwilę miała dać odpowiedź. Widziałem jej białe stopy, ściśnięte od noszenia butów z wąskimi noskami. Tylko one zdradzały wiek pani Matthewson.

- Zrobiłeś mi wielką niespodziankę, Robercie. Jak ty wyrosłeś! Powiedziałabym, że na prawdziwego mężczyznę, ale to byłoby pochlebstwo, więc nie zrobię tego. - Uśmiechnęła się, ukazując równe białe zęby. Moja matka stwierdziłaby, że sztuczne. - A jak się miewa Diana? Powinnam ją odwiedzić, lecz trzeba znaleźć na to czas. Mam dom w Londynie, więc niezbyt często tu bywam.

Nie o czas tu chodziło. Ta kobieta była zupełnie inna niż moja matka. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, by miały ze sobą coś wspólnego: pożyczaly sobie ciuchy, dzieliły się zwierzeniami, chłopcami lub czymkolwiek, czym zwykle zajmują się dziewczyny. Nie wiem, co było kiedyś, teraz jednak nic ich już nie łączyło.

- Na pewno chętnie by się z panią spotkała, pani Matthewson.

- Och, na litość boską, Caroline. - Uśmiechnęła się. - Lecz w żadnym wypadku Meg. Nie sądzę, by twoja matka lubiła mnie tak jak kiedyś.

Gorąco zaprotestowałem. Caroline uśmiechnęła się i zmieniła temat bez żadnych podstępów, na które, zdaniem dorosłych, nabierają się dzieci.

- Więc przejechałeś taki szmat drogi, by spotkać się z Jamiem? Jaka szkoda!

- Przysłał mi pocztówkę z Alp.

- Był tam z przyjaciółmi ojca.

- Ale nadał ją w Ameryce.

- Kochany Jamie, jakie to dla niego typowe. Napisać kartkę w jednym miejscu, a wysłać ją w innym. Jest teraz na Bahamach. Żeglujecie. Właściwie to nie przepada za żeglarstwem. Nie sądzę, by dobrze się bawił. Tej jesieni wyjeżdża do Szkocji.

- Do Szkocji?

- Będzie tam studiował. Na Uniwersytecie Saint Andrews. Jeszcze tak niedawno chodził w krótkich spodniach, a już jest na uniwersytecie. Ma osiemnaście lat. A ty musisz mieć ile, szesnaście?

Popatrzyła na mnie w zamyśleniu, jakby zastanawiała się, co zrobić, by pozbyć się tego nieciekawego chłopca. Uniosłem się w fotelu.

- Prawie szesnaście - odpowiedziałem, czując na sobie jej niepokojący wzrok.

- Opowiedz mi o sobie. Co teraz robisz?

Opowiedziałem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że niewiele ją to obchodzi, o szkole, lekcjach, egzaminach i sporcie. Dostrzegałem w niej wiele cech Jamiego - ta sama karnacja, kształt twarzy, układ szczęki - lecz również cechy charakterystyczne tylko dla niej: dziwnie ruchliwe usta wypowiedające zdanie „Dobrze się bawiliście?” na peronie stacji, usta, które wydawały się małe, gdy były zamknięte, i duże, gdy się śmiała. Te zmiany mnie zaskoczyły.

- A jak tam w szkole?

- Już mówiłem. Właśnie zdałem egzaminy.

- A tak, mówiłeś.

Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała nowego tematu do rozmowy. Nudziłem ją. Poczulem, że się czerwienię, i zakląłem w duchu. Uniosłem się w fotelu.

- No to ja już...

Uniosła rękę.

- Nie zostaniesz na lunchu? Przejechałeś taki szmat drogi tylko po to, by wypić filiżankę herbaty?

- Ja...

- Naturalnie, że zostaniesz. Wiesz co...? - W jej uśmiechu błysnęła niepewność, jakby nie bardzo wiedziała, co mi powiedzieć lub jak ma to wyrazić. - Nie chciałbyś zarobić kilku pensów? Potrzebuję kogoś do pomocy, a tu trudno o takich ludzi. Potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi w remoncie. Chcę tu trochę pozmieniać. To był dom Guya - wyjaśniła - jego wielka miłość.

- Guya?

- Ojca Jamiego. Chciał tu zamieszkać, ale ja wolałam Londyn. Przez to czułam się, jakbym go zdradziła.

- Był alpinistą, tak? Jamie mi mówił.

- O tak, wielkim alpinistą. Drogi Guy. Prawdziwy z niego bohater.

Ironia czy stwierdzenie faktu - zastanawiałem się. Mówiła nim tak, jakby wciąż żył, jakby był głupcem, jakby nadal go kochała, jakby nim gardziła. Wszystko to zawarła w tym krótkim zdaniu.

- A teraz chcemy, by to miejsce nadawało się do zamieszkania, i dlatego potrzebuję pomocy. Oczywiście nie musisz się od razu zgadzać. Najpierw cię oprowadzę, zjemy lunch, a potem powiesz mi, co o tym myślisz. Taki chłopak jak ty na pewno chciałby zarobić kilka pensów. Twoja mama będzie z pewnością zadowolona. Wiem, co znaczy płacić kieszonkowe. Orowadzę cię.

Obeszliśmy więc cały dom, zaglądając do pokoi, otwierając drzwi i chodząc po schodach. Był to dziwny dom, w przeciwieństwie do właścicielki. Wyglądał, jakby składał się z niepasujących do siebie części, połączonych korytarzami i dodatkowymi stopniami, z zakrętami pod kątem prostym, alkowami, zakamarkami i drzwiami, które otwierały się tylko do połowy, bo przeszkadzała im ściana. W pewnym momencie, po skręceniu za taki ostry róg, weszliśmy do długiego i szerokiego pomieszczenia, które pani domu nazwała pokojem do gier. Zajmowało całą przestrzeń tej części domu. Stały w nim przedmioty pozostawione tu przez poprzednich mieszkańców: pęknięta kanapa, stary stół, puste skrzynie, stary materac. Był też kominek z obramowaniem z kutego żelaza. O tym, że w coś tu grano, świadczył jedynie wielki stół bilardowy z podartym przegniłym sukniem.

- Jak widzisz, niczego nie ruszaliśmy. Teraz jednak chcemy tu zrobić pokoje gościnne. Potrzebuję kogoś, kto by posprzątał to wszystko. Potem znajdą się inne rzeczy do roboty. Wiesz, jak to jest w domu, w którym nie ma mężczyzny. Trzeba się też zająć ogrodem.

Zjedliśmy lunch w zimnej jadalni, a gdy mnie spytała, czy się zgadzam, odpowiedziałem, że tak. Kilka funtów na pewno mi się przyda. Uśmiechnęła się lekko, jakby była zadowolona, lecz nie uważała tego za takie ważne. Przecież zawsze mogła wynająć do pomocy jakiegoś chłopaka z wioski.

Kiedy poinformowałem o tym matkę, zachowała się nieufnie.

- Dlaczego? - spytała.

- A dlaczego nie? Przynajmniej czymś się zajmę, nie mówiąc już o pieniądzech.

Prawdopodobnie właśnie pieniądze sprawiły, że nie okazała wyraźnego sprzeciwu.

- Rób, co chcesz - odparła. - Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Ale dlaczego nie powinienem się zgodzić?

- Nie powiedziałam, że nie powinienes.

- Więc co masz przeciwko niej?

- Nic, kochanie. Nie mam nic przeciwko Meg. Po prostu rozczarowała mnie, to wszystko. Ta jej potworna błyskotliwość, to, że uważa się za kogoś lepszego, to jak...

Urwała i machnęła niecierpliwie ręką niczym rozdrażniona dziewczynka. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, w każdym razie tak mi się wydawało, że dorośli zachowują się czasami jak dzieci i nie lubią kogoś z powodu jakichś irracjonalnych uprzedzeń.

- Zamierzam przyjąć tę pracę - oświadczyłem.

- Rób, jak chcesz - powtórzyła.

Zrozumiałem, że zachowałem się w stosunku do niej nielojalnie.

Następnego dnia wsiadłem więc do pociągu do Llanbedr, a potem do autobusu do Gilead House. Caroline już pracowała w pokoju do gier przy dźwiękach muzyki z lat czterdziestych, dobywających się z adapteru i wibrujących w gęstym od kurzu powietrzu.

- Diana nie miała nic przeciwko temu? - spytała.

Pokręciłem przecząco głową.

- To świetnie.

Pracowaliśmy przeważnie w milczeniu, tylko Caroline od czasu do czasu wydawała mi polecenia. Wynosiłem połamane krzesła, stary materac i inne śmiecie dziwnymi tylnymi schodami, a potem do ogrodu; pomagałem zrywać tapety. Muzyka wprawiała puste ściany w drzenie. Obserwowałem Caroline i miałem nadzieję, że nie dostrzega moich spojrzeń. Zarys piersi pod bluzką, zmarszczki na czole, gdy wierzchem dłoni ocierała z niego pot, i ciemne plamy od potu pod pachami. To było dziwne i niepokojące odkrycie, że ona poci się tak jak ja. Ujrzałem ją inną niż wtedy, gdy mieszkała w naszym hotelu. Nie taką pewną siebie i elegancką; teraz była zakurzona i ubrudzona, czas i moda uczyniły ją delikatniejszą, paradoksalnie młodszą i bardziej przystępną, mniej więcej w tym samym wieku co moja matka, a mimo to znacznie młodszą.

Pod koniec dnia odwiozła mnie na stację mercedesem. Nigdy dotąd nie jechałem takim samochodem - skórzana tapicerka i orzech włoski. Wnętrze pachniało jej perfumami, które zacząłem już rozpoznawać, mieszanka trudnych do rozszyfrowania składników. Od czasu do czasu zerkła na mnie i uśmiechała się. Gdy otworzyłem drzwi samochodu i wysiadłem, przechyliła się przez siedzenie i wręczyła mi dwie koperty.

- Jedna jest dla ciebie, a w drugiej list do twojej matki.

W pociągu otworzyłem moją kopertę. Wewnątrz znalazłem jednego funta i dziesięć szylingów w dwóch banknotach. Poczulem absurdalną urazę jak ktoś, kto uznał, że nie powinien brać za swoją pracę pieniędzy.

- Pięć szylingów za godzinę - stwierdziła cierpkim tonem matka. - To bardzo hojnie. - Otworzyła zaadresowaną do niej kopertę, przebiegła wzrokiem treść listu, po czym włożyła go z powrotem do środka. - Meg - powiedziała. I to było wszystko. W tym jednym wyrazie zabrzmiały niecierpliwość, podejrzliwość i lekki żal.

- Co ona pisze?

- Że jesteś świetnym pracownikiem, jak twój ojciec. Prawdziwie obowiązkowy Szkot, to są jej słowa.

- Ona знаła mojego ojca?

Prawie nic o nim nie wiedziałem: kilka fotografii, parę anegdot, list na Boże Narodzenie i kolejny na moje urodziny, to wszystko. „Drogi chłopcze”, tak się do mnie zwracał, jakby nie pamiętał mojego imienia. Matka zapewne obawia się, że gdy dorosnę, zechcę go odnaleźć, co mogłoby zmienić obecny układ. Może boi się, że ją dla niego zostawię.

- Naturalnie. Była druhną na naszym ślubie.

Zupełnie mnie to zaskoczyło. Nie wiedziałem, co mam tym myśleć. Ślub matki jawił mi się jako odległa przeszłość, jak coś, co zdarza się innym ludziom w innym wieku. Kiedy jednak zapytałem, wygrzebała skądś album z fotografiami i ujrzałem duchy z przeszłości: mojego ojca o otwartym spojrzeniu, przedwcześnie wyłysiałego (wyglądającego na pięćdziesiąt lat), ubranego w kilt i czarną aksamitną marynarkę, i moją matkę, niespodziewanie ładną w długiej białej sukni z trenem owiniętym niedbale wokół stóp; i ta trzecia postać o kasztanowych włosach, ubrana według mody z tamtych lat, w sukni z szerokim dekoltem i charakterystycznym uśmiechem - Meg.

Często o niej myślałem, o ciemnych plamach pod pachami unoszących się podczas oddechu piersiach pod bluzką. Stałem przed lustrem w moim pokoju i przyjrzałem się sobie, szukając na twarzy oznak dorosłości i czegoś, co mogłoby się podobać Caroline Matthewson. Przemiana w dorosłego była wolnym i bolesnym procesem. Wąsy nad górną wargą mogłem już golić raz lub dwa razy na tydzień. Zarost na brodzie dopiero zaczynał się pojawiać. Na czole miałem małą konstelację pryszczycy i kilka na wysokości ust. Cholerne pryszczycze. Panowała powszechna opinia, że wywołuje je masturbacja... Czekolada, smażone potrawy i masturbacja. Nic dziwnego, że szerzyły się jak epidemia.

Ile razy przyjeżdżałem tego lata do domu Matthewsonów? Może dwanaście -

dokładna liczba z zamazaną końcówką. Raz w ogóle nie zastałem jej w domu, brak białego mercedesa aż rzucał się w oczy. Raz przyjmowała gości, małżeństwo ze Stanów w krzykliwych strojach z niezwykle elegancką córką, która unikała mojego wzroku, jakby ostrzeżono ją przed miejscowymi i jakby wiedziała, że mogą być niebezpieczni. Czasami Caroline witała mnie z uśmiechem rezerwy i pozostawiała samego. Szła wtedy do ogrodu lub wynosiła z szopy stare graty, które tam złożyłem, i paliła je. Innego dnia okazywała zainteresowanie tym, co robię, wykrzykując co chwila: „Czemu, na Boga, wcześniej tego nie zrobiliśmy?!”

Pewnego ranka, gdy pracowałem samotnie w pokoju do gier, zawołała mnie z hallu.

- To Jamie! Robercie, jesteś tam?!

Zbiegłem na dół, spodziewając się, że go zobaczę, ale to był tylko jego głos w słuchawce telefonicznej, którą mi podała, a nie on sam, osiemnastoletni teraz i zmieniony od naszego ostatniego spotkania.

- Cześć, jak się masz? - Głos Jamiego brzmiał dziwnie obojętnie i był znacznie grubszy, prawdziwie dorosły.

- A co u ciebie?

- Nudy. Dostałeś moją kartkę?

- Tak.

- Nie odpisałeś.

- Nie miałem twojego adresu.

- Mogłeś wziąć od mojej mamy.

Stała obok mnie, na tyle blisko, bym czuł zapach jej perfum.

- Czemu nie zadzwoniłeś na Wielkanoc? - spytałem.

Zignorował moje pytanie.

- Wszedłem na Jungfrau i na Eiger, wiesz? Granią Mittellegi. Wiesz, że dopiero jesienią zeszłego roku pierwszy Brytyjczyk zdobył Nordwand? Wyobrażasz sobie? Może kiedyś i mnie się uda.

Zapadła niezręczna cisza, podczas której zastanawiałem się, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia, co to jest Nordwand, ale nie chciałem pytać. W słuchawce dały się słyszeć jakieś trzaski przypominające odgłosy burzy.

- Niech mama zapisze ci mój nowy adres, dobra? Jesienią wybieram się na uniwersytet. Będziemy w kontakcie.

Poczułem się uprzywilejowany, że w ogóle wspomniał o takiej możliwości. Oddałem słuchawkę Caroline.

- Wracam do pracy - oznajmiłem.

Uśmiechnęła się z roztargnieniem, zajęta rozmową z synem oddalonym od niej o pięć tysięcy kilometrów. Mówiła, żeby na siebie uważał, nie spalił się na słońcu, i tym podobne rzeczy. Poczułem się dumny, że zostałem przyjęty do rodziny Matthewsonów, chociaż odgrywałem w niej znikomą rolę.

Pewnego dnia Caroline porządkowała jakiś stary kufer i przywołała mnie do siebie.

- Spójrz, co znalazłam. Stary notatnik Guya. Jamie będzie zachwycony.

Notes miał grubą czarną okładkę i marmurkowe wstawki. Zajrzałem Caroline przez ramię, chłonąc jej zapach, gdy przewracała strony zapisane niebieskim atramentem. Pismo było niezwykle staranne.

Helyg. Marzec 1941:

Clogwyn y Grochan - Brant (droga nadzwyczaj trudna - górna granica);

Carreg WastedCrakstone Rib (droga nadzwyczaj trudna);

Dinas Mot - Nose (droga nadzwyczaj trudna - górna granica), zJ.M.E.;

Milestone B. Soap Gut & Chimney (droga nadzwyczaj trudna);

Tryfan - Grooved Arête/Belle Vue Bastion (droga nadzwyczaj trudna - górna granica); Droga Monachijska (bez haka!) (droga nadzwyczaj trudna - górna granica).

Słowa, terminy, żargon. Nic z tego nie rozumiałem.

- To są nazwy dróg wspinaczkowych, które przeszedł - wyjaśniła Caroline. - Co o tym myślisz?

Nie miałem pojęcia, co mam myśleć. Pomyślałem, że Guy był bohaterem i że Jamie jest szczęściarzem, mając takiego ojca. Pomyślałem też, że mój ojciec - tęgi Szkot - jest jedynie namiastką, nawet przy kimś, kto już nie żyje.

Caroline odłożyła notatnik. Spośród masy papierów wyjęła jeszcze książkę z zakurzoną okładką. Nosiła tytuł *Kangczendzonga, święta góra*. Caroline przekartkowała ją, zatrzymała się przy jednej z fotografii i podsunęła mi do obejrzenia. „Guy Matthewson, ostatnia fotografia” - brzmiał podpis. Śmiejący się do kamery mężczyzna miał gęstą brodę, spalone słońcem policzki i spękane wargi. Zsunięte na kominiarkę gogle pozostawiły wokół oczu jasne obwódki, upodabniając go do klauna. Pomyślałem, że to dziwne uśmiechać się do kamery zaledwie na dzień lub dwa przed śmiercią, jakby można było przewidzieć, co nas czeka.

- Tak - powiedziała, patrząc na mnie.

Czego ode mnie oczekiwała? Współczucia? Podziwu? A może pocieszenia po ponad dziesięciu latach. Nie bardzo pasowała do człowieka, który uprawiał wspinaczkę, miał

ogorzała od słońca i wiatru twarz i który zamarł gdzieś w dalekich Himalajach.

- Był wspaniałym człowiekiem - szepnęła.

Poczułem zakłopotanie i jednocześnie zazdrość, że tak dawno zmarły mężczyzna jest w stanie wywołać takie emocje. Wydawała się o krok od wybuchnięcia płaczem.

- Co się stało? - spytałem.

Zamrugła powiekami i otarła oczy wierzchem zaciśniętej dłoni.

- Nic takiego - odparła. - To kurz.

Może się myliłem, może to rzeczywiście tylko kurz.

- Hej, posłuchaj tego! - zawołała przy innej okazji i zmieniła płytę w adapterze.

To był Chubby Checker namawiający do twista. Śmiejąc się, obserwowałem, jak Caroline tańczy na środku pustego pokoju, dziwacznie kręcąc biodrami, a jej nogi wiją się niczym węże. Patrzyłem zafascynowany i spocony ze wstydu i pożądania.

- No chodź, przyłącz się do mnie.

Już chciałem z nią zatańczyć, niestety utwór się skończył (trwał zaledwie dwie minuty i trzydzieści sekund), a Caroline zdjęła płytę z adapteru, obciągnęła džinsy na wąskich biodrach i zaśmiała się - ze mnie czy też z siebie, a może z nas obojga, gdy tak staliśmy skrzepowani na środku pustego pokoju. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że przygląda mi się z uwagą. Niemal namacalnie czułem tę niewidzialną barierę dzielącą ludzi, kilkunastocentymetrową przepaść pustej przestrzeni, którą tak trudno pokonać. Chciałem jej tyle powiedzieć, ale nie miałem odwagi. Domyślałem się, chociaż nie potrafiłem tego wyrazić, że ona przeżywa te same rozterki, które burzą jej zimną krew.

Caroline. To imię dźwięczało mi w głowie. Miało swoje brzmienie, kolor, zapach i nastrój. Kolory były jasne, pastelowe, żółty i niebieski, lecz nie ten intensywny błękit nieba, tylko przyszarzały, jak walijskie niebo w deszczu. To imię dźwięczało czysto jak dzwon. Pachniało piżmem i drzewem cytrusowym. No i wreszcie nastrój - wesoły, choć zabarwiony lekkim smutkiem.

O tym właśnie myślałem tego lata. W telewizorze stojącym w saloniku dla gości pokazywano setki tysięcy ludzi zgromadzonych przed pomnikiem Lincolna, słuchających grubego czarnego mężczyzny opowiadającego o swoim marzeniu. Ja też miałem marzenie, ale nikomu go nie wyjawiałem. Było to zmysłowe marzenie - pachnące, skryte pod prześcieradłem, z miarowym ruchem bioder i ręki, któremu oddawałem się w zaciszu mojego pokoju, słuchając Rolling Stonesów' - marzenie samotnego nastolatka.

To chyba była moja ostatnia wizyta w Gilead House przed nadejściem jesieni.

- Proszę - powiedziała tego popołudnia, gdy się z nią żegnałem. - To mój numer

telefonu w Londynie. Na wypadek, gdybyś nie miał się gdzie zatrzymać.

Patrzyłem, jak zapisuje go na kawałku papieru firmowego. Miała pewny i elegancki charakter pisma. „Caroline w Londynie” - napisała, a potem numer telefonu i adres. Złożyłem kartkę i schowałem do kieszeni.

Popatrzyła na mnie z uwagą, ściągając lekko brwd, jakby usiłowała zrozumieć to, co widzi.

- Mówię poważnie. Musisz mnie kiedyś odwiedzić.

Potem zrobiła coś nieoczekiwanego: stanęła na palcach, oparła mi dłonie na ramionach i przytuliła policzek do mojego policzka.

- Będzie mi ciebie brakowało - dodała.

- A mnie ciebie - wyszeptalem, zdobywając się na to odważne wyznanie.

Potem pocałowała mnie lekko w kącik ust. Wilgoć jej warg była jak sekretna obietnica.

Jesień, ta nieudana pora roku, pora moich urodzin i zbliżającej się pełnoletności. Z tej okazji dostałem kartkę od matki i koszulę z naszywkami na kołnierzyku, którą kupiła w jakimś sklepie w Liverpoolu - Lord Johnie czy King Coolu. Było też kilka listów i kartek od dziadków, cioci i wujka, od rodziców chrzestnych. I spóźniona kartka pocztowa.

Kochany Robercie!

Wiem, że miałeś urodziny, bo podałeś mi ich dokładną datę, a mimo to się spóźniłam. Przyjmij więc serdeczne, choć spóźnione życzenia. Kupiłam Ci także prezent. Jeżeli zechcesz przyjąć moje zaproszenie i przyjechać do Londynu, ofiaruję Ci go. Może być najbliższy weekend? Daj mi znać. Jamie też będzie.

Całuję.

Caroline

Na odwrocie kartki widniała twarz kobiety tonącej we łzach, sklejonej jakby z kawałków potłuczonego szkła, przykładającej do policzka postrzępioną chusteczkę. Podpis głosił: „Pablo Picasso *Placząca kobieta*, portret Dory Maar”. To pewnie tylko taki jej żart.

Zatelefonowałem do niej, by to sprawdzić. Głos w słuchawce był roztargniony, jakby Caroline nie miała pewności, z kim rozmawia. Tak, oczywiście w ten weekend. Nawet jeżeli...

- Nawet jeżeli co?

Sprawiała wrażenie dalekiej i obojętnej. Ogarnęła mnie fala mieszanych emocji, które trudniej znieść szesnastolatkowi niż pięćdziesięciolatkowi, a może nawet tylko szesnastolatkowi.

- Nic. Przyjedź, jeśli chcesz.

- Jak mam się tam dostać?

- Dałam ci przecież adres. Znajdź go na planie. Nie potrafię ci wytłumaczyć.

Rozczarowanie jako kontrpunkt do ekscytacji, rzeczywistość jako przeciwwaga fantazji; przyprawiająca o zawrót głowy huśtawka. Niby dlaczego miałbym ją interesować? Przecież i tak jadę spotkać się z Jamiem - dawno niewidzianym przyjacielem z innej epoki. Jak on teraz wyglądał? Miał za sobą tyle samo lat co ja, lecz zdążył już przekroczyć próg dorosłości. Uczył się na uniwersytecie w Szkocji. Wszedł, jak mi napisał, na Ben Nevis z uniwersyteckim klubem wysokogórskim. „To nie to, co Snowdon - pisał - bardziej przypomina Alpy. Do zobaczenia w Londynie”. Mężczyzna, student, dorosły i pewny siebie, ktoś, kto zaliczył już żeglowanie w rejonie Indii Zachodnich i wspinaczkę w Alpach. Właśnie oczekiwałem na spotkanie z nim, jakież więc miało znaczenie to, że głos jego matki brzmiał obojętnie? Cholera, ona była dorosła, a ja tylko dzieckiem.

Przyjechałem metrem w piątek wieczorem. Uważałem, że wyglądam całkiem nieźle w koszuli, którą dostałem od matki na urodziny, z włosami na tyle długimi, na ile pozwalał regulamin szkolny, zaczesanymi do przodu wzorem Beatlesów, szerokimi spodniami i butami z plastikowymi wstawkami. Jadąc w godzinie szczytu wśród tłumu pasażerów, czułem, że jestem częścią tego miasta. Patrzyłem na wyrafinowanych elegancików, jednego lub dwóch gości z gangu motocyklowego (starannie unikało się ich wzroku), na laski w krótkich spódniczkach, z długimi rękawami. Skandal, obraza, głośny śmiech młodych i milczące oburzenie starszych. Wsiadłem z metra na Sloane Square i poszedłem King's Road, gdzie mieściły się eleganckie sklepy, spacerowali eleganccy ludzie, gdzie świat wydawał się całkiem ładny w ten piątkowy wieczór z weekendem w perspektywie.

Wyciągnąłem plan miasta i odszukałem ulicę. Skręciłem kilka razy i znalazłem się w cichym zaułku na wprost wąskiego domu wciśniętego między inne, z białymi ścianami, wykuszowymi oknami i doniczkami z geranium na parapetach. Backwater Mews w Chelsea. Nieco dalej stała furgonetka, z której wynoszono właśnie komodę. Na murkach siedziały koty i obserwowały ludzi. Zajrzałem do listu Caroline, by sprawdzić numer mieszkania, i przy przycisku dzwonka odnalazłem nazwisko Matthevson. Wcisnąłem guzik i czekałem.

Przed jednym z domów zatrzymał się samochód i wysiedli z niego kobieta i mężczyzna. Głośno rozmawiali i śmiali się z czegoś. Czyżby ze mnie? Wieczór był chłodny, lecz mnie było gorąco. W tym momencie zza kratki domofonu odezwał się głos Caroline o metalicznym brzmieniu.

- Czy to ty, Robercie? Wejdz.

Drzwi brzęknęły, odsłaniając wnętrze. Caroline stała w drzwiach wychodzących na wąski korytarz. Wyglądała tak samo jak latem. Czemu spodziewałem się, że będzie inna? Miała tę samą fryzurę, drelichową bluzę, ale zamiast spodni spódnicę. Też drelichową, która kończyła się nad kolanem. Do tego szare podkolanówki. Wyglądała młodziej, niż powinna. Lecz to też nie było niczym nowym.

- Robert! - powiedziała jakby z okrzykiem zaskoczenia. - Musisz być zmęczony. Miałeś dobrą podróż? Trafiłeś bez problemu? To nie to samo, co Gilead House, prawda? Wiesz, nie mogę się zdecydować, który dom wolę. Kiedy jestem tam, chciałabym być tu, a kiedy jestem tu, chciałabym być tam.

Na podłogach leżały dywany. My nie mieliśmy takiego luksusu. Na ścianie wisiał oprawiony w ramki plakat z abstrakcyjnym obrazem z kolorowymi smugami, nazwiskiem Kandinsky i datą wystawy. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Pierwszy raz w życiu widziałem oprawiony w ramki plakat reklamowy.

Rozejrzałem się za Jamiem.

- Połóż gdziekolwiek swoje rzeczy. Później się nimi zajmiemy. Napijesz się czegoś? Kieliszek wina? Mam też dżin, jeśli chcesz. Może być wino?

Nie odezwałem się. Po prostu poszedłem za nią do kuchni i patrzyłem, jak otwiera butelkę, którą wyjęła z lodówki. Korek wyskoczył z głośnym trzaskiem przypominającym wystrzał.

- Kalifornijskie - wyjaśniła. - Niełatwo dostać je w Londynie, ale jest naprawdę niezłe. Piliśmy je w Stanach. To Chardonnay. Na Old Brompton Road jest sklep z winami specjalizujący się w takich gatunkach. Dobrze, a gdzie kieliszki?

Czekały już w pogotowiu na marmurowym blacie - dwa wielkie kieliszki w kształcie elipsy, na długiej nóżce, dwa razy większe od tych, które do tej pory widziałem. I tylko dwa. Umiałem liczyć. Wino miało jasnożółty kolor moczu.

- Strasznie przepraszam za to zamieszanie - powiedziała, podając mi kieliszek.

Umiałem liczyć. Wiedziałem, co tu jest grane. W końcu nie jestem głupi.

- Zamieszanie?

- Jamiego nie będzie.

- Nie będzie?

- Tak. A właściwie nie. Mówiłam ci, gdy zadzwoniłeś. Jestem naprawdę zła. Zatelefonował, że nie może przyjechać. Wyjeżdża z kolegami na weekend do Lakę District. Chciałabym... - Uśmiechnęła się z rezygnacją. Czego ona chciała? - To wspinaczkowe szaleństwo. Może odziedziczył je po ojcu Ale i tak niczego to nie ułatwia. Zdaje się, że kiedyś

razem się wspinaliście. W jakimś kamieniołomie.

Co on jej powiedział? Poczulem panikę, a przez głowę przemknęła myśl, że przeszłość mnie dopadła, że Caroline zaraz mnie zapyta, co się tam stało, i będę musiał powiedzieć to, czego nikomu nie powiedzieliśmy, o tym strażniku i w ogóle. Po raz ostatni zapewne odezwało się we mnie dziecięce poczucie winy, by ustąpić miejsca dorosłemu.

- To była tylko zabawa - odparłem.

- On stale to powtarza. Jego ojciec też tak mówił. Zabawa. Głupia zabawa, w której giną ludzie. - Skrzywiła się. Za tym grymasem kryła się szczypta rozczarowania i rezygnacji.

- Tak czy owak Jamie nie przyjedzie, jesteśmy więc sami. Masz coś przeciwko temu?

Nie miałem.

- Rzeczy możesz zanieść do jego pokoju, a potem oprowadzę cię po mieszkaniu.

Wycieczka nie trwała długo. To nie był Gilead House. Na dole prócz pokoju Jamiego mieściła się kuchnia, jadalnia i łazienka. Na górze - salon i jej pokój. Przez uchylone drzwi dostrzegłem odcienie błękitu i bieli; na drzwiach szafy wisiała czerwona sukienka.

- To wszystko - powiedziała. - Nie jest to pałac, ale przynajmniej nie ma tu żadnej stajni do sprzątnięcia. Zapowiada się dziwny weekend. Tylko my dwoje. Mam nadzieję, że się nie obrazisz. Może wybierzemy się do kina? Grają teraz taki film *Billy kłamca*.

Przygotowała kolację. Wyobrażałem sobie, że pójdziemy z Jamiem na hamburgera, gdzie będzie dużo światła, jasne barwy, głośna muzyka. Tymczasem dostałem boeuf bourguignon i świece. Caroline nawet przebrała się do kolacji w tę czerwoną sukienkę, którą widziałem w jej sypialni na drzwiach szafy. Czerwona satyna błyszczała w świetle świec jak świeża krew. I był też mój urodzinowy prezent. Czekał przy moim talerzu, zawinięty w czarny papier i opasany złotą wstążką.

- Myślałeś, że zapomniałam? - spytała.

- W ogóle o tym nie myślałem.

- No to otwórz.

Rozerwałem opakowanie. W środku było pudełko. Poznałem po kształcie, a częściowo się domyśliłem. „Tissot” - widniał elegancki napis. Tissot to nazwisko malarza. Nie wiem, dlaczego właśnie w tym momencie przyszło mi to do głowy.

- Tissot to malarz - powiedziałem.

- Niestety, to nie jest obraz. Trochę za małe jak na obraz. - Zaśmiała się, a raczej zachichotała, jakby nie mogła się opanować. Czyżby zc mnie? - No, otwórz.

Otworzyłem i znalazłem zegarek na rękę, leżący na granatowym aksamicie. Zamiast skórzanej paska, jak przy moim starym, miał złotą bransoletkę. Prawdziwy klejnot. Caroline

un'osła kieliszek, tym razem z czerwonym winem typu Cabernet Sauvignon o bogatym bukicie i ostrym posmaku czarnych porzeczek, jak głosił napis na etykiecie.

- Wszystkiego najlepszego, Robercie.

Na litość boską, jak ja to wytłumaczę matce, kolegom i sobie?!

- Nie mogę - zdołałem wydusić.

- Nie możesz? - spytała z żartobliwą nutką w głosie. - Czego nie możesz? Wystarczy go nakręcić i sam będzie chodził.

Zaczerwieniłem się, wyjmując niezdarnie zegarek z pudełka.

- Nie mogę go przyjąć.

- Dlaczego?

- Bo jest zbyt drogi.

- To już moja sprawa. To tylko zegarek. Pomoże ci określić czas. Zauważyłam, że twój jest lekko zniszczony, i pomyślałam, że chciałbyś mieć nowy.

Mój był marki „H. Samuel Everite”, jak reklamowali w Radio Luksemburg, jedynej stacji nadającej przyzwoitą muzykę. Dostałem go od matki na trzynaste urodziny. Ten zaś był marki „Tissot”, szwajcarski, i miał dwadzieścia jeden kamieni. Tak w każdym razie informował napis. A kimże ja byłem, by w to wątpić? Nakręciłem zegarek i zaczął tykać płynnie i miarowo, o czym mogłem się przekonać, przykładając go do ucha. Wsunąłem bransoletkę na rękę. Zegarek wyglądał zupełnie zwyczajnie, jakbym nosił go od dawna. Miał złote wskazówki w kształcie sztyletów lub strzałek. Strzałki czasu. Poczułem jednocześnie wdzięczność i niechęć i gdzieś głębiej erotyczne wrażenie, że zostałem wykorzystany.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Czy mam ją pocałować, przechylić się przez stół i cmoknąć w policzek? Czy tego właśnie oczekiwała? Popatrzyłem na mój nowy zegarek i zauważyłem, że Caroline mnie obserwuje. Zastanawiałem się, czy śmierdzi mi pod pachami i czy pryszcze są bardzo widoczne. Na czole wystąpiły mi kropelki potu i jak robactwo zaczęły spływać wzdłuż zaczynających mi rosnać baków.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że będzie wam razem dobrze - powiedziała z uśmiechem.

Odetchnąłem z ulgą, gdy wstała i zaczęła zbierać naczynia ze stołu. Otarłem brew i popijając wino o posmaku czarnych porzeczek, przyglądałem się chłodnej twarzy zegarka, który uśmiechał się do mnie i informował, że jest dziewiąta piętnaście. W tym momencie zadzwonił telefon. To była moja matka. Słyszałem, jak Caroline rozmawia z nią w hallu.

- Robert jest tuż obok - mówiła. - Już ci go daję. Miło mi cię słyszeć, Di.

Czy istnieje coś bardziej poniżającego jak matki? - pomyślałem. Uprzedziłem ją, gdzie będę. Sam sobie jestem winien.

- Robbie? - usłyszałem jej głos. - To ty?

- Oczywiście, że ja.

- Jak się miewasz?

- Dobrze.

- Co u Jamiego?

Poczułem się jak współnik przestępstwa.

- Chyba dobrze.

- Minęło sporo czasu.

- A Meg?

- Meg?

Meg uśmiechnęła się do mnie konspiracyjnie. Oboje wiedzieliśmy, że ma na imię Caroline. Meg brzmiało nieciekawie i staromodnie, Caroline błyskotliwie i współcześnie.

- Matka Jamiego - powiedział głos. - A o kim niby mówię?

- Ach tak. Dobrze. Dostałem od niej prezent urodzinowy.

- To miło.

- Zegarek.

Chwila ciszy.

- Zegarek?

- Tak.

- Czy to nie ekstrawagancja?

Wyobraziłem ją sobie, jak stoi w recepcji i uśmiecha się z roztargnieniem do gości, wychodzących, by zjeść coś w piątkowy wieczór w Llandudno. Czegoś takiego jak boeuf bourguignon na pewno tam nie znajdą.

- Przecież masz zegarek.

- Nie taki jak ten.

- A jaki on jest? Pewnie drogi.

- Szwajcarski. Fantastyczny.

Cisza.

- Co robisz?

- Robię? Jem kolację.

- To wspaniale. - Chwila ciszy. - Możesz rozmawiać?

- Oczywiście.

- Czy ona stoi koło ciebie?

Ona. Kiedy dotarł do mnie sens tego słowa, zawahałem się.

- Tak, oczywiście. Ale to nie ma znaczenia.

Miało znaczenie, i to duże. Stała tuż obok mnie, prawie tak blisko, że mogła słyszeć w słuchawce cichy głos mojej matki, w każdym razie na tyle blisko, by dodać zapach perfum do rozmowy. To miało wielkie znaczenie.

- Jego nie ma, prawda? - dopytywał się głos mojej matki.

- Kogo?

- Jamiego. Nie ma go w domu.

- O co ci chodzi?

- Nie jestem głupia. - Zniżyła głos do szeptu.

- Oczywiście, że nie.

- No więc?

- Więc co?

- Nie ma go, prawda?

- Nie mógł przyjechać.

- Więc jesteście sami, tylko we dwoje?

- Chyba tak. - Kolejna chwila ciszy. - Mamo, jesteś tam?

- Jestem. Nie podoba mi się, że jesteście sami.

- O co ci chodzi?

Znowu cisza.

- Z Meg.

- O co ci chodzi, mamo?

- O to, żebyś był ostrożny.

- Oczywiście, że będę, mamo.

Połączenie zostało przerwane. Odłożyłem słuchawkę na widełki i odwróciłem się w stronę pani domu.

- No i jak tam Diana? - spytała, unosząc brwi.

Wzruszyłem ramionami.

- Przyjdzie do siebie.

Właściwie to nie bardzo wiedziałem, co to miało znaczyć. Zapadła cisza. Taka jak przed zejściem lawiny, przerywana odgłosami zsuwającego się śniegu, pękania, rozprysków i groźby zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Nagle Caroline wybuchnęła śmiechem. Śmiech to największe zagrożenie. Ludzie

umierali ze śmiechu. Śmiech wywołuje też lawiny. Prócz seksu (co do którego można mieć wątpliwości) jedyną rzeczą, jaka bez wątpienia łączy dwoje ludzi, jest właśnie śmiech. Caroline śmiała się, a ja jej wtórowałem. Caroline Matthewson, czterdziestokilkuletnia kobieta, i Robert Dewar, zaledwie szesnastolatek, dziwaczna para, śmiali się razem. Oczywiście po kilku sekundach tego wspólnego śmiechu ona oparła dłoń na moim ramieniu, a ja zrobiłem to samo, potem objąłem ją drugą ręką i nagle, czego można się było spodziewać, trzymaliśmy się w objęciach, wchodząc w krąg intymności, i śmiech ucichł.

- Dojdzie do siebie - powtórzyłem, a Caroline stanęła na palcach i dotknęła moich warg, jakby chciała powstrzymać mnie przed opowiadaniem żartu.

Nie pierwszy raz całowałem się z kobietami. Było ich kilka: dziewczyna o ziemistej cerze i płytkim umyśle, która gdzieś w ciemnym kącie łaskawie pozwoliła wsunąć sobie język do ust; kuzynka, którą udawałem, że lubię; siostra szkolnej koleżanki, która przyjechała na letni obóz. Nigdy jednak nie doświadczyłem czegoś tak delikatnego jak muśnięcie jedwabiu, nacisku gładkiej miękkości i czubka języka, który rozsunął mi wargi i dotknął mojego języka, a potem wycofał się, jakby zapraszając mnie do środka. Nigdy nie doświadczyłem tego intymnego zespolenia, zamkniętych oczu, przechylonej głowy jak na filmach - moja głowa w jedną stronę, jej w drugą, idealnie do siebie dopasowane. Czuję smak boeuf bourguignon, czosnku i wina, grzybów i szalotki (podała mi przepis) - gorzki, złożony, obcy smak.

Po pewnym czasie, który wydał się wiecznością, odsunęła się ode mnie i przytuliła policzkiem do mojego policzka.

- Ojej - szepnęła. - Chyba nie powinniśmy tego robić, jak sądzisz?

- Myślę, że jest w porządku.

Odchyliła głowę i spojrzała na mnie.

- Naprawdę?

- Tak.

Było mi niedobrze od tej pewności, że wszystko jest w porządku.

- Nie chciałam, żeby do tego doszło. Nie wiem, jak to się stało. Co by powiedziała Diana? Albo Jamie? Może...

- Może co?

- Nie wiem co.

- Ani ja.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Śmiech wydawał się najprostszym rozwiązaniem.

- Proponuję, żebyśmy poszli do kina. Może na *Lawrence'a z Arabii*, jeżeli go nie widziałeś.

- Mówiłaś o *Billym kłamcy*.

- Albo na *Billy'ego*. A może zostalibyśmy w domu. Co o tym myślisz?

Wzięła ze stołu butelkę z winem i nasze kieliszki. Butelka była prawie pusta, lecz mój kieliszek pełny.

- Możemy zostać - powiedziałem.

Słowo „może” zdominowało nasz mały ldaustrofobiczny świat. Cały świat możliwości, cały wszechświat możliwości. Kiedy szliśmy na górę do salonu, nagle zawahała się. Robiła teraz wrażenie osoby kruchej i delikatnej, niepanującej nad sytuacją.

- Chciałbyś posłuchać muzyki? Poszłam do sklepu z płytami i kupiłam kilka nowości.

Uklękała przy adapterze i zaczęła przerzucać stos płyt. Suknia ciasno opinała jej biodra.

- O czym myślisz?

Myślałem o wielu rzeczach, lecz tylko kilka potrafiłem ubrać w słowa. Zabrzmiała muzyka. „Chcę się z tobą kochać, mała” - śpiewał zespół Rolling Stones.

Caroline podniosła się z kolan. O czym myślałem, gdy stanęła na środku pokoju i sięgnęła ręką w tył do suwaka sukienki? Czy chciałem jej zaproponować pomoc przy suwaku? Chyba tak. Co robi samotna kobieta, gdy musi zapiąć lub rozpiąć sukienkę? Co pisała na ten temat Helen Gurley Brown w swoim poradniku *Sex and the Single Girl*? Czytałem tę książkę. Ktoś przyniósł ją do szkoły i przekartkowaliśmy ją w poszukiwaniu fragmentów dotyczących seksu. Włosy są seksy, gdy jest ich dużo, ale nie wokół brodawek. Tego typu rzeczy.

Posłyszałem szum rozpinanego suwaka. Wyglądało na to, że można to zrobić samemu, nawet gdy ma się kłopoty z utrzymaniem równowagi, jak Caroline, nawet gdy się skacze na jednej nodze, by z drugiej zrzucić but. W dodatku można robić obie te rzeczy jednocześnie. Patrzyłem, jak jej buty toczą się po dywanie. Sukienka zrobiła się nagle luźna z przodu i złamała się niczym diwa operowa w ukłonie.

- Chcesz tego? - spytała. - Proszę, Robercie, powiedz, jeżeli nie chcesz.

Staralem się podchodzić do tego na luzie, jakbym często to robił i miał tego dosyć.

- Wszystko w porządku. Nie przejmuj się mną.

Rozległ się cichy szelest i sukienka spoczęła u jej stóp jak krwawa plama, a ona została w samej bieliźnie ze złotej satyny. Takie rzeczy pozostają w pamięci.

- Podobam ci się? - spytała.

To przecież Caroline, matka Jamiego, kiedyś przyjaciółka mojej matki. To niesamowite, że mogłem myśleć o tylu różnych sprawach jednocześnie. Żona słynnego alpinisty Guya Matthewsona. Jej obraz wrył mi się w pamięć i wiedziałem, że nigdy go nie

zapomnę. Ta chwila na zawsze pozostanie mi w pamięci - matka Jamiego stoi na dywanie w salonie, rozpinając satynowy stanik i zsuwa złote satynowe majteczki.

- Podobam ci się? - pyta i z pewnością nie oczekuje odpowiedzi „nie”.

Z trudem przełknąłem ślinę i odpowiedziałem: „Tak”, zgodnie z prawdą. Moja obsesyjna szesnastoletnia ciekawość zarejestrowała fakt, że Caroline, chociaż blondynka, ma włosy łonowe ciemne, niemal czarne. I przez głowę przemknęła mi myśl, że jest ich znacznie więcej niż u Bethan.

Przeszliśmy do jej sypialni. Nie zamknęła drzwi, by słycać było muzykę dobiegającą z salonu, która wkrótce zmieniła się w staccato sunącej po płycie głowicy adaptera. Stonesom nie przyszło do głowy, żeby podłożyć coś, choćby jakiś bzdurny tekst, pod ten uparcie wygrywany rytm, a my nie zamierzaliśmy wracać do salonu i zmieniać płyty.

Caroline pomogła mi się rozebrać, jak małemu dziecku, którym pewnie byłem. Pamiętam, że cały się trząsałem, jakbym umierał z zimna.

- To twój pierwszy raz, prawda? - szepnęła.

Nie zaprzeczyłem.

- To jest jak jazda na rowerze - powiedziała.

- Na rowerze?

Zachichotała niczym szesnastolatka.

- Kiedy już raz się nauczysz, nigdy nie zapomnisz.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Jej piersi - miękkie i różowe - czekały, żebym ich dotknął.

- I...

- I?

- Musisz cały czas pedałowac. W przeciwnym razie spadniesz.

Śmiech mieszał się z niezwykle delikatnością. Śmiech i seks to całkiem niezła kombinacja. Leżeliśmy w łóżku, a ona robiła wszystko, co trzeba, otworzyła się dla mnie, przyciągnęła mnie do siebie i pokazała, jak mam w nią wejść. A po burzy spełnienia - mojej, nie jej - pogładziła mnie po głowie, jakby chciała pocieszyć, jakby właśnie zrobiła mi wielką krzywdę.

- Przepraszam - wyszeptala. - Przepraszam, Robercie.

Powiedziałem, że nie ma za co przepraszać. Dałem jej to jasno do zrozumienia.

Rano było już inaczej. Ranki zawsze są inne. Poranek to czas na wyrzuty sumienia. Obudziłem się w pokoju skąpanym w anemicznym londyńskim świetle dnia.

Caroline jeszcze spała. Leżała w skotłowanej pościeli z bezwstydnie rozrzuconymi nogami: białe pośladki, różowoszare zmarszczki i fałdki, wżgórek ciemnych włosów. Twarz

miała wciśniętą w poduszkę. Na półotwartych ustach widniały ślady szminki. Oddychała chrypliwie. Wyglądała na swoje lata, jak postać z bajki, która nagle odzyskała rzeczywisty wygląd, młoda dziewczyna zmieniona w kobietę w średnim wieku.

To matka Jamiego - pomyślałem. Rany boskie!

Na podłodze i na krześle leżały porzucane ubrania damskie - z jedwabiu i nylonu, koronki i satyny, całe to nieznane terytorium kobiece, któremu mogłem się teraz przyjrzeć - i moje własne, nieciekawe i szare, jakich wiele w pralni samoobsługowej.

Wstałem i na palcach poszedłem do łazienki. Kiedy oddawałem mocz, uświadomiłem sobie, że przesiąknę jej zapachem tak jak pewnie ona moim. Nawet nasze zapachy się połączyły. Największym odkryciem była dla mnie ta wspólnota zapachów, śliny i nasienia. Popatrzyłem na mój zwiotczały narząd, który ponownie zaczął się budzić do życia, a kiedy wróciłem do sypialni, znowu miałem erekcję.

Caroline obudziła się i siedziała na łóżku, przykrywając piersi prześcieradłem. Miała zmiętą, pobrużdżoną twarz, podobną do portretu płaczącej Dory Maar z kartki pocztowej, którą mi przysłała.

- Robercie, kochanie - powiedziała. - Wolalabym teraz zostać sama.

Stałem przed nią nagi i podniecony, a ona przyciskała prześcieradło do piersi i mówiła, żebym sobie poszedł.

- Proszę, Robercie.

Wstała z łóżka, ciągnąc za sobą prześcieradło jak kir, i poszła do łazienki. Usłyszałem trzask przekręcanego klucza.

Poczułem się skrępowany i świadomy wyrosłego nagle między nami muru. Nie chciałem, by przybrał rozmiary muru berlińskiego, wzniesionego pośpiesznie przed kilkoma laty. Zebrałem moje rzeczy i zszedłem na dół. Słyszałem jej kroki na górze, szum prysznic i spuszczonej wody. Umyłem się, ubrałem i poszedłem do kuchni poszukać czegoś na śniadanie.

Kiedy zeszła w końcu na dół, nawet nie obdarzyła mnie spojrzeniem. Zajęła się przygotowaniem kawy w ekspresie. Miała na sobie dzinsy i biustonosz. Z tyłu wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat, znacznie młodziej, niż gdy leżała w łóżku.

- Chyba nie masz pretensji o to, co się stało - powiedziała jakby od niechcienia, nie patrząc na mnie.

- Nie.

Włączyła ekspres do kontaktu. Udało jej się trafić dopiero za drugim razem.

- Cholera - burknęła, jakby wina leżała po stronie wtyczki lub kontaktu.

- Przykro mi, jeżeli masz.
- Powiedziałem, że nie mam.
- Jeżeli chciałbyś wyjść...
- Nie chcę.

Obejrzała się.

- To dobrze. - Jej uśmiech był twardy i ostry jak nóż. - Jamie nie może się o tym dowiedzieć.

- Oczywiście.

- Wiedziała, że nie przyjedzie - ciągnęła beznamiętnym tonem. - Jeszcze zanim zadzwoniłeś. Przyjedzie w następny weekend. Liczyłam na to, że się z nim nie skontaktujesz.

Wzruszyłem ramionami. W mojej głowie panował straszny mętlik. Czułem, że w pewnym sensie zdradziłem Jamiego - wyrzuty sumienia nastolatka, które wkrótce znikną, bo w moim kodeksie honorowym były luki. I jeszcze coś: gwałtowne pożądanie, które, co później zrozumiałem, nie miało nic wspólnego z miłością, jedynie z pociąganiem seksualnym. Pragnąłem znowu kochać się z Caroline.

- Pomyślałam, że moglibyśmy razem miło spędzić czas. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie mam - zapewniłem ją.

Uśmiechnęła się. Popatrzyliśmy sobie w oczy jak dwoje spiskowców.

- Co by powiedziała Diana, gdyby się dowiedziała?

- Nigdy się nie dowie, prawda?

- Nigdy.

Tego dnia wybraliśmy się do Tate Gallery. To było jak zapewnianie sobie alibi po dokonanej zbrodni w nadziei, że prokurator nie zorientuje się, iż coś tu nie gra, bo nie wzięto pod uwagę poprzedniej nocy. Wsiadliśmy do autobusu numer osiemdziesiąt osiem i zajęliśmy miejsca na górnym poziomie, udając matkę z synem i licząc, że to drugie oszustwo zatrze pierwsze.

Caroline postanowiła obejrzeć w galerii obrazy Laurencin.

- Pamiętasz ten portret w Gilead House?

Coś sobie mgliście przypominałem. Chodziło o portret dziewczynki z oczami jak węgle, namalowany w ciepłych kolorach, jasnofioletowym, purpurowym i różowym. Caroline chciała zobaczyć inne obrazy tej malarki. W końcu znaleźliśmy jeden i staliśmy przed nim, przyglądając mu się krytycznie.

- No i co o tym myślisz? Czy mój to oryginał?

- A czy to ważne, co ja myślę? Potrzebny ci ekspert.

- Bądź moim ekspertem.

Wzruszyłem ramionami.

- Trzeba być przygotowanym na najgorsze.

Skinęła głową.

- Być przygotowanym na najgorsze. Chyba zawsze to robię.

Poszliśmy dalej. Pytanie o autentyczność pozostało bez odpowiedzi, ale przynajmniej „była przygotowana na najgorsze”.

Wieczorem poszliśmy do kina na *Billy 'ego kłamcę*. Po powrocie do domu rozeszliśmy się do osobnych pokoi i łóżek. Kiedy już prawie zasypiałem, myśląc o Jamiem i jego matce, o tym, co się zdarzyło i co mogło się zdarzyć, zakładając najgorsze, drzwi do pokoju się otworzyły. Ujrzałem ją w wąskim prostokącie światła wpadającego z korytarza na górze. Ciemna drobna sylwetka, szczupłe nogi, wąskie biodra. Stała naga.

- Robercie - szepnęła.

- Tak?

- Mogę wejść?

- Oczywiście.

Tym razem wszystko odbyło się zupełnie inaczej, bo to, co robiliśmy, było ciche, delikatne i świadome.

- Kocham cię, Caro - wyszeptałem w którymś momencie.

Usłyszałem w ciemności cichy, smutny śmiech.

- Dopiero się zakochasz... w pięknej dziewczynie w swoim wieku - szepnęła mi do ucha. - A to nie jest miłość.

Gdy wspominam ją z żalem i uporem zapomnianego kochanka, przychodzi mi na myśl słowo „piękno”. Dziś coraz mniej czasu poświęcamy temu słowu. A ona była piękna i na zawsze taka pozostanie w moich myślach. Miała piękną twarz, piękne ciało, cała była pięknem i wszystko, co jej dotyczyło, było piękne. Jej cicha, pełna skruchy obecność w moim łóżku tej drugiej nocy też była piękna. Ten weekend ograniczał się tylko do niej. Nic poza nią nic było piękne. To ona ustalała granice mojego młodzieńczego poczucia estetyki. Ja po prostu się w niej zakochałem.

- Nieprawda - odpowiedziała.

Zgodnie ze słowami Caroline Jamie miał przyjechać do Londynu w następny weekend. Poinformował mnie przez telefon, że w sobotę jego przyjaciel organizuje zabawę i jeśli chcę, mogę z nim pójść.

- A czy ja też zostałem zaproszony?

Roześmiał się.

- To nie jest tego typu zabawa.

Przyjechałem więc znowu do centrum i poszedłem znajomymi już ulicami do dzielnicy, w której mieszkali Matthewsonowie. Kiedy zadzwoniłem, drzwi otworzył mi Jamie. Nie widziałem go od czasu naszej wyprawy do kamieniołomu. Naturalnie zmienił się, był wyższy i bardziej męski. Miał szorstką brodę jak mężczyzna i mocny uścisk dłoni.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedział.

- Faktycznie - przytaknąłem.

Czuliśmy się niezręcznie i patrzyliśmy na siebie nieufnie, jak przyjaciele z dzieciństwa, którzy nie zdążyli jeszcze przekonać się, czy coś ich łączy. On zachowywał się ze spokojem i wyższością osoby starszej, reagował uśmiechem na moją naiwność i protekcjonalnością na moją niewiedzę. Nic był już tym chłopcem wspinającym się po pionowej ścianie i klęczącym przed strażnikiem w baraku, ofiarą, którą w pewnym sensie uratowałem. To był dorosły, pewny siebie mężczyzna. Zaczęliśmy rozmawiać na temat czekającej nas imprezy.

- Może znajdziemy dla ciebie jakąś laseczkę - zaproponował. - Chciałbyś?

- Dam sobie radę - zapewniłem go.

- To znaczy, że masz już dziewczynę? A może wolisz chłopców?

- Och, odwal się. Mam dziewczynę. W pewnym sensie.

- W pewnym sensie? Co to, u diabła, ma znaczyć?

- Jest taka jedna miej scowa...

- Kto? Bethan? - Zaśmiał się na jej wspomnienie.

- Nie Bethan - zapewniłem go, a Caroline uśmiechnęła się na widok mego skrepowania.

Na imprezę pojechaliśmy samochodem Caroline, tym jej zniszczonym mini, którym jeździła po mieście. Prowadził Jamie. Z egzaltowaną wyższością studenta uniwersytetu opowiadał o szkole, doradzał, gdzie powinienem pójść, a które uczelnie omijać. Opowiadał o wspinaczkach, które zaliczył, o zimowych drogach w Szkocji, wspinaniu w lodzie, które z niczym nie mogło się równać. Kiedy tak jechał przez miasto, panując nad mchem ulicznym i własnym życiem, sprawiał wrażenie kogoś z innego pokolenia.

- Jak sobie radziłeś z moją matką w zeszłym tygodniu? - spytał po chwili milczenia.

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Jak miałem mu wyjaśnić, że jego matka przespała się z dzieciakiem, który w dodatku był jego dawnym przyjacielem? Spojrzałem

przez okno na ulicę.

- W porządku.

Miasto - ciemne i wilgotne - tonęło w świątecznym oświetleniu. Wszystko w nim falowało, a mimo to sprawiało wrażenie tandetnego.

- Jest samotna - powiedział. - Chyba od śmierci ojca. Oczywiście miewa jakichś facetów, ale nigdy takiego, który mógłby go zastąpić. Czasami wydaje mi się...

- Co?

Odważyłem się na niego spojrzeć i dostrzegłem rysy Caroline: jej usta o męskim twardym wyrazie, gęste brwi o śmiałej linii i prawie identyczne oczy.

- Och, nie wiem. Ona chyba ciągle go szuka.

- Jaki on był?

- Mój stary? Ledwie go pamiętam. Był ojcem, a ja tylko dzieckiem. - Uśmiechnął się.

- Jedziemy na tym samym wózku, co? Jak często widzisz swojego?

Wzruszyłem ramionami. Mieszkał gdzieś w Szkocji z nową żoną i trójką dzieci.

- Nigdy. Moja matka i on są w separacji.

Separacja. Poznałem różne znaczenia tego użytecznego słowa. Zajrzałem nawet do słownika i przekonałem się, że każde z nich pasuje do tego szczególnego przypadku, nawet to przestarzałe.

- Dostaję od niego kartkę z życzeniami na Gwiazdkę. W każdym razie dostawałem.

Dom, w którym odbywała się impreza, mieścił się w Hampstead. Drzwi wejściowe stały otworem i widać było kręcące się tam postacie. Z wnętrza na ulicę wydostawał się gwar rozmów i dźwięki muzyki.

- Jest Jamie! - zawołał ktoś, gdy wysiedliśmy z samochodu, i z domu zaczęli wybiegać ludzie.

Całe to zamieszanie wokół swojej osoby przyjmował z dziwnym spokojem, jakby nie miało to dla niego znaczenia. Przedstawił mnie znajomym i wciśnięto mi w rękę butelkę z piwem. Cała podłoga była usiana butelkami, a salon szary od dymu papierosowego. W jednym z pokoi unosił się egzotyczny zapach marihuany. W łazience z wielką wanną, na której dnie było parę centymetrów wody, spała równie wielka dziewczyna. Goście wchodzili do środka, siusiali do sedesu, pociągali za spłuczkę i wychodzili, nie zwracając na nią uwagi.

- Letitia się chłodzi - zauważył ktoś beztrąsko, co wszyscy uznali za dobry żart.

Oczywiście wkrótce straciłem Jamiego z oczu. Przepychałem się między ciałami i udawałem, że nie jestem jedynym szesnastolatkiem wśród starszych, jak mi się wydawało, ludzi. Rozbrzmiewająca wokół muzyka to były oczywiście piosenki Beatlesów. Lecz w

powietrzu wyczuwało się coś jeszcze - wrażenie, że ten rodzaj muzyki, to harmonijne pobrząkiwanie, te głupie falsety, jest już *passé*. Jej miejsce zajmowały zgrzytliwe rytmy Rolling Stonesów i Animalsów. Ktoś przyniósł longplaya z amerykańskim folkowym piosenkarzem i w jednym z pokoiów na górze siedzieli w kółku ludzie i słuchali piosenki *Oxford Town*. Głos piosenkarza był bełkotliwy, szorstki i niemelodyjny. Wcale nie śpiewał o Oksfordzie w Anglii, lecz jego Oksfordzie w Missisipi, gdzie w ruch poszły karabiny, pałki i gaz łzawiący. Jedna z dziewcząt płakała.

- O kurwa mać, chodźmy posłuchać jakiejś muzyki! - powiedziała do mnie dziewczyna w mini i długich butach, ciągnąc mnie za sobą.

Miała na imię Eve, umalowane jasną szminką wargi, ciemne powieki i krótko ścięte włosy na wzór fryzur noszonych w Eton, które teraz lansowała Mary Quant. Podobno Mary Quant strzygła sobie włosy łonowe w kształt serca.

- Jesteś przyjacielem Jamiego? - spytała mnie Eve. - Szaleję za nim, wiesz? - Przeszliśmy nad ludźmi siedzącymi w korytarzu, szukając butelek z piwem. - Chodziliśmy ze sobą, a potem mnie rzucił.

Zaczęliśmy tańczyć, Lecił jakiś szybki kawałek, lecz ona objęła mnie za szyję i kołysała się z boku na bok, jakby był wolny. Nie miałem nic przeciwko temu. Myślałem o Caroline. Eve była większa i pełniejsza, jej piersi napierały na cienki materiał sukienki. Czuję na sobie jej brzuch.

- Jesteś w porządku - powiedziała niepewnie, jakby się zastanawiała, czy spytałem ją o to, czy nie. - Ale Jamie jest lepszy.

- Lepszy w czym?

- W wyglądzie - odparła bez ogródek. - I starszy. Ile masz lat?

- Osiemnaście - skłamałem.

- Nie wyglądasz na tyle.

Ocieraliśmy się o siebie. W pewnym momencie uniosła twarz i zaczęliśmy się całować. Poczuję gorzki smak tytoniu. Jej język owijał się wokół mojego. Jak dwa ślimaki - pomyślałem. Wiele się dyskutowało o tym, czy dziewczyna powinna mieć zamknięte oczy podczas całowania, czy nie. Otwarte oczy wydawały się w złym guście, natomiast zamknięte mogły oznaczać, że myśli o kimś innym. Może o Johnie Lennonie. Otworzyłem oczy jak nurek pod wodą i zobaczyłem, że ona też ma otwarte, intensywnie niebieskie, i patrzy na mnie. Odchyliła głowę i zmarszczyła brwi, jakbym zrobił coś złego.

- Zawsze mam oko na facetów - powiedziała.

- Nie ufasz im?

- A można ci ufać?

- Nie.

- No właśnie.

Tańczyliśmy dalej.

- Wiesz, że on próbował wyciągnąć mnie na wspinaczkę? - spytała.

- Kto?

- Jamie oczywiście.

- Zabrał cię na wspinaczkę?

- Próbował. Do jakiejś nędznej dziury w Sussex. On ciągle się wspina. Na jakieś wielkie wspaniałe ściany. I po co? Przecież i tak w końcu trzeba zejść na dół. Hej, ty palisz?

Nie paliłem.

- Szkoda - stwierdziła. Znowu zaczęliśmy się całować. - Wiesz - naparła na mnie brzuchem - najpierw spytaj dziewczynę, zanim będziesz miał erekcję.

Z tymi słowami wysunęła się z moich objęć i poszła szukać papierosa. Później zobaczyłem ją w innym pokoju, siedzącą na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, z jointem w palcach i głupkowatym wyrazem twarzy. Pomachała mi. Spacerowałem wśród tłumu ludzi i butelek i myślałem o Caroline. W pokoju na górze piosenkarz folkowy beznadziejnym głosem radził dziewczynie, aby nie myślała dwa razy; ja jednak nie mogłem się przed tym powstrzymać.

Następnego dnia zapakowaliśmy się z grupą osób do samochodów i pojechaliśmy na wieś. Eve wspominała o tym miejscu na imprezie - była to skarpa z piaskowca gdzieś w lesistym zakątku Sussex, dokąd jeździli wspinacze z Londynu, jeżeli nie mogli pojechać do Walii lub do Lake District. Wśród uczestniczek wyprawy znalazła się również Eve, ubrana w wytarte dżinsy i workowaty sweter o kilka numerów za duży.

- Na rany Boga, po co ja się w to pakuję? - jęknęła.

- Bo uganiaasz się za Jamiem.

Zmierzyła mnie wzrokiem poprzez chmurę papierosowego dymu.

- Ja nie uganiam się za facetami, lecz oni za mną - odparła.

Ścianka do wspinaczki stanowiła część większej formacji skalnej ukrytej wśród lasu i miała około siedmiu metrów wysokości. Ziemia wokół niej była ubita przez tysiące miejskich wspinaczy pragnących trenować gdzieś blisko miasta. Wszyscy uprawiający ów sport znali to miejsce - Skalki Harrisona.

Nasza grupka zebrała się u podnóża i obserwowała Jamiego, jak od niechcenia pokonuje drogi, na których inni się mozolili. Pamiętałem go w kamieniołomie, z jaką

łatwością posuwał się w górę. Teraz towarzyszył mu śmiech, żarty i przekomarzanie się, które najwyraźniej uwielbiał.

- No dalej, Dewar! - krzyknął, podając mi koniec liny do przywiązania się. - Twoja kolej.

Lina biegła od jednego wspinacza, asekurującego u podnóża skały, do pętli umocowanej wokół drzewa na górze skałki i wracała do wspinającego się, tworząc rodzaj bloku. Ktoś mnie przywiązał i ruszyłem w górę. Ściana wyrzuszała się, gładka i pozbawiona chwytów. To przypominało wchodzenie po zardzewiałym metalowym zbiorniku. Eve dopingowała mnie okrzykami, co dodawało mi otuchy. Jamie stał na dole, trzymając linę, i wykrzykiwał instrukcje. Utknąłem na zapiaszczonej przewieszce.

- No dalej, Dewar! - zawołał.

Usiłowałem wspiąć się wyżej i ześlizgnąłem się.

- Musisz się wyciągnąć i sięgnąć do tej szczeliny nad głową. Po prostu musisz to zrobić.

Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszałem w jego głosie ten ton, bezlitosny ton dręczyciela, który wie, że jest w stanie znieść większy ból niż ty.

- Nie mogę dosięgnąć tej pieprzonej szczeliny! - wrzasnąłem.

- No to spadniesz. A ja ci uratuję życie.

I tak się stało. Spocone palce ześlizgnęły się z chwytów i zawisłem na linie. Jamie zablokował ją i opuścił mnie na dół, a potem niezgrabnie złapał w objęcia. Widownia ryknęła śmiechem, jakby oglądała komedianta, który robi z siebie błazna.

- Całkiem nieźle - stwierdził Jamie, obejmując mnie ramieniem. - Cztery z minusem.

Przypuszczam, że była to ocena w skali od jednego do dziesięciu. Nie brzmiało to najlepiej. Eve trzymała mnie za rękę, kiedy całą grupą poszliśmy do pobliskiego pubu.

- Wspaniale sobie poradziłeś - oznajmiła.

Siedziała przy mnie w pubie, paliła papierosa, popijała dzin z cytryną i skubała kanapkę. Miała bladą cerę jak roślina chodowana pod szkłem. Okazało się, że wielki sweter należy do jej brata.

- Oczywiście wiesz o ojcu Jamiego? - spytała.

- Niby co?

- Że był kimś w rodzaju bohatera narodowego. Zamarzył na śmierć na Mount Evereście czy gdzieś tam. Pewnie ci o tym mówił.

- Coś niecoś. To chyba była Kangczendzonga.

- One wszystkie są jednakowe. Wielkie kupy kamieni. - Skrzywiła się z pogardą, a

może z niechęcią, po czym rozejrzała się, czy ktoś nie posłyszał. Siedzieliśmy w rogu, a reszta grała w rzutki w drugim końcu baru. - Sęk w tym, że on usiłuje dorównać ojcu. Też chce być bohaterem. A jego matka...

- Co jego matka?

Prychnęła. Eve urodziła się i wychowała w Londynie. Sprawiała wrażenie miłej, lecz miała w sobie londyńską surowość i pomimo uczęszczania do prywatnej szkoły londyński akcent.

- Daleko jej do ideału. Ma za luźne majtki.

- Co to niby ma znaczyć?

- Ciągle jej opadają, kochanie.

Oblałem się rumieńcem. Musiała to zauważyć. Była niezwykle spostrzegawcza i na tyle inteligentna, by nic nie powiedzieć. Ukryła tę wiedzę gdzieś w ciemnych zakamarkach umysłu, gdzie drzemały zemsta i szantaż, by pewnego dnia ją wykorzystać. Jako córka adwokata, potrafiła jak on wyczuć słabe strony w relacji świadka.

Tego wieczoru w domu Jamiego rozmawialiśmy o ojcach i ich braku, tak jak kiedyś w Walii. Wyglądało na to, że dawna przyjaźń odżyła. Siedzieliśmy na jego łóżku, piliśmy piwo z butelek i wymyślaliśmy sobie ojców. Dziecko stwarza sobie portret ojca, jeżeli nie ma prawdziwego. Ja miałem ojca, choć tak naprawdę nigdy go nie widziałem i nie znałem. Mimo to wciąż tkwił jak cierń w mojej wyobraźni. Jamie natomiast mógł sobie stworzyć obraz ojca - twardego i szczerego, szlachetnego i wrażliwego, takiego, który chce wiedzieć, co jest za następnym wzgórzem, w następnej dolinie, który żyje na granicy cywilizowanego świata i przekracza jego granice.

- Wydaje mi się, że on gdzieś tu jest i patrzy - powiedział. - Czy to nie brzmi głupio?

- Fakt - przyznałem. - Cholernie głupio.

Zaśmiał się i popchnął mnie. Przez chwilę mocowaliśmy się, walcząc o coś tak absurdalnego jak to, że ojciec Jamiego obserwuje go. W pewnym sensie on był w tym pokoju: spoglądał na syna z tuzina oprawionych w ramki fotografii. Stał w grupie alpinistów u wylotu lodowca Rongbuk; wisiał z pozorną lekkością na skalnej ścianie gdzieś w górach Walii, z liną wokół pasa; siedział na głazie z papierosem w ręku, w zniszczonych pumpach i koszuli bez kołnierzyka i wyglądał jak robotnik w czasie przerwy na herbatę. Góra, która stanowiła tło tej fotografii, była mroczna i odpychająca, potężne trójkątne cielsko tonące w cieniu, pokryte lodem i śniegiem.

- To w Alpach - wyjaśnił Jamie. - Tak jest napisane na odwrocie: „po przejściu Loupcra. Eiger, czerwiec 1939”.

Patrzyłem na tę górę, która miała opinię zabójcy, i na ojca Jamiego siedzącego przed nią z uśmiechem niezwykniętego. Tylko że nie był niezwyknięty. Góry w końcu go dopadły.

- Chciałbyś obejrzyć jego notatnik? To taki dziennik z opisem wspinaczek. Matka go znalazła.

Już go widziałem, lecz nie przyznałem się do tego. Notatnik przyjechał z Gilead House i leżał teraz w biurku w salonie niczym relikwia w ołtarzu. Jamie otworzył go na jednej ze stron.

Schronisko CIC, Ben Nevis, Wielkanoc 1939

Czw. 6 kwietnia: Comb Gully (w deszczu). Drugie podejście?

Udany piąt. z MacPhee i innymi: nowy żleb między Observatory Buttress a Indicator Wall. Piękny sukces.

Sobota 8 kwietnia: fiasko.

Niedziela 2 kwietnia: grań Tower. Solo, przy bezchmurnym niebie!

Poniedziałek i wtorek: poszukiwanie drogi na Ścianie Oriona, bez sukcesu.

- Widzisz? Spisał wszystkie drogi, które zrobił. Szkocja, Walia, Lake District.

Siedziałem przy biurku i przeglądałem ten notes. Jamie stał za mną, z ręką na moim ramieniu i przerzucał strony.

Piąt. 9 sierpnia 1940: Columnar Cliffs - Spiral Stairs i Flying Buttress (droga trudna), z D.S.

Sob. 10 sierpnia: Milestone Buttress - droga na wprost (droga trudna); Tryfan wschodnia ściana - Grooved Arête (droga bardzo trudna), z D.S.

Niedz. 11 sierpnia: Glyder Main Cliff - droga. na. wprost (nadmierzająco trudna), z Dianą.

Sięgnął ręką, by przewrócić kartkę, lecz go zatrzymałem.

- Co to znaczy? - spytałem.

Drzwi się otworzyły i do salonu weszła Caroline, by sprawdzić, co robimy.

- To nie jest do oglądania - powiedziała. - Poza tym Robert już widział ten notes.

- Widziałeś? - zdziwił się Jamie.

- W Gilead House, kiedy pomagał mi przy remoncie. Wtedy go znalazłam.

Wyciągnęła rękę po notes, ale ja przytrzymałem palcem stronę.

- Co to znaczy? - spytałem, patrząc na nią. - Kto to jest D.S.? Tu jest napisane Diana.

Kto to jest Diana?

Caroline znieruchomiała. Przez jej twarz przemknęła dziwna mieszanina rozbawienia i

zakłopotania.

- Diana?

- Tak. - Pokazałem palcem. Poczulem gniew i konsternację, jakby coś mi właśnie odebrano. - Tu jest napisane D.S. A potem Diana.

Zaległa cisza. Patrzyliśmy z Jamiem na jego matkę, a ona na nas z lekkim niepokojem w oczach.

- Diana to twoja matka - odparła beznamiętnym głosem.

- Moja matka?

- Tak. Nigdy ci o tym nie wspominała? - Starła się mówić swobodnym tonem, jakby ta sprawa była czymś oczywistym. - Wspinała się z Guyem.

- Wspinała się z nim?

- Spotkali się w Walii, jeszcze zanim go poznałam. I razem chodzili po górach.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- To prawda.

- Nigdy mi o tym nie mówiła - Caroline odebrała mi notes i zamknęła go.

- Które dziecko zna tak naprawdę swoich rodziców? - spytała.

Zabrzmiało to jak cytat z księgi przysłów.

Kilka tygodni później Eve zaprosiła mnie do swojego domu. Jej rodzice wyjechali. Trudno powiedzieć, czy wiedzieli, że u niej będę. Wyglądało na to, że aforyzm Caroline działał w obie strony: ci rodzice, wielu rzeczy nie wiedzieli o swojej córce. Na pewno nie to, że zdobyła gdzieś trawkę.

- Chcesz spróbować? - spytała. - Czy też jest to wbrew zasadom walijskiego metodysty?

- Nie jestem walijskim metodystą, a nawet Walińczykiem. Mój ojciec jest Szkotem.

Skrzywiła się.

- To jeszcze gorzej. Członek Wolnego Kościoła Szkockiego czy jakoś tam. Czy on cię bije pasem?

- Wyjechał dawno temu.

- No to masz szczęście - stwierdziła.

Prawie całą sobotę przesiedzieliśmy na podłodze w salonie, chichocząc, paląc i słuchając płyt. Trzymała jointa między serdecznym i małym palcem i zaciągała się. W powietrzu unosił się stęchły zapach.

- Czy jesteśmy zdeprawowani? - spytała.

- Tylko trochę.

Zachichotaliśmy na myśl o tym, że jesteśmy tylko trochę zdeprawowani. Podała mi skręta. Co chwila zmieniała temat. Mówiła również o Jamiem.

- On chyba nie lubi kobiet - stwierdziła w pewnym momencie.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Myślisz, że jest pedziem?

Zignorowała moje pytanie, podążając za własnym tokiem myśli.

- A może ty mu się podobasz, co?

- Ja?

- Ciągłe o tobie mówi.

- To nie znaczy, że jest pedziem.

- Tylko jeśli ty mu się podobasz, a ja nie.

Popatrzyła na mnie zamglonym wzrokiem, przekrzywiając głowę. Pamiętam jej rozszerzone źrenice, czarne i błyszczące jak węgle, z zaskakująco błękitną obwódka.

- A czy ja ci się podobam?

Podobała mi się.

- Więc lepiej to udowodnij - powiedziała.

Brzydkie szare chmury napłynęły znad Morza Irlandzkiego. Krople deszczu bębniły w okno mojego pokoju, jakby chciały dostać się do środka.

- Skąd masz te rzeczy? - spytała matka, rozpakowując moją walizkę.

Znalazła w niej koszulę i szeroki krawat w kwiaty, kupiony w butik przy King's Road. Symbolizowały wszystko to, co miał do zaoferowania Londyn - jasne, śmiałe barwy przeciwko żalostnej szarości Walii.

- Dostałem od matki Jamiego. To są prezenty gwiazdkowe.

- Najpierw zegarek, a teraz to. Co ta Meg usiłuje zrobić? Zająć się tobą?

- Caroline, mamo. Ona ma teraz na imię Caroline.

- A czemu tak się tym przejmujesz?

- Bo tak ma teraz na imię.

- Zawsze miała na imię Meg. To głupie i pretensjonalne zmieniać imię. Ale to typowe dla takich jak ona.

- To znaczy jakich?

- Ty mi to powiedz.

Patrzyliśmy na siebie ponad stosem rozpakowanych rzeczy. Pewnie chciałyby poznać prawdę, lecz nie mogła przecież spytać wprost. Otrzymałyby wówczas odpowiedź, której nie chciała usłyszeć. A gdybym jej powiedział? Tak, spałem z Caroline, jesteśmy kochankami.

Co by było, gdybym jej to powiedział? Ale nie powiedziałem. Wzruszyłem tylko ramionami.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Jest matką Jamiego. Czasami bywa zabawna. Jest inna niż ludzie w jej wieku.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Przecież to moja rówieśnica.

- Właśnie to chciałem powiedzieć.

Uznaliśmy, że to zabawne, i wybuchnęliśmy śmiechem.

- Może powinnam zacząć nosić minispódniczki. Wyobrażasz sobie, co by miejscowi powiedzieli? Nazwaliby mnie Jezabel albo jeszcze gorzej.

Kiedy się śmiała, wyglądała jak na zdjęciu ślubnym, jak młoda dziewczyna, z którą ożenił się mój ojciec. Powiedziałem jej o Eve.

- Jest w porządku. Ma ojca adwokata.

- A więc to przyzwoita rodzina.

- Chcesz powiedzieć, że byłaby odpowiednią synową?

Uśmiechnęła się.

- Dobrze wiesz, co chcę powiedzieć.

- Byliśmy całą grupą w Sussex, w takim miejscu, gdzie można się wspinąć. Ja też próbowałem. Jamie zaproponował mi wspólne wspinaczki. Pewnie przyjedzie tu na Wielkanoc. Powiedział, że możemy wybrać się na przełęcz Llanberis i pokaże mi wszystko.

Rozbawienie powoli znikło z jej twarzy.

- Dlaczego chcesz to robić?

- Dla zabawy. On mówi, że to jest super. Straszne i podniecające.

- To jest niebezpieczne. Przypomnij sobie, co się stało z jego ojcem.

Wiedziałem, że to powie, i miałem już gotową odpowiedź.

- Ale ty też to robiłaś. Wspinałaś się razem z nim.

- Skąd o tym wiesz? Czy Meg...

- Caroline nic nie mówiła. Znaleźliśmy jego notes, to znaczy ojca Jamiego. Widziałem tam twoje imię.

Wciągnęła ostrożnie powietrze w płuca, jakby oddychanie sprawiało jej trudność, jakby dopiero się tego uczyła.

- Co w nim było?

- Wymienione kilka razy twoje imię obok nazw dróg wspinaczkowych. „Druga: Diana Sheridan”. To prawda?

Wyraz jej twarzy był trudny do określenia - mieszanina podejrzliwości, zaskoczenia, niepokoju.

- Naturalnie, że tak - odparła cicho. - To było jeszcze, zanim Meg go poznała.

- Nigdy o tym nie mówiłaś.

- A po co miałabym mówić?

- O co chodzi, mamó?

Pokręciła głową.

- O nic. - Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała zmienić temat. - Tylko że...

- Że co?

- Że ja chyba go kochałam.

Poczułem się zakłopotany tym wyznaniem. Okazywanie uczuć było dla niej czymś obcym, dlatego szokowało.

- To nie ma znaczenia, mamó - powiedziałem.

Pokręciła przecząco głową.

- To ma znaczenie - szepnęła.

Nagle przysła mi do głowy straszna myśl, że ona nadal go kocha i zawsze kochała - mężczyznę, który ożenił się z inną i zginął dawno temu na jakiejś odległej górze. Miłość to uczucie, które wiązałem z Caroline, lecz wyglądało na to, że mogłem je dowolnie przenosić na inną osobę, bo teraz mi się wydawało, że kocham Eve. Tymczasem miałem przed sobą kogoś zranionego przez miłość. Ta rana wciąż krwawiła, o czym świadczył zastygły w bólu i zubożniały wyraz twarzy ofiary.

Uśmiechnęła się lekko, jakby to wszystko nie miało dla niej znaczenia.

- To było tak dawno. Spędziliśmy razem cały weekend, wspinając się po skałach. Pokazał mi, co należy robić, w jaki sposób posługiwać się liną, i różne takie rzeczy. W niedzielę zabrał mnie na wspinaczkę, trochę zbyt trudną jak na moje możliwości. Porządnie się wtedy namęczyliśmy, by pokonać tę skałę. Ale...

Miałem wrażenie, że patrzy gdzieś daleko, poza obręb naszego hotelu, kuchni, w której przygotowywała śniadania i popołudniowe herbaty z pomocą pani Jones mieszkającej w pobliskim miasteczku, poza niekończące się listy zakupów, napraw, obowiązków i spraw do załatwienia.

- Ale?

Wzruszyła ramionami.

- Ale było przyjemnie. I wesoło. Dużo się śmialiśmy. Niestety, wybuchła wojna i wyjechałam do Londynu, by podjąć pracę w pogotowiu, a on wrócił do Manchesteru. Widzisz, on był przeciwny służbie wojskowej i musiał stanąć przed czymś w rodzaju trybunału.

- A potem?

- Potem... - Pokręciła głową i rozejrzała się za czymś, co ściągnęłoby ją z powrotem na ziemię. - Potem zabawa się skończyła.

Część druga

Północna Walia 1940

1

- Pan Guy Matthewson, prawda? - zagadnęła, kiedy schodzący z gór mężczyzna zbliżył się do niej. Od kilku minut obserwowała go, jak idzie stromą ścieżką, lecz rozpoznała, dopiero gdy podszedł bliżej. Sprawiał wrażenie zaskoczonego, że ktoś go zaczepia.

- Tak, zgadza się - odparł.

Oblała się rumieńcem.

- Nazywam się Diana Sheridan. Tak jak ta aktorka - dodała. - Tylko że ona ma na imię Dinah.

- Jaka aktorka? - spytał.

Spąsowiała jeszcze bardziej. Jak mogła oczekiwać, że ktoś zwróci uwagę na tę zbieżność nazwisk?

- Nieważne - odparła, po czym wyciągnęła rękę na powitanie.

Przez krótką straszną chwilę wydawało się, że on nie odwzajemni gestu, że jej ręka zawiśnie w przestrzeni między nimi, zaraz jednak pochwycił jej dłoń, uściśnął z powagą i natychmiast zaczął przeproszać, że ją zabrudził.

- Niestety, natknąłem się na błotnistą rysę - wyjaśnił.

- Och, nic nie szkodzi. A gdzie?

Machnął ręką w stronę szarych skał i zielonych kępek trawy.

- Tam w górze.

- Chodzi pan sam po górach?

- Ostatnio tak. Widzi pani, jestem przeciwny służbie wojskowej, a dziś taka postawa nie jest popularna.

Znowu się zaczerwieniła. Żałowała, że o tym wspomniał. To była kłopotliwa sprawa, jak świerzb czy coś w tym rodzaju. Takich tematów się unikało. Już chciała iść dalej, a on kiwnąłby głową i poszedł w swoją stronę. Zebrała się jednak na odwagę i zadała mu pytanie.

Kiedy później wróciła myślami do tej chwili, uznała, iż ośmieliła się tylko dlatego, że jego sytuacja była niekorzystna, że znalazł się w pułapce, sprzeciwiając się wojnie.

- Czy zabrałby mnie pan na wspinaczkę? - spytała. - Tam w góry?

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Jeżeli pani chce. Zapewne nie jest tu pani sama?...

- Mieszkam w schronisku młodzieżowym. Jutro mają przyjechać znajomi, ale...

- Ale?

- Oni będą tylko chodzić po górach.

- A pani...

- Chciałabym spróbować prawdziwej wspinaczki.

Po raz pierwszy się uśmiechnął. Trwało to zaledwie chwilę, tak krótką, że zaczęła się zastanawiać, czy sobie tego nie wymyśliła. Dzięki uśmiechowi cała jego twarz uległa zmianie. Przedtem była raczej powściągliwa, skupiona, trochę dziwna.

- Czemu nie? - odpowiedział.

Umówili się na jutro rano. Przyjedzie po nią motocyklem - chyba nie ma nic przeciwko jeździe na tylnym siodełku? Niech czeka na niego przed schroniskiem. O siódmej. Pojadą wokół przełęczy Llanberis na drugą stronę gór.

- Dlaczego tam? - spytała.

- A dlaczego nie?

Był o głowę wyższy i patrzył na nią z góry, jakby oceniał jej możliwości. Czy można stwierdzić po wyglądzie, że ktoś nadaje się na wspinacza?

- Chyba ma pani jakieś spodnie - powiedział. - Przecież me będzie się pani wspinać w spódnicy.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Mam pumpy.

Kiwnął głową z aprobatą.

- I buty - dodał. - Dobre, mocne buty.

Następnego dnia rano zostawiła u gospodarza schroniska wiadomość dla przyjaciół. „Wybrałam się na wspinaczkę - napisała. - Do zobaczenia wieczorem”. Kiedy wyszła na dwór w chłodny poranek, nad taflą jeziora snuła się mgła, a nad górami po drugiej stronie wisiały ciężkie chmury, które wyglądały jak suszące się na sznurku brudne pranie. Zaraz też postyszała nadjeżdżający motocykl, którego warkot niósł się wzdłuż jeziora. Maszyna zatrzymała się przy skręcie do schroniska. Motocyklista zsunął gogle na czoło i uniósł rękę na powitanie. Poszła do niego, czując nagłe onieśmienie z powodu tak wczesnego spotkania z mężczyzną.

- Jak się pani miewa?! - zawołał, przekrzykując ryk silnika.

Pytanie było raczej dziwne. Sam mógł zobaczyć, jak ona się miewa. Widział ją przecież w całej okazałości - wysoką dziewczynę o pozbawionych blasku, popielatokasztanowych włosach, krzywych zębach i nieśmiałym uśmiechu. Nie było w niej nic tajemniczego.

- Dobrze - odpowiedziała.

Zawrócił maszynę w stronę, z której przyjechał.

- No to proszę wskakiwać.

Przerzuciła nogę przez siodełko i usiadła z tyłu. Motocyklista miał płócienny plecak, zniknął więc problem, czego ma się przytrzymać. Mogła chwycić za plecak, zamiast obejmować mężczyznę w pasie.

- Jechała pani kiedyś na motorze? - spytał.

- Nie.

- Wystarczy poczuć maszynę. To jak jazda na rowerze. Proszę się mocno trzymać.

Pokręcił gazem na kierownicy i motocykl ruszył. Przez jedną straszną chwilę miała wrażenie, że pojazd wysunie się spod niej, toteż zacisnęła palce na plecaku z całej siły, jakby od tego zależało jej życie. Tak właśnie powie kolegom, kiedy wróci wieczorem do schroniska. Trzymała się tak mocno, jakby od tego zależało jej życie.

- W porządku?! - krzyknął przez ramię.

Wiatr pozbawił ją oddechu.

- Tak! - odkrzyknęła.

Czuła się wspaniale. Rozpierały ją radość, ekscytacja i uniesienie. Jechali wzdłuż brzegu jeziora o gładkiej, przezroczystej tafli. Odbijała się w niej jedna ze ścian doliny. Przed nimi wznosił się Tryfan - potężne skalne cielsko, przypominające gigantycznego dinozaura z ogonem skierowanym w stronę jeziora i głową wbitą w płaskowyż z prawej strony. Stegozaur - przemknęło jej przez myśl. Przypomniała sobie wizytę w muzeum w Oksfordzie i zakurzone szkielety, które wyglądały jak góry w chłodnym, zamglonym powietrzu.

Minęli schronisko górskie w Helyg, otoczone drzewami - jedynymi w ponurym krajobrazie - skręcili na południe we wsi Capel Curig, przemknęli pustą doliną Mymbyr, Dyffryn Mymbyr, z dwoma jeziorami polodowcowymi i zamykającym ją masywem Snowdon. Było coś nierealnego w tej jeździe, coś bajkowego, brawurowego i dzikiego jak sama wspinaczka. W pewnym momencie droga skręciła w prawo i zaczęła piąć się ku przełęczy. Na górze zahamowali z impetem, aż spod kół wystrzeliły w górę drobne kamyki, i wjechali na parking przed hotelem.

- To było wspaniałe - powiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Zjedzmy śniadanie. Pewnie nie miała pani jeszcze nic w ustach.

Weszli do ciepłego wnętrza hotelowego. Na ścianach wyłożonych boazerią wisiły oprawione fotografie brodatych mężczyzn w tweedowych marynarkach i podkutych butach

górkich, ze zwojami liny na ramieniu. Wyczuwało się tu atmosferę tradycji i starych obyczajów. Zjedli śniadanie w sali od frontu z widokiem na wąską ścieżkę i górę w oddali.

- To jest Crib Goch, wie pani o tym?

- Weszłam na niego latem zeszłego roku - odparła. - Przeszliśmy wtedy grań Snowdonu.

Słuchał jej relacji, jakby dokonała jakiegoś wielkiego wyczynu. Nagle poczuła się trochę głupio, opowiadając o czymś, co on uważał zapewne za zwykłą przechadzkę. Był przecież w Himalajach, wchodził na Everest z F. S. Smythe'em. Mówiło się nawet, że znał Leigha Mallory'ego, a nawet wspinał się z nim w Alpach, gdy ten studiował jeszcze na uniwersytecie. Jakie znaczenie mogła dla niego mieć jej relacja z letniej wycieczki granią Snowdonu? A jednak słuchał, kiwał głową i patrzył na nią z podziwem.

- Świetnie - powiedział. - Doskonale.

- Zapłacę za siebie - zaproponowała, gdy pojawił się rachunek, lecz on zbył jej propozycję machnięciem ręki.

Kiedy wyszli z hotelu, słońce świeciło już nad górami i dotarło do szczytu doliny. Jego blask miał magiczną moc. Poczua się absurdalnie szczęśliwa, wsiadając ponownie na motocykl.

Tym razem nie jechali długo. Guy włączył motor i pozwolił kołom swobodnie toczyć się kilkanaście metrów w dół. Zahamował przy wąskim mostku. Znajdowali się w dolinie o stromych zboczach i płaskim dnie, wyłobionej przez spływający tędy lodowiec w jakiejś zamierzchłej przeszłości. Zbocza porastała brązowa trawa i orlica, w której sterczały wanty skalne, przywodzące na myśl połamane zęby w wiekowej szczęce.

Wskazał reką na wznoszącą się przed nimi ścianę.

- To Columnar Cliffs. Prawda, że piękne? Oczywiście mają jeszcze jakąś skomplikowaną walijską nazwę, na której można połamać język, lecz my nazywamy je skałkami kolumnowymi.

Popatrzyła we wskazanym przez niego kierunku. Przed oczami miała prostokątne skalne bloki, przypominające grobowce wykute w skale przez kamieniarza olbrzyma. Skojarzyły się jej z Cenotaph w Londynie, pomnikiem wzniesionym ku czci poległych w ostatniej wojnie, przed którym jedenastego listopada odbywała się parada wojskowa. Myśl jednak sięgała dalej, do starożytnych czasów i celtyckich budowli, takich jak dolmeny, menhiry i kromlechy. Przez środek skałki biegło pionowe pęknięcie nadające jej wygląd otwartej książki o wysokości ponad trzydziestu metrów. Jej krawędź pochylała się lekko w przód, jakby za chwilę miała się oderwać od zbocza i zwalić prosto na nich.

- Tędy chyba nie będziemy się wspinać?

Roześmiał się.

- Po tamtym uskoku? Nie.

- Czy można na niego wejść?

- Jeszcze nikt tego nie zrobił. To raczej niewykonalne. Wygląda, jakby był przewieszony, w rzeczywistości jest absolutnie pionowy. Ominiemy go. Pewnego dnia ktoś to przejdzie.

Do tego jednak potrzebne są buty z kauczukową podeszwą i myśli samobójcze.

Zarzucił plecak na ramiona i mszył pod górę, a za nim Diana. Spod nóg usuwał im się drobny piarg. Podbite gwoździami buty mężczyzny zgrzytały po kamieniach, jakby chciały je rozgnieść. Ścieżka skręcała w prawo, oddalając się od strasznego uskoku. Stanęli przy odległym skraju skałki, gdzie od głównego masywu wyodrębniło się strome żebro.

- Tu zaczniemy naszą lekcję - powiedział tonem rozpoczynającego wykład nauczyciela.

Wyciągnął linę i rozwinął ją zwój po zwoju, odkładając na bok koniec, by przywiązać potem Dianę.

- Czy umie pani się związać?

- Nie bardzo.

Zaśmiała się nerwowo z tej niezamierzonej dwuznaczności. Dzięki Bogu Guy również się roześmiał. Nazywała go w myślach po imieniu, chociaż brakło jej odwagi tak się do niego zwracać. W ogóle nie wiedziała, jak powinna do niego mówić i czego on oczekuje. Może: panie Matthewson. Miał przecież jakieś trzydzieści, trzydzieści jeden lat, a ona zaledwie dziewiętnaście. Dzielili ich cała epoka.

- Zastosujemy węzeł ratowniczy - powiedział.

Oplótł ją liną jak lassem, a potem stanął z tyłu, lecz tak, by jej nie dotknąć. Była boleśnie świadoma jego bliskości, rześkiego górskiego powietrza, niestabilnego gruntu, piętrzących się przed nią skał i otaczających ją męskich ramion.

Zrobił pętlę.

- Proszę pamiętać o króliku.

- Króliku?

Poczuła na karku jego oddech i cichy śmiech.

- Jest pani królikiem, nowicjuszka. Więc tak... - potrząsnął końcem liny - ...królik wychodzi z nory, idzie dookoła drzewa i wraca z powrotem do nory.

Zrobił, tak jak powiedział: koniec liny przeciągnął przez pętlę, owinął wokół liny,

ponownie wprowadził do pętli i mocno zacisnął węzeł. W tym momencie poczuła jego dłonie na brzuchu i dotyk ud z tyłu. Po chwili rozwiązał węzeł i cofnął się.

- Teraz pani kolej.

Przez kilka minut ćwiczyli wiązanie się. Potem pokazał jej, jak ma trzymać linę, kiedy on będzie się wspinał, i wyjaśnił, jak się przywiąże po wejściu na pierwszą półkę. Nazwał to asekuracją. Wówczas ona będzie mogła wejść. Podał również komendy, których muszą używać, żeby każde wiedziało, co drugie robi.

- Więc tak, wspinam się, znajduję dogodne miejsce na stanowisko, ściągam cię na górę, potem ty asekurujesz, a ja idę w górę do następnego stanowiska. Jasne?

Oczywiście, że tak. Uśmiechnął się lekko, po czym odwrócił do ściany i zaczął się wspinać. Obserwowała jego ruchy - starannie ustawiał stopy, niekiedy pomagając sobie gwoździemi na podeszwie butów, by zaczepić je o nierówności skały - ruchy pewne i zdecydowane.

- Staraj się trzymać ręce tak nisko, jak się da! - zawołał tym swoim mentorskim tonem. - Używaj ich do utrzymywania równowagi, nie do podciągania się w górę. Najważniejsze jest zachowanie równowagi. I pamiętaj o przestrzeganiu w każdym momencie zasady trzech punktów styczności ze skałą.

- A co będzie, jeżeli się poślizgniesz? - spytała. Nie chciała mówić „odpadniesz”, bo to mogłoby przynieść nieszczęście. Podobnie jak wypowiedzenie imienia Makbet w teatrze.

Spojrzał w dół.

- Co będzie, jeżeli odpadnę od skały, tak? Wtedy uderzę w ziemię tuż obok ciebie. Chyba że zdołasz mnie złapać.

Serce ścisnęło jej się z niepokoju.

- To pewna śmierć.

- Dlatego prowadzący nigdy nie spada. Oczywiście, kiedy już znajdziemy się wyżej, jest szansa, że utrzymasz mnie na linie. Spadnę poniżej twojego stanowiska, lecz jeśli będziemy dość wysoko, lina mnie zatrzyma, zanim uderzę o ziemię.

W jego głosie brzmiał śmiech i ironia. Sprawiał wrażenie absurdalnie odważnego, tkwiąc na tym stromym filarze i nie bacząc na to, że tam w dole czeka go śmierć, gdyby spadł. A podobno uchylający się od służby wojskowej to tchórze.

Wspiął się na półkę.

- Założę asekurację i ściągnę cię tutaj! - zawołał. - To nie jest trudne. Spróbujesz?

- Jak tylko będziesz gotów.

Ściągam linę! - krzyknął po krótkiej przerwie i lina zaczęła wymykać się jej z rąk.

Ostre włókno niemal paliło dłonie.

- Możesz ją puścić! - krzyknął.

Poczuła, jak lina ciasno owija się wokół pasa.

- Koniec! - zawołała, zadowolona, że zapamiętała komendę.

- Możesz iść!

- Idę!

Podeszła do podnóża skały, niczym skoczek do brzegu trampoliny. Nie, to było złe porównanie. Raczej jak skazaniec stający przed plutonem egzekucyjnym. To już bardziej pasowało. Poczuła, że coś ściska ją w gardle i tamuje oddech. Ruszyła w górę, starając się nie unosić zbyt wysoko ręk. Lina magicznym sposobem pięła się w górę razem z nią, pozostawiając lekki luz, Diana wiedziała jednak, że w każdej chwili mogła krzyknąć „blok”, wówczas Guy ściągnąłby linę i byłaby bezpieczna.

- Bardzo dobrze.

Spojrzała w górę i zobaczyła, że on się uśmiecha. Pierwszy raz tak się do niej uśmiechał.

- Jeszcze kilka kroków i będziesz na miejscu.

Jego głos brzmiał teraz wyraźniej. Spojrzała w dół. Od podstawy dzieliła ją odległość jakichś piętnastu, szesnastu metrów. To wysokość sporego domu!

- Ojejku! - krzyknęła.

- Nie patrz w dół, jeżeli nie jesteś przyzwyczajona do wysokości.

Wspięła się na półkę z uczuciem triumfu wzbierającym jej w piersiach.

- To zapiera dech - stwierdziła. I tak rzeczywiście było. Guy podtrzymał ją ramieniem w pasie i wciągnął na wąski gzyms.

- Fajnie, prawda?

- Tak, fajnie - zapewniła go z dumą. Właściwie to nie było fajnie, lecz wspaniale.

- Gdzie teraz?

- Prosto w górę.

Stali blisko siebie. Czują tę bliskość, jak w tańcu parami, który pozwalał na intymny kontakt, w innych okolicznościach niedopuszczalny. Guy przytrzymał ją w pasie, a ona chwyciła go za ramiona, żeby zamienić się z nim miejscami. Przywiązał ją do skały, jak sam był przywiązany, następnie popuścił linę tak, by koniec jego liny szedł z góry. Te czynności są bardzo ważne - wyjaśnił. Należy wykonać je prawidłowo, w przeciwnym razie można się narazić na niebezpieczeństwo. Potem pokazał jej, jak ma asekurować z barków.

- Jesteś gotowa?

- Tak - odparła i poczuła dreszcz przebiegający po plecach na myśl o tym, że w pewnym niewielkim stopniu Guy stanie się od niej zależny, że jego bezpieczeństwo spocznie w jej rękach.

- Idę.

Podawała linę, w miarę jak się posuwał. Robił to pewnie i szybko, bez wahań i przerw, aż zniknął jej z oczu. Spojrzała na dolinę i na drogę, gdzie stał zaparkowany motocykl, potem na przeciwległą stronę ze skałką taką jak ich. Użyła w myślach określenia „ich skałka”, chociaż trudno tu mówić o jakiejś wspólności. Nad nimi stok wznosił się ku skalistym graniom Crib Goch. Wspinała się na nie z Meg i innymi latem ubiegłego roku. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że zaledwie rok później będzie w tym samym miejscu wspinać się po pionowych skałach w towarzystwie Guya Matthewsona, ani też że Anglia będzie prowadzić wojnę. Zadrżała mimowolnie.

Z zamyślenia wyrwał ją okrzyk Guya.

- Ściągam linę!

Lina zaczęła szybko sunąć w górę.

- Koniec! - odkrzyknęła, gdy poczuła szarpnięcie wokół klatki piersiowej. Własny głos wydał jej się piskliwy i słaby wobec potęgi gór. Czy Guy ją usłyszał? Zaczęła likwidować asekurację, myśląc, że te operacje z liną dziwnie kojarzą jej się z żeglowaniem. Wspinaczka i pływanie na żaglach miały ze sobą wiele wspólnego - oczywiście liny i węzły, lecz również wykorzystanie ciężaru ciała, utrzymywanie równowagi, no i wreszcie widoki: tu bezmiar gór, a tam bezmiar oceanu.

- Możesz iść! - posłyszała komendę.

Szarpnęła linę, by mocniej ją ściągnąć, a potem krzyknęła: „Idę!” i ruszyła w górę. Czowała się samotna, chociaż wiedziała, że on tam jest, bo systematycznie ściągał linę. Nie widząc Guya, miała go stale przed oczami. Było coś wspaniałego w tej wspinaczce, w zespoleniu poprzez linę: na pozór sami, a jednak złączeni nierozzerwalnym węzłem jak pępowiną. Zacerwieniła się pod wpływem tej myśli.

- Świetnie sobie radzisz - pochwalił, kiedy stanęła przy nim. - Naprawdę świetnie.

Już po kilku minutach zamienili się rolami i Guy znowu ruszył w górę do następnego stanowiska.

- Ten odcinek jest całkiem prosty - powiedział. - Żądło tkwi w ogonie.

Przeszedł trawersem w lewo, a potem w górę. Kiedy przyszła jej kolej, popatrzyła w dół na ogromną wysokość dzielącą ją od piarżystego zbocza i na wstęgę drogi wijącą się dnem doliny.

- Zrobimy jeszcze z ciebie alpinistkę! - zawołał.

Uśmiechnęła się do niego, pokonując własną niemoc strach. Obie te rzeczy, jak sądziła, składały się na doświadczenie we wspinaczce. Założyli asekurację na wąskiej półce podjęli wspinaczkę prosto w górę. Diana miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Dlatego właśnie ta droga nosiła nazwę Flying Buttress (Lotny Filar) - wyjaśnił Guy. Na koniec dotarli do kolejnej półeczki. Ściana powyżej wyglądała jak rozcięta nożem. W powstałej szczelinie tkwiły odłamki skał. Była to straszna rana, biegnąca pionowo w górę i rozszerzająca się pod koniec do rozmiarów zdolnych pomieścić człowieka.

- Co to takiego?

- Komin. To jest właśnie to żądło w ogonie.

Półka, na której stali, zmuszała ich do bliskości niedopuszczalnej w pierwszym dniu znajomości. Pomógł jej przywiązać się do kilku bloków skalnych zaklinowanych u podstawy komina.

- To jest asekuracja z bloku - wyjaśnił. - Zdoła utrzymać spadającego konia.

Spojrzała w górę na skałę.

- Chyba nie spadniesz.

- Mam nadzieję, że nie.

- A spadłeś kiedyś?

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

- Cicho, nie wywołuj wilka z lasu. A teraz uważnie obserwuj, jak ja to robię.

Zaczął się wspinać, szorując po skale metalowymi gwoździami. Po chwili był już w wąskim kominie i rozpychając się między przeciwległymi ściankami, posuwał się w górę. Nazywano tę technikę zapieraniem. Dianie spodobało się zarówno słowo, jak i to, co robił Guy (nie zdobyła się jeszcze na odwagę, by zwrócić się do niego po imieniu). Ostatnie podciągnięcie, zgrzyt gwoździ po powierzchni skały i po chwili stał już na półce.

- Uf! - Otarł z czoła niewidoczny pot. - A teraz zobaczmy, jak ty sobie poradzisz.

Poradziła sobie doskonale, i to było najwspanialsze. Poszło jej nawet lepiej od Guya, pewnie dlatego, że była mniejsza. Jednak w pewnym momencie chciała już krzyknąć „blok”, tak jak ją nauczył, lecz znalazła w skale chwyt i dalej już poszło gładko.

Kiedy dotarła na szczyt, Guy siedział na brzegu ze zwojem liny obok. Podeszła do niego, uśmiechając się szeroko. Właśnie odbyła swoją pierwszą wspinaczkę. Usiadła przy nim, a on objął ją ramieniem.

- Świetnie ci poszło, naprawdę. Lepiej niż niejednemu doświadczonemu wspinaczowi.

- Dziękuję, Guy - odpowiedziała i skrzywiła się w duchu, gdy cofnął rękę, wstał i

zaczął zwiijać linę. Jakby poczuł się urażony tym, że zwróciła się do niego po imieniu.

Zeszli po piargach do stóp skałki.

- Przygotowałem dla nas lunch - powiedział.

- Och, ja nie...

Pokręcił głową.

- Jesteś moim gościem, i to ja powinienem był o tym pomyśleć.

- Ale sama się wprosiłam.

- Nieprawda. Równie dobrze mogłem powiedzieć, że nie mam czasu na naukę wspinaczki, ale tego nie zrobiłem. Zaprosiłem cię, musiałem więc przygotować dla nas lunch.

Rozwinął paczkę z kanapkami i podał jej jedną.

- Szynka! - wykrzyknęła. - Jak ci się udało ją zdobyć? Och, to nie fair. Tak nie można.

Uśmiechnął się.

- Mam znajomości w hotelu. - Znalazły się nawet dwie butelki india pale ale. - Chyba pijesz piwo. Nie mam tylko szklanek, więc nie będzie zbyt wytwornie.

- Kpisz sobie ze mnie? - zachnęła się.

Właściwie dlaczego tak zareagowała? Może dlatego, że przyszło jej nagle do głowy, iż cała ta ich znajomość jest niestosowna. Ciekawe, co by powiedzieli rodzice, gdyby się dowiedzieli, że ich córka wybrała się na wycieczkę z mężczyzną po trzydziestce, w dodatku przeciwnikiem służby wojskowej. Tak czy owak stało się, a na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- Oczywiście, że nie.

- Przepraszam - powiedziała. - Nic chciałam cię urazić. Ja tylko... Och, właściwie to nie wiem, co „tylko”.

Poczuła nagle ciężar tych wszystkich lat, które ich dzieliły, różnicę między byciem dziewczyną a byciem kobietą. Rozpaczliwie pragnęła być kobietą, wiedzieć, co mówić i jak mówić. Jadła w milczeniu kanapkę. Wszystko popsua.

Biegnącą w dole drogą przejechał samochód. Chyba jedyny pojazd, jaki do tej pory widzieli. Wojna przywróciła górom ich odwieczną samotność. Jakby na potwierdzenie tego na niebie pojawił się samolot. Miarowy warkot silnika to wznosił się, to opadał, a promienie słońca odbijały się od powierzchni kadłuba.

- Latający ołówek! - krzyknęła.

Obejrzał się.

- Co takiego?

- Samolot. Nazywają je latającymi ołówkami. To domier, niemiecki samolot. O Boże,

pierwszy raz go widzę.

Samolot poleciał na południe nad Crib Goch i Snowdon. A gdzie się podziały angielskie myśliwce, hurricane'y i spitfire'y?

- Skąd to wiesz, na Boga?

- Co?

- Jak się nazywa ten samolot.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Ukończyłam kurs służb pomocniczych. W moich rodzinnych stronach.

- To znaczy gdzie?

- W Chester, a właściwie w małej wsi niedaleko Chester. Przysłali nam kogoś, żeby nauczył nas, jak rozpoznawać samoloty wroga i tym podobne rzeczy.

Guy najwyraźniej nie miał ochoty kontynuować tego tematu. Jadł kanapkę z szynką, popijając piwem, a ona zastanawiała się z mieszaniną strachu i ekscytacji, czy zadać mu pewne pytanie. Może strach i ekscytacja to to samo? Na pewno tak było w przypadku wspinaczki; strach przed ześlizgnięciem się, odpadnięciem czy zawiśnięciem na linie łączył się z podnieceniem odczuwanym podczas poruszania się w pionie, korzystania z chwytów, na których, choć trudno w to uwierzyć, można się było utrzymać, i poruszania w sposób, wydawałoby się, absurdalny. Nabrała powietrza w płuca.

- Dlaczego jesteś przeciwny służbie wojskowej? - spytała.

A jednak to zrobiła. Teraz już nie było odwrotu. Będzie, co ma być. Czy jednak usłyszał jej pytanie? Przeżuwał kanapkę wpatrywał się w dal.

- Z powodu tej ostatniej wojny - powiedział w końcu. - Miała położyć kres innym wojnom. Wychowałem się w tym przekonaniu. Wiele o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że to nie była wojna między dwoma narodami, lecz między klasami rządzącymi, między politykami. I nic się nie zmieniło.

- Z wyjątkiem Hitlera i nazistów.

- To też są politycy. Narodowi niemieckiemu nie pozwolono się wypowiedzieć w tej sprawie, w każdym razie nie w demokratyczny sposób.

- Wydają się bardzo entuzjastycznie nastawieni. Wystarczy posłuchać wiadomości.

Zaśmiał się bez humoru.

- Czyich wiadomości?

- A jeżeli wkroczą, to co wtedy?

Szarpnął kępkę trawy. Zniknął gdzieś pewny siebie alpinista, który potrafi pokonywać bariery dzięki umiejętnościom odwadze. Sprawiał wrażenie zmieszanego i zaniepokojonego.

- Nie wiem, co wtedy. Na miłość boską, skąd mam to wiedzieć?! Ale nie będę walczył. Nie wierzę w to i nie zrobię tego. Wojny skończyłyby się, gdyby mężczyźni przestali walczyć.

Ta wypowiedź zdenerwowała go. Odwrócił głowę i spojrzał na wypiętrzone skalne szczyty.

- Szanuję cię za to - powiedziała. - Naprawdę.

Roześmiał się.

- Nie musisz być uprzejma.

- Wcale nie jestem uprzejma. Myślę to, co mówię.

- A powinnaś mówić to, co myślisz.

- Przecież to to samo.

Odwrócił się do niej. W jego oczach dostrzegła coś więcej niż rozbawienie.

- Wcale nie - powiedział.

Poczuła, że gdzieś w głębi wzbiera w niej śmiech. Z niecierpliwością czekała na dalsze słowa.

- Równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że widzę to, co mi się podoba, i podoba mi się to, co widzę, to to samo - stwierdził z uśmiechem.

Miała wrażenie, jakby przekazali sobie tajemne hasło, dzięki któremu rozpoznali się w ciemnościach. Roześmiała się i poczerwieniała.

- Ale podoba ci się?

- Co? - Patrzył na nią z uwagą, jakby się zastanawiał nad powodem jej rumieńca.

- To, co widzisz.

- Bardzo - odparł i pochylił się, by pozbierać resztki ich lunchu. - Co chcesz teraz zrobić? Masz ochotę na następną wspinaczkę? Pomyślałem, że moglibyśmy wejść na Spiralne Schody.

- Świetnie. Mogą być Spiralne Schody.

Weszli więc na te schody, które, jak wyjaśnił Guy, początkowo nazwano Sodomą, ale któryś z członków klubu wysokogórskiego zaprotestował, i trzeba było wymyślić inną nazwę. Śmiali się z tego tłustego starego szowinisty, lecz Diana pomyślała, że nazwa rzeczywiście brzmi obraźliwie, chociaż nie do końca wiedziała, co ona oznacza.

Owa skała stanowiła lewy skraj masywu Columnar Cliffs.

Droga zaczynała się u stóp tego strasznego uskoku, którego nikt jeszcze nie przeszedł, ale być może pewnego dnia to się stanie, biegła w lewo na małych chwytach przy dużej ekspozycji. Guy krzyknął do Diany, by uważała, bo gdyby spadła, zrobiłaby wahadło i

zawisła na linie.

- Dzięki za ostrzeżenie - odcięła się z sarkazmem w głosie.

- Masz dryg do tego! - krzyknął znowu. - Jesteś w porządku.

- To znaczy podoba ci się to, co widzisz, tak?

Wspinaczka, owiewający ich wiatr i dotyk szorstkiej skały pod palcami dodały jej odwagi.

- I widzę to, co mi się podoba! - odkrzyknął.

Ostatni odcinek drogi do szczytu prowadził po łatwych płytach. W tym momencie, jakby pragnąc uświetnić ich wyczyn, słońce przebiło się przez chmury, zalewając ich blaskiem. Usiedli na chwilę, rozkoszując się ciepłymi promieniami, a Diana zapragnęła nagle, by Guy zrobił to, co przy pierwszej wspinaczce - objął ją ramieniem. Tylko tyle, nic więcej. Nie zrobił jednak tego.

- Chyba powinienem odprowadzić cię do przyjaciół - powiedział, wstając.

- Dadzą sobie radę beze mnie - odparła. - Zostawiłam im wiadomość.

- Mimo to czas wracać.

Pomyślała, że pewnie chce się jej pozbyć. Gdy znaleźli się na dole i wsiedli na motocykl, zapytał, czy nie miałyby ochoty jeszcze się po wspinać, a ona odparła, że tak, oczywiście.

- Jak długo tu będziesz? - spytał.

- Do niedzieli.

Kopnął starter, budząc motocykl do życia.

- No to może jutro! - zaproponował, przekrzykując ryk silnika.

- Świetnie.

Zostawił ją przed schroniskiem. Nie zastała przyjaciół. Poszli na Carneddau, góry znajdujące się na przeciwległym krańcu doliny, i wrócili dopiero wieczorem.

- Gdzieś ty była?! - zawołali na jej widok. - Co znaczyła ta wiadomość: „Wybrałam się na wspinaczkę”?

- To właśnie robiłam. Uprawiałam skalną wspinaczkę.

- Skalną wspinaczkę?

- Z Guyem Matthewsonem. Jutro też z nim idę.

- Naprawdę? - spytała Meg.

Rozmawiali przy kolacji, śmiejąc się, żartując i opowiadając o wydarzeniach minionego dnia. Oceniając z perspektywy, był to szczególnie wieczór. Czy zdawali sobie z tego sprawę? Może to wyczuwali. Dobiegał końca okres niewinnej bez troski. Chłopcy dostali

już powołanie do wojska, jeden z nich był nawet w mundurze. Dziewczęta zgłosiły się jako ochotniczki do Żeńskiej Służby Pomocniczej w Lotnictwie lub w Marynarce. Wojna miała w bezsensowny sposób rozproszyc ich paczkę: dwoje z nich pozbawić życia, jednego wtrącić do niewoli, a wszystkich zmusić do życia w innym świecie. W tym jednak momencie siedzieli przy stole i śmiali się, jakby przyszłość była bez znaczenia. Diana raczyła ich opowieściami o miniaturowych chwytach i głębokich przepaściach. Oni zaś żartowali z niej i zasypywali ją pytaniami na temat pana Guya Matthewsona. Czy wpadł jej w oko?

- Na litość boską, przecież on jest o piętnaście lat starszy ode mnie - zaprotestowała.

- I uchyła się od służby wojskowej - dodała Meg.

Jej złośliwy przytyk wywołał w Dianie opór.

- No i co z tego? Nie może być tchórzem, skoro uprawia wspinaczkę. On po prostu ma takie poglądy.

- To znaczy jakie?

Nie potrafiła na to odpowiedzieć.

- Czy on jest komunistą? - spytał Erie. - Słyszałem, że tak.

- Nie mam pojęcia. Poznałam go dopiero wczoraj i większość dnia spędziliśmy piętnaście metrów od siebie na dwóch końcach liny. Nie mieliśmy okazji rozmawiać o polityce. Nie praktykuje się tego podczas wspinaczki.

- Ale chyba potrafisz powiedzieć, jak on wygląda. Przestań owijać w bawełnę i powiedz wreszcie, czy jest przystojny. - To oczywiście Meg.

- Jest... interesujący. Raczej surowy.

- To już gorzej.

- Czy mogę iść z tobą?

- Iść z nią?! - wykrzyknęła Hilda. - Na litość boską, Meg, chcesz bawić się w przyzwoitkę?

Okrzyki, podekscytowane głosy, cięte uwagi, wszystko to, co składało się na wiek niewinności, miało wkrótce zniknąć. Za dwa miesiące Diana będzie wyciągać pozbawione głowy ciało kobiety spod gruzów domu, na który spadła bomba. Za kilka miesięcy Erie w trafionym przez wroga ciemnym i pełnym dymu bombowcu będzie szukał po omacku spadochronu wyskoczy w zimną noc nad Duisburgiem. Za rok Martin zostanie uznany za zaginionego na północnym Atlantyku, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku zginie od bomby VI w południowym Londynie Hilda.

- Nie wiem, czy powinniśmy zostawiać cię sam na sam z tym panem - stwierdziła ze złośliwym uśmiechem Meg. - A może to jakiś drań?

Diana zareagowała śmiechem na to absurdalne przypuszczenie.

2

Następnego dnia niebo zasnuła gruba warstwa chmur i padał drobny deszcz. Pewnie nici ze wspinaczki. Reszta grupy wyruszyła na północną grań Tryfanu, tylko Meg postanowiła, że zostanie w schronisku. Nie czuła się dobrze. Musiało coś jej zaszkodzić, pewnie ta wołowa konserwa.

- Och, Meg, nie psuj wszystkim zabawy! - zawołała Hilda, lecz Meg nie dała się przekonać.

- Przynajmniej obejrzę sobie tego faceta Diany - powiedziała. - Przecież nie chcemy, żeby wpadła w złe towarzystwo.

Stały więc razem przy drodze, ubrane w skafandry, i czekały na Guya Matthewsona. Pewnie nie przyjedzie - pomyślała Diana. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że czułaby się zawiedziona, gdyby nie przyjechał. Zaniepokoiło ją również to, że jest zła na Meg, iż stoi tu razem z nią.

Jednak przyjechał. Najpierw posłyszała warkot motoru, który przedarł się przez grubą warstwę zimnego, wilgotnego powietrza. Jak w ogóle mogła w niego wątpić?

- Dzień dobry, panno Sheridan! - zawołał, przekrzykując ryk silnika.

- Dzień dobry, panie Matthewson - odpowiedziała równie oficjalnie. Słowne żarciki. Jej matka nazwałaby to przekomarzaniem się.

Zsunął gogle na czoło. Pozostały mu po nich czerwone obwódki wokół oczu.

- A kim jest pani koleżanka? Zechce mnie pani przedstawić?

- Margaret York - wtrąciła szybko Meg. - Miło mi pana poznać.

- Margaret York? Zupełnie jak z wojny Dwóch Róż.

Uścisnął z uśmiechem jej dłoń, a Diana poczuła delikatne ukłucie zazdrości, jakby ten uśmiech i uścisk dłoni świadczył o czymś w rodzaju porozumienia między nimi.

- Co będziemy dziś robić? - spytała.

- Czy pani koleżanka jedzie z nami?

- Meg źle się czuje - wyjaśniła pospiesznie. - Pozostali już poszli, lecz Meg nie miała jakoś ochoty.

- Nie jest ze mną tak źle...

- Ale to może być trochę ryzykowne w zespole trzyosobowym - powiedział Guy. - Pogoda nie jest dziś najlepsza, a ja zaplanowałem dość długą trasę. Może innym razem.

Uśmiechnął się rozbrajająco. Meg nie pozostało więc nic innego, jak odwzajemnić

uśmiech.

- Może - odrzekła.

Guy popatrzył na Dianę.

- Czy panna Sheridan jest gotowa?

Tak, była gotowa. Usadowiła się na tylnym siodełku i tak jak wczoraj chwyciła za jego plecak. Uczucie zazdrości ulotniło się. Zrobiło jej się nawet żal Meg stojącej samotnie przy drodze w ten brzydki poranek.

- Do zobaczenia! - krzyknęła, a Meg pomachała jej ręką z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

- Pa, kochanie. Bądź grzeczna! - odkrzyknęła.

- Trzymaj się mocno! - zawołał Guy, przyspieszając.

Jechali wzdłuż brzegu jeziora. Przed sobą mieli północną grań Tryfanu. Gdzieś tam w górze byli przyjaciele Diany. Może ich zobaczy.

- Pomyślałem, że tym razem powspinamy się trochę bliżej domu! - krzyknął i zatrzymał motocykl w miejscu, gdzie strome ściany Tryfanu opadały ku dolinie, przy kamieniu oznaczonym liczbą szesnaście. Szesnaście kilometrów skąd? Popatrzyła na strome stoki góry, której grań sięgała chmur. Powiodła spojrzeniem wzdłuż linii grani, po czym zeszła niżej, ku kępom trawy i wrzosów i rumowiskom skalnym. Dostrzegła drobne figurki pnące się z mazołem pod górę, niczym żołnierze idący na front.

- Są! - krzyknęła, wskazując na nich palcem.

Naliczyła sześcioro. Dwie postacie przystanęły i spojrzały w jej stronę. Pomachała im, a wówczas jedna z nich - chyba Hilda - uniosła rękę w górę.

- Mam nadzieję, że twoi przyjaciele wiedzą, co robią w tej mgle - powiedział Guy.

- Są doświadczonymi piechurami.

- Ładna dziewczyna z tej Margaret - stwierdził nagle.

- Wszyscy tak mówią.

- Naprawdę? A więc jestem mało oryginalny. Szkoda.

Co on chciał przez to powiedzieć?

Przeszli przez kamienny mur biegnący wzdłuż drogi i ruszyli udeptanym szlak'em w kierunku skał. Guy szedł szybko, stawiając długie, miarowe kroki. Miał za sobą wspinaczki w Alpach i w Himalajach, dotarł na wysokość siedmiu tysięcy ośmiuset metrów. Góry w Walii były pewnie dla niego zaledwie pagórkami. Czują podniecenie na myśl o tym, że mu towarzyszy, że czeka ją kolejna wspinaczka we dwoje. Nie miała odwagi przyznać tego nawet przed samą sobą, ale uważała go prawie za przyjaciela. A Meg została w schronisku.

Ścieżka stała się bardziej stroma i wiła się teraz między skałami, ku wschodniemu stokowi góry, gdzie biegły główne drogi wspinaczkowe. Guy odwrócił się do Diany z wyrazem twarzy wskazującym na to, że jej opinia może coś znaczyć.

- Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować wejść na Grooved Arête. To droga na wschodniej ścianie, która doprowadzi nas prosto na sam szczyt. Co ty na to?

- Ty jesteś prowadzącym.

- Sęć w tym, że to prawdziwa droga wspinaczkowa. Nie zdołalibyśmy jej pokonać we trójkę, a na pewno nie z taką nowicjuską jak twoja koleżanka Meg. Zgadzasz się? Wiatr powinien osuszyć ścianę, nie przewiduję też pogorszenia się pogody. Myślę, że damy sobie radę. Grooved Arête może być trudna przy wilgotnej pogodzie, lecz nie beznadziejna. Z wyjątkiem płyty.

- Jakiej płyty? - spytała z niepokojem.

Uśmiechnął się. Wiedziała, że się z nią drażni, i była tym zachwycona. Zmienił się od wczoraj. Zrzucił z siebie ochronny pancerz i pozwolił sobie na pewną poufałość.

- Taka jedna - odpowiedział.

- Co za płyta?

Wisiała nad nią niczym groźba, gdy pokonywali dolne partie góry. Wydawała się czymś strasznym i jednocześnie zabawnym, jak na przykład opowieści o wampirach albo duchach, zapamiętane z dzieciństwa. Weszli wyżej po potężnych głazach, które wyglądały, jakby zostały zrzucone w bezładny stos przez jakieś dziecko. Należało pokonać szereg niewielkich stopni, dlatego Guy uważnie obserwował Dianę, jakby był egzaminatorem, a ona studentką.

- Wspaniale sobie radzisz - powiedział. - Masz dobre wyczucie równowagi.

- Nalegam, żebyś wyjaśnił mi tę sprawę z płytą - powiedziała, gdy doszła do niego.

Dotarli do pochyłego tarasu, biegnącego u podstawy głównej ściany. Guy stanął w miejscu, w którym ktoś wydrapał litery G. A. Skała pięła się stromo w górę jak ściana gotyckiej katedry o rowkowanej i żebrowanej powierzchni. Można było sobie wyobrazić, że za chwilę z mgły wyłonią się chimery, żebrowane sklepienia i Quasimodo.

- Jeśli mi nie powiesz, nigdzie nie pójde.

Roześmiał się, jakby wiedział, że to czcza groźba.

- To się nazywa „ruch Rycerza”.

- Jak z *Alicji w kminie czarów*?

Kiwnął twierdząco głową.

- Wspinaczka ma wiele wspólnego z tą książką. Wspinasz się po to, by zejść, i często

musisz biec tak szybko, jak tylko możesz, żeby pozostać w miejscu. Wkrótce się o tym przekonasz. Płyta to rodzaj pochyłej szachownicy, jeżeli potrafisz to sobie wyobrazić. I żeby ją pokonać, trzeba iść w górę i w bok, tak jak Biały Rycerz.

- I spaść?

Znowu się zaśmiał. Był dziś zupełnie inny, rozluźniony przyjacielski.

- Czasami. W przeciwieństwie do Białego Rycerza zdarza się to bardzo rzadko.

Diana spojrzała w górę.

- Nie widzę tu żadnej płyty. Gdzie ona jest?

- Stąd jej nie widać.

Wziął od niej linę i rozwinął zwój po zwoju, po czym podał jej drugi koniec, by się związała. Nazywał to klarowaniem liny.

- Zapamiętałaś wczorajszą lekcję?

- Mam nadzieję.

Zapamiętała. Królik wychodzi z nory, obiega drzewo i ponownie znika w norze. Potem z przyjemnością słuchała gratulacji.

- Jesteś gotowa?

Przytaknęła. Kiwnął głową, odwrócił się do ściany i ruszył w górę. Obserwując tego ubranego w wytarte flanelowe spodnie i połatana kurtkę mężczyznę, pomyślała, że wspaniale było go poznać i razem z nim odkrywać uroki wspinaczki. Po chwili stał już na półce. Kiedy ruszyła w ślad za nim, powtórzyło się wszystko, czego wczoraj doświadczyła - wrażenie oderwania, uwolnienia się od wszelkich spraw, od tej cholernej wojny, która krążyła wokół niej i wciągała w wir ją, przyjaciół i cały świat. Wszystkie problemy ograniczyły się nagle do tego jednego: wspinania się w górę ku nieznanemu.

- Jak ci idzie? - zapytał.

- Wspaniale! - odkrzyknęła.

Uniesienie, pomyślała, dziwne słowo, które prócz banalnego przenoszenia czegoś z jednego miejsca w drugie może również przenieść cię w krainę zachwyty. Czuła się zadziwiona radością. Te słowa pojawiły się nagle w jej głowie: „Zadziwiony radością - niecierpliwy niczym wiatr, odwróciłem się, by dzielić to uniesienie”.

Czekał na nią na górze, wśród obłoczków pary. Poniżej w dolinie pasły się owce. Przypominały mole gryzące zniszczoną materię stoku. To była prawdziwa góra, a nie jakaś tam turniczka jak wczoraj. Wyglądali przy niej jak nędzne robaczki.

- Jak ci się podoba? - spytał.

- Jest wspaniale - odrzekła. - Po prostu wspaniale.

Pokonali następne dwa odcinki drogi. Guy szedł pierwszy, zakładał asekurację, po czym ściągał Dianę uwiązaną na końcu liny. To wspinanie przypominało powolny ruch gaśienicy sunącej po ścianie. Godziny zmieniły się w minuty. Pod stopami mieli teraz szary dywan z chmur. Od czasu do czasu wiatr wyrywał w nim dziurę i pozwalał spojrzeć na piargi u podnóża góry. Poza tym byli sami, połączeni jedynie liną.

- Jak wysoko jesteśmy? - spytała na jednym ze stanowisk.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Przeszliśmy około stu dwudziestu metrów.

- A ta płyta?

- Tuż nad nami. Przy następnym stanowisku.

Ruszył w górę, a Dianie znowu przypomniał się fragment sonetu, którego uczyła się do matury, kiedy planowała iść na uniwersytet, lecz z powodu wojny zmuszona była to odłożyć.

„Zadziwiony radością - niecierpliwy niczym wiatr -

Odwrociłem się, by dzielić to uniesienie - Ach! Lecz z kim,

Jeżeli nie z tobą...”

To chyba był Wordsworth. Jak to dalej szło?

- Ściągam!-krzyknął.

Wypuściła linę i patrzyła, jak wije się po skale, aż poczuła lekkie szarpnięcie.

- Koniec! - odrzyknęła, tak jak ją nauczył, i rozpoczęła wspinaczkę.

Wtedy wrócił zapomniany wers.

„(...) Lecz z kim,

Jeżeli nie z tobą spoczywającą w niemym grobie...”

Wordsworth pisał tak o swojej zmarłej córce. Te słowa sprawiły, że przeszedł Dianę zimny dreszcz, toteż odetchnęła z ulgą, gdy dotarła do stanowiska Guya. Siedział na porośniętej trawą, szerokiej skalnej półce. Ściągnął linę i uśmiechnął się.

- Oto twoja płyta - oznajmił, kiedy przywiązał Dianę.

Spojrzała w górę i zobaczyła krótką ściankę, a dalej ukośną płaszczyznę przypominającą zniszczoną płytę kuchenną prowadzącą pod jakiś diabelski okap - prawdziwą przewieszkę, czarną i groźną niczym mars na czole. Miała wrażenie, jakby nagle znalazła się pod gzymsem wielkiej budowli, na przykład katedry, w bliskości zdobiących ją chimer, z dachem mokrym od deszczu i bez żadnego wyjścia.

- Ale którędy pójdziemy, na litość boską?

- Prosto i w prawo - rzucił niedbale. - To jest właśnie „ruch Rycerza”: w górę po

płyć i po zewnętrznym łuku na szczyt. To eksponowane miejsce.

- Wcale nie chcę być wyeksponowana.

Roześmiał się.

- Twój honor na tym nie ucierpi.

Jak długo już się wspinali? Według zegarka prawie cztery godziny, a wydawało się, że minęło zaledwie kilka minut. Półka była dość wygodna, lecz poza jej krawędzią ściana opadała pionowo gdzieś ku niższym partiom góry. A nad głową Diany wisiał ten blokujący im drogę potworny czarny dach. Po raz pierwszy ogarnął ją strach.

- Boję się, Guy - powiedziała.

- Nieprawda, wcale się nie boisz - stwierdził, jakby znał jej odczucia lepiej niż ona sama. - Wspinaczka to kwestia nastroju. Gdyby świeciło słońce, byłoby nam lekko i jasno. Przy tej pogodzie czujemy, jakbyśmy stali u bram Hadesu. Ale nie ma się czego obawiać. Płyta jest cienkawa, lecz da się po niej przejść przy odrobinie ostrożności. Spodoba ci się, następny odcinek również. Gotowa?

- Czy możesz spać?

- Rany, oczywiście, że mogę. Pewnie uderzyłbym w półkę ze strasznym hukiem i musiałabyś ściągać mnie na desce. Myślisz, że dałabyś radę?

- Żartujesz sobie.

- Mam nadzieję. - Zaczekał, aż przeloży linę przez plecy, tak jak ją uczył. - Moje życie jest w twoich rękach - oświadczył, po czym ruszył w górę.

Chociaż powiedział to żartobliwym tonem, uświadomiła sobie, że to prawda. Może na krótko, ale rzeczywiście była teraz odpowiedzialna za jego bezpieczeństwo. Gdyby spadł, to ona musiałaby powstrzymać go przed stoczeniem się z półki w przepaść. Serce zabiło jej mocniej. Guy zatrzymał się przy wielkim skalnym grzybie i spojrzał w dół. Płytę miał z prawej strony - lekko nachyloną, poprzecinaną wyłobieniami i nierównościami, szeroką na jakieś osiem, dziewięć metrów. Z miejsca, gdzie stała Diana, widać było jedynie przepaść i powietrze.

- Pójdiesz prosto w górę - powiedział. - Stąd będziesz miała dobry widok na kluczowe miejsce, zanim zrobisz następny ruch. Podczas wspinaczki pracują nie tylko mięśnie, ale również głowa. - Ostrożnie, jakby stąpał po kruchym lodzie, wspinał się na pochyłą płytę. - Daj mi trochę więcej luzu! - zawołał. - Chyba nie chcesz mnie ściągnąć!

Nie patrzył w dół, gdy to mówił, dlatego jego słowa dotarły do niej jakby po fakcie, lecz bez żadnych poważnych konsekwencji. Popuściła linę i wyobraziła sobie, jak on leci w dół, a lina zaciska się w pasie, niemal przecina ją na pół i omal nie ściąga z półki.

Guy zrobił kolejne dwa, trzy kroki, a ona znowu wypuściła linę. W pewnej chwili zatrzymał się, a stopa jakby ześlizgiwała się w dół z taką samą prędkością, z jaką się wspinał, więc w efekcie pozostał w miejscu. Zaraz jednak natrafił na boczny chwyt i kolejne dwa stopnie. Był już teraz daleko od Diany musiał chyba znaleźć dobry chwyt, bo kiedy stopa znowu mu się zsunęła, mógł utrzymać równowagę. Posłyszała, jak stęka z wysiłku.

- Jak to wygląda?! - krzyknęła z niepokojem w głosie.

Nie odpowiedział, zrobił kilka kolejnych ruchów i nagle znalazł się na samej krawędzi płyty. Mógł teraz odwrócić się spojrzeć w dół.

- Och, prześliczna.

- Co?

- Ty.

- Nie interesują mnie głupie komplementy w takich chwilach jak ta.

Guy zaśmiał się kpiąco.

- No więc płyta. Jest dość śliska. Pamiętaj, co ci wcześniej mówiłem: Nie trzymaj się za blisko skały. Będziesz chciała przykleić się do ściany, ale nie wolno ci. Jeżeli to zrobisz, twoje stopy zsuną się ze stopni. Będę tuż za tym przelamaniem. To bezpieczne miejsce, więc się nie przejmuj, jeżeli zlecisz. I będę słyszał każde twoje słowo.

Poczula nagły przypływ paniki. Nad głową miała płytę, Guy znajdował się gdzieś tam, wysoko, a jedynym łącznikiem między nimi pozostała cienka lina.

- To znaczy, że nie będę cię widziała?

- Dasz sobie radę. Widziałaś, którąś szedłem. Idź tą samą drogą.

- Ale nie będę cię widziała.

- Nie szkodzi. Nie musisz mnie widzieć. Kieruj się własnym instynktem.

Po tych słowach zniknął za rogiem, a chwilę później krzyknął, że założył asekurację, i lina ze świstem pobiegła w górę. Gdy została ściągnięta, Diana zdjęła autoasekurację.

- Koniec!-krzyknęła.

- W porządku! - dobiegło jakby z bardzo daleka. - Możesz iść!

Z początku szło jej łatwo. Potem zatrzymała się przy skalnym grzybie i przyjrzała następnemu odcinkowi. Lina biegła skośnie ku przelamaniu, za którym zniknął Guy. To z pewnością najtrudniejsza droga Diany, tymczasem on twierdził, że wcale nie jest trudna, że w skali trudności określa się ją jako „bardzo trudną”, a to, co ona ma na myśli, to byłaby droga „nadzwyczaj trudna”, a do takich nie jest jeszcze przygotowana.

- Jak sobie radzisz? - zapytał.

Do tej pory znajdowała chwyt, o które mogła zaczepić palce, i stopnie do oparcia

nogi, a przynajmniej jej części. Dzięki temu czuła się bezpieczna. Teraz jednak miała przed sobą ten pas gładkiej, śliskiej ściany.

- Przyglądam się.

- Nie przyglądaj się, tylko idź.

Poczuła wzbierający w niej gniew.

- Nie poganiaj mnie!

- Nie poganiam. Nie musisz się spieszyć.

Ruszyła, czując, jak serce podchodzi jej do gardła. Nigdy dotąd nie doświadczyła tak intensywnych wrażeń. Jeżeli to nie było serce, to coś innego, grubego i pulsującego, sunęło w stronę ust.

- Pamiętaj, nie klej się do ściany, stawiaj stopy tak, aby utrzymać równowagę.

- Nie potrzebuję twoich cholernych rad! - krzyknęła i w odpowiedzi usłyszała stłumiony śmiech. - Do diabła z nim! - mruknęła.

Znalazła chwyt, zacisnęła na nich palce aż do bólu i przeniosła ciężar ciała na ręce. Nogi sprawiały wrażenie niezdarnych i ciężkich i pewnie za chwilę odmówią posłuszeństwa. Nie pochylaj się - upomniała siebie w duchu. Bez względu na wszystko nie pochylaj się. Popatrzyła w dół, by sprawdzić stopnie, i w tym momencie chmury się rozstały, odsłaniając setki metrów chłodnej, wilgotnej przepaści. Poznała już strach i uniesienie - dwie twarze wspinaczki. Podciągnęła się na palcach, postawiła prawą nogę na spadzistej półce i przeniosła na nią ciężar ciała. Lina przesunęła się, lecz niezbyt mocno, by jej nie pociągnąć, jak czekająca w pogotowiu pomocna dłoń. Tylko że lina biegła ukosem i gdyby coś poszło nie tak, gdyby Diana się poślizgnęła na płycie, zadyndałaby niczym wahadło.

- Dobrze ci idzie - zabrzmiał głos Guya.

- Nie masz zielonego pojęcia, jak mi idzie - odcięła się. - Przecież mnie nie widzisz.

- Ale cię czuję. To jak zabawa w wędkowanie. - Poczuła lekkie szarpnięcie liny. -

Widzisz?

- Odczep się.

- Jak wędkowanie. „Czy możesz iść trochę szybciej?” - powiedziała rybka do ślimaka.

- Och, zamknij się!

Posłuchał. Weszła wyżej, potem znów w bok i znalazła ten sam boczny chwyt, który on wykorzystał. Przeszła jeszcze kilka kroków bez poślizgu. Lina wciąż przesuwała się w górę. Krawędź płyty szybko się zbliżała, a jej nachylenie lekko zmalało. Przestała odczuwać niepokój, rozluźniła się i odzyskała pewność siebie. Jakby w odpowiedzi na tę zmianę nastroju przez chmury przebiło się słońce, oświetliło skałę i musnęło kark Diany ciepłymi

wargami.

- Oto i nasz żółw - zawołał Guy, teraz już z bardzo bliska - depta mi po piętach!

Dotarła do krawędzi, a on stał tuż za rogiem i ściągał linę, gdy wchodziła na wąską półeczkę. Uśmiechnął się do niej z dumą.

- A oto i mój mały żółw - powiedział.

Odgarnął jej wilgotne włosy z czoła.

- Zdenerwowałem cię? - spytał, przerywając tę nagłą i nieoczekiwaną chwilę intymności.

- Trochę. Przepraszam, że zakłęłam.

- Jesteś nadzwyczajna.

- Dobrze mi poszło?

- Byłaś wspaniała.

Stali na wąskiej półeczce i patrzyli sobie w oczy. To jedna z tych chwil, kiedy człowiek boi się, by za wcześnie nie odwrócić wzroku, jak w dziecięcej grze. Tylko że oni wcale nie grali. Zauważyła, że jego oczy mają zielonobrazowy kolor i jaśniejszą obwódkę wokół źrenicy.

On pierwszy uciekł spojrzeniem w bok.

- Nie widziałaś jeszcze, jaki stąd widok.

Dopiero teraz rozejrzała się po okolicy. Warstwa chmur uniosła się i odsłoniła olbrzymią otchłań pod wąską półeczką, na której stali. Promienie słońca zeszyły ze ściany i oświetliły odległe stoki. Patrzyła, jak wychwytyją porośniętą trawą zbocze, brązowe kępy wrzosów, szary występ skalny. Miała wrażenie, jakby celowo je oświetlały, jakby chciały pokazać, na co ma zwrócić uwagę. Wiatr gwizdał jej w uszach. Miała pod stopami cały świat.

- Cudowny widok - zachwyciła się. - Brakuje słów, by go opisać.

- No to nie opisuj.

Stali więc w milczeniu, a Guy obejmował ją ramieniem tak jak wczoraj, gdy zdobyła swoją pierwszą ścianę. Jak ona się nazywała? Flying Buttress. W porównaniu z tą drogą był to zaledwie spacer.

Dotarli na szczyt o trzeciej. Potem jednak warstwa chmur ponownie zgęstniała i zrobiło się ciemno. Wspięli się na dwa bliźniacze bloki skalne - Adam i Ewa - tworzące wierzchołek i zjedli kanapki po stronie zawietrznej. Kiedy jednak ruszyli północną granią w dolinę, szczęście ich opuściło i spadł ulewny zimny deszcz. Guy wyjął z plecaka pelerynę przeciwdeszczową.

- Z tym będzie lepiej.

- Ale to twoja.
- Ale ci ją daję.
- No to wspólnie się nią okryjemy.

Tak zrobili, co nie było mądre, bo utrudniało schodzenie z peleryną utrzymaną nad głową jak namiot. Gdy dotarli do motocykla, byli przemoczeni do suchej nitki i trzęśli się z zimna i śmiechu.

- Pannie Sheridan przydałaby się teraz gorącą kąpiel i filiżanka herbaty - powiedział.
- Niestety, nie może mieć żadnej z tych rzeczy.
- W takim razie weź jakieś suche ubranie i zawiozę cię do hotelu, gdzie na pewno dostaniesz obie te rzeczy.

- Och, nie mogłabym.

Wytań mokre siodełko i usiadł na nim okrakiem.

- Niby dlaczego? Wskakuj.

Niby dlaczego? Cóż miała na to odpowiedzieć? Było wiele powodów, lecz nagle wydały jej się nieistotne. Guy włączył motor i zawrócił maszynę.

- No, na co czekasz?

Usiadła więc z tyłu za nim i ryk silnika zagłuszył wszystkie ewentualne odpowiedzi.

W schronisku nie było żywej duszy, w pokojach panowały cisza i chłód. Odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu, że Meg nie ma. Nawet gospodarz gdzieś się zapodział. Poszła do pokoju po suche rzeczy, napisała na kartce kilka słów i przyczepiła ją do tablicy nad stołem.

„Meg. Zdobyliśmy nasz szczyt i zeszliśmy na dół. Wrócę później. Diana”.

Guy czekał przed wejściem z włączonym silnikiem. Przerzuciła nogę przez siodełko i usadowiła się za nim. Żwir prysnął spod kół i motocykl pomknął drogą. Decyzja została podjęta, jeżeli można tak powiedzieć. *Fait accompli*. Dopóki nie sprawdziła znaczenia w słowniku, przez dłuższy czas myślała, że ma to coś wspólnego z losem.

Pili herbatę w salonie Hotelu Royal w Capel Curig z widokiem na dolinę Dyffryn z bliźniaczymi jeziorami i spowite w chmurach góry.

Diana wykąpała się w łazience na końcu korytarza, na tym samym piętrze co jego pokój, i przebrała w suche rzeczy. Teraz siedzieli w wiklinowych fotelach, wpatrując się w okno. W salonie byli też inni goście. Kilkoro miało na sobie mundury, większość jednak stanowili mieszkańcy przedmieść Manchesteru lub Liverpoolu, którzy przenieśli się tu w obawie przed spodziewanymi bombardowaniami. Rozmawiali przyciszonymi głosami, jakby wciąż nie mogli otrząsnąć się z szoku po pospiesznej przeprowadzce i całej tej przeklętej wojnie. Opowieściom o najróżniejszych ograniczeniach i brakach żywnościowych

towarzyszył brzęk filiżanek.

- Czym się zajmujesz? - zwróciła się do Guya z pytaniem. Nic o nim nie wiedziała, a przecież spędzili ze sobą dwa dni. Razem i nie razem, bo oddzieleni całymi metrami liny, często nie widząc się nawzajem, a czasami tak blisko jak w tańcu.

Wyglądał na zmieszanego.

- Prowadzę rodzinny interes - wyjaśnił. - Buty. Niezbyt fascynujące.

- Buty?

- Nie, głuptasie. Kierowanie fabryką.

Roześmiała się. Jak łatwo jej to przychodziło!

- Przynajmniej użyteczne. Teraz będzie duże zapotrzebowanie na buty. Zwłaszcza wysokie.

Wzruszył ramionami.

- W tym właśnie problem. Czy rodzinna firma powinna wspierać wojenne przygotowania, jeżeli jeden z jej dyrektorów jest przeciwny wojnie?

Zupełnie zapomniała, że on jest pacyfistą.

- Zamierzasz zrezygnować?

- Nie wiem. Teraz myślę jedynie o czekającej mnie rozprawie.

- Kiedy się odbędzie?

- Na jesieni. Jeszcze nie wyznaczono daty. Może zgłoszę się gdzieś na ochotnika, na przykład do straży pożarnej. Może przydadzą się im moje umiejętności. - Spojrzał jej w oczy.

- A ty?

- Jestem pielęgniarką. Co prawda tylko pomocniczą, ale lepsze to niż nic. Na pewno przyda im się każda pielęgniarka. Wybierałam się na uniwersytet w Liverpoolu na literaturę angielską, lecz...

- Możesz to jeszcze zrobić.

- Nie wobec groźby wojny. Skończyłam więc kurs pielęgniarski. W przyszłym tygodniu jadę do Londynu. Będę pracowała w Clerkenwell.

Skinął głową. Poczula się niezręcznie. Może powinna wrócić do schroniska i przyjaciół.

- Napijesz się jeszcze herbaty? - spytał.

To pytanie wydało jej się niezwykle ważne, bo wykraczało daleko poza jego sens. Odpowiedź „nie” oznaczała natychmiastowe opuszczenie hotelu i powrót do schroniska, a „tak” - pozostanie. Tak jakby „nie” znaczyło, że więcej go nie zobaczy, a „tak” - wprost przeciwnie, cokolwiek się kryło pod tym słowem.

- Tak, proszę - odpowiedziała.

Pochylił się i w chwili gdy podnosił dzbanek, podszedł do nich szpakowaty dzentelmen w tweedowej marynarce.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się. - Ale czy mam przyjemność z Guyem Matthewsonem?

Guy uniósł się w fotelu.

- Tak.

- Struthwick. Byłem członkiem wyprawy na Everest w dwudziestym ósmym.

- Ach tak. - Guy odstawił dzbanek i podał mężczyźnie rękę. - To moja znajoma, panna Sheridan. Diana Sheridan.

Struthwick uniósł brwi.

- Tak jak ta aktorka?

Oblała się rumieńcem.

- Obawiam się, że nie. Ona ma na imię Dinah. Blisko, ale nie to samo.

- Za to równie czarująca - odparł mężczyzna, pochylając głowę i ściskając jej dłoń, po czym zwrócił się do Guya. - Podobno planował pan wyprawę na Everest, kiedy wybuchło to absurdalne zamieszanie.

- Rozmawiałem na ten temat z Shiptonem.

- Czy pan wie, że członkowie niemieckiej wyprawy na Nanga Parbat zostali zatrzymani z powodu tej wojny? Internowano ich w Indiach.

Obaj panowie zaśmiali się z tej absurdalnej sytuacji i przez chwilę rozmawiali o górach.

- Trochę potrwa, zanim będzie można wrócić w Himalaje - powiedział z żalem mężczyzna. - Słyszałem, że zarejestrował się pan jako przeciwnik służby wojskowej.

Guy znieruchomiał. Mięśnie szczęki mu zeszywniały i lekko zbladł.

- Prawdę mówiąc, tak.

Struthwick chrząknął.

- To chyba nie z braku ikry, co? Nie w pana przypadku.

- To kwestia przekonań.

Mężczyzna nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Walczyłem w pierwszej wojnie. Pan chyba nie. Nie mogę powiedzieć, że to budujące doświadczenie. Myślę jednak, że to kwestia obowiązku. Obowiązku względem rodaków, nie tych cholernych polityków.

- Chyba odmiennie widzimy nasz obowiązek.

- Być może. - Skinął Dianie głową. - No cóż, zostawiam państwa. Było mi bardzo miło.

Mężczyzna wrócił do swojego stolika i Guy się odprężył. Sprawiał wrażenie, jakby przez cały czas wstrzymywał oddech, a teraz mógł wreszcie wypuścić powietrze z płuc.

- Widzisz, co się stało? - spytał niskim gniewnym głosem. - Widzisz, co ta przekłeta wojna robi z ludźmi? Doszło do tego, że zacząłem się ich bać.

Zapadła niezręczna cisza. Natomiast przy stoliku Struthwicka rozgorzała namiętna dyskusja, i choć głosy przyciszono, to jednak oczy dyskutantów co chwila zwracały się w stronę Diany i Guya Matthewsona.

- Nie masz powodu się bać - szepnęła.

Pokręcił głową i dotknął jej dłoni spoczywającej na oparciu fotela.

- Przepraszam, Diano. To był niewybaczalny wybuch.

Powoli, żeby go nie przestraszyć, odwróciła dłoń tak, że przez błogosławioną chwilę trzymali się za ręce tu, w salonie Hotelu Royal w Capel Curig. Krople deszczu bębniły o szyby, jakby ktoś rzucał w nie kamykami.

- Zrozumiałe - powiedziała. - Nic niewybaczalne.

- Sęk w tym, że wszyscy moi znajomi albo już wstąpili do wojska, albo otrzymali kartę powołania. I zostałem sam z tą wewnętrzną wojną. Czuję się bardzo samotny.

- Czy nie masz nikogo bliskiego?

Utkwił wzrok w oknie.

- Nie powinnam pytać?

Pokręcił głową, lecz puścił jej dłoń, sięgnął po filiżankę i przytknął ją do ust, po czym wolno odstawił na tacę.

- Miałem. Żonę.

Poczula przyływ emocji. To było jak odpadnięcie podczas wspinaczki, gwałtowny atak strachu.

- Chcesz mi o niej opowiedzieć?

Uśmiechnął się.

- W Ameryce mógłbym zasłonić się Piątą Poprawką.

- Co to jest?

- Daje ci prawo do niezeznawania przeciwko samemu sobie.

- W takim razie nie mów.

- Uszczęśliwiłoby cię to?

- A co moje szczęście ma z tym wspólnego?

Uśmiechnął się lekko.

- Tego właśnie usiłuję się dowiedzieć. - Pochylił się i wziął ją za rękę, jakby właśnie podjął decyzję. - Miała na imię Greta. Byliśmy małżeństwem przez pięć lat.

Czekała. Wyczuwała w nim większe napięcie niż w czasie wspinaczki, nawet większe niż podczas rozmowy ze Struthwickiem. Twarz miał ściągniętą, zbielełe skrzydełka nosa i sztywność w kącikach ust.

- I po tych pięciu latach odeszła ode mnie - powiedział drewnianym głosem. - I zabrała naszą córkę Charlotte. Nazywaliśmy ją Lotty. Zabrała Lotty ze sobą. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej skórzany portfel. - Mam jej zdjęcie, jeżeli chcesz zobaczyć.

- Naturalnie.

Podał jej sfatygowaną, postrzępioną na brzegach fotografię. Przedstawiała uśmiechającą się do obiektywu dziewczynkę w wieku czterech, może pięciu lat, o jasnych włosach i prostych, jakby ściętych zębach.

- Jest śliczna.

- Nie ma znaczenia, czy jest śliczna, czy nie. Jest moją córką.

Diana skuliła się wewnątrz.

- Ale i tak jest śliczna-powtórzyła.

- Wybacz, Diano. Przepraszam cię.

- Nic nie szkodzi, naprawdę.

- Ależ tak.

Przeprosiny dodały jej śmiałości.

- Kiedy to wszystko się stało?

- Och, chyba w trzydziestym ósmym. Czy można podać konkretną datę? Opuściła mnie w trzydziestym ósmym. Byliśmy szczęśliwi przez te pięć lat, czasami nawet bardzo szczęśliwi. Oczywiście nie lubiła, gdy wyjeżdżałem w góry, lecz czy to wystarczający powód do odejścia? Może tak naprawdę nic do mnie nie czuła. Kto to wie? Chyba tylko ona.

- Nigdy ci nie powiedziała, nie rozmawiała z tobą, niczego nie wyjaśniła?

- Nie. Po prostu odeszła. Jednego dnia jeszcze była, a drugiego zastałem pusty dom i list.

- To okropne.

Spojrzał na nią. Nagle jakby się postarzał.

- Tak, okropne.

- Czy kochała kogoś innego?

Jak ona śmiała o to zapytać? Mimo to czuła, że ma władzę nad tym mężczyzną,

władzę bez odpowiedzialności, co wydało jej się niebezpieczną kombinacją.

- Prócz siebie?

- I pewnie Lotty.

Uśmiechnął się.

- Myślę, że miała kochanka, choć nie jestem pewien.

- A ty?

Pokręcił głową i odwrócił twarz w stronę okna. Chmury po niedawnym deszczu zaczęły się rozstępować i na zachodzie pojawił się skrawek nieba. Może była to zapowiedź poprawy pogody.

- Nigdy jej nie zdradziłem - powiedział z naciskiem. - Nigdy.

- Przepraszam. Nie powinnam oczekiwać, że zechcesz rozmawiać ze mną o takich sprawach.

Nie zwrócił na jej słowa uwagi.

- Od ponad roku nie miałem od niej żadnych wiadomości. Od czasu do czasu przysyłała list z informacjami o Lotty.

- List? - powtórzyła z trwogą i oburzeniem. - Dlaczego nie możesz zobaczyć się z Lotty? Przecież jest twoją córką! Nie masz prawa jej widywać?

Roześmiał się. Nie do końca było jasne, czy śmieje się z siebie, czy z niej. Zrobił to jednak na tyle głośno, że ściągnął na siebie uwagę innych gości, którzy obrzucili go pełnymi dezaprobaty spojrzzeniami.

- Bo Greta jest w Niemczech, Diano. Czyjej imię nie dało ci do myślenia? Jest Niemką. Moja córka jest teraz Niemką, dzieckiem Trzeciej Rzeszy. Mieszkają gdzieś pod Frankfurtem. - Pokręcił głową. - Może powinienem użyć czasu przeszłego: była, mieszkały. Jeden Bóg wie, gdzie są teraz.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nie masz za co przeproszać.

- Ja tylko... - Urwała i zaczerwieniła się, czując się jak głupia dziewczynka w obliczu nieszczęścia dorosłych. - Czy nadal ją kochasz? - spytała, chociaż nie bardzo wiedziała, czym jest miłość. Nie była nawet pewna, czy to coś jednostkowego, co się nabywa jak odrę lub grypę, czy też jest to skomplikowana sprawa, która draży ciało i unieszczęśliwia.

Wzruszył ramionami.

- No i co teraz o mnie myślisz? Jak wygląda teraz ten szlachetny Guy Matthewson? Przynajmniej już wiesz, dlaczego jestem przeciwny służbie wojskowej.

- Nie oceniam cię, Guy.

- Nie?

- Nie.

Oczy zaczęły ją piec. To śmieszne, bo piekły ją od łez.

- Czy chciałabyś, żebyśmy utrzymywali ze sobą kontakt, kiedy się rozstaniemy? - zapytał nieoczekiwanie. - Może moglibyśmy do siebie pisać.

- Oczywiście.

- Dziękuję. To byłoby wspaniałe. Moglibyśmy wymieniać się cytatami z *Alicji w krainie czarów*.

- Może znajdą się jeszcze inne tematy.

Skinął głową.

- Może. - Pochylił się nad tacą z dzbankiem, chociaż herbata była już zimna, a ciastka nie nadawały się do jedzenia. - Czy zjadłabyś ze mną kolację dziś wieczorem? - spytał.

- Janie...

- Naturalnie. - Uśmiechnął się lekko. - Nie szkodzi. Chcesz być ze swoimi przyjaciółmi.

- Nie mam co na siebie włożyć. To chciałam powiedzieć. Mam tylko to, co na sobie.

- To nie ma znaczenia.

- W takim razie chętnie.

- Może... - Dolał sobie herbaty. Zauważyła, że ręka mu drży. - Może zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa?

- Towarzystwa?

- Tu, w hotelu. Skoro zjemy razem kolację. Pomyślałem, że mogłabyś wynająć tu pokój, jeżeli znajdzie się jakiś wolny...

- Ale...

- Oczywiście byłabyś moim gościem. To trochę niezgodne z zasadami, ale...

- Tak.

- Przepraszam. To głupia propozycja.

Odwróciła wzrok.

- Powiedziałam: tak.

- Czuję się ostatnio trochę samotny - ciągnął. - Ty wkrótce wyjedziesz do Londynu, a mnie czeka ten proces. Bez względu na to, jak bardzo bym tego pragnął, kontakt może być utrudniony. Pomyślałem więc, że moglibyśmy spędzić ten czas razem.

- Tak - powtórzyła cicho, patrząc nie na niego, lecz na dolinę za oknem.

Wypogodziło się. Słońce zachodziło za górskie szczyty wśród pobojuwiska

poszarpanych chmur. Niebo tonęło w czerwieni, czerni i szarości. Wyglądało to jak wizja zbombardowanego miasta, posępnych ruin na tle płomieni.

- Dobrze - powiedziała. - Jeżeli zawieziesz mnie do schroniska, zabiorę stamtąd moje rzeczy. Może lepiej zrobić to teraz, zanim wrócą moi przyjaciele. Nie będę musiała niczego wyjaśniać.

- Tak, oczywiście.

Niestety, wrócili. Kiedy weszła do środka, posłyszała ich głosy w jadalni. Przystanąła i słuchała. Hilda mówiła coś z pretensją do Erica. Oskarżała go o to, że przez niego zabłądzili na szczycie. Zabrzmiał śmiech i słowa protestu, ktoś stanął w obronie oskarżonego. Diana minęła szybko drzwi do jadalni i poszła na górę. Wydało jej się, że słyszy czyjeś wołanie, lecz nikt nie przyszedł. Pospiesznie zebrała swoje rzeczy i wepchnęła je do plecaka. Guy zapewnił ją, że w hotelu nikt nawet nie mrugnie okiem na widok kogoś w grubych butach, z plecakiem i w sportowym stroju. Od pół wieku przyjmowali u siebie wspinaczy i turystów.

Zaczęła ponownie nasłuchiwać. Z jadalni na dole wciąż dochodziły głosy, co oznaczało, że nadal rozmawiają. Kiedy jednak zeszła po schodach z plecakiem przewieszonym przez ramię, zastała w hallu Meg. Stała z dłońmi opartymi na biodrach, jakby szukała zaczepki.

- A więc to jednak ty. Wydawało nam się, że słyszeliśmy motor. Dokąd, u licha, się wybierasz? Przeczytałam twój słodki liścik, ale...

Diana wzruszyła ramionami. Czowała, że się czerwieni.

- Przenoszę się do hotelu we wsi.

- Do hotelu? Dlaczego? Schronisko ci nic wystarcza? - I nagle zrozumiała. - Chodzi o twojego nowego znajomego, pana Matthewsona, tak?

- Jem z nim kolację.

- Di, czyżbyś zamierzała zrobić coś bardzo głupiego?

- Będę miała własny pokój, jeżeli o to pytasz. Dla jednej osoby. Nie sprzedaję ciała ani duszy. Tak po prostu będzie wygodniej, biorąc pod uwagę, że potem zapadną kompletne ciemności i on nie będzie mógł...

- Och, Di. - Na twarzy Meg smutek mieszał się z rozczarowaniem.

Diana poczuła nagły przypływ gniewu.

- Możesz sobie mówić, co chcesz, myśleć, co chcesz, i robić, co chcesz. Mam dziewiętnaście lat, w przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Londynu i Bóg jeden wie, co się stanie ze mną, z tobą czy z nim. Chcę więc zrobić to teraz, bo poprosił, bym była jego gościem. To wszystko.

- Cóż za dramatyczna przemowa! Dobrze to sobie przemyślałaś?

- Och, na litość boską!

Chciała ją minąć, lecz Meg złapała ją za rękę.

- Diano, robisz coś bardzo niemądrego.

- Meg, proszę, puść mnie.

Meg cofnęła rękę i poszła za nią na parking, gdzie czekał Guy na motocyklu. Obrzuciła go długim chłodnym spojrzeniem. Była w tym mistrzynią.

- Di postąpiła bardzo nie fair, zatrzymując pana wyłącznie dla siebie.

Zmieszał się.

- Zapowiada się na świetną alpinistkę.

- Nic dziwnego, skoro ma takiego nauczyciela.

Zapadła pełna napięcia cisza, jedna z tych chwil, kiedy ludzie mierzą się wzrokiem i kalkulują. Jak w brydżu. Meg świetnie grała w brydża. Była świetna jeszcze w wielu rzeczach.

- No cóż - powiedziała. - Proszę nie zapominać, że ona ma przyjaciół.

Odwróciła się i poszła do schroniska. Z piersi Guya wyrwało się ciężkie westchnienie, jakby przez cały czas wstrzymywał oddech.

- Bardzo się o ciebie troszczy.

- Nieprawda. Jest po prostu zazdrosna. Albo zawistna. Jedno z dwóch, nie jestem tylko pewna, które.

Roześmiał się i kopnął starter. Silnik obudził się do życia. Był to znajomy i dziwnie uspokajający dźwięk.

- Wskakuj.

Reflektor rzucił wąski i zbyt nikły snop światła na drogę.

- Przekłęte zaciemnienie! - krzyknął Guy, kiedy wyjechali na drogę. - Przekłęte zaciemnienie, przekłęta wojna i wszystko inne. Z wyjątkiem ciebie.

3

Jej pokój okazał się pustą klitką na hotelowym poddaszu. Miał spadzisty sufit, trzeszczącą podłogę i niedające się otworzyć okno. Pewnie była to służbówka, którą udostępniono gościom, gdy zabrakło pokoi. Przy ścianie stało łóżko, przy nim nocny stolik z lampką w kształcie wieży Eiffla, dalej szafa z zacinającymi się drzwiami i komoda z lustrem, pełniąca jednocześnie rolę toaletki. W rogu drewniana umywalka z porcelanową miską i wielkim dzbanem z zimną wodą. Nigdy nie bywała w hotelu, ale jeśli tak wyglądały pokoje hotelowe, to nie różniły się od tych w pensjonatach, w których mieszkała z rodzicami w

czasie wakacji. Czulo się tu taką samą atmosferę tymczasowości i nijakości. Na jednej ze ścian wisiał sztych przedstawiający potężną górę. „Snowdon” - głosił podpis. Były na nim również owce - i żadnego wspinacza.

Kiedy odwróciła się od obrazka, dostrzegła kątem oka swoje odbicie w lustrze, tak jak dostrzega się znajomą twarz w dworcowej poczekalni.

- Diano Sheridan, co ty tutaj robisz, na Boga? - spytała.

Twarz w lustrze skrzywiła się, lecz nie odpowiedziała. Prawdę mówiąc, Diana nie umiała na to odpowiedzieć. Chwilowy kaprys, nic więcej, ale jakże wymowny. Dotychczas nie kierowała się w życiu kaprysami. Może sprawiła to wojna, czy raczej groźba wojny. Co rodzice by o tym pomyśleli? Czy kiedykolwiek się o tym dowiedzą? Niepokój jako przeciwwaga oczekiwania. Niepokój prowadzi do strachu, tak jak oczekiwanie do ekscytacji. Kto to powiedział? Może ona to wymyśliła. Lecz czy to miało sens?

Wypakowała z plecaka te kilka sztuk ubrań, które ze sobą zabrała. Rozłożyła na łóżku jedyną spódnicę, a nad nią jasnoniebieską bluzkę z żabotem, odkładaną na podróż do domu. No cóż, muszą wystarczyć. Wzięła bluzkę i przyłożyła do siebie, żeby zobaczyć, jak wygląda. Uznała, że może być. Miała jeszcze kardigan, który również prezentował się nieźle. Nie zabrała jednak pończoch ze sobą. Teraz, gdy groziło racjonowanie odzieży, były zbyt cenne. Pozostawały więc tylko krótkie skarpetki. Nie wzięła także przyzwoitych pantofelków na obcasach, jedynie płaskie sznurowane, pasujące raczej do szkolnego mundurka. Zresztą i tak nie włożyłaby przecież skarpetek do butów na obcasach. Ubrała się i spojrzała w lustro. Po drugiej stronie nie było innego pokoju jak w książce Carrolla, jedynie ten, który otrzymała, zwykły i nieciekawym, jeżeli nie liczyć faktu zbliżającej się wojny i zawarcia znajomości z panem Guyem Matthewsonem. Przysunęła się bliżej lustra i przyjrzała swojej twarzy. Alicji też nie dostrzegła, jedynie nieładną Dianę Sheridan. Ludzie oczywiście prawili jej komplementy w rodzaju „masz śliczne oczy” i „jakie wymowne są te usta”. Zwłaszcza Meg w tym przodowała. Lecz wiadomo, że jeśli wychwała się szczegóły, to całość jest do kitu. Według własnej oceny była brzydka - ucziwa i przyzwoita, lecz brzydka. Amerykanie mieli na to określenie - pospolita. Usłyszała to kiedyś w kinie. Była pospolita.

Żałowała, że nie wzięła ze sobą szminki. Poszczypała więc policzki, by nadać im kolor, i oblizała wargi, żeby błyszcząły. Sposoby na krótką metę. Rozpuściła włosy i potrząsnęła głową, aby nabrały życia, po czym rozczesała je po dwadzieścia razy z każdej strony, obracając głowę na boki i zaczesując je do tyłu. Spróbowała się uśmiechnąć tym swoim nieśmiałym uśmiechem, który nigdy nic wyrażał tego, co czuła. Potem wykrzywiła się do swojego odbicia i zeszła na dół poszukać Guya.

W barze siedzieli goście. Przestraszyła się. Jeden z nich wstał i podszedł do niej. To był Guy. Miał na sobie szare flanelowe spodnie i blezer.

- Czego się napijesz? - spytał.

Tego też się przestraszyła, bo nigdy nie była w barze i nigdy dotąd nie piła alkoholu, z wyjątkiem kieliszka wina na którymś weselu czy na święta Bożego Narodzenia.

- Ja zamówiłem dżin z tonikiem - przyszedł jej z pomocą.

Poprosiła więc o to samo, a potem trzymała ostrożnie kieliszek, żeby przypadkiem nie wysunął się z dłoni i nie spadł na podłogę.

Czy ona pali?

Nie.

Czy nie ma nic przeciwko temu, żeby on zapalił?

Nie ma.

- A oto karta.

Podał jej dużą skórzaną okładkę, która wyglądała jak teczka na dokumenty.

- Jaka duża - stwierdziła.

Lecz w środku leżała mała, źle wydrukowana kartka papieru informująca o zupie Brown Windsor, ziemniakach, marchewce i czymś, co się nazywało „szponder”. Zanieśli menu do jadalni i zajęli miejsca naprzeciwko siebie przy stoliku pod oknem. Struthwick, siedzący przy stoliku obok, kiwnął im głową z uśmiechem. Diana zaczerwieniła się. Do dania zamówiła małe piwo, a Guy pół kwarty. Wino byłoby lepsze, wyjaśnił, niestety, rzadko można je teraz dostać. Uniósł szklankę i zaproponował toast, który był właściwie pytaniem.

- Za nas?

- Jeśli chcesz - odparła, wzruszając ramionami. - Za nas.

Rozmawiali o minionym dniu i o planach na jutro, o tym, gdzie chodziła do szkoły i gdzie on studiował i czy powinna pójść na uniwersytet w Liverpoolu, czy nie. Opowiadali o swym miejscu zamieszkania, o rodzicach i krewnych, nawet o Lotty, tylko nie o żonie Guya. Kiedy wypili kawę, on zaproponował spacer - oczywiście, jeżeli nie jest zbyt zimno - wyszli więc z hotelu i ruszyli wzdłuż jeziora, czarnego i połyskującego niczym obsydian. Starannie przestrzegano zaciemnienia, dlatego z hotelu nie docierała nawet smużka światła. Na szczęście niebo rozjaśniała jeszcze luna zachodzącego słońca. Nad doliną Gwynant zawisł sierp księżycy. Na zachodzie, nad czarnymi stożkami Snowdonu, migotała samotna gwiazda.

- To Arktur - wyjaśnił Guy, gdy mu ją pokazała.

Czy on znał się na gwiazdach? Pewnie wspinanie się wymaga takiej wiedzy. Dzięki gwiazdom można określić kierunek. Diana zaczęła się rozglądać, szukając Oriona. Jego

znajomy kształt zrekompensowałby jakoś oddalenie i przerażający chłód, bijący od tych punkcików na niebie. Czasami nienawidziła gwiazd za ich piękno. Tym razem jakoś nie mogła wypatrzeć Oriona ani żadnej innej znanej konstelacji. To tak, jakby znalazła się w obcym kraju bez znajomych punktów odniesienia. Guy roześmiał się, gdy mu się z tego zwierzyła.

- Patrz, tam jest Wielki Wóz. - Obrócił ją i wskazał na niebo. - Zawsze go widać. Obawiam się jednak, że Orion jest teraz poniżej linii horyzontu. Pewnie właśnie na nim stoimy.

- Stoimy na Orionie?

Przebiegł ją dreszcz na myśl o tym, że Orion może być pod ich stopami, że wszechświat otacza ich ze wszystkich stron, jest zarówno pod nimi jak i nad nimi, że są zawieszani w jego bezmiarze, że gwiazdy, planety, mgławice są wokół nich. Zakręciło jej się w głowie od tej myśli.

- To przerażające, prawda?

Wziął ją za rękę.

- Nie powinnaś się bać. Byłaś dziś taka dzielna, że nie musisz się już niczego bać.

Stali chwilę, trzymając się za ręce, po czym on zrobił krok w jej stronę i pocałował ją.

Oczywiście spodziewała się tego. Nie była głupia czy naiwna. I nie pierwszy raz się całowała. Miała wcześniej sympatie, jedną nawet miesiąc temu, ale chłopak zaciągnął się do wojska. Przebywał teraz gdzieś w Szkocji i nadal pisał do niej listy. Miał na imię Andy. Poznała go w Lake District w czasie wycieczki z towarzystwem turystyczno-krajoznawczym. Lecz po raz pierwszy całował ją mężczyzna. Andy i inni chłopcy to jej rówieśnicy, Guy Matthewson zaś był mężczyzną, pewnym siebie, silnym i niezależnym. W czasie pocałunku obejmował ją w talii, tak jak robili to na filmach. Nagle rozchylił wargi i ostrożnie dotknął językiem jej zamkniętych ust. Zaraz też ją puścił.

- Nie chcesz tego? - zapytał.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Nie, w porządku.

- Przepraszam, jeżeli cię wykorzystałem...

- Nie, wcale nie.

- Nie bardzo wiem, co się dzieje.

- Powiem ci, jeśli chcesz.

Roześmiał się cicho.

- No to powiedz.

- Spotkałeś w górach miłą, młodą dziewczynę, która czuje do ciebie sympatię...

- Tylko tyle?

- I chyba uległa twojemu urokowi. Biorąc pod uwagę te dwie rzeczy, możemy zrobić z siebie głupców, jeżeli nie będziemy ostrożni.

Wziął jej dłoń w obie ręce.

- Jeżeli chcesz to przerwać, uhonoruję twoją decyzję.

Słowo „honor” brzmiało uroczyście i trochę zbyt donośnie.

Tak zwykle mówił ktoś, kto już wkrótce miał postąpić bardzo niehonorowo. Adolf Hitler nadużywał słowa „honor”.

- Zapomnij o honorze - powiedziała. - Ostatnio bardzo stracił na wartości.

Ponownie się roześmiał. W nikłym świetle dostrzegła błysk jego zębów.

- Naprawdę wyjątkowa z ciebie dziewczyna, Diano Sheridan. Tak właśnie myślisz?

- To nie jest kwestia myślenia, to fakt.

- To brzmi jak cytaty z *Alicji w krainie czarów*. Skoro to jest fakt, to co o nim myślisz?

Odwróciła się od niego i przesunęła machinalnie ręką po włosach. Co ona właściwie myślała?

- Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć, Guy. Myślę, że możemy już nigdy się nie zobaczyć. Wkrótce wyjeżdżam do Londynu i jeden Bóg wie, co się tam będzie działo. A ty musisz stawić czoło trybunałowi.

Poczuła, że zeszywniał. Najwidoczniej zapomniał o czekającym go procesie; ich znajomość zapewniała to, co dawała mu wspinaczka - zapomnienie.

Odwróciła głowę w jego stronę.

- Myślę, że z przyjemnością zrobię z siebie głupca.

- To zabrzmiało bardzo wyrachowanie.

- Och, potrafię rachować. Niezła ze mnie matematyczka.

- Czy to sprowadza mnie do kategorii problemu?

- Raczej zagadki.

- Jaka więc jest odpowiedź?

- Nie ma na to odpowiedzi. W przeciwnym razie nie byłoby zagadki.

Znalazszy się w swoim pokoju, Diana przebrała się w koszulę nocną. Odrzuciła kołdrę i położyła czystą chusteczkę na nocnym stoliku. Miała wrażenie, jakby przygotowywała się do jakiegoś zabiegu, do czegoś, co mogło jej się przydać w pracy pielęgniarki. Następnie umyła zęby, wsunęła się pod kołdrę i położyła na wznak, wpatrując się w spadzisty sufit, pęknięcia w ścianach i ciemną plamę od wilgoci. Czowała w ustach zapach

mięty i piasek na zębach, gdy przesunęła po nich językiem. Była jak dziecko, które czeka w łóżku na coś, co ma się zdarzyć - na wyzdrowienie, na późny powrót ojca z pracy, na punkt kulminacyjny rodzinnej kłótni.

Wsluchiwała się w otaczające ją dźwięki - szum wiatru w rynnach, stuk zamykanych drzwi, przyciszone głosy gości. Wszystko to w końcu ucichło. Jakies pół godziny później rozległy się kroki na schodach, skrzyp nodłogi na korytarzu i ciche skrobanie w drzwi. Równie dobrze mogła to być mysz ukryta za boazerią. Zgasiła lampkę.

- Proszę! - zawołała półgłosem.

Drzwi się otworzyły. Do wnętrza wpadł blady snop światła i na jego tle ujrzała sylwetkę mężczyzny. Po chwili drzwi się zamknęły i pozostała jedynie świadomość jego obecności i ciche kroki na podłodze.

- Gdzie jesteś? - posłyszała jego głos nad sobą.

- Tutaj.

Niewidzialna dłoń dotknęła jej twarzy. Diana chwyciła ją, wyczuwając ścięgna, kości i twarde krawędzie paznokci. Doznała tego samego wrażenia jak podczas wspinaczki - uczucia strachu i podniecenia tak ze sobą przemieszanych, że trudno było je od siebie odróżnić. Odrzuciła brzeg kołdry i odsunęła się na tyle, na ile mogła. Guy drżał na całym ciele, kiedy kładł się przy niej.

- Drżysz z zimna - szepnęła.

- Nie z zimna, raczej z obawy.

Czuła jego oddech na szyi, jakby słowa miały swój ciężar.

- Chyba nie z obawy przede mną. - Zaśmiała się na samą myśl o tym.

- Boję się o nas. O to, co może się stać.

- Czy to ważne, skoro oboje tego pragniemy?

Roześmiał się i zaczął delikatnie całować jej twarz, jakby badał jej strukturę - powieki, kości policzkowe, nos, drobny meszek nad górną wargą, wreszcie miękką linię ust - jakby chciał poznać ją jedynie przez dotyk. Podciągnął w górę koszulę nocną i zaczął pieścić jej brzuch.

- Guy.

W jej głosie zabrzmiał ton niepewności. To imię wciąż było dla niej obce, nowe i nieznanne.

- Guy.

- Diano - wyszeptał. - Diano.

Ta wymiana imion niosła w sobie równie wielki ładunek intymności jak to, co się

między nimi działało, jak jej bezwstydną reakcją na jego śmiały dotyk. Wygięła ciało w łuk. Nagła rozkosz wypełniła jej ciało niczym błysk światła rozpraszający ciemności.

- Guy - szepnęła, jakby chciała go ostrzec przed niebezpieczeństwem. - Guy, bądź ostrożny.

Zaraz jednak było za późno na ostrzeżenia, bo już lecieli w dół. Doznanie było tak silne, że nie mogła powstrzymać krzyku, czując jednocześnie wszechogarniające upojenie i strach. Wiedziała, że wszystko ma swój kres, lecz nie dbała o to, liczyło się jedynie owo uczucie spadania, szaleństwo myśli i Guy obejmujący ją kurczowo.

Ranek wstał chłodny i czysty. Guy zostawił ją o świcie i spali każde osobno. Kiedy spotkali się w korytarzu przed zejściem na dół, powitali się z dziwną mieszaniną nieśmiałości i czułości.

- Jak się czujesz? - zapytał. - Wszystko w porządku?

Pochylił się i pocałował ją w policzek, niczym wujek całujący ulubioną bratanicę. Czy pragnęła czegoś więcej? Czowała, że powinno być coś więcej, jakaś forma uczczenia tego, co się stało, potwierdzenie, że teraz łączy ich coś trwalszego niż konopna lina.

Zjawili się na śniadaniu pierwsi. Dobrze, że nikt nie widział ich wchodzących razem do jadalni. Diana wzięła gazetę, by zająć myśli czymś innym. Prasa donosiła o spokojnym dniu. Na Norwich spadły bomby, ale spowodowały niewielkie szkody. Nie było strat w samolotach ani po stronie wroga, ani RAF-u.

- W taki dzień jak ten możemy zmierzyć się z czymś trudniejszym - powiedział Guy, jedząc grzankę.

Czy ona miała ochotę na podejmowanie wyzwań? Przypomniała sobie, jak leżał na niej nagi, i zaczerwieniła się pod wpływem tej myśli, chociaż siedzieli w jadalni, a stary kelner krążył między stolikami. Dziwne to było wspomnienie, takie namacalne, jakie mógłby mieć ślepiec, składające się z dotyku, parcia i rozkoszy, i tego wrażenia spadania, i nagłego zatrzymania. Diana posiadała jakąś jego część i chciała o tym porozmawiać. Powstrzymywała ją jednak obojętność Guya, jego rzeczowy ton, gdy mówił, co zaplanował dla nich na dziś. Spodziewała się, że będzie jakiś inny, tymczasem pozostał taki jak przedtem - energiczny, powściągliwy i lekko bezosobowy.

- Myślę, że pójdziemy na Bochlwyd. Możemy zrobić coś na Glyder Main Cliff. Na przykład drogę na wprost. Spodoba ci się ta trasa.

Spędzili więc ten ostatni poranek w górach, wspinając się na kolejną skałę, manewrując liną i krzycząc do siebie z dwóch jej końców. Nie była w stanie pokonać jednego fragmentu drogi i musiała go obejść z lewej strony. Każda formacja w ścianie miała swoją

nazwę - wałek, weranda, rozpadlina. Brzmiał w nich żartobliwy ton jakby wymuszonej zabawy i umyślnych niedopowiedzeń, ton przeszłości. Wpadła w panikę, kiedy musiała przejść trawersem do właściwej drogi wspinaczkowej. Miała pokonać gładką płytę jedynie przy użyciu chwytów, bo stopy ślizgały się po pozbawionej rzeźby skale. W połowie drogi siły odmówiły jej posłuszeństwa. Nastąpiło to nagle i bez ostrzeżenia.

- Zaraz odpadnę! - krzyknęła. - Guy, ja spadam!

Lina biegła ukośnie i zniknęła gdzieś daleko w górze. Gdyby Diana odpadła, wykonałaby obszerny ruch wahadłowy w poprzek skały, na której stał Guy.

- Zaraz spadnę! - wrzasnęła.

W jego głosie brzmiał zupełny spokój i opanowanie.

- Nic podobnego, Żółwiu. Unieś lewą nogę i wsuń ją w szczelinę. To niezbyt eleganckie, za to bezpieczne.

Wisząc na słabnących rękach i drapiąc bezradnie stopami po ścianie, zdołała w końcu zdrzeć nogę, tak jakby wsiadała na męski rower. Poczuli się trochę lepiej.

- Ale jak, u diabła, mam ruszyć z miejsca?!

- Jest niedziela - padła odpowiedź. - Takie słownictwo jest nie na miejscu.

- Cholerna niedziela! Chcę się stąd wydostać.

- No to musisz klinować stopy.

- Nie mogę.

- No cóż, kochanie, nie masz wyjścia. Chyba że chcesz stać się częścią tej słynnej skałki. Nazwiemy cię Żółwiem. Już widzę te słowa w przewodniku: „Ciekawy twór skalny upamiętniający heroiczną próbę podjętą na początku lat czterdziestych”.

- Och, zamknij się!

Żartobliwe uwagi Guya poskutkowały. Diana znalazła ukryte gdzieś głęboko rezerwy sił i zdołała dźwignąć ciało w górę, opierając się na zaklinowanej lewej nodze i odpychając się rękami, podczas gdy prawa stopa szorowała bezradnie po powierzchni ściany. W końcu dotarła na półkę, gdzie Guy założył stanowisko asekuracyjne. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Kochanie, byłaś wspaniała - powiedział.

Wtedy wybuchnęła płaczem.

Po pokonaniu ściany weszli wyżej, by podziwiać widok. Szczyt przypominał rodzaj plateau - krainę zwietrzałych, pokruszonych skał, pocętkowanych słonecznymi plamami. Rozciągał się stąd rozległy widok na połowę północnej Walii, łańcuchy górskie i połyskujące w oddali morze. Był to pradawny, znużony wiekiem kraj obraz. Pomimo świeżącego słońca i

cieni chmur na zboczach sprawiał wrażenie smutnego i pokonanego.

Guy mówił o czekającym go trybunale i ludziach, którzy będą się wsłuchiwać w jego chaotyczne wyjaśnienia, dlaczego nie chce walczyć, a potem zadawać wnikliwe pytania i kręcić głowami na wymijające odpowiedzi.

- Chyba się zabiję, jeżeli wtrąca mnie do więzienia - stwierdził.

- Oni nie wtracają do więzienia - zaprotestowała.

- Kto wie? Byłoby łatwiej, gdybym oświadczył, że robię to ze względów religijnych. Lecz taki ktoś jak ja, bez wiary i przekonań, z żoną i córką, które są Niemkami...

Zaczął wiać zimny wiatr. Zeszli wzdłuż żlebu i zjedli lunch u stóp skały, przy otoczaku o bardzo odpowiedniej nazwie „Głaz Obiadowy”. Gdy nie wiał wiatr, słońce przyjemnie grzało. Diana położyła się w trawie i zapatrzyła w niebo, na którym samolot, wyglądający jak srebrny krzyżyk, ciągnął za sobą długi biały ogon. Warkot silnika dotarł do nich z opóźnieniem, jakby nie miał nic wspólnego z maszyną.

- Co teraz będzie, Guy? - spytała.

Roześmiał się.

- Mój drogi Żółwiu, przeżyliśmy wyjątkowo intensywne trzy dni. Poznaliśmy się, zakochaliśmy...

- Zakochaliśmy?

- A nie? - Odliczał na palcach, lecz teraz cofnął się o jeden. - Zakochaliśmy się, spędziliśmy wspólnie noc, przeszliśmy pięć dróg, zjedliśmy lunch i kolację, kłóciliśmy się, śmialiśmy i płakaliśmy. To było dość wyczerpujące. I ty jeszcze pytasz, co teraz?

Wybuchnęła śmiechem, zastanawiając się, czy on rzeczywiście ją kocha, a ona jego, i jaki sens o tym mówić, skoro wojna jest tuż-tuż, za horyzontem. Nie była naiwną dziewczynką. Wiedziała, że szczęście nie trwa wiecznie, niszczy je śmierć, choroba i tysiąc drobniejszych spraw. Lecz w tym momencie, leżąc na tonącym w słońcu zboczu, czuła się szczęśliwa.

Część trzecia

1

W czwartkowe wieczory w pubie White Horse przy Theobalds Road zbierali się ludzie. Przychodzili, by pogadać, jak jacyś członkowie tajnej organizacji terrorystycznej lub partyzanckiej. Porozumiewali się tajemnym językiem, szeptali po kątach, omawiając jakieś plany, nowe odkrycia. Należeli do różnych klas społecznych i pochodzili z różnych środowisk, a mimo to w tym pościgu za czymś nierealnym panowała dziwna demokracja. Nazwali się Londyńskim Klubem Wysokogórskim. Była to eklektyczna grupa z prawie taką samą liczbą kobiet co mężczyzn i taką samą liczbą dobrych i słabych alpinistów. Każdy mógł tu znaleźć własny poziom. Dwóch jego członków wróciło właśnie z Pakistanu po nieudanej z powodu himalajskiej burzy próbie zdobycia turni Trango. Inni starali się obłaskawić takie bardzo trudne drogi wspinaczkowe jak Grooved Arête czy Flying Buttress w północnej Walii. Jeden z członków twierdził, że w ogóle nie ma tu żadnego klubu.

- W każdym razie nie w ścisłym tego słowa znaczeniu - wyjaśnił. - To bardziej przypomina burdel.

To Jamie poznał mnie z tymi ludźmi. Robił właśnie magisterium w London School of Economics na jakimś kierunku z pogranicza socjologii i ekonomii, który cieszył się wówczas dużą popularnością. W tym właśnie czasie nastąpiła jego całkowita metamorfoza: Jamie zmienił się w Jima, głos nabrał ostrości i charakterystycznego londyńskiego akcentu. Piął się coraz wyżej po szczeblach alpinistycznej kariery, prowadząc coraz to nowe drogi, szukając dziewiczych, niezdoytych jeszcze turni.

Był znany w tym środowisku, ludzie słuchali, co ma do powiedzenia, zasięgali jego rad, okazywali szacunek. Kiedy wchodził do pubu, milkły rozmowy.

- To jest Robert Dewar - oznajmił, obejmując mnie ramieniem. - Mój stary przyjaciel i właściwie mój pierwszy partner wspinaczkowy, prawda, Rob? Byliśmy jeszcze wtedy dziećmi.

Ludzie unieśli głowy znad kufli z piwem, przerywając na chwilę rozmowy, i przywitali mnie z charakterystyczną dla alpinistów obojętnością, bo dla nich liczyło się jedynie to, czego dokonałeś i co masz w planach.

- Cześć, Rob - powiedzieli i pozwolili przysiąść się do stolika i przysłuchiwać rozmowom.

Przez dwa letnie miesiące wspinałem się z różnymi partnerami, jak tylko ktoś

potrzebował drugiego do zespołu. Jamie wyjechał w Alpy. Po powrocie z Francji zaproponował, żeby coś wspólnie zrobić. Jego stały partner właśnie objął posadę na uniwersytecie w Glasgow i Jamie został sam. Wtedy miałem już za sobą wyprawy do Walii i kilka dróg w rejonie przełęczy oraz imponujący wyczyn na zachodnim filarze Cloggy, wyczyn, który stał się w klubie czymś w rodzaju legendy. To nie była moja zasługa. Szliśmy drogą o nazwie Sheaf (Snop) i gość, który prowadził, zbieżył z niej do znacznie trudniejszego wariantu o nazwie White Slab (Biała Płyta) i utknął. Nie mógł się ruszyć ani w górę, ani w dół, tylko stał na koniuszkach palców z trzęsącymi się kolanami i zaklinowanymi palcami. Udało mi się przejść wyciąg bez asekuracji i założyć stanowisko, dzięki czemu mogłem mu spuścić linę. Byli świadkowie tej farsy, toteż Jamie nasłuchiwał się mrozących krew w żyłach opowieści pełnych portkach i bladych twarzach.

- Zdaje się, że masz do tego dryg - powiedział. - Zobaczmy, co z tego wyjdzie.

- Czemu nie - odparłem. - Tylko załatw mi pozwolenie.

- Nie potrzebujesz pozwolenia.

I tak zacząłem się z nim wspinać. W piątkowa wieczory po pracy ładowaliśmy plecaki do jego volkswagena campera w zapadającym zmroku wyjeżdżaliśmy z miasta drogą M1 na Birmingham do A5 w góry północnej Walii. W zespole wspinaczkowym istnieje jakby męska i żeńska forma współpracy: prowadzący jest tu stroną aktywną, dowodzącą, biorącą na siebie ryzyko; drugi na linie jest pasywny i pełni rolę wspierającą, tam gdzie to potrzebne. I chociaż światek alpinistyczny jest zróżnicowany, bywają takie zespoły, które przypominają małżeństwo. Nasz był właśnie taki. Kiedy z jakichś powodów jeden z nas nie mógł stawić się na piątkowe spotkanie, ten drugi traktował współpracę z innym partnerem jak krótki wstydlawy romans. Dzieliliśmy się prowadzeniem samochodu, jedzeniem, niemal wszystkim. Opracowaliśmy pewien schemat, sposób porozumiewania się ograniczoną do minimum liczbą słów, nauczyliśmy się dostosowywać jeden do drugiego i znosić własne słabości. Sypiałem obok niego, gotowałem razem z nim posiłki, piłem razem z nim, przygotowywałem sprzęt i wspinałem się na posępne wzgórza do stóp skały. A potem obserwowałem, jak Jamie pnie się w górę po jakiejś pionowej ścianie skalnej z lekkością i niemal kocią zręcznością.

- No dalej, mały! - wołał do mnie z góry, gdy przychodziła moja kolej. - Dasz radę, jeżeli tylko uwierzysz we własne siły. Wspinaczkę ma się w głowie.

Zacząłem patrzeć na świat jego oczami, dostrzegać na skałach linie dróg, cieszyć się na myśl o odkryciu nowej drogi, doświadczać czysto zmysłowej przyjemności z poruszania się w pionie, z naginania ciała do własnej woli, z prawie erotycznego kontaktu ze skałą. We wspinaczkę Jamiego wyczuwało się niezwykłą żywiołowość i zjednoczenie z górą. Wspinał

się znacznie lepiej ode mnie. Nigdy nie przestał być lepszy. Ja byłem, jak to mówią, solidny i niezawodny, a Jamie błyskotliwy i utalentowany. Ja polegałem na sile i determinacji, a Jamie wykorzystywał ciężar ciała, znał granice równowagi, specyfikę chwytów, subtelną dynamikę ruchu w pionie i poziomie. Instynktownie rozumiał fizykę wektorów i matematyczny trójkąt sił. Myślał ciałem. Pamiętam pewność jego mchów, spokojną metodyczność przy pokonywaniu trudnych wyciągów, szybkość, z jaką się posuwał, nawet na oblodzonej skale.

- Damy radę, mały - powtarzał często.

Wspólnie przeszliśmy trudne drogi na Cloggy i nadmorskie klify Anglesey. Była również dziwna nowa droga Jowisz na Dinas Mot i wypad późną jesienią do Szkocji, gdzie zrobiliśmy świetną drogę na Carn Dearg, kradnąc pomysł szkockim alpinistom, którzy się do niej bezskutecznie przymierzali. Zaczynała dochodzić do głosu ambicja.

Nadal spotykałem się z Eve. Była to niespokojna znajomość, podtrzymywana przez wzajemny pociąg, podkopywana przez wspomnienia, przerywana moimi wyjazdami w góry. Eve należała do jakiejś politycznej organizacji, która wydawała kiepsko drukowany tygodnik „Red Rag”. Przeciwwstawiali się kapitalistom, imperialistom, komunistom, wojnie i pokojowi.

- To za czym się opowiadacie, do cholery?! - krzyknąłem podczas jednej z kłótni.

Uśmiechnęła się i odwróciła to pytanie.

- A ty za czym się opowiadasz, Rob?

Wiedziałem, że spotyka się też z innymi chłopcami. Problem w tym, że potrafiłem dokładnie sobie wyobrazić, co z nimi robi.

- Skoro bez przerwy wyjeżdżasz z Jamiem Matthewsonem, to poszukaj sobie innej dziewczyny - powiedziała - takiej z owłosionymi nogami i niedomyteją, która lubi tę górską harówkę.

Zaprotestowałem. Tylko nie bardzo wiedziałem, przeciw czemu - przeciw przywiązaniu, sympatii, fascynacji, pożądaniu, tym wszystkim częściom składowym miłości, lecz bez niej samej. Eve była cudowną mieszanką sprzeczności, czasami jakby przeproszała za swoją urodę, jakby swój wygląd uważała za kontrewolucję.

- Może pojechałabyś z nami - zaproponowałem.

- Takie *ménage à trois*? Chyba żartujesz.

- Kiedyś podobał ci się.

- Ale potem poznałam ciebie. I w mojej głupocie zakochałam się w tobie.

- To burżuazyjne sentymenty.

- Wiem. Cały czas z tym walczę.

Śmiałyśmy się z takich rzeczy. To były beztroskie dni, pozbawione niepokojów o

partnera, które narastają z latami, jak mutacje powstające w komórkach wraz z wiekiem. Jej zdrady i moje wycieczki w góry nie czyniły większych szkód. Zrywaliśmy ze sobą po jakiejś kłótni, a potem schodziliśmy się, przepaszając się ze łzami w oczach i w bardziej zmysłowy sposób. Te zerwania nigdy nie trwały długo, wszystko dawało się naprawić. Czas leczył wszystkie rany, a mieliśmy go mnóstwo.

Po Nowym Roku zima na dobre zadomowiła się w Szkocji. Zaczęliśmy kursować z Jamiem między Londynem a Północą. W ciągu tygodnia rzadko się widywaliśmy - mieszkaliśmy w różnych częściach miasta - za to w piątek po południu ruszaliśmy w długą nudną podróż autostradą. Pamiętam te wyjazdy równie dobrze jak wspinaczki. Czy w mózgu istnieje jakiś mechanizm, który to reguluje? Wtedy liczyła się wspinaczka, a podróż była jedynie incydentem, męczącym interludium. Teraz jednak słyszę stukot chłodzonego powietrzem silnika gdzieś z tyłu za nami, radio nadające muzykę pop i widzę mijane tablice drogowe Birmingham, Manchester, Penrith, Carlisle i Jamiego za kierownicą z lekko pochyloną sylwetką, by mógł patrzeć przez przednią szybę, i twarzą, w której odbijały się światła tablicy rozdzielczej.

Pogranicze szkockie wyglądało jak tonący w czerni odludny obszar z płatami śniegu na północnych stokach. Glasgow wydawało się czymś w rodzaju nieba, gdy zatrzymaliśmy się przed domem dawnego partnera Jamiego, Davida Cattenacha, który zaopatrywał nas w żywność, whisky i wieści o warunkach w górach, o tym, kto na co wszedł, i o najnowszym nierozwiązanym problemie.

- Przekłęci Angole! - wykrzykiwał na nasz widok, kiedy wysiadaliśmy z furgonetki, odurzeni hałasem i nerwową drzemką. - Przyjechali zbrukać dziewicze szkockie szczyty tłustymi angielskimi łapskami.

Przez godzinę zapoznawaliśmy się ze specyfiką szkockiej wspinaczki, terminologii, obyczajów, koterii i hierarchii.

Potem znowu wsiadaliśmy do samochodu, czasami razem z Davidem, i jechaliśmy jeszcze przez kilka godzin, mijając czarny łańcuch Loch Lomond, Crianlarich i Bridge of Orchy z połyskującymi w ciemności potężnymi graniami. Kiedy opuszczało się szybę, otaczał nas zapach śniegu, a gdy spojrzano się w górę, można było zobaczyć bielejące w oddali szczyty, skąpane w świetle księżyca. W miejscu, gdzie szosa skręcała na zachód, na Moor of Rannoch, zatrzymaliśmy samochód i wysiedliśmy, by popatrzeć na Glencoe i masyw Buchaille Etive Mor, przypominający olbrzymi złamany ząb na tle nocnego nieba. Był to monochromatyczny świat, świat w negatywie, ze świecącym na białą śniegiem i pozbawioną światła skałą, wyglądającą jak ciemna czeluszka. Zimowe wspinaczki zapraszały. Na śmiałków

czekały zdradzieckie granie, odludne, oklejone śniegiem kotliny, strome śnieżne żleby i pionowe wstęgi lodu.

Na wiosnę znaleźli ciało ojca Jamiego. Myślę, że Jamie się tego spodziewał. Możliwość, prawdopodobieństwo, że go odnajdą, towarzyszyła mu przez całe dzieciństwo i młodość jak groźba choroby dziedzicznej. Wiedział, że ojciec gdzieś tam jest, zamknięty wewnątrz lodowca lub też zakonserwowany przez zimne, suche powietrze. Prędzej czy później jakaś wyprawa natknie się na niego.

Zadzwoił do mnie wcześniej rano.

- Widziałeś?

Co takiego?

- Wyjdź i kup „Timesa”.

Poszedłem, jeszcze nie do lcońca rozbudzony, do najbliższego kiosku i kupiłem poranne wydanie. Informacji nie zamieszczono na pierwszej stronie, lecz rzuciła się w oczy w części dotyczącej zagranicy. Była jakby stworzona dla „Timesa” - brytyjska, lekko absurdalna, nasycona bohaterstwem i klęską. „Od naszego korespondenta z Katmandu”. Dalej figurowała ziarnista fotografia ośnieżonego stoku i skalnego bloku z opartą o niego, zgarbioną postacią. Obok postaci widniała tyczka z czymś, co wyglądało jak szmatki suszące się na wietrze. „W dowód pamięci Amerykanie zatknęli buddyjskie chorągiewki modlitwne” - głosił podpis. Była również schematyczna mapka pokazująca, gdzie znaleziono ciało: szkicowy rysunek ściany Yalung z zaznaczoną wysokością: siedem tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt metrów.

„Wyprawa zabrała pewne przedmioty znalezione przy ciele pana Matthewsona - napisano w komentarzu. - Wśród nich jest prawdopodobnie ostatni list adresowany do jego żony”.

Później tego ranka zatelefonowałem do matki.

- Czytałaś o ojcu Jamiego?

- Oczywiście.

- Najwyraźniej siedział - powiedziałem.

- Tak...

- Oczywiście przykryty śniegiem, ale oparty o ścianę w pozycji siedzącej.

Zamarznięty.

- Tak, widziałam...

Jej głos zamarł. Pisnęła jak mały kociak. Nagle uświadomiłem sobie, że moja matka drży, ze strachu czy żalu lub z zimna.

- Biedny Guy - szepnęła. - Nienawidziłby całego tego zamieszania wokół swojej osoby.

Wieczorem tego dnia Eve i ja spotkaliśmy się z Jamiem w pubie. Przez cały dzień wojował z dziennikarzami i sprawiał wrażenie zdenerwowanego, jakby nie bardzo wiedział, jak ma się zachować, jakby nagle znalazł się na scenie i nie bardzo znał swoją rolę.

- Czy sprowadzą go na dół? - spytałem.

- To zbyt niebezpieczne. Wygląda na to, że zrobili mu taki prowizoryczny grób: przykryli kamieniami i odprawili ceremonię pogrzebową. Z modlitwami i tak dalej. - Zawahał się, upił łyk piwa i rozejrzał się po barze. - Zawsze wydawało mi się, że on żyje, że obejrzę się za siebie i... no wiecie, co mam na myśli. Mogłem z nim dyskutować o różnych sprawach, zadawać pytania i otrzymywałem odpowiedzi. To było wygodne. - Uśmiechnął się, jakby uważał to za absurdalne. - A teraz nagle on naprawdę nie żyje.

Eve wzięła go za rękę. Pamiętam, że poczułem ukłucie zazdrości na widok jej bladych, prawie przezroczystych palców oplatających jego dłoni. Okazała mu zrozumienie i troskę, kiedy jednak się z nim rozstaliśmy, jej uczucia uległy zmianie. Odniosłem wrażenie, że jest zła na nas obu, jakbyśmy byli odpowiedzialni za tę śmierć w odległych Himalajach.

- Alpinieści noszą w sobie pragnienie śmierci - stwierdziła z pretensją w głosie. - Oni ją uwodzą. To krańcowy eskapizm. Wy nie chcecie dożyć swych dni jako zramolali staruszkowie w domu starców. Ale kto, u diabła, pragnąłby zamarznąć na śmierć w wieku czterdziestu pięciu lat?

Zauważyłem z zaskoczeniem, że w jej oczach błyszczy Izy.

- Nikt - zapewniłem. - Nikt tego nie chce.

- Dlaczego więc spędzasz czas w tak cholernie głupi sposób?

Chciałem dotknąć jej policzka, lecz odepchnęła moją rękę.

- Nie chcę zostać dzielną wdową stawiającą czoło prasie, gdy zginiesz - powiedziała. - Jesteś tak głupi, że tego nie widzisz?

- Czy to oświadczyły? - spytałem, ale wcale jej tym nie rozśmieszyłem.

Kilka tygodni później himalaiści amerykańscy przywieźli Matthewsonom znalezione przy zmarłym przedmioty. Caroline uciekła do Walii przed prasą, a Jamie zatelefonował do mnie.

- Chcesz je obejrzyć, Rob? - spytał.

Zawahałem się.

- Czy to nie będzie trochę makabryczne?

- Chciałbym, żebyś je obejrzał.

Przyjechałem więc do niego. Stanęliśmy w salonie przed stosikiem przedmiotów, które równie dobrze mogłyby należeć do ofiary wypadku drogowego. Jamie przeglądał je bez większego zainteresowania. Były tam: zapalniczka z wygrawerowanym na niej napisem „Z wyrazami miłości M.”, stary skórzany portfel, pęk kluczy, nawet dwa bilety do teatru londyńskiego - pamiątki po przerwaniu bez ostrzeżenia życia.

- To chyba są klucze do Gilead House - powiedział Jamie, biorąc je do ręki.

Wydawał się jakiś roztargniony, jakby te przedmioty po ojcu obudziły stare wspomnienia, a on bez powodzenia próbował je odtworzyć.

- Słabo go pamiętam. Tak jakbym widział go na czarno - - białych fotografiach. Czy to nie dziwne? Nic pamiętam go w kolorze.

Oprócz przedmiotów były jeszcze zdjęcia, które zrobili Amerykanie. Jedno przedstawiało górskie szczyty, które znałem z pism i książek - na pierwszym planie Jannu przypominający kształtem kiel, a w oddali, na tle perłowobłękitnego nieba, Makalu i Everest. Poniżej szczytów poszarpane chmury. Na odwrocie ktoś napisał: „Widok z ostatniego biwaku”. Było również zdjęcie, które przedrukowała gazeta, ze skuloną postacią na białym zboczu, opartą o brązową skałę. Obok tkwił ten kijek z modlitewnymi chorągiewkami powiewającymi na himalajskim wietrze jak kawałki podartej bielizny rozwieszzone na sznurze.

Na ostatnim zdjęciu widniała maska, podobna do tej, której używały dzikie plemiona do odstraszenia złych duchów. Wyglądała jak zrobiona z kości słoniowej, z dwoma hebanowymi krążkami w miejscu oczu i poszarpanym trójkątnym nosem, z dwoma otworami na nozdrza. Były też usta wycięte w okrutnym grymasie, ze skurczonymi wargami i długimi zębami jak u trawozżernych. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że patrzę na twarz Guya Matthewsona.

- Niezbyt piękna, co? - stwierdził Jamie.

Zaśmiał się bez przekonania, po czym poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie potrafił. W jego oczach błyszczało podniecenie.

- I jeszcze to - odezwał się, rozkładając zniszczony skrawek papieru, wydarty z notesu.

Ostatnia wola i testament Guya Matthewsona spisane ołówkiem. Koślawe litery, jakby stawiane ręką dziecka, które dopiero zaczyna uczyć się pisać, składały się na dziwny tekst o charakterze pożegnalnym, niestety w większości nieczytelny. Duże litery sterczały jak wierzchołki wzniesień i były trudne do rozszyfrowania. Jamie wskazał na słowa „dobrze”, „zimno” i określenie „moim drogim chłopcem”. Nie było jednak jasne, co należało zrobić z jego drogim chłopcem. Może zaopiekować się. „Opiekuj się moim drogim chłopcem”. Jamie

usiłował przekonać mnie, że ostatnie słowa brzmiały „Kocham, Guy”. Ale nie dało się odczytać słowa Guy. Zachowało się tylko kółko i ogonek.

Cóż za ironia, pomyślałem, włożyć tyle wysiłku przed śmiercią, przytrzymywać kartkę grubą rękawicą, ścisnąć ołówek w spuchniętych i skostniałych palcach, starając się skupić na pisaniu, tylko po to, by nikt nie mógł tego odczytać.

- Twoja matka go znała, prawda? - powiedział Jamie. - Co ona o tym myśli?

Wzruszyłem ramionami.

- To było tak dawno - odparłem dyplomatycznie. - Jeszcze przed wojną.

Kiwnął głową.

- Jest w tym coś...

Zawahał się. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, jakby obawiał się, że wypowiadając na głos tę myśl, dopuści się zdrady.

- Co?

Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał właściwych słów.

- Nie wiem. Coś wyrachowanego, nie sądzisz? Myślisz, że chciał uciec?

- Uciec?

- Nie wiem. Może przed moją matką. Nie bardzo się im układało. I... - Urwał i spojrzał na kupkę drobiazgów. - Ona już wtedy miała kochanków. Wyrwało jej się coś takiego.

Poczułem gwałtowny ucisk w piersi. Czy on coś wiedział na ten temat? Postanowiłem zbagatelizować całą sprawę.

- Chyba nie myślisz, że chciał umrzeć. Nie bądź głupi.

- To wcale nie jest trudne - odpowiedział, kręcąc głową - Był sam na takiej wysokości, znacznie wyżej niż reszta ekspedycji, bez zapasu tlenu. W tych warunkach nietrudno przekroczyć granicę, skąd nie ma już powrotu.

- Daj spokój, Jamie. Nie bądź idiotą.

Musiałem jednak przyznać, że coś podobnego również przyszło mi do głowy. Wspinaczka jest pewnego rodzaju ucieczką, a śmierć ostatnią jej fazą. A to byłaby lekka śmierć. Brzmi okrutnie, ale prawdziwie. Hipotermia to lekka śmierć. Wbrew temu, co widać było na fotografii, Guy Matthewson nie umierał w męczarniach. Jego ciało powoli traciło ciepło, najpierw palce u nóg i rąk, nos, uszy i policzki, potem dłonie i stopy, następnie nogi i na koniec wnętrze. Procesy przemiany materii ulegały zwolnieniu i organizm robił się senny. Przy minus trzydziestu trzech stopniach Celsjusza zaczął zapominać, gdzie jest, jakie mu grozi niebezpieczeństwo i co powinien robić. Powoli tracił świadomość. Ponad wszystko na

świecie, ponad własne życie pragnął jedynie spać. Temperatura ciała spadła w tym momencie do około trzydziestu stopni. Nie czuł żadnego bólu. Po prostu usnął, snując marzenia. Marzenia i halucynacje stały się dla niego bardziej realne niż Himalaje czy troska o żonę pozostawioną w Anglii. Jeszcze kilka stopni niżej i nie żył. I zmieniał się w bohatera.

Tego roku Jamie zdawał się rwać do wielkich czynów. To tak jak złapanie wysokiej fali na desce surfingowej i wykorzystanie tej masy wody, która znacznie cię przewyższa, do własnych celów.

- Matthewson i Dewar - mówiono w pubach i barach, gdzie zbierali się alpinisci. - Słyszałem o nich. Są świetnym zespołem. Czy to nie syn Guya Matthewsona, którego znaleźli na Kangczendzondze? Jaki ojciec, taki syn.

Latem pojechaliśmy w Alpy. Mieszkaliśmy na błotnistym campingu, pamiętającym chyba jeszcze czasy średniowiecza, w dolinie Chamonix. Przez kilka dni dotrzymywaliśmy towarzystwa dwóm Australijkom, które zjawiły się pewnego wieczoru i rozbiły namiot tuż obok naszego, przeważnie jednak żyliśmy jak mnisi, zgodnie z rytmem dnia i wymogami wspinaczki. Trafiliśmy w rzadkie okno dobrej pogody. Dzieliliśmy czas między dolinę i górskie schroniska, między aktywność fizyczną i lenistwo. Naszym działaniom towarzyszyła niekwestionowana wiara w to, co robimy. W górach wszystko stawało się jasne i zrozumiałe, każdy problem dawał się rozwiązać. To tak, jakbyśmy uczestniczyli w pielgrzymce, poszukując objawienia, i - podobnie jak dla każdego pielgrzyma - ważniejsza dla nas była sama podróż od osiągnięcia celu.

- Nie chcę, żeby to się skończyło, Rob - stwierdził Jamie pewnego dnia.

Siedzieliśmy na półce biwakowej, sześćset metrów nad lodowcem Freney. Maszynka butanowa buzowała w zapadającym zmroku, a na ciemniejszym niebie migotały gwiazdy jak kryształki lodu. Jego słowa zabrzmiały niczym miłosne wyznanie. Jeżeli miłość ma pomagać ludziom zrozumieć świat i uczynić go racjonalnym, to on był zakochany.

- A jednak się skończy - ostrzegłem go. - Kiedy pieniądze nam się skończą.

Zaśmiał się w ciemności.

- Jesteś cholernym cynikiem, Dewar.

- Idealiście potrzebny jest cynik. Dzięki niemu nie przekracza granic rzeczywistości.

- Ale czy cynikowi potrzebny jest idealista? - spytał.

- Pewnie nie. Cynik zazwyczaj daje sobie radę sam. I nie pcha się tak wysoko z nadludzkim wysiłkiem.

Tego lata zdobyliśmy północno-wschodnią grań Droites, północną ścianę Grand Dni i centralny filar lodowca Freney na Mont Blanc. Z powodu śnieżycy, która szalała w górach

przez pięć dni i zabiła czterech innych alpinistów, musieliśmy się wycofać ze ściany Brouillard. Burze to oszalałe potwory pożerające pielgrzymów z całkowitą obojętnością. Kiedy wyłoniliśmy się z zadymki i weszliśmy w progi schroniska Monzino, powitały nas zdumione spojrzenia alpinistów, którzy w nim utknęli. Jakbyśmy wrócili z zaświatów.

2

Po powrocie z Alp zaszyłem się w moim londyńskim mieszkaniu, by jakoś poukładać sobie to moje tułaczne życie. Musiałem zarobić trochę pieniędzy, nadrobić zaległości w studiach i zobaczyć się z Eve. Kilka tygodni później, kiedy wydawało się, że moje życie zaczyna wracać do normalności, zadzwonił Jamie.

- Rob, dokonałem odkrycia. Musisz przyjechać i zobaczyć.
- Nie mogę się teraz wyrwać.
- A na weekend?
- Weekendy odpadają.
- No to w środku tygodnia. Przyjedź, nie zrób mi zawodu.

Protestowałem, choć wiedziałem, że nic nie wskóram, bo Jamiego opanowała tylko jedna myśl, od której nie sposób go odwieść. Pojechałem więc autostopem do północnej Walii i tego samego wieczoru spotkaliśmy się w pubie w Llanberis. Siedział samotnie przy końcu baru nad kuflem piwa, z tajemniczym uśmiechem na ustach. Nie do wiary, ale ucieszył mnie jego widok, konspiratorski uśmiech, zamyślane spojrzenie i wiecznie niespokojne ręce.

- O co chodzi? - spytałem. - Lepiej, żeby to było coś ważnego, bo Eve sądzi, że zwariowałem. Trudno się z nią nie zgodzić.

- Bo jesteś wariatem, Rob. Obaj jesteśmy. - Zerknął na boki, czy nikt nas nie podsłuchuje, po czym oznajmił szeptem: - Odkryłem klif. Klif nadmorski. Zupełnie dziewiczy. Jest absolutnie rewelacyjny.

Wybuchnąłem śmiechem. Byłem zły, że ponownie wciągał mnie w swoje plany, lecz rozbawiło mnie jego szaleństwo. Po naszej wyprawie w Alpy potrafił jeszcze znaleźć przyjemność w małych brytyjskich skałkach. To szaleństwo graniczyło już z obsesją.

Pojechaliśmy więc obejrzeć jego odkrycie. Znajdowało się w miejscu oddalonym od gór, nad mostem prowadzącym na wyspę Mona, którą kiedyś władali druidzi. Jechaliśmy wąskimi drogami, mijając nieznanne wioski, na szczyt klifu. Zobaczyłem pusty parking i tablicę ostrzegającą przed niebezpiecznymi urwiskami. Dalej była już Irlandia.

Jamie zatrzymał samochód. Wiatr szarpał furgonetką.

- Jesteśmy na miejscu. Nie ma tu nikogo. Żadnych wspinaczy, żadnych górien za

skałą, puszek po sardynkach, skórek od pomarańczy, niczego. Dziewiczy teren.

Walcząc z wiatrem, wysiedliśmy z samochodu i przeszliśmy przez płot. Towarzyszył nam odległy szum fal i bliższy hulającego wiatru, który wcale nie był szumem wiatru, lecz rykiem natury. Towarzyszyły mu rozdzierające krzyki morskich ptaków.

Na skraj urwiska prowadziło zbcze porośnięte ostrą trawą.

- Uważaj! - wrzasnąłem, przekrzykując hałas. - Trawa jest mokra.

Zsunęliśmy się w dół, łapiąc się za ręce, za skały i pęki trawy. Kiedy dotarliśmy na skraj urwiska, szybujące z wiatrem mewy powitały nas wzruszeniem skrzydeł i drwiącym chichotem. Z pokrytego kępami trawy brzegu urwiska opadała w dół stroma ściana z różowego gnejsu. U jej podnóża fale morskie strzelały w górę fontannami piany.

- Co o niej sądzisz? - spytał Jamie.

- Wygląda obiecująco.

- Obiecująco? Jest fantastyczna.

- Jak, u diabła, mamy stąd zejść?

- Zjedziemy na linie.

- A jeśli nie damy rady się wspiąć? Skąd wiesz, jaka jest ta skała? Co będzie, jeśli rozsypie nam się w rękach?

Jamie roześmiał się diabolicznie.

- Wtedy popłyniemy wplaw, mały.

Wróciliśmy do samochodu. Było tu zaciszniej i mogliśmy rozmawiać bez krzyczenia.

- Kiedy zaczynamy? - spytał Jamie. - Chyba nie chcesz, żeby jakieś skurczybyki ukradły nam ścianę.

- Muszę myśleć o pracy.

Pracowałem jako nocny stróż w firmie ochroniarskiej na przedmieściach Londynu. Była to nocna praca. Dzięki temu mogłem nadrobić zaległości w studiach i jednocześnie zarobić kilka pensów.

- Chrząż tę pracę - powiedział Jamie. - Pożyczę ci trochę forsy.

- Nie mogę ciągle sępić od ciebie.

- Owszem, możesz.

Zatelefonowałem więc do firmy, że nie będzie mnie przez tydzień lub dwa, i do Eve, że zostaję na jakiś czas w Walii. Przez kilka następnych dni mieszkaliśmy z Jamiem w jego samochodzie kempingowym, śpiąc w śpiworach i żywiąc się puszkami. Wiał silny wiatr i świeciło słońce, a my upajaliśmy się uczuciem wolności, jakie daje wspinaczka, która rządzi się jedynie prawem tarcia i grawitacji. Codziennie rano zjadaliśmy śniadanie złożone z

chleba, dżemu i herbaty, a potem ładowaliśmy do plecaków sprzęt jak hydraulicy czy kamieniarze i wędrowaliśmy przez porośniętą ostrą trawą łąki na skraj urwiska. W czasie wspinaczki towarzyszyły nam mewy, wykorzystujące prądy powietrzne, głośno wyrażając swoją dezaprobatę z powodu naszej obecności i drwiąc z naszych wysiłków.

- Co za miejsce! - krzyknął Jamie po zjechaniu do zasięgu pływ. - Co za kurewsko fantastyczne miejsce!

Tak właśnie go pamiętam, z pięknym i jednocześnie przekornym uśmiechem na twarzy, jasnymi włosami, błękitnymi jak niebo oczyma, spieczonymi od słońca wargami, które przypominały usta jego matki, z opalenizną jeszcze z Alp i twarzą rozświetloną tym czymś, czego on i ja szukaliśmy we wspinaczce: zmysłowością, erotyką, fizycznym ładunkiem, który pozostanie w pamięci i da nam coś, co po latach będziemy mogli wspominać, jak inni w jesieni życia wspominają dawną miłość.

Niedaleko od klifu znaleźliśmy pub, gdzie mogliśmy posiedzieć wieczorami nad kuflem piwa. Jego bywalcami byli mieszkańcy pobliskiej wioski i przejezdni motocykliści w skórzanych kombinezonach.

- Co wy tu, chłopcy, robicie? - spytał właściciel, podając nam piwo.

- Wspinamy się.

- Na co? Przecież tu nie ma gór.

- Na skały przybrzeżne.

- Łazicie po klifach? To niebezpieczne. Musicie uważać.

Miał na imię Arthur. Co wieczór słuchał naszych relacji ze wspinaczki.

- Kompletny idiotyzm - stwierdził. Gdy jednak dni mijały, a my nie tonęliśmy, nie spadaliśmy i nic trzeba było nas ratować, zaczął patrzeć na mis z coraz większym szacunkiem. - Sprytne cwaniaki - przyznał w końcu.

Pewnego wieczoru za barem stanęła jego córka. Rozlewała piwo do kufli i jednym uchem przysłuchiwała się naszym opowieściom. Miała długie włosy związane bandanką i postrzępioną bluzkę, w której wyglądała jak Cyganka.

- Myślę, że ona ma kogoś - stwierdził Jamie.

Kiedy wyszła z baru pozbierać puste kufle, zobaczyliśmy sięgającą do łydek spódnicę i smukłe stopy w skórzanych sandałach. Na jednej z kostek błyszczał złoty łańcuszek.

- Co tu robi taka dziewczyna jak ty? - spytał Jamie, oblewając się rumieńcem. Zawsze się rumienił, gdy pierwszy raz rozmawiał z jakąś dziewczyną.

- Zabijam czas - odparła, nie patrząc na niego.

- Czekać na kogoś?

- Na rycerza w lśniącej zbroi.

Wróciła właśnie z Egiptu i na szyi miała zawieszony na rzemyku znak anch. Sądząc po tym, co leciało z głośników, lubiła Stonesów, Incredible String Band i Leonarda Cohena. Miała surową twarz o ostrych rysach, z lekką opalenizną. Może był to skutek egipskiego słońca.

- Czemu wyglądacie na takich zadowolonych z siebie? - spytała następnego dnia, gdy weszliśmy do pubu.

- Właśnie przeszliśmy nową drogę.

Postawiła przed nami szklanki z piwem.

- Po co? Schodzić na sam dół tylko po to, by wejść z powrotem? Jaki w tym sens? - spytała z ironią w głosie.

Jamie zmierzył ją wzrokiem.

- A ciebie co rajcuje? - spytał.

Znałem ten jego wojowniczy ton wyzwania. Podobny usłyszałem, gdy podczas wspinaczki sypnął na mnie drobnymi kamyczkami. „Nie dajesz rady, Dewar? Chyba nie będziesz odpoczywał na tym haku?”

Wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

- Palenie - odparła. -1 seks - dodała po chwili.

W pubie prócz nas nie było nikogo. Jej stary naprawiał coś na zapleczu. Ciągle grzebał przy elektryczności. Podejrzewaliśmy, że omijał licznik i kradł prąd prosto z głównego przewodu. Tak więc jej stary tkwił na zapleczu, a w barze była tylko dziewczyna imieniem Ruth i dwóch facetów, którym właśnie oznajmiła, że lubi palenie i seks.

- Wspinaczka to jakby jedno i drugie - rzekł spokojnie Jamie, chociaż twarz płonęła mu rumieńcem. - Powinnaś tego spróbować.

- No to kiedy?

- Jutro.

Wzięła od nas pieniądze za piwo i wybiła sumę na kasie.

- Jutro mam akurat wolne - dodała.

Moje protesty na nic się nie zdały. Przyszła chyba właśnie ze względu na nie. Ruth tak jak Jamie miała duszę wojownika. Jeżeli uznała, że się ją lekceważy, że lekceważy się ją jako kobietę, w jej oczach zapalało się światło, a w uśmiechu pojawiała wyzwanie.

- Odchrzań się, Dewar - powiedziała, kiedy obstawałem przy tym, że zabieranie na wspinaczką debiutantki to kompletna głupota.

Znalazła starą parą czarnych tenisówek jeszcze ze szkoły.

- Bądą dobre - stwierdził Jamie.

- Ale jak, u diabła, ona przejdzie skrajnie trudną drogą ubrana w pumpy, skoro nigdy w życiu się nie wspinała? Przecież nie ma tam innej drogi. Trzeba bądzie przewieźć ją łódką, jeżeli nie da rady wejść na górą.

- Jeżeli wy dwaj możecie, Dewar, to ja też.

- Akurat!

Dopiero gdy zagroziłem im strajkiem, rozsądek wziął górę nad szaleństwem.

- Rob jest dla mnie jak ojciec - stwierdził z sarkazmem Jamie.

Następnego dnia pojechaliśmy do Llanberis kupić Ruth buty do wspinaczki i przekonaliśmy ją, by wypróbowała je na dwóch drogach wspinaczkowych w rejonie przełęczy - Carreg Wastad i Grochan. Miała wrodzony talent.

- To jest wspaniałe! - zawołała, zaskoczona doznanymi wrażeniami, dreszczykiem emocji, którego nie trzeba szukać na drugim końcu świata.

Jamie świetnie się bawił, mając jako drugą na linie tę dziwną i szaloną dziewczynę. „Chodzi na moim pasku” - stwierdził. Inni wspinacze przystawali, by popatrzeć. Oczywiście znali Jamiego, lecz to nie on był przedmiotem ich zainteresowania, tylko Ruth, jej nogi przypominające kocie łapy pnące się po ścianie, wygięta w łuk smukła sylwetka, gdy unosiła głowę w poszukiwaniu następnego chwytu, i grzywa włosów opadająca na plecy niczym średniowieczny proporzec. Robiła wrażenie.

Później zabraliśmy ją do jednego z pubów w Llanberis. Huczało w nim jak w ulu. Nad głowami gości unosiła się chmura dymu tytoniowego, czuć było wilgotną wełną i rozlanym piwem. Rozmowy kręciły się wokół wspinaczki, stopni i chwytów, planów na przyszłość. Mówiono o nowych drogach - beznadziejnych, i starych gównie wartych. Ruth uznała, że to miejsce, ten ich mały światek jest zabawny, podobnie jak gospoda dla poganiaczy jaków, którą widziała w czasie jednej ze swych wycieczek.

- Jak długo już to robicie? - spytała.

Jamie roześmiał się.

- Wspinamy się z Robem? Chyba od zawsze. Wałęsaliśmy się razem już jako dzieci.

Zauważyłem, jak Ruth na niego patrzy i jak on odwzajemnia jej spojrzenie - z tym samym rozbawieniem i uwagą, z jaką patrzył na wyciąg, który zamierzał przejść, jakby wiedział, co go czeka, i to właśnie było najzabawniejsze.

- A jakie macie plany?

- Plany? - powtórzył, udając, że nie rozumie.

- Musicie mieć jakieś plany.

- Skończyć studia, znaleźć żonę, kupić dom? Takie plany masz na myśli?

- Mam na myśli plany wspinaczkowe.

- Ach, o to ci chodzi. - Rozejrzał się po barze i zniżył głos do szeptu. - Zrobić ten nowy klif, zanim reszta tej bandy go znajdzie.

- Plan raczej krótkotrwały.

Zaśmiał się.

- Są i inne. Mamy też za sobą sporo dużych dróg w Alpach: centralny filar Freney, Dru i kilka innych.

- To dla mnie nic nie znaczy.

Wzruszył ramionami.

- Może i nie. Tak czy owak myślimy o czymś naprawdę wielkim. Na przykład o Eigerze.

- Słyszałam.

- A potem... - Umilkł. - Kto wie? Może Himalaje. Co sądzisz o Himalajach, Rob?

Wzruszyłem ramionami.

- Czemu nie? - odparłem, ulegając tej fantazji.

Skinął głową, oddzielony małą barykadą pustych szklanek po piwie. Ruth słuchała go z zainteresowaniem i jednocześnie z lekkim dystansem, jakby bawiły ją te drobne przechwałki.

- Może Kangczendzonga - powiedział Jamie w zadumie.

Ruth miała w sobie coś. Pasję. Odwagę. Następnego ranka stała na skraju urwiska, zaciskając zęby i trzymając linę do zjazdu. Jamie instruował ją, jak należy manewrować liną i jak zwalniać tempo zjazdu. Mniej więcej to pojęła i zjechała na linie - szczupła figurka w spodniach dzwonach i starej rybackiej bluzie, którą wynalazła w jakimś sklepie z odzieżą używaną, z włosami przytrzymanymi bandanką, a mimo to rozwiewającymi się na wietrze - piszcząc z zachwytu tak głośno, że spłoszyła mewy.

- To jest fantastyczne, Jamie! Fantastyczne!

Tego ranka panowały śmiech i dziwne napięcie, jakby w oczekiwaniu na coś. Dostrzegłem je w oczach Jamiego, gdy patrzył na Ruth, gdy oboje wymieniali spojrzenia. Nietrudno się domyślić, co miało się wkrótce zdarzyć. To jednak było coś innego niż z tymi Australijkami w Chamonix.

- Jak, u diabła, się stąd wydostaniemy, jeżeli nie uda mi się wspiąć po tej skale? - spytała Ruth, kiedy staliśmy u podnóża skał obmywanych przez fale.

Wprost nad nami wznosiła się pionowa ściana zakończona przewieszką, która broniła

dostępu do niemal gładkiej płyty z różowego gnejsu, czego z dołu nie było widać. Człowiek przekonywał się o tym dopiero na górze, gdy przytrzymując się małych chwytów, kierował się w lewo, by wejść na płytę. Miało się wrażenie, że skała nachyla się ku wspinaczowi, by go zepchnąć. Taktownie nie przypomniałem Ruth, że przecież ją ostrzegałem, lecz ona najwyraźniej i tak się nie przejmowała.

- Znajdziemy jakiś sposób - zapewnił ją Jamie. - Choćbyśmy mieli wciągać cię na górę.

Osloniła oczy dłonią i spojrzała na drogę wspinaczkową, którą wybraliśmy. Dostrzegłem ciemne włosy pod pachą, opaleniznę, miękkie linie ciała maskujące silne mięskły i uświadomiłem sobie zmianę, jaka nastąpiła wraz z pojawieniem się Ruth w naszym dotychczas dwuosobowym zespole.

- Więc na co czekamy? - spytała. - Ruszajmy.

Oczywiście przeszła tę drogę. Prowadziłem do pierwszego stanowiska, a potem ściągnąłem Ruth do siebie, trzymając ją na bloku w trudnych miejscach. Wyglądała przy mnie niczym chwytająca powietrze ryba.

- Hura! - wysapała.

- Poczekaj na następny wyciąg, kochanie - ostrzegłem.

- Nie mów do mnie: kochanie - odparowała.

Za nią wszedł Jamie. Na półce nie było miejsca dla trojga, więc poszedł natychmiast dalej. Wiatr rozwiewał mu włosy i przyklejał do czoła.

- W porządku, dzieciaki? - spytał, mijając nas.

Było w nim coś z cyrkowca, z tancerza, ze sztukmistrza z dzwoneczkami i wstążkami. Patrzyliśmy, jak sunie płynnie w górę z pobrzękującym sprzętem zawieszonym w pasie, wyszukuje palcami drobne nierówności w ścianie i zapiera się pewnie stopami.

- Jest dobry, prawda? - odezwała się Ruth.

Pomyślałem o jej dość swobodnym stylu bycia, buntowniczej naturze i spojrzeniach, jakie rzucała Jamiemu.

- Tak, jest dobry - przyznałem.

- Jesteś zazdrosny? - spytała.

- Zazdrosny? O kogo?

- O niego.

- Dlaczego miałbym być zazdrosny?

- Bardzo go lubisz, prawda? - Jej wzrok mówił, że to coś znacznie więcej.

- Oczywiście. Znamy się od dzieciństwa. Czasami nawet go kocham - dodałem

niepotrzebnie, czując złość na sobie, że tak się odkryłem.

- Naprawdę?

- To nic to, co myślisz.

Spojrzałem w górę, śledząc zwinne mchy Jamiego, który dotarł do kluczowego miejsca. Wypuszczałem linę, gotów w każdej chwili ją zablokować, gdyby zaczął spadać. Obserwowałem wahadłowy ruch ciała, podziwiałem szokujący sposób, w jaki się wspinał - z taką łatwością, jakby wchodził po drabinie. Znalazł świetny układ chwytów, niemal tanecznym krokiem wspiał się na płytę i zniknął z pola widzenia.

- To trochę staroświeckie przyznawać się do takiego uczucia, prawda? - powiedziałem. - Kobiecie wypada, mężczyźnie nie.

Dotknęła mojego ramienia.

- Przepraszam.

Nie byłem pewny, za co mnie wówczas przepraszała. Dzisiaj również nie.

- W porządku - odrzekłem.

Jamie zaczął ściągać linę. Jego głos niósł się ponad szumem morza i chichotem mew.

- Zablokuj linę! - krzyknął. - Ruth, wchodź, kiedy Rob ci powie. Będę cię mocno ściągał.

Wyjaśniłem jej, co ma robić.

- On założył przelot tak, że w kluczowym miejscu będziesz miała linę z góry, ale będzie ci cholernie trudno.

Przesunęła językiem po wargach. Denerwowała się, chociaż starała się tego nie okazywać.

- Dam sobie radę.

Chwyciłem ją za ramiona, gdy przeciskała się obok mnie. Poczulem ciężki, egzotyczny zapach perfum. To chyba był olejek paczuli. Uśmiechnęła się lekko, kiedy jej twarz znalazła się na wysokości mojej. Potem przesunęła się i cmoknęła mnie w policzek.

- Idę! - krzyknęła, tak jak ją nauczyliśmy.

I ruszyła w górę. Trudno było to nazwać wspinaczką w pięknym czy też czystym stylu. Parę razy poprosiła o blok i ze dwa razy zawisła na linie, ale nie zrezygnowała, nie spanikowała, nie wystraszyła się.

- Podciągnij się na linie! - zabrzmiał w pewnym momencie głos Jamiego, lecz ona odkrzyknęła, żeby się odwalił, i wspięła się bez takich sztuczek.

- Chryste Panie! - wrzasnęła, odzyskawszy równowagę. Kolana jej się trzęsły. - Chryste Panie! To było przerażające, Jamie! To było kurewsko straszne!

Nie widziałem ich ze swojego miejsca, mogłem jednak wyobrazić sobie, że Jamie uśmiecha się do niej tym swoim nieodgadzionym uśmiechem, tak podobnym do uśmiechu matki. Mogłem wyobrazić sobie, jak luzuje linę niczym rybak wyciągający swoją zdobycz z wody, gdy ta już zaniecha walki.

- Świetnie sobie radzisz! - posłyszałem jego okrzyk.

A kiedy wspięła się do stanowiska na płycie, złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował w usta.

To Ruth nadała nazwę tej drodze. Zastanawialiśmy się nad dwiema: Różowa Pantera lub Pływające Żebro, lecz z żadnej nie byliśmy zadowoleni. Nadanie nazwy drodze wspinaczkowej było ważne, bo określało jej charakter i przynależność - wyjaśniliśmy Ruth.

- Przecież to nie jest wasza skała - odrzekła. - Należy do natury. To fragment skorupy ziemskiej.

- Skała tak - powiedział Jamie. - Ale droga jest nasza.

Wzruszyła ramionami.

- W porządku. Przydałaby się wam jakaś walijska nazwa, coś charakterystycznego. Nazwijcie ją Pendragon.

Pendragon - głowa smoka, którą mieli na swym sztandarze władcy Brytanii, gdy wyruszali na wojnę. Brzmiało niezłe.

Tego wieczoru zaprosiła nas do kuchni w pubie i przygotowała kolację: tunezyjskie danie składające się z ryby i kuskusu. Ruth zwiedziła Tunezję i całe północnoafrykańskie wybrzeże. Była też na pustyni i na wyżynie Air. Ani ja, ani Jamie nie mieliśmy pojęcia, gdzie to jest. Nigdy też o Air nie słyszeliśmy. Przedtem Ruth spędziła rok w Slade, ponieważ zapragnęła zostać artystką, i rok w jednym z kibuców w Izraelu, bo postanowiła wyjść za Żyda.

- Ale nie wyszłaś?

- Nie.

Teraz myślała o powrocie na uniwersytet. Tym razem zamierzała studiować literaturę celtycką - cykle walijskich opowieści Mabinogion i o królu Arturze. Oczywiście nadal malowała i rzeźbiła jako Ruth Phoenix. Miała nawet wystawę swoich rzeźb w Liverpoolu. Jedna z jej prac stała w Instytucie Sztuki Współczesnej w Londynie. Pracownia Ruth mieściła się w przybudówce na tyłach pubu, lecz nam jej pokazać nie chciała. To było zbyt osobiste miejsce, jak sanktuarium - wyjaśniła.

Tak więc jedliśmy i słuchaliśmy, patrzyliśmy na siebie i na nią i nagle uświadomiliśmy sobie, że w naszym życiu zaszło coś nowego.

- A wy tylko się wspinacie? - spytała.

- Mniej więcej - przyznał Jamie. Popatrzył na mnie z rozbawieniem w oczach. - Robisz coś jeszcze, Rob?

Nie robiłem.

- Raczej nic. Tylko się wspinamy.

- Jamie musi dorównać ojcu - powiedziałem - ale ja wspinam się, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Dlaczego musi dorównać ojcu? - spytała Ruth.

Spojrzałem na Jamiego.

- Był alpinistą. Nie słyszałaś o nim? Pewnie przebywałaś wtedy za granicą. Wszystkie gazety o nim pisały. To znaczy o odnalezieniu jego ciała.

- Jego ciała?

- Zginął dawno temu - wyjaśnił Jamie. Z tonu jego głosu mogłem wywnioskować, że nie chce o tym mówić. - W pięćdziesiątym czwartym na Kanczendzondze. Znaleźli go tej wiosny amerykańscy himalaiści.

Ruth miała specyficzny sposób patrzenia na człowieka. Rzuciła spojrzenie jakby z ukosa, pełne ciekawości i zadumy. Miało się ochotę spytać, o czym myśli.

- To musiało być okropne.

Jamie wzruszył ramionami.

- Ledwie go pamiętam. Jak cich z dzieciństwa.

- I wspinasz się, by dorównać sławie ojca?

- Rob gada bzdury - rzucił niecierpliwym tonem. - Wspinam się, bo uwielbiam to robić. Zapewne mam to we krwi.

- Chcesz wiedzieć coś jeszcze? - spytałem. Trochę się wkurzyłem. Jamie zresztą też. Euforia po udanej wspinaczce zdążyła się ulotnić. - Chcesz wiedzieć coś jeszcze o ojcu Jamiego? Moja matka była w nim zakochana. - Przeniosłem wzrok z jednego na drugie. Chyba nie zrozumieli, co powiedziałem. - Moja własna matka - powtórzyłem dla jasności - kochała ojca Jamiego. Matka Jamiego i moja matka były rywalkami.

Zaśmiał się lekceważąco.

- Panięskie zauroczenie. Matka mi o tym opowiadała. To było na początku wojny, jeszcze zanim wyszła za mojego ojca.

To ten jego śmiech tak mnie rozgniewał. Stała mi przed oczami matka bliska łez i jej zmarnowane życie przez małżeństwo z człowiekiem, którego nie kochała. Doświadczyłem jakby cząstki jej bólu i poczułem się w obowiązku stanąć w jej obronie. Popatrzyłem na Ruth.

- Matka Jamiego ukradła go jej. Moja matka zawsze tak sądziła.

Znowu się roześmiał.

- Caroline jest w tym dobra, co? Nie przepuści nawet chłopcom.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Otaczały nas różne dźwięki: lodówka mruczała, coś bulgotało na kuchni, z baru dochodziły jakieś głosy, lecz między naszą trójką zaległa cisza. Ruth wyczuła to ukryte napięcie. Nie miała pojęcia, o co chodzi, ale świetnie odczytywała ludzkie emocje. Wiedziała, kiedy gra idzie o wielką stawkę. Jamie pociągnął łyk piwa i postawił szklankę na stole. Potem spojrział mi w oczy i uśmiechnął się z mieszaniną złośliwości i rozbawienia.

- Doskonale wiesz, co.

Czy można wymierzyć zmiany zachodzące w kontaktach między dwojgiem ludzi? Od tego wieczoru coś się zmieniło w naszej przyjaźni, chociaż zmiana była subtelna i trudna do zdefiniowania. Zastanawiam się jednak, dlaczego musiało do tego dojść. Przed tą sprzeczką Jamie już wiedział o Caroline i o mnie, ale dopiero teraz uświadomiłem sobie, że on to wie. To była taka zabawna łamigłówka, łamaniec językowy. On wiedział, że ja wiem, że on wie. Istnieje jednak wiele przyjaźni opartych na zмовie milczenia i wzajemnym oszukiwaniu się, co prowadzi do bardzo niebezpiecznego wniosku, że lepiej żyć w kłamstwie.

Nie wróciliśmy już do tego tematu. Następnego dnia znów się wspinaliśmy, rozmawialiśmy o Ruth, lecz nigdy o Caroline. Ruth dołączała do nas, jak tylko udało jej się wyrwać z pubu. Obserwowałem ich oboje i czułem, że łącząca ich nic porozumienia ze zwykłego zainteresowania i ciekawości zmienia się w coś głębszego. Czyżby w miłość? Czy potrafili zdobyć się na kompromis? Czy w ogóle w ich związku dochodziło do jakichś kompromisów?

Trzeciego dnia Jamie nie wrócił na noc do furgonetki. Leżałem samotnie w ciemności. Gdybym usiadł i rozsunął zasłony, zobaczyłbym stojący w dole pub i nikłe światło w jednym z pokoi na górze, jej pokoju, w którym leżała z Jamiem.

Następnego dnia pogoda się popsowała. Od strony Irlandii nadeszły szare chmury i zawisły nad wybrzeżem. Zaczęła padać mżawka, zapowiadająca pogorszenie pogody. Potężne cielsko Cader Idris na południu zniknęło z pola widzenia. Zaczęliśmy się zastanawiać, co w takiej sytuacji robić, zwłaszcza że w naszym równaniu pojawiła się nowa niewiadoma, no i jeszcze ta stroma ściana, która istniała między nami, ten mur, jaki powstaje, gdy zna się kogoś zbyt dobrze i zbyt długo. Poza tym on i Ruth wpadli na pewien pomysł. To była czysta fantazja, akurat na deszczowy dzień.

- O czym ty mówisz? - spytałem.

- O interesie.

- O interesie?

- Postanowiliśmy założyć firmę.

- O jakiej firmie mówisz?

- Wspinaczka i piesze wędrówki, coś w tym rodzaju.

- Nie bądź śmieszny - odparłem.

- A cóż w tym śmiesznego? Moglibyśmy otworzyć ośrodek turystyczno-wspinaczkowy. Może nawet produkować jakiś sprzęt wspinaczkowy.

- Górskie buty Matthewsona? - Musiał usłyszeć w moim głosie ironię, bo się rozgniewał.

- A czemu nie, Rob? Czemu nie, u diabła? Chryste, co z tobą?

- Nic.

- Jesteś wściekły.

Deszcz bębnił o dach samochodu, a my przerwaliśmy się bezsensownymi argumentami jak dzieci.

Jeszcze tego samego dnia podrzucili mnie do domu. Wspinaczka się skończyła, nastąpiły pęknięcia w naszej przyjaźni, zbyt wąskie, by się w nie wpasować.

- Powinienem odwiedzić matkę - oznajmiłem. - I zarobić na swoje utrzymanie.

Namawiali, żebym został, lecz jakoś mało przekonująco.

Do mojego domu wprawdzie nie było daleko, ale nagle poczułem, że znalazłem się w innym świecie: oto znajoma droga, znajome wzgórze z widokiem na rzekę, znajomy wiktoriański dom z napisem „Hotel Homeleigh”, bo matka nie mogła znieść słowa: pensjonat. Jamie zaparkował przy drodze i poszedł się przywitać. Cmoknął nawet matkę w policzek, czego się nie spodziewała, i zapewnił, że Caroline czuje się dobrze. Używał jej drugiego imienia. Caroline przesyła pozdrowienia. Matka uśmiechnęła się sztywno, ale nie przekazała pozdrowień. Jamie klepnął mnie w ramię, wsiadł do samochodu i odjechali z Ruth w stronę drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża, prowadzącej do nadmorskich kąpielisk.

- Przeklinam ten dzień, w którym zacząłeś się wspinać - powiedziała matka, odprowadzając wzrokiem furgonetkę. Podobało mi się to zdanie. Brzmiało tak staroświecko.

- Daj spokój, mam - odparłem. - Kiedy byłeś w moim wieku, wyciągałaś spod gruzów ofiary niemieckich nalotów. Sama mówiłaś, że to było znacznie gorsze niż wspinaczka.

- Ale trwała wojna.

- Przecież zawsze mogłaś zostać wieśniaczką i kopać ziemniaki.

- W dodatku z synem Guya i Meg. Jak to się wszystko dziwnie układa!

Wyglądała na zaintrygowaną i zakłopotaną tym krótkim spotkaniem z Jamiem. Jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie była tego pewna.

- Dużo wody upłynęło od tamtego czasu. Przynajmniej nie jest podobny do matki.

Co miała na myśli? Przecież był podobny do matki. Widziałem jej cień w każdym jego grymasie, drobny znak świadczący o tym, że pod męskim uporem kryje się kobieca siła. Odnajdywałem Caroline także w jego drażliwości i rezerwie. Tak naprawdę nigdy nie zdołałem zbliżyć się do matki Jamiego, podobnie jak nigdy moja przyjaźń z Jamiem nie stała się prawdziwie bliska.

- Czy to jego przyjaciółka? - spytała matka.

- Wszystko na to wskazuje. Poznaliśmy ją kilka dni temu.

- Wygląda jak Cyganka.

Nastaly ponure deszczowe dni. Siedziałem w recepcji i usiłowałem się uczyć. Zatelefonowałem do Eve i zaproponowałem, by do mnie przyjechała, ale wyjeżdżała właśnie z rodzicami do Francji, gdzie jej ojciec miał mały, rozpadający się wiejski dom.

- Mówiłam ci, że się tam wybieramy. To ty mogłeś do mnie przyjechać.

Zauważyłem, że użyła czasu przeszłego. Cokolwiek kryło się za tą propozycją, przestało być aktualne.

- W takim razie zwróć mi pierścionek po powrocie.

- W porządku.

Wbrew rozsądkowi miałem nadzieję, że jednak nie pojedzie albo że wcześniej wróci. Gdy tydzień później zadzwonił telefon, podniosłem słuchawkę, łudząc się, że to może ona.

Odezwał się kobiecy głos, lecz nie należał do Eve. Czy mamy wolny pokój na tę noc? Zerknąłem, rozczarowany, do księgi gości i znalazłem dwa wolne pokoje.

- Czy madame życzy sobie jedno-, czy dwuosobowy pokój? - spytałem.

Usłyszałem śmiech.

- Madame? Podoba mi się ten zwrot. Madame ma na nazwisko Phoenix. Dla pańskiej wiadomości, panie Dewar, panna Phoenix.

- Ruth - ucieszyłem się.

- Mogę do ciebie przyjechać?

- Na dłużej?

- Jeżeli masz wolny pokój.

- Oczywiście, że tak. Przecież już mówiłem.

- No to w porządku.

- A co z Jamiem?

- A co z Jamiem? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Przyjechała po południu swoim starym land-roverem, którym podróżowała po wyżynie Air, z podwójnym dachem dla osłony przed słońcem i wciągarką między przednimi kołami, która pozwalała wyciągnąć samochód z rowu lub w górę stromego stoku. Wsiadając z tego przedziwnego wehikułu, wyglądała jak egzotyczna piękność - w długiej spódnicy i sandałach, jedwabnej kamizelce ozdobionej sinusoidalnymi wzorami jak na perskim dywanie, ze srebrnymi bransoletkami i niesfornymi włosami ufarbowanymi henną. Wszystkie ozdoby przywiozła sobie z podróży po Afryce Północnej i Bliskim Wschodzie. Nadawały jej charakter dziwnej hybrydy, pół ptaka, pół człowieka. Całość sprawiała zaskakujące wrażenie, co matka skwitowała jednym słowem: „Cyganka”.

Pocałowaliśmy się nieśmiało na powitanie, rozbawieni naszą nieoczekiwaną reakcją. Czy pokłócili się z Jamiem? Czy ich związek rozpadł się już u samego zarania? Nie chcąc o nic pytać, poprowadziłem ją na górę do pokoju. Czulem potrzebę przeproszenia za raczej skromne wyposażenie i także warunki. Nazwałem hotel kamieniem ciężącym na szyi rodziny.

Rozejrzała się po małym pokoju.

- Jest w porządku - powiedziała. - Na litość boską, przestań przeproszać. Niczego mu nie brakuje.

I żeby to udowodnić, rzuciła na łóżko czerwoną skórzaną torbę z jakimś orientalnym wzorem.

Wieczorem poszliśmy na kolację do chińskiej restauracji z plastikowymi lampionami i tapetą z kłęczkami wełny. W oknie stały sztuczne kwiaty, a w menu znaleźliśmy potrawę „Chop suey”.

- Czy wiesz, że jeden z obrazów Hoppera nosi tytuł *Chop suey*? - spytała Ruth. - Przedstawia kobietę siedzącą samotnie w restauracji, a przez okno widać napis „sue”. Reszta nazwy jest ukryta. Chop suey to czysto amerykańska potrawa. Nie znajdziesz jej w Chinach.

Czy była w Chinach?

Jeszcze nie.

Zaśmialiśmy się. Zaczęliśmy rozmawiać o sztuce, o jej sztuce, podróżach, wspinaczce i wielu innych rzeczach. Wiedziała więcej ode mnie, dokonała więcej i więcej rozumiała.

- Opowiedz mi o Jamiem - poprosiłem.

Popatrzyła na mnie z uwagą, jakby czytała w moich myślach.

- To ty mi o nim opowiedz. Znasz go lepiej niż ja. Z tego, co mówił, dorastaliście

razem. A teraz praktycznie razem mieszkacie.

- Nie mówiłem o Jamie i o mnie.

W takim razie o kim?

O Jamie i o tobie.

Rzuciła mi figlarne spojrzenie.

Jesteś zazdrosny?

Chcę tylko wiedzieć, na czym stoimy. Opowiedz mi.

Wykręcała się, kluczyła, niczego nie przyznawała, niczemu nie zaprzeczała. Doszło między nimi do jakiejś sprzeczki. Jamie chciał mieć coś w rodzaju kobiecego dywanu, który trzepałby od czasu do czasu - to jej własne słowa.

- Jest dziecinny, w najgorszym tego słowa znaczeniu. To zepsute dziecko. Musi dostać naukę. Jeżeli rzeczywiście mnie pragnie, jak twierdzi, to musi się wiele nauczyć. - Urwała dla podkreślenia wagi słów. - Może to ma coś wspólnego z jego matką.

Usiłowałem zbyć tę uwagę wzruszeniem ramion. Starłem się ukryć skrępowanie.

- Poznałaś ją?

- Tak. Jest czarująca.

- Rzeczywiście.

- Zimna i niezależna, lecz czarująca. - Uśmiechnęła się znacząco. - Ale rozumiem, co w niej widziałeś.

Sądzę, że rozmyślnie użyła czasu przeszłego, chcąc wysondować, czy mój romans z Caroline to sprawa skończona.

Wróciliśmy do hotelu o jedenastej, gdzie czekała już na nas matka. Ruth była sympatyczna i przyjacielska. Potrafiła taka być, jeżeli tylko chciała. Uśmiechała się, zadawała właściwe pytania i dawała właściwe odpowiedzi. Na jej korzyść działał fakt, że miała ojca, który prowadził pub. Skończyło się na tym, że obie usiadły do wspólnej kawy i zaczęły gadać o różnych bzdurach, ja zaś zostawiłem je i poszedłem spać. Po pewnym czasie usłyszałem, że rozchodzą się do swoich pokoi. Pokój Ruth znajdował się tuż nad moim. Leżałem w łóżku i wpatrywałem się w sufit, świadomy jej obecności, jakbyśmy byli w jednym pokoju. Niemal czułem, jak przewraca się we śnie, a zapach jej perfum przenikał przez podłogę. Nie wiedziałem, czy jest po mojej stronie, czy nie, ani też czy to Jamie przysłał ją do mnie jako swego emisariusza. Nie wiedziałem nawet, czy w ogóle są jakieś strony.

Następnego dnia powietrze było ciężkie i nieruchome, co zapowiadało burzę. Ruth postanowiła zostać jeszcze jeden dzień. Czułem się zaszczycony jej obecnością, nie miałem jednak pewności co do jej motywów. Rano poszliśmy obejrzeć zamek stojący u ujścia rzeki,

jedną z tych wielkich twierdz wybudowanych przez Edwarda Pierwszego dla ujarznienia Walijczyków. Po południu pojechaliśmy w góry. Skręciliśmy w pierwszą drogę, która nam się spodobała, bo była wąska, wijąca się i odludna. Minęliśmy chatę, służącą okresowo farmerom za schronienie. Wzdłuż pastwisk biegły kamienne mury, za którymi pasły się owce. Musiałem wysiąść i otworzyć furtkę, by land-rover mógł przez nią przejechać. Jego koła zagrzechotały na zastawkach dla bydła, odbijając się nieprzyjemnym, metalicznym echem w cichej, spokojnej dolinie. Po chwili minęliśmy ruiny dawnego kamieniołomu. Tuż za nimi leżało wąskie jezioro przecinające wzgórza niczym stalowe ostrze. Ruth zatrzymała samochód nad wodą i sięgnęła po torbę leżącą na tylnym siedzeniu.

- Przejdźmy się.

Poszliśmy przez trzciny nad brzeg jeziora. Znaleźliśmy drewniany pomost, lecz żadnych przy nim łódek, żadnych ludzi, niczego, co naruszałoby ciszę parnego popołudnia. Ruth cisnęła torbę na ziemię, zrzuciła z nóg sandały i przeszła na brzeg pomostu. Pośrodku jeziora dwa kormorany ślizgały się po wodzie jak węże. Obserwowaliśmy je chwilę, dopóki jednym płynnym ruchem nie zniknęły pod powierzchnią. Przez trudny do określenia czas nie było nic, tylko woda i Ruth na brzegu pomostu, wpatrująca się w stalową toń jeziora. Kiedy wreszcie ptaki wypłynęły, pojawiły się w zupełnie nieoczekiwanym miejscu, znacznie dalej, jakby nastąpiła jakaś przerwa w czasie i przestrzeni i to, co było w jednym miejscu, pojawiło się nagle w innym.

- Popływamy? - spytała Ruth przez ramię.

- Nie mamy nic ze sobą.

- W bagażniku mam koc.

Znalazłem go na tyle, między kołem zapasowym, lewarkiem i częściami jakiegoś starego namiotu. Gdy wróciłem na brzeg, Ruth zdjęła już spódnicę i rzuciła ją na pomost. Została jedynie w samej bluzce odsłaniającej wężową linię kręgosłupa i żebra niczym zmarszczki na skórze. Poczulem gwałtowny ucisk w gardle.

Ruth! - krzyknąłem. - Ktoś tu może przyjść!

Nic zwróciła na mnie uwagi. Patrzyłem, jak rozpina pasek w talii, zdejmując bluzkę i zsuwa majteczki. Kiedy pochylała się, by uwolnić z nich stopy, nagle stanęła mi przed oczami rzeźba Degasa z brązu, przedstawiająca tancerkę, która pochyla się nad stopą - ten sam łuk, to samo napięcie ciała, te same, niemal wyczuwalne, wibracje mięśni przekazywane przez naprężoną skórę. Odłożyła majtki na pomost i chwilę stała smukła i naga niczym wykrzyknik przeszywający ciężkie, nieruchome powietrze. W oddali sunęły po tafli jeziora dwa kormorany jak dwa znaki zapytania. Potem Ruth skoczyła do wody prawie bez chlapnięcia,

wypłynęła i ponownie zniknęła pod powierzchnią. Jej ruchy były płynne i pełne gracji.

Podszedłem do brzegu. Widziałem jej niewyraźny kształt, zdeformowany przez falowanie wody, oddalający się od brzegu. Po jakimś czasie odwróciła się z ustami ułożonymi jakby do śmiechu czy krzyku - radości, bólu, triumfu, protestu.

- Idziesz czy nie?! - zawołała.

- Woda pewnie jest zimna.

- Jest przeraźliwie zimna. Tchórz.

Cóż miałem robić? Zobaczyłem, że coś płynie bezszelestnie po jeziorze. Był to kormoran. Poczułem niepokój połączony z oczekiwaniem, niepewnością i wyrzutami sumienia. Wyrzutami sumienia z powodu nagości w jasnym świetle dnia i podwójnej zdrady: jeżeli jej odmówię, zdradzę ją, a jeżeli się zgodzę - dopuszczę się zdrady względem Jamiego.

- Potrzebna ci odwaga, żeby się przeziębic? - spytałem.

Wolnym crawlem podpłynęła do pomostu i przytrzymała się słupków. Miała białe knykcie, sine wargi i posklejane rzęsy.

- To tobie potrzebna odwaga, Dewar. Ogromna porcja odwagi.

Odepchnęła się i skierowała na środek jeziora, po czym odwróciła się w moją stronę, bijąc wodę rękami. Tylko głowa wystawała jej nad powierzchnię ze zlepionymi włosami, które wyglądały jak mokra farba. Rozejrzałem się na boki, lecz nikogo nie zauważyłem pod ciężkimi szarymi chmurami. Odwróciłem się od niej i rozebrałem pospiesznie. Potem jednak musiałem podejść do brzegu i stanąć do niej twarzą.

- Jestem wystarczająco odważny?! - zawołałem.

- Skacz!-krzyknęła. - Skacz!

Nie skoczyłem. Wolno zanurzyłem się w lodowatej wodzie i podpłynąłem do Ruth.

- Jesteś tchórzem, Dewar! - krzyknęła.

Pływaliśmy z dala od siebie, uważając, by się nie dotknąć, tracąc oddech ze śmiechu i zimna, penetrując nogami ciemną matową głębię. W tym wspólnym pływaniu była dziwna intymność: kąpaliśmy się w tej samej wodzie jak zarodki w płynie owodniowym. Jej nogi drżały i połyskiwały w świetle dnia. Widziałem błądy zarys jej piersi i ciemny trójkąt włosów łonowych. Nasze nogi dotknęły się, a po chwili dłonie.

- Może jest tu gdzieś potwór - powiedziałem.

- O tak - odparła. - Z zielonymi ślepiami.

Woda była zbyt zimna, by długo w niej przebywać. Kiedy wspięliśmy się na pomost, ze wstydem odwróciliśmy się od siebie. Mignęły mi przed oczami jej mokre plecy i bok piersi z ciemną brodawką. Do osuszenia i ogrzania mieliśmy jedynie koc. Schowaliśmy się pod nim

jak pod namiotem i przytuliliśmy się do siebie, drżąc z zimna.

- Ruth - zacząłem, ale mnie uciszyła. - A co z Jamiem? - nie dawałem za wygraną.

Pokręciła głową, dygocząc i przywierając do mnie. Szczękała zębami.

- Nie pytaj - wyszeptała. - Bo wszystko zniknie niczym dym z papierosa.

Nie pytałem więc. Siedzieliśmy na twardym drewnianym pomoście, tuląc się do siebie. Rozcierałem plecy Ruth, by przywrócić ciepło szczupłym członkom. Dotknąłem wargami ramienia, potem zimnych piersi. Poczułem, że sutki twardnieją i wzdłuż ud przebiega drżenie. Przypadkiem nasze usta się zetknęły. I powoli ciepło powróciło do jej ciała. Gdy moja dłoń odnalazła szorstki wzgórek wilgotnych włosów, Ruth poruszyła się i szepnęła mi do ucha: „Tak. Zrób to. Tak”. Po chwili osiągnęła łagodny orgazm, powtarzając szeptem: „Tak, tak, tak”.

Milczeliśmy w drodze powrotnej do domu, zupełnie jak po wielkiej kłótni, kiedy zbiera się resztki argumentów wartych zachowania wśród pobojuwiska. Tylko że nie było żadnej kłótni, jedynie spełnienie. Pani Jones, kobieta, która urzędowała w recepcji, obrzuciła nas podejrzliwym wzrokiem, gdy weszliśmy do hotelu.

- Gdzie jest moja matka? - spytałem.

- Wyszła, panie Robercie. Trzeba zająć się bojlerem, a ja nic wiem, co z tym zrobić.

- Później wezwę fachowca.

Poszliśmy na górę do pokoju Ruth i siedząc obok siebie na łóżku, odbyliśmy jedną z tych absurdalnych rozmów charakterystycznych dla młodego wieku - analityczną, emocjonalną, szczerą i fałszywą. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że Ruth może zniszczyć mnie i Jamiego. A może nawet samą siebie.

- Czego ty pragniesz, Ruth? - spytałem, a ona potrząsnęła głową.

- Nie wiem - wyszeptała. - Po prostu nie wiem. Czasami myślę, że pragnę wszystkich mężczyzn na świecie i wszystkich kobiet.

- A czego pragnie Jamie?

Zaśmiała się, lecz nie odpowiedziała.

Ruth w swojej pracowni na tyłach pubu: Pracowała boso, w zniszczonych dzinsach i w starej bawełnianej koszuli. Włosy miała zasypane gipsem. Mieszcząca się w przybudówce pracownia składała się z jednego pomieszczenia zrobionego z dwóch pokoi. Miała białe ściany, kafelki na podłodze i szerokie okna wychodzące na północ, na Hebrydy. Był też stary, poplamiony farbami zlew, połamany kredens wypełniony papierami i kartonami, słoiki i dzbany z pędzlami. W powietrzu unosił się zapach rozpuszczalnika. Pod jedną ze ścian stały płótna, a na środku pokoju nieociosany łupkowy blok, nad którym pracowała. Pokazała mi

pęknięcia i załamania w kamieniu.

To cholernie trudna skała do obróbki - poskarżyła się. - Twarda i łatwo pękająca. Uparta niczym Walińczyk. Zwróć jednak uwagę na jej strukturę i blask. - Przesunęła palcami po powierzchni. - Jak futro fok.

Przy jednej ze ścian stały sztalugi, a na nich obraz. Płótno było duże, metr pięćdziesiąt na metr dwadzieścia, zagruntowane na biało i wypełnione masą kolorów: ostrymi krawędziami szarości i stokami pokrytymi zielenią w kolorze mchu. Przez środek biegł szeroki stalowy pas z grubą warstwą farby o gładkiej, błyszczącej powierzchni. Przypominał wilgotny łupek. W samym jego środku widniały dwa czarne znaki zapytania, a przy dolnej krawędzi, gdzie znów pojawiała się zieleń, biegła długa, cienka, biała smuga w kształcie litery Y.

- Czy nazwałeś jakoś ten obraz?

Uśmiechnęła się.

- *Dlaczego?*

4

Nie powiedzieliśmy Jamiemu. Pozostało to naszym sekretem. Dzieliliśmy się nim poprzez spojrzenie, dotyk, tajemniczy, porozumiewawczy uśmiech. Może i czuliśmy wstyd z powodu tego, co zrobiliśmy, ale wstyd łatwo daje się pogodzić z pożądaniem, podnieceniem, dreszczem przed tym, co nieznanne i zakazane. Czy Jamie stał się niewinną ofiarą naszego oszustwa? Podejrzewałem, że on się domyśla. Czulem jego wzrok na sobie, kiedy byliśmy we troje, a gdy odwracałem głowę, lekko się czerwienił i uciekał spojrzeniem w bok, jakby wstydził się, że mnie podejrzewa.

Ruth nigdy nie wprowadziła się do jego londyńskiego mieszkania, jednak zatrzymywała się w nim, ilekroć przyjeżdżała do miasta. Była wędrownym ptakiem, tak mawiał Jamie nie mylił się, bo Ruth miała w sobie coś ze wspaniałego ptaka: orła lub rybołowa. Zjawiała się w Londynie nagle, bez uprzedzenia, jedynie z przerzuconą przez ramię skórzaną torbą, wywracała do góry nogami nasze londyńskie życie, by po kilku dniach zniknąć równie nagle, jak się pojawiła. Często zastanawiałem się, czy był w jej życiu jakiś inny mężczyzna. Teraz myślę, /c chyba wiciu, niekiedy zupełnie przypadkowych. Mo/c to ci, którzy ją podwozili drogą A5 prowadzącą w góry? Znpcone traktowała ich jak kolejne przystanki w pogoni za szczęściem, którą lubiła nazywać samopoznaniem.

- Jest w porządku, prawda? - pytał mnie Jamie.

- Jest wspaniała - zapewniałem go, chociaż nie byłem tego pewny.

Tej zimy Jamie i Ruth wiele czasu spędzili w północnej Walii. Jego pomysł założenia ośrodka wspinaczkowego nabrał nagle realnych kształtów. Pamiętam dzień, gdy pierwszy raz zobaczyłem miejsce, które w końcu kupił. Mijało się Llanberis rząd domków, zamieszkanym przez górników wydobywających skalny łupek. Pamiętam stromą, wyboistą drogę i starą tablicę z napisem „Bryn Derw”. Dalej był długi, niski dom, a w jego tle jeszcze jeden budynek, gdzie kiedyś zapewne mieszkali górnicy. Padało, gdy wreszcie dotarliśmy do celu. Wszystko było szare, mokre i błyszczące od deszczu. Wysiedliśmy z samochodu, Ruth wzięła Jamiego za rękę i staliśmy tak we troje, patrząc na to miejsce jak na jakieś sławne archeologiczne wykopalisko. Ruth wyjaśniła, że nazwa domu znaczy „dębowe wzgórze”.

- A gdzie są dęby? - spytałem.

- Zasadzimy je - odpowiedział ostrym tonem Jamie, który doszukał się w moim pytaniu krytyki. - Nie potrafisz sobie tego wyobrazić? Tego, co tu będzie po remoncie? Ośrodek wspinaczkowy i turystyczny Matthewsona. Wniesiemy nieco ożywienia w tę okolicę.

Jamie miał trochę pieniędzy, a kupno tych domów nie kosztowało go wiele. Kamieniołomy łupkowe umierały, właściciele domów chcieli się ich pozbyć, lecz nie było na nie chętnych. Tak więc Bryn Derw stało się własnością Jamiego i nowy właściciel zaczął porządkowanie swoich włości. Ruth często tam bywała. Kiedyś Eve przyjechała tu ze mną z Londynu cała nasza czwórka spędziła wesoły, zakrapiany alkoholem weekend w jednym z domków za głównym budynkiem, w czasie gdy robotnicy kładli na nim dach. Stąd do Cloggy było niedaleko, więc jeżeli nie padało - co zdarzało się raczej rzadko - szliśmy pod tę posępną skałę i wspinaliśmy się jedną z dróg.

Któregoś dnia zjechała na inspekcję Caroline. Przybyła z Gilead House w pewien grudniowy poranek, kiedy wszystko tonęło w odcieniach szarości, a góry skryły się w sinofioletowych chmurach. Llyn Padam, u stóp którego leżało miasto, przypominał cynową sztabkę wciśniętą w dolinę. Na wieść zamierzonej wizycie Caroline zasugerowałem, że może byłoby lepiej, gdybym wyjechał. Jamie zrobił taką minę, jakbym go obraził.

- Właśnie że zostaniesz - powiedział.

Może moja obecność miała być czymś w rodzaju pokuty, zapłatą za wyrządzoną krzywdę? Czy też formą oczyszczenia z młodzieńczych zazdrości? Czułem się głupio i niepewnie, jak nastolatek przyłapany na czymś wstydlwym i niewłaściwym. Czekałem więc w drzwiach prowadzących do głównego domu, obserwując białego mercedesa skręcającego w bramę wjazdową.

Nie widziałem Caroline od dwóch lat i ciekaw byłem, jak wygląda. Nie

rozczarowałem się. Przybyło jej trochę zmarszczek, nadal jednak obnosiła swoją urodę i seksapil z dumą bez zbędnej skromności jak ładną, choć już niemodną sukienkę.

- Robert - powiedziała z porozumiewawczym uśmiechem po przywitaniu się z synem i Ruth. - Całe wieki cię nie widziałam. - Oparła mi dłonie na ramionach i przytuliła policzek do mojego policzka. - Robert - wyszeptła ponownie moje imię, dając do zrozumienia, że rzeczywiście coś nas łączyło.

Spojrzałem ponad jej głową na Jamiego i dostrzegłem w jego oczach mieszaninę bólu i satysfakcji, jakby cała ta scena była po to, by wyrwać jadowitą roślinę, która rosła na gruncie naszej przyjaźni. Ruth przyglądała się nam z uwagą, zapewne świadoma władzy, jaką miała nad nami ta emisariuszka starszego pokolenia.

Obeszliśmy całą posiadłość. Caroline wykazywała przesadne zainteresowanie, jakby szukała okazji do krytki. Była wielkim cynikiem. Z początku tego nie rozumiałem. Dopiero teraz wiem, że pod tą piękną maską krył się cynizm niczym zdradziecki wir w spokojnym jeziorze.

- Ależ, kochanie, kto zechce wydawać pieniądze na wspinaczkę? - spytała, gdy Jamie przedstawił jej swój projekt. -

Ludzie wolą wydawać pieniądze na coś, co pobudza ich zmysły: ubranie, jedzenie, seks. Kto, u licha, będzie chciał płacić za łożenie po górach w deszczu? Twój ojciec zainwestował niezłą fortunę w ten interes wspinaczkowy i nie zarobił ani pensa.

Zaśmiała się. Pamiętam ten jej śmiech i to, jak uśmiechała się do mnie, by sprawdzić, czy nadal jej obecność robi na mnie wrażenie. Pamiętam też owo kłopotliwe uczucie, które wywoływała we mnie obecność tych dwóch kobiet - Ruth i Caroline - kobiet, które kochałem. Kłopotliwe było to, że Ruth o tym wiedziała. Ani Jamie, ani Caroline nie wiedzieli wszystkiego, ale Ruth tak. To my z Ruth trzymaliśmy w rękach tę delikatną konstrukcję mojej zdrady.

Kiedy w górach Szkocji nastąpiła zima, plany związane z Bryn Derw zostały odłożone na półkę. Po raz kolejny zaczęliśmy kursować między Londynem a Szkocją. Często towarzyszyła nam Ruth, zmieniając się przy kierownicy. Pewnego razu postanowiłem wsiąść w Glasgow i odwiedzić ojca. Gdy poprosiłem matkę o jego adres, nie mogłem ukryć zdziwienia, że w ogóle go zna.

- Pewnie cię przed tym nie powstrzymam - powiedziała.

- A dlaczego miałabyś to robić?

Pokręciła tylko głową, jakby chciała odrzucić od siebie to pytanie i całą sprawę jej nieudanego małżeństwa. Napisałem więc do ojca list, ostrożny i chłodny, wyjaśniając, że

często bywam w jego stronach i chciałbym się z nim spotkać. Zastanawiałem się, jak rozpocząć ten list, i w końcu wybrałem zwrot: „Drogi Ojczy”. Szczerze mówiąc, byłem trochę zaskoczony, kiedy otrzymałem odpowiedź.

„Chętnie się z Tobą spotkam - napisał - jeżeli uda Ci się przyjechać w sobotę po południu”.

Wyglądało na to, że zależy mu na tym terminie.

Stracisz cały dzień - zaprotestował Jamie.

- Jedźcie z Ruth - powiedziałem. - Naucz ją posługiwać się czekaniem. Zobaczymy się wieczorem.

Dom mieścił się na przedmieściach Glasgow, po północnej stronie zatoki Firth of Clyde. Był to majestatyczny wiktoriański budynek z oknami wychodzącymi na morze. Davie zgodził się mnie podwieźć i poczekać, póki nie wyjdę.

- Przybiegnę, jeżeli usłyszę strzały - zapewnił mnie.

Tablica przed domem z napisem „Gabinet lekarski” kierowała do bocznego wejścia, lecz ja podszedłem do frontowych drzwi i wcisnąłem dzwonek. Nie musiałem długo czekać. Drzwi się otworzyły i stanął przede mną mężczyzna jasnowłosy, tęgi i łysiejący, znacznie starszy, niż go sobie wyobrażałem, a to dlatego, że pamiętałem go ze starych fotografii, które zachowała moja matka.

- Jestem Robert - powiedziałem.

Zawahał się. Odniosłem wrażenie, że zastanawia się, czy mówię prawdę, czy nie jestem jakimś oszustem.

- Miło mi cię widzieć, Robercie - rzekł w końcu, wyciągając rękę na powitanie.

Kiedy ją ująłem, poczułem absurdalny przypływ emocji, jakby ten fizyczny kontakt stworzył inną formę porozumienia, bardziej subtelny, która powstaje między spokrewnionymi ze sobą osobami. Ruth nazwałaby ją duchową, Eve całkowicie by odrzuciła, jako czysty sentymentalizm.

- Wejdz, chłopcze - zaprosił, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Hall był duszny i ciemny, wypełniony dowodami obecności jego nowej rodziny: różnej wielkości płaszczami od deszczu, raketami do tenisa, kijem do krykieta, laską i parasolami w stojaku. W salonie stały fotografie uśmiechniętych dzieci, uśmiechniętej żony i uśmiechniętego psa.

- Nie ma ich w tej chwili - wyjaśnił. - Pomyślałem, że będzie lepiej, jeżeli...

- Jeżeli co?

- Jeżeli ich tu nie będzie. Mam na myśli rodzinę. Chodzi o to, że moja żona jest

katoliczką.

Przyznam, że mnie to zaskoczyło.

- Katoliczką?

- Tak. To trochę kłopotliwa sytuacja. Niektórzy członkowie jej kościoła uważają, że żyje w grzechu.

- W grzechu?

- Tak.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

W Londynie te sprawy mają się trochę inaczej, lecz tutaj istnieją bardzo silnie rozwinięte zasady moralne. Ona poślubiła przecież rozwodnika.

Nie byłem pewny, czy żartuje, czy mówi poważnie. Nie potrafiłem odczytać tego ani z jego wyrazu twarzy, ani z tonu głosu.

- Może napiłbyś się dobrej herbaty? - spytał, jakby herbata mogła tu cokolwiek wyjaśnić.

Przyjąłem zaproszenie, a on na chwilę wyszedł do kuchni. Miał wszystko przygotowane: tacę z kubkami i talerzyk z imbirowymi herbatnikami. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, jakbyśmy prowadzili negocjacje, może po to, by choć trochę ulżyć ciężarowi winy, jaki on i jego rodzina dźwigali na swoich barkach. Sądziłem, że czeka, aż zrobię następny ruch, aleja milczałem jak prawdziwy Szkot.

- Skąd przyjechałeś? - spytał w końcu.

- Z Londynu.

- A tak, z Londynu. A jak się czuje mama?

- Dobrze.

- No to się cieszę. A ty co teraz robisz?

- Studiuję na uniwersytecie w Londynie. Literaturę angielską, głównie jednak się wspinam. To znaczy wspinaczka zajmuje mi większość czasu. Dlatego właśnie przyjechałem do Szkocji.

Nie wyglądał na zdziwionego. Raczej na zainteresowanego.

- Naprawdę? Sam się trochę wspaniałem, gdy byłem młodszy i szczuplejszy. Swego czasu zaliczyłem wszystkie góry Munro.

- Pewnie to ma się we krwi.

- Wiesz, że twoja matka uwielbiała góry? Jesteś bardzo do niej podobny.

- Tak mówią.

- To widać. I co teraz porabiasz?

- Już mówiłem, studiuję na uniwersytecie.

- A tak, rzeczywiście.

Rozmowa była z gatunku tych, co to kończą się, zanim się jeszcze zaczęły, żaden bowiem temat nie ma dość siły, by utrzymać się dłużej niż dwie, najwyżej trzy wymiany zdań.

Poczułem gniew, że nie potrafię odbyć z nim przyzwoitej rozmowy.

- Czy pan nigdy się mną nie interesował? - spytałem nagle. - Czy pan nigdy się nie przejmował?

Jakby się wzdrygnął.

- Przejmował?

- Że ma pan syna, na litość boską!

- Oczywiście, że się tym przejmowałem, Robercie. Ale to twoja matka sobie tego życzyła. Nie chciała żadnej pomocy, żadnego współczucia, żadnych przeprosin. Była twardą kobietą. Jak prawdziwa Szkotka. - W jego oczach błysnęło rozbawienie, a nawet może wspomnienie dawnego uczucia. - Powiedziała: „Trzeba żyć dalej. Muszę zacząć wszystko od początku”. Tak właśnie powiedziała.

- Ale dlaczego? - spytałem. - Dlaczego się rozwiedliście?

Zawahał się. Twarz mu się skurczyła.

- Nigdy ci o tym nie mówiła?

- Nigdy.

- Więc ja też nic mogę. Są pewne sprawy między dwojgiem ludzi.

- Raczej między trojgiem.

Uśmiechnął się i znów dostrzegłem ten błysk poczucia humoru ukrytego gdzieś pod szkockim, prezbiteriańskim pancerzem.

- Co najmniej trojgiem - powiedział.

- Więc kim są ci inni?

- Na przykład moja rodzina. - Pokręcił głową. - To, co się stało, już się nie odstanie i nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem.

- Ona też mówi coś podobnego.

- Naprawdę? To było tak dawno temu, że już prawie zapomniałem. Pamiętam jednak, że z upodobaniem cytowała fragmenty wierszy i różnych utworów. Najbardziej lubiła *Alicję w krainie czarów*. I Wordswortha. - Rozmowa przeszła na bezpieczniejsze tory. - Zawsze chciała studiować literaturę angielską. Gdyby nie wojna, poszłaby na uniwersytet w Liverpoolu. Wiedziałaś o tym?

Nie wiedziałem. Wyznałem, że jestem zaskoczony.

- 1 ale, talc - ciągnął. - Była mądrą kobietą. Nie zasługiwałem na nią. Tak czy owak przykro mi, chłopcze, ale to wszystko, co mogą powiedzieć. Grzebanie w przeszłości nikomu nie przyniesie niczego dobrego.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas na różne tematy, lccz do niczego nie doszliśmy. W końcu klepnął dłońmi w kolana i wstał.

- Nie będę cię dłużej zatrzymywał, Robercie. Ale miło było cię zobaczyć. Wyrosłeś na wspaniałego mężczyznę, chociaż włosy masz trochę za długie.

Tym razem naprawdę się uśmiechnął i mogłem się przekonać, że w tym chłodnym wnętrzu kryje się poczucie humoru.

Poszedłem za nim do hallu. Poklepał mnie niezdarnie po ramieniu, okazując coś na kształt ojcowskiego uczucia.

- Dorastanie bez ojca musiało być dla ciebie trudne.

Zatrzymałem się w drzwiach i popatrzyłem na niego.

- Nie wiem. Nie miałem z czym porównać.

I wtedy zrobił coś dziwnego, coś niezgodnego z jego charakterem, jeżeli w ogóle można poznać charakter człowieka po półgodzinnym spotkaniu - przytulił mnie do siebie. Był to dziwny, niezdarny gest, lecz tym bardziej wzruszający.

- Niech cię Bóg prowadzi, Robercie - wyszeptał.

Davie czekał na mnie przed domem.

- No i jak poszło? - spytał, gdy wsiadłem do samochodu.

Uśmiechnąłem się z trudem.

- Właściwie to nie wiem. Nie mam tego z czym porównać.

Ubawiło go to, ale ja mówiłem poważnie. Trudno powiedzieć, co się czuje, jeżeli uczucie jest nowe. Myślałem, że kocham Caroline. Myślałem, że nienawidzę własnego ojca. Doświadczenie nauczyło mnie, że się myliłem, choć może tylko częściowo, bo wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- No to jedziemy - powiedział Davie. - Jeżeli się pospieszymy, dotrzemy do Fort, zanim zamkną puby.

Tej niedzieli Jamie i ja dokonaliśmy pierwszego zimowego przejścia drogi na ścianie Orion na Ben Nevis. Była to ponadtrzystumetrowa mikstowa droga, prowadząca przez szereg lodospadów i odcinków zalodzonej skały. Znalezienie drogi w tym pionowym świecie stało się możliwe jedynie dzięki geniuszowi Jamiego. Zdarzały się łatwe fragmenty, kiedy wyrąbywaliśmy stopnie w twardym śniegu, jednak czasami balansowaliśmy na zmrożonych

bryłach lodowych o strukturze chipsów ziemniaczanych, niekiedy zdarzały się wyciągi oblodzonej skały, które pokonywaliśmy za pomocą raków i czekanów. Słońce odbijało się w niezliczonych diamentowych drobinkach. Pod nami rozciągała się przestrzeń, a my mieliśmy wrażenie unoszenia się w powietrzu. W czasie tych zapierających dech w piersiach godzin czuliśmy, że możemy latać.

Gdy dotarliśmy na skąpane w arktycznej bieli plateau, nad Isle of Mull i Atlantykiem zachodziło słońce, pławiąc się w czerwieni i czerni. Triumfalny okrzyk Jamiego w ryczącym wietrze zabrzmiał niczym pisk wróbla. Przeszliśmy plateau, by znaleźć zejście. Towarzyszył nam Orion, połyskujący na mroczniejącym niebie. W dole, u stóp Glen Nevis, zobaczyliśmy światła furgonetki, gdzie czekali Ruth i Davie.

- Przekłęci Angole - narzekał Davie, kiedy usłyszał, czego dokonaliśmy. - Przychodzą tu i kradną nasze drogi.

Musiał wracać do domu, bo rano następnego dnia miał spotkanie. Pomachaliśmy mu na pożegnanie, a potem weszliśmy do ciepłego wnętrza furgonetki i rzuciliśmy sprzęt. Ruth trzymała dla nas gorącą wodę na herbatę i butelkę whisky.

- Co tam u twojego starego? - spytał Jamie, jakby nagle przypomniał sobie o mojej wizycie u ojca.

Nie chciałem o tym mówić.

- Jak to u starego człowieka - odpowiedziałem.

- Przecież to twój ojciec - zaprotestowała Ruth.

- Nie bardzo wiem, co znaczy ten termin - odrzekłem. - Przecież nigdy nie miałem ojca, więc skąd mam wiedzieć?

Następnego dnia wstaliśmy wcześnie, prawie się do siebie nie odzywając. Spakowaliśmy rzeczy i ruszyliśmy w długą drogę powrotną na południe, zmieniając się co jakiś czas za kółkiem.

W ciągu następnego tygodnia ciepły front napłynął znad Atlantyku, przynosząc deszcz nad Wyspy Brytyjskie, uniemożliwiając wspinaczkę i zmuszając nas do pozostania w Londynie. Nasze życie zależało od kaprysów pogody i od rytmu przyływów. Ruth zdobyła bilety na koncert Incredible String Band - dwóch facetów z długimi włosami, sznurami paciorków na szyi, szerokimi spodniami, którzy siedzieli po turecku na rozłożonych na scenie poduszkach i szarpali jednostrunowe skrzypce i niebieskie kazoo. Eve również z nami była. Po koncercie poszliśmy na kolację do chińskiej restauracji przy Gerard Street. Śmialiśmy się, dyskutowaliśmy trochę o polityce i o własnej filozofii. Wszystko zaczęło się od scjentologii. Członkowie zespołu byli scjentologami. Ruth nagle okazała się zwolenniczką tej sekty,

pewnie dlatego, że Eve była jej przeciwna. Te dwie kobiety reprezentowały dwie zupełnie odmienne postawy tamtych czasów - mistyczną i polityczną. Kiedy wróciliśmy do mieszkania Jamiego, dyskusja rozgorzała na nowo. Z głośnika leciała psychodeliczna muzyka późnych Stonesów, a my klóciliśmy się, paliliśmy papierosy, piliśmy, często śmialiśmy się i czasami przeklinaliśmy.

- Wedle starej buddyjskiej mądrości poznanie siebie to klucz do szczęścia - mówiła Ruth. - Kim jesteśmy i dokąd zmierzamy? Odwieczny problem.

- Burżuazyjne brednie - odparowała Eve. Wspięła się na barykadę i wymachiwała czerwoną flagą, strzelając. - Większość ludzi na świecie nie może sobie pozwolić na poznawanie siebie. Oni nie mogą sobie pozwolić nawet na przyzwoity posiłek.

- A ja widziałam takich ludzi. Na przykład w Indiach. Może ich nie stać na, jak to nazywasz, przyzwoity posiłek, ale za to są szczęśliwsi od nas. Znają siebie i swoje miejsce w przyrodzie.

- Och, na litość boską! Karmi się ich religią zamiast jedzeniem. Religia to opium dla mas.

- To jest opiat, a nie opium.

- Jedno gównno. Zresztą nie o to chodzi. Opium albo haszysz, jeśli wolisz. Haszysz dla mas. Cholerny religijny narkotyk.

- To nie jest narkotyk, tylko poszukiwanie prawdy. Zaakceptowanie tego, kim się jest. Jak to, co zrobił Rob, idąc zobaczyć się z ojcem.

- Co takiego? - Eve zwróciła się w moją stronę. - Poszedłeś do tego drania, który rzucił twoją matkę?

Kłopot w tym, że nie powiedziałem jej o tym.

- To nie było zupełnie tak...

- Ależ właśnie tak. Widzisz? Znowu to cholerne opium.

- Przecież to jego ojciec - zaprotestowała Ruth. - Dlaczego nie miały się z nim spotkać?

- Bo to drań. Bo uciekł od odpowiedzialności.

- Ale jest rodziną Roba.

- Nie jest żadną rodziną - odparowała Eve. - Jedynie łyżeczką spermy.

Jakiś czas później Ruth i Jamie poszli do sypialni, zostawiając nas samych. Eve wyciągnęła się na kanapie z papierosem w ręku i popatrzyła na mnie przez chmurę dymu.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś? - spytała.

- Bo nie chciałem o tym mówić.

- Jednak jej powiedziałaś.

- Nie powiedziałem. Po prostu była na miejscu.

Zapadła cisza. Eve wciągnęła w płuca porcję własnego opiatu.

- Podoba ci się, prawda? Widziałam, jak na nią patrzysz. Myślę...

- Co myślisz?! - wybuchnąłem. - Co ty, u diabła, sobie myślisz?!

Uśmiechnęła się z triumfem.

- Myślę, że z nią spałeś.

Chciałem ją wyśmiać i skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory, lecz nie dała za wygraną.

- Czy Jamie wie o tym? Założę się, że nie. Chryste Panie, najpierw jego matka, a teraz dziewczyna. Ale z ciebie drań!

- Daj spokój, Eve. Gadasz bzdury.

- Wcale nie. Porafię czytać w tobie jak w otwartej księdze. Ruth jest niebezpieczna, a ty jesteś głupcem.

- Dlaczego głupcem?

- Bo nie dostrzegasz niebezpieczeństwa.

Zbyłem jej obawy wzruszeniem ramion. Jamie i ja nigdy nie rozmawialiśmy o niebezpieczeństwie. Wspinacze rzadko o nim mówią. Istnieją dwa rodzaje niebezpieczeństwa: obiektywne i subiektywne. Obiektywne to takie, nad którym nie ma się kontroli, na przykład lawina czy spadające kamienie. Można je minimalizować: zaczynać wspinaczkę wcześniej rano, kiedy luźne odłamki skał w górnych partiach są jeszcze wmarznięte w lód; wystrzegać się świeżego śniegu na starej warstwie; unikać miejsc zagrożonych lawiną kamieni. Lecz i tak cię dopadną, jeżeli masz zginąć. Natomiast z subiektywnym niebezpieczeństwem można sobie poradzić: zminimalizować je, stosując asekurację, i nie wybierać dróg przekraczających własne możliwości. Można je wyeliminować, w ogóle się nie wspinając. Ale można również wpaść pod autobus w drodze do pubu. Autobus to obiektywne niebezpieczeństwo. Subiektywne zaś jest wtedy, gdy się wchodzi na jezdnię, nie patrząc na boki.

Jakiego typu niebezpieczeństwem była Ruth?

Wieczór w jakimś pubie w Szkocji. Może był to Kingshouse, a może Clachaig. Nie pamiętam. Pamięć jest niekonsekwentna i wybiórcza, lecz nie umie gromadzić tak mało istotnych szczegółów jak te dotyczące geografii i topografii. Oczywiście zapamiętałem hałas i napór wielu wilgotnych ciał, ręce sięgające ponad głowami innych po szklanki z piwem, kałuże rozlanego piwa lub stopionego śniegu na podłodze. A na zewnątrz skargi typowej szkockiej nocy: zawrodoenie wiatru i wściekłe uderzenia deszczu lub deszczu ze śniegiem o

szyby pubu, jakby jakaś banda dzieciaków ciskała w nie kamieniami.

Byliśmy tam we troje: Ruth, Jamie i ja. Oczywiście bez Eve. Siedzieliśmy przy okrągłym stoliku, a za naszymi plecami kłębił się tłum ludzi. W pewnym momencie ktoś pochylił się nad nami.

- Co zdobyłeś, Jimmy? - spytał.

Jamie podniósł wzrok.

- Żleb Point Five - odpowiedział.

Tkwiła w tym pewna ukryta informacja. Żleb Point Five to trzystumetrowa lodowa zerwa na Ben Nevis, co oznaczało, że musieliśmy być w Fort William.

Pamiętam, że po krótkiej wymianie zdań z innym wspinaczem Jamie pochylił się nad stolikiem.

- Powinniśmy chyba wejść na Eiger, Rob - rzekł ściszym głosem. - Co o tym myślisz?

Latem zeszłego roku planowaliśmy wypad w Alpy Berneńskie, niestety nic z tego nie wyszło. Przebiegłem w myślach standardowe drogi na tej górze: grań Mittelegi, może nawet drogę Laupera na północno-wschodniej ścianie. Mieliśmy za sobą kilka niezłych wspinaczek w Alpach i mogliśmy zaliczyć każdą zimową drogę w Szkocji. Dlaczego więc nie mielibyśmy przejść Laupera, jednej z większych lodowych dróg w Alpach?

- Czemu nie. Jeżeli wyjedziemy latem...

- Myślałem raczej o tej wiosnie - powiedział Jamie. - Jeżeli nie będzie zbyt dużo śniegu. Jest wtedy zimniej, panują lepsze warunki, jest mniej lawin kamiennych.

Obawa o lawiny była pierwszą wskazówką.

- O jakiej drodze myślisz?

Pociągnął nosem. To jedna z proletariackich manier, którą sobie przyswoił. Starał się nie podnosić głosu, chociaż i tak w panującym na sali hałasie nikt nie zdołałby nas podслуchać.

- O północnej ścianie - powiedział.

Zaległa cisza. Otaczał nas gwar rozmów, lecz nie zagłuszył ukrytego znaczenia tkwiącego w tych dwóch wypowiedzianych właśnie słowach.

- Eigeru? - szepnąłem. - Chyba żartujesz.

To nie był pomysł, którym w tamtych czasach należało się chwalić. Chyba że chciało się wyjść na kompletnego głupca. Wejście na Eiger uważano za bardzo niebezpieczne, jedno z tych, o którym się marzy w ciągu dnia, a w nocy miewa się z jego powodu koszmary. Dzisiaj jest inaczej. Dziś pokonuje się tę drogę w cztery godziny. Dziś jest tam wiele tras

wspinaczkowych, jak na typowej walijskiej skałce. Nadaje się im nawet głupie nazwy, na przykład Kara, Yeti czy Symfonia Wolności. Powstał też film dokumentujący wejście. Północną ścianę zdobyto solo i pewnie ktoś zjechał z niej na nartach. Możliwe też, że wchodzi na nią turyści japońscy w sandałach. Wtedy jednak miała swoją wymowę i istniały jedynie dwie drogi: klasyczna z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku i direttissima z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, z której spadł tysiąc pięćset metrów w dół Amerykanin John Harlin. Tak, w tamtych latach zdobycie północnej ściany Eigeru było nie lada wyczynem, o którym pisała prasa, bez względu na to, czy śmiałek wychodził z tego żywy, czy martwy.

- Wcale nie żartuję. Poważnie się nad tym zastanawiam.

- Ale myślisz o nas?

Uśmiechnął się. Miał w sobie odpowiednią dozę szaleństwa, jasno wytyczony cel, determinację artysty i pewność siebie polityka.

- Oczywiście, że o nas.

Co robiliśmy następnego dnia? Pewnie znowu coś na ścianie Orionu, jakąś mikstową drogę, zbliżoną do tej skrajnie trudnej, którą planowaliśmy latem. Może jakiś wariant direttissimy na Orionie. Pamiętam jedynie sylwetkę Jamiego nad sobą, uderzenia jego czelciana, drapanie raków po lodzie i jego głos mruczący bzdury w rodzaju „trawers kretyńców” czy „biały karaluch”, będące parafrazą fragmentów dróg wspinaczkowych na północnej ścianie Eigeru. Rozpoznawałem symptomy narastającego w nim szaleństwa niczym u chorego psychicznie, przewidując, że nic przestanie gadać o Eigerze, myśleć o nim, oglądać zdjęć i powtarzać wszystkich tych czynności ogarniętego obsesją człowieka.

Po powrocie do Londynu pożyczyliśmy z biblioteki książkę Heinricha Harrera *Biały pająk*. Znaleźliśmy w niej mnóstwo górnołotnych frazesów i bohaterskich wyczynów, ale również fotografie, o które chodziło Jamiemu, i rozkładówkę ze szczegółowym opisem północnej ściany i wszystkich jej słynnych formacji skalnych, takich jak Poszarpany Filar, Trudna Rysa, Żelazko, Biwak Śmierci, Rampa, Trawers Bogów. Były również zdjęcia z pierwszego przejścia w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku z postaciami przyklejonymi do oblodzonej skały, usiłującymi skryć się przed śnieżną zadymką.

- Wygląda jak jedna z zimowych szkockich dróg - stwierdził Jamie.

- To ponad tysiąc pięćset metrów. W Szkocji nie ma czegoś takiego.

Na końcu książki znajdował się pełny opis drogi. Czytaliśmy go w tę i z powrotem, starając się utrwalić go w pamięci, wyobrażając sobie, jak pokonujemy drugie pole lodowe, wspinamy się w górę po zwietrzałych skałach odcinających szczytową partię ściany.

Pokonywaliśmy Żelazko, Trawers Bogów, mając pod sobą dziewięćset metrów przepaści.

- Nie ma w tym żadnej techniki, Rob - przekonywał. - To nie jest trudniejsze od tego, z czym mieliśmy do czynienia w ostatni weekend w Szkocji.

- Ale to jest ponad tysiąc pięćset metrów - powtórzyłem.

Z pomocą przyszła mu ręka z przeszłości, która klepnęła go w ramię.

- Spójrz na to. - Wyciągnął jakiś zeszyt z wyblakłą szarą okładką i spiętymi stronami.

- Tylko spójrz.

Kartki w środku pożółkły ze starości. Przyjrzałem się wyblakłym literom, dziwnie znajomemu charakterowi pisma, które kiedyś uwieczniło imię mojej matki przy kilku drogach wspinaczkowych w Walii.

- Gdzie to znalazłeś?

- W starej skrzyni w Gilead House. To dziennik jego alpejskich wspinaczek.

Grindelwald., lato 1939- widniało w górze strony.

12' czerwca: grań Mittellegi, cztery godziny ze schroniska. Piękna pogoda i widoki. Zejście zachodnią flanką. Eigergletscher 17:00.

16 czerwca: północno-wschodnia ściana (droga Laupera). 16 godzin. Zejście do schroniska Mittellegi. Całkiem niezłe.

19 czerwca: rekonesans północnej ściany do Stollenloch. Wydaje się do przejścia (tempo według Klubu Alpejskiego!), wymaga lepszej pogody. Przyszły rok?

Jamie obserwował moją reakcję. Był jak ktoś, kto daje prezent i chce ujrzeć radość i wdzięczność na twarzy obdarowanego.

- Widzisz - powiedział, gdy się tego nie doczekał. - Mój stary praktycznie zdobył północną ścianę zaledwie rok po pierwszym jej przejściu. Kiedy wszystkie te stare pierdoły w Anglii uznały to za niemożliwe.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi na jego entuzjazm.

On dotarł tylko do Stollenloch. Tam przecież dochodzi kolejka. To zaledwie jedna trzecia całej trasy i przed prawdziwymi trudnościami. Nawet wtedy mnóstwo ludzi tam docierało.

- Ale zobacz - wskazał palcem - tu jest napisane „przyszły rok”.

- I zobacz, co stało się w przyszłym roku.

- No tak. Ale co by było, gdyby?

Roześmiałem się. Wiedziałem, że jedynym sposobem na wyrzucenie demonów z jego głowy będzie przejście tej ściany i pokonanie ojca. A potem skierowanie jego zainteresowania na Kangczendzongę.

Kilka tygodni później były Jamiego urodziny. Podarowałem mu *Diabły z Loudun* - książkę o szaleństwie i opętaniu.

Część czwarta

Londyn 1940

1

Diana otrzymała przydział do domu państwa Warren w dzielnicy Kentish Town. Pani Warren - tęga kobieta o ziemistej cerze - z powodzeniem mogła służyć za reklamę Ministerstwa Żywności, wyjaśniającą niezrozumiałe powody wprowadzenia ograniczeń czy racjonowania żywności i podpisaną „Pani Słonina Żarłoczyńska”. Jej mąż był szczupłym, nieprzyjemnym mężczyzną, za którym ciągnął się smród brudnego ubrania. Utrzymywał się z jakiejś renty i większość czasu spędzał w kuchni przy stole, reperując części pokrytych smarem maszyn, trybiki, krzywki i koła łańcuchowe, części do rowerów i motocykli. Smar wnikał w powierzchnię stołu, nadając mu ciemny odcień starości i brudu.

- On wie, co robi - mówiła z dumą pani Warren, patrząc na męża. - Czego nie można powiedzieć o tych głupkach z County Hall. Był inżynierem w kopalniach.

- W kopalniach?

- W kopalniach węgla, złociutka.

Diana nigdy nie słyszała, by w Londynie były kopalnie węgla. W południowej Walii, w Nottingham lub na północy kraju - to tak.

- W Kent, złociutka - wyjaśniła z sarkazmem w głosie pani Warren. - Kopalnie węgla w Kent. Gdzie ty dotąd żyłaś? Oni biją się nie o pola chmielowe i kryte strzechą chaty, lecz o te cholerne kopalnie i w ogóle.

Według słów pana Warrena praca w kopalni zniszczyła mu płuca. Na dowód tego ciągle kaszlał i sapał. I narzekał. Narzekanie stało się jego drugą naturą. Narzekał na wojnę, na racjonowanie, na niedogodności, na zarządzenia, a zwłaszcza na to, które umieściło Dianę Sheridan w ich domu. Pani Warren trzęsa się nad mężem jak nad dzieckiem i skwapliwie wtórowała jego narzekaniom.

- Prawda, jaki on ostrożny? - mawiała. - Walczył na wojnie, więc wie, jak to jest.

Diana zajmowała pokój na górze, który należał do syna Warrenów stacjonującego teraz z wojskiem w Afryce Północnej. „Siedzi tam sobie i baki zbija” - skomentował pan Warren. Pokój wychodził na mały ogród ze schronem i grządkami warzywnymi, a za nim były inne ogrody i dachy sąsiednich domów. W dwa z nich trafiły bomby w czasie jednego z pierwszych niemieckich nalotów, a powstała w ten sposób wyrwa odsłaniała widok na mały

skwer, gdzie za stosem worków z piaskiem stało działo przeciwlotnicze.

Diana pracowała na zmiany po dwanaście godzin. Kiedy miała nocną zmianę, jej tryb życia ulegał odwróceniu. Wstawała, gdy było już ciemno, i egzystowała w świecie błyskających świateł, hałasu i krzyków; kładła się spać w jasnym świetle dnia, wśród dźwięków codziennej krzątaniny - odgłosu kroków na chodnikach, rozmów sąsiadów, szczekania psów, warkotu przejeżdżających samochodów i snów o płonących domach i poszarpanych ciałach.

Oddział pogotowia, w którym pracowała, mieścił się w Clerkenwell, gdzie kiedyś były garaże i magazyn mięsny w podziemiu. Obok, w dawnym sklepie mięsnym, zorganizowano punkt pierwszej pomocy. Jeździła do pracy metrem, linią Northern, jedną z najgłębszych i najbezpieczniejszych. Po południu przed stacją ustawiały się długie kolejki ludzi, czekających, aż o czwartej będą mogli wejść i schronić się na dole. Kiedy wracała do domu rano po nocnej zmianie, wszyscy ci ludzie leżeli na peronach przykryci kocami i musiała nad nimi przechodzić. Przypominało to chodzenie po zaoranym polu tak, by nie zabrudzić błotem butów.

- Au! Uwważaj, gdzie stawiasz te śliczne nóżki, panienko - słyszała.

- Nie możesz uważać, jak idziesz, do cholery?!

- Nie widzisz, cholera, że tu śpimy?!

Panujący na stacji zapach był trudny do zniesienia: smród niemytych ciał, wilgoci, brudnych ubrań, moczu i fekaliów. Załatwiali swoje potrzeby w tunelach, podcierając się kawałkami gazet. Człowiek stawał się żyjącą w jaskiniach bestią, która martwi się jedynie o własne potrzeby. Stosunki pozamałżeńskie stały się czymś powszechnym, jak mawiała Meg. Ale stacje metra też nie należały do bezpiecznych. W stację Bank trafiła bomba i plotki głosiły, że zabiła ponad setkę ludzi. Bomba o dużej sile rażenia mogła podobno wbić się w ziemię na głębokość piętnastu metrów.

Jeżeli Dianie dopisało szczęście, była w domu Warrenów dziewiątej rano. Otwierała drzwi kluczem, który jej dali, wołała: „To ja!” - i szła prosto na górę do swego pokoju. Często w ubraniu padała na łóżko i zasypiała. Zmęczenie niczym gęsta ciecz rozlewało się po ciele, paraliżowało umysł i nogi, wciągało w świat koszmarów nocnej zmiany, płonących domów, porozrywanych ciał, świata rozjaśnionego pomarańczową łuną ognia i grą reflektorów sunących po niebie jak bisle smugi kredy na szkolnej tablicy. Tylko czasami znajdowała dość sił, by najpierw się rozebrać i umyć. Łazienka mieściła się w przybudówce przylegającej do tylnej ściany domu można się było dostać do niej jedynie przez kuchnię. Diana pukała najpierw do drzwi, a wówczas pan Warren wołał: „W porządku, można wejść. Jestem

związany”. I tak każdego dnia.

- Uważaj na niego, złociutka - ostrzegła ją z dumą pani Warren. - On lubi dziewczęta.

A co powiesz na śniadanie?

Ona jednak nigdy nie czuła się głodna, przeważnie było jej niedobrze.

- Nie, dziękuję, pani Warren. Wystarczy filiżanka herbaty.

- Musisz jeść. Nie wolno ci rezygnować z posiłków. Mamie wyglądasz.

- Nie czuję się dobrze.

Kobieta przyjrzała się jej z uwagą. Małe świńskie oczka nie patrzyły jednak przyjaźnie, ale podejrzliwie i z wyrachowaniem.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- To wina tych paskudztw, które jesz w kantynie.

Zapewne.

Czasami myślała o Guyu, lecz życie w Londynie tak bardzo różniło się od poprzedniego, obfitowało w tak wielkie kontrasty, że z trudem przywoływała w pamięci obrazy domu, przyjaciół czy rodzinnych stron. Otrzymywała listy od Guya, listy jakby z innego świata. „Mój kochany Żółwiu - pisał - kiedy się znów zobaczymy?” W myślach łączyła go zawsze z górami. Tymczasem teraz mieszkała w mieście, gdzie skałami stawały się wypalone szkielety budynków, a wzgórzami - góry gruzu, gdzie roślinność była obcym ciałem, kielkującym między kostką brukową lub w ruinach zbombardowanych domów. Nic jej nie łączyło z tym nowym życiem - prawdziwy związek był dla niej czymś zbyt czystym, zbyt świętym, by porównywać go z jej obecną, grzeszną egzystencją. W tym nowym, upadłym świecie kruki zmieniły się w szpaki, białe gołębicę w miejskie gołębie, a szum wiatru w wycie syren. Guy Matthewson wydawał się zbyt odległy w czasie i przestrzeni, jakby istniał w innym wymiarze, którego nie umiała określić.

Drogi Żółwiu!

Trybunał nie przyjął moich wyjaśnień. Złożyłem więc apelację, bo to oburzające. Gdyby przyjęli moją propozycję, mógłbym robić coś pożytecznego. Wspominałem o sfraczy pożarnej...

Często o Tobie myślę. Na pewno jesteś bardzo dzielna tam, pod tymi bombami, lecz jałde to potworne narażać Ciebie i cały kraj na coś takiego. Moja własna walka wydaje się w tej sytuacji czymś śmiesznym. Uważaj na siebie, mój skarbie.

Całuję, Guy

Co miała o tym myśleć? Naprawdę nie wiedziała. Czasami Guy przesłaniał jej cały

świat, kiedy indziej wydawał się snem w tym nowym, mrocznym koszmarze, w którym obecnie żyła.

Zdarzało się, że pracowała w punkcie pierwszej pomocy, przeważnie jednak wyjeżdżała z którymś z zespołów pogotowia ratunkowego. Wszystko zależało od tego, gdzie była potrzebna. Obsadę karetki - oprócz kierowcy - stanowili dwaj sanitariusze i niekiedy pielęgniarka. Początkowo pielęgniarka musiała nosić pełny uniform: spódnicę, fartuch i głupi wykrochmalony czepek, który formowano w specjalny sposób z półokrągłego kawałka materiału. Kompletną głupotą było chodzenie po gruzowisku w spódnicy i czarnych pończochach, szybko więc zrezygnowano z tradycyjnego stroju i zastąpiono go kombinezonem i białą opaską z czerwonym krzyżem na rękawie.

Nocne zmiany miały zróżnicowany przebieg. Bywały całkiem spokojne, gdy w ich sektorze nic się nie działo. Jeżeli nie zachodziła taka potrzeba, nie wzywano karetek z innych okręgów, bo zawsze mogło się coś zdarzyć w macierzystym. Czasami więc dyżur spędzali na rozmowach, grze w karty i słuchaniu huku bomb spadających w innej dzielnicy oraz odgłosów dział przeciwlotniczych. W takie noce Diana nauczyła się rozmawiać o niczym. Te rozmowy wymagały talentu, bo opowiadane anegdoty były nudne i nieciekawe, jak historie o rodzinie, przyjaciółach czy wrogach: ten zrobił to, ta zrobiła tamto, dlaczego postąpili tak, a nie inaczej. Cała ta nocna rozmowa nie pozostawiała śladu w pamięci. Była formą znieczulenia, tępiła wrażliwość na inne sprawy, inne troski, inne potrzeby.

Kiedy jednak i oni otrzymywali wezwanie, wówczas zaczynał się chaos. Dzwoniły telefony, wykrzykiwano rozkazy, wyły syreny i z garaży wyjeżdżały karetki. Pędziły przez ulice, omijając zatory, gruzowiska, przejeżdżały z bolesną powolnością po kawałkach tłuczonego szkła, podskakiwały na wężach strażackich, wijących się w poprzek ulic, przemierzały oszalałą dżunglę jak z sennego koszmaru i kończyły swoją podróż na jakiejś zapomnianej uliczce, gdzie huczały płomienie, waliły się domy i umierali ludzie.

Diana najbardziej lubiła pracować z kierowcą o imieniu Bert. Sądziła, że prawie każdy w Londynie ma na imię Bert, tymczasem spotkała tylko tego jednego.

- Albert Jones, Esquire - powiedział, patrząc na nią. - Ale jeżeli będzie pani dla mnie miła, może pani mówić Bert.

Przed wojną był taksówkarzem, toteż znał wszelkie możliwe objazdy.

- Ma się tę wiedzę, no nie? - wyjaśniał z tajemniczym uśmiechem, a owa „wiedza” urastała w głowie Diany do olbrzymich rozmiarów, jakby to była jakaś filozofia, sekret nieśmiertelności czy coś w tym rodzaju. Bert patrzył przez przednią szybę na gęsty dym po eksplozji i mówił: - Zupełnie jak jakaś, proszę wybaczyć, pieprzona mgła. - Zawsze jednak

wiedział, gdzie się znajduje.

Karetka - przerobiony na ambulans ford V-8 - pokonywała zakręty i ulice i nieomylnie docierała na miejsce tak zwanego wypadku. To taki biurokratyczny eufemizm. Początkowo używano określenia „zdarzenie”, potem jednak zmieniono je na „wypadek”, żeby nie wymieniać słowa „katastrofa”. Przyczyną wypadku mógł być kruszący materiał wybuchowy, który powodował zawalenie się budynku i różnego rodzaju obrażenia: urazy, złamania i wewnętrzne krwotoki, jak również miny lądowe, spuszczone na spadochronach, wybuchające na ulicy i rozrywające ludzi i budynki na kawałki, a także bomby zapalające - wtedy dochodziło do poparzeń. Poparzenia były najstraszniejsze: spalona i obłaząca skóra z wściekle czerwoną tkanką pod spodem. Puls rozplątywał się w nicości pod naciskiem jej środkowego palca, a w miejscu twarzy ział otwór przypominający szeroko otwarte usta do krzyku, przez które ulatniało się życie.

Wypadki nakładały się na siebie, tworząc mieszaninę obrazów, zapachów i dźwięków. Przede wszystkim dźwięków. Wstrząs wybuchającej bomby i trzask dział przeciwlotniczych, grzechotanie bomb zapalających po dachach i chodnikach, warkot pomp i rytmiczne dudnienie bombowców wysoko w górze, ponad brunatnożółtymi chmurami. Diana przedzierała się przez stosy gruzu, niosąc łubki, butelki z solą fizjologiczną, bandaże, opaski zaciskające.

- Siostro! Siostro, tutaj! - brzmiało wołanie.

Potykała się i szła dalej, wciskała się w tunele wykopane w gruzach, by dotrzeć do zasypanych nóg i zrobić zastrzyk z morfiny, pomagała uwolnić pogruchotane nogi spod belek, zakładała łubki i opaski uciskowe, by zatamować krwawienie. Czasami musiała się obyć bez szyn, a wtedy po prostu związywała razem nogi rannego, czasami też za opaski uciskowe służyły jej własne kciuki wciśnięte w zakrwawione udo. Rany były na ogół pokryte pyłem, który mieszał się z krwią. Nad wszystkim unosił się fetor z pękniętych rur kanalizacyjnych i gazowych, zgniła woń wilgoci ze starych piwnic, odór niemytych ciał i ostry, siarkowy zapach po bombie. Niekiedy płonąca rura gazowa rozświetlała całą scenę piekielnym światłem. Zdarzało się, że kurtynę zastępowały płomienie palącego się domu i kawałki sadzy strzelające ku pomarańczowemu niebu, płomienie o barwie oparzeń: fioleto z plamami czerni i zbieleńskich kości we wnętrzu. Można to było porównać jedynie do piekła opisanego przez Dantego z sylwetkami diabłów strzelającymi batami wody w stronę płomieni. Z góry dochodził warkot niewidzialnego samolotu i widać było balony zaporowe, które wyglądały jak larwy w gnijącym cieple chmury. Nagle w powietrzu następowała kotłowanina i z wysokości siedmiu metrów z przeraźliwym gwizdem spadała bomba, znikając

gdzieś wśród dachów. Potem rozległ się huk eksplozji i wstrząs. Ludzie mówili, że trudno było usłyszeć taką nadlatującą bombę. Bert wyjaśnił jej to.

- Te bomby mają prędkość zbliżoną do prędkości dźwięku, więc jakby doganiają własny dźwięk. Dlatego ich nie słychać. Dopiero w ostatniej sekundzie.

Diana nie miała okazji się o tym przekonać, co wydawało jej się dziwne. Człowiek czuł się taki bezbronny. Bombowce sunęły po niebie, a bomby spadały jak w jakiejś niebiańskiej loterii, lecz zawsze gdzie indziej. Czy to oznaczało, że została wybrana? Albo raczej wykluczona?

- Masz po prostu kurewskie szczęście, kochana - stwierdził Bert, pukając w niemalowane drewno. - Miejmy nadzieję, że cię nie opuści.

A potem rozległ się lament syren, ogłaszający koniec nalotu, i chłodny świt wpłynął na zaśmiecone ulice niczym płyn ustrojowy sączący się z rany. Służby ratownicze będą pracować przez cały dzień, przerzucając gruz, podnosząc belki, przekopując tunele w miejscach, skąd dochodził jakiś dźwięk, stłumiony płacz lub prośba o pomoc, o światło, o życie. Ambulans zaś ruszy w drogę powrotną, by rozwieźć rannych, tam gdzie znajdą się wolne łóżka lub tam, gdzie uda się dotrzeć - do Bartsa, do Royal Free lub do London Hospital na Main End Road - a potem w ciszy wróci do bazy.

Dzienna zmiana poczeka na ich powrót. Na koniec jeszcze raport i można będzie obmyć twarz w umywalni oraz zagotować wodę na herbatę. Potem dom, a raczej pokój w domu Warrenów, oddalony o piętnaście minut jazdy metrem, jeżeli chodziło.

Kochany Żółwiu!

Dziś dostałem wiadomość z sądu apelacyjnego i sprawy chyba idą Jai lepszemu. Mam stawić się przed trybunałem w przyszłym tygodniu. Myśl o mnie i życz mi szczęścia...

Któregoś razu pan Warren nie był związany.

- Proszę wejść! - zawołał, kiedy Diana zapukała do drzwi, po czym stanął w przejściu, blokując jej drogę do łazienki.

Dziewczyna nie dostrzegła pani Warren w pobliżu.

- Poszła do sklepu - wyjaśnił z uśmiechem. - Podobno przywieźli banany.

Diana zmusiła się do uśmiechu.

- Może mnie pan przepuścić? Chciałabym do łazienki.

Warren nie ruszył się z miejsca.

- Chciałabyś banana, kotku? - spytał. - Długiego i grubego, i lekko wygiętego? Trochę spiczastego na końcu, tak że łatwo wsunąć go do ust. Jak ci się to podoba?

- Marzę tylko o kąpieli - odpowiedziała, nie bardzo zdając sobie sprawę ze znaczenia

słów i tonu jego głosu.

Stał tuż przed nią, z głową na wysokości jej biustu i uniesioną w górę szczerzą twarzą. Błyskawicznie złapał ją za rękę, zanim zdążyła się cofnąć czy chociaż skulić. Był niższy od niej, lecz znacznie silniejszy. I szybszy, biorąc pod uwagę to, że Diana wróciła po dwudziestogodzinnym dyżurze i padała z nóg. Mężczyzna drugą rękę wsunął jej pod szlafrok.

Zamarła. Pod spodem nie miała nic. Nie powinna, ale nie miała. Pan Warren wciągnął gwałtownie powietrze w płuca. Może był bardziej zaskoczony niż ona. Może spodziewał się, że pod spodem Diana będzie miała halkę lub biustonosz. Może nic chciał zrobić jej krzywdy. Może oczekiwał, że zacznie się wykręcać, chichotać i mówić, jaki to on jest okropny, traktować to jako zabawę, niezbyt przyjemną, lecz jednak zabawę. Tak czy owak dziewczyna była naga, stała jak przymurowana, a jego ręka również tkwiła w miejscu.

- Masz tu ładne futerko - powiedział cicho. Przełknął ślinę, oblizał wargi i uśmiechnął się do niej. - Poza przydziałem, co?

Chciała krzyknąć, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Po prostu stała nieruchomo z na wpół otwartymi ustami i jego ręką na swoim brzuchu. Warren poruszył lekko palcami.

- Tylko nie krzycz - szepnął. - Bądź cicho, a nic ci się nie stanie.

Czuła jego oddech. Pachniał gazem takim jak ten, który unosił się nad ulicami po nalocie. Zamknęła oczy. Oddychaj głęboko - pomyślała. Zawsze powtarzała to rannym. „Proszę głęboko oddychać” - mówiła, opatrując złamane nogi, poharatane ciała, tamując palcami upływ krwi. Oddychaj głęboko. Wdech, przerwa, wydech, przerwa. Wdech, przerwa, wydech, przerwa. Tak należy robić, gdy chce się zmniejszyć hiperwentylację i złagodzić skutki szoku. Szok jest największym zabójcą, a ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. W pierwszej chwili ofiara czuje się dobrze, rozmawia, uśmiecha się, w następnej umiera.

- Nie zrobię ci krzywdy - szepnął Warren. - To tylko zabawa.

W końcu odzyskała głos.

- Jeżeli natychmiast mnie pan puści - powiedziała cicho - nikomu nic nie powiem.

Chyba zaskoczył go jej spokojny ton głosu. Sama była nim zaskoczona. Wolno i niechętnie cofnął rękę i pozwolił jej przejść.

- To tylko zabawa - powtórzył. Uniósł dłoń do nosa i powąchał palec. - Ładnie pachniesz - dodał.

Otuliła się szczelnie szlafrokiem i weszła do łazienki.

- Mogę załatwić ci różne rzeczy! - zawołał. - Czekoladę i takie tam. Jeżeli zechcesz. Jeżeli będziesz dla mnie dobra.

Zaryglowała drzwi, zatkała dziurkę od klucza kawałkiem papieru toaletowego,

odkręciła kurek z gorącą wodą, usiadła na brzegu wanny i rozpląkała się.

Po tym zdarzeniu próbowała zmienić przydział, ale się nie udało. Jeśli nie możesz znaleźć czegoś lepszego, musisz się z tym pogodzić. Więc się pogodziła. Motto tego całego cholernego kraju brzmiało: „Cierpliwie znoś i milcz”. Mogliby je wydrukować na plakatach razem z drugim: „Bądź jak tata: broń mamy”. Codziennie rano, kiedy wracała na kwatere, łaciła się, że w miejscu domu zostanie kupę gruzu i pana Warrena pod nią. Dom wciąż jednak stał.

- Powinnaś kopnąć go w jaja - stwierdziła Meg, gdy Diana jej o wszystkim opowiedziała. - Co za obmierzły typek! Chcesz, żeby przysłała i zrobiła z nim porządek?

Meg najwyraźniej nie miała nic przeciwko wojnie. Srogość dodawała jej uroku. Po prostu rozkwitła. Z upiętymi do góry włosami, szerokimi ramionami, butami na koturnie i krwistoczerwoną szminką na wargach przyciągała wzrok mężczyzn jak dornier światła reflektorów. To porównanie było jej autorstwa. Mieszkała i pracowała gdzieś w okolicy Croydon i od czasu do czasu spotykała się z Dianą na mieście. Zwykle szły do Lyons Corner House lub potańczyć do jednego z hoteli. Meg wstąpiła do Żeńskiej Służby Pomocniczej w Lotnictwie Królewskim i wykonywała jakąś pracę związaną z radiem, której nie wolno jej było mówić, no bo Meg nie mogła przecież robić czegoś, co nie byłoby ważne. Za to o innych sprawach miała wiele do powiedzenia. Znała mnóstwo ludzi i mnóstwo plotek. Podobno wprowadzą racjonowanie ubrań, ale kosmetyków nie mszą, bo Churchill lubi umalowane dziewczęta. Podobno amerykański ambasador sympatyzuje z nazistami uważa, że Brytyjczycy skapitulują w ciągu kilku tygodni. Podobno w fabrykach zabrakło gumy na prezerwatywy i szykuje się wprost przerażający wzrost liczby urodzeń.

Diana mogła swobodnie rozmawiać o swojej pracy, ale nie chciała.

- Szkoda, że nie widziałaś, co się dzieje w East Endzie - powiedziała cicho. - Tam jest strasznie. Ludzie nie mają gdzie się schronić. Koczują na stacjach metra, a władze usiłują im tego zabronić. I w tunelach kolejowych. W Tilbury pod Commercial Road koczuje piętnaście tysięcy ludzi. Piętnaście tysięcy. Oni żyją jak zwierzęta.

Meg westchnęła.

- Na litość boską, przestań mnie kanieć tymi bzdurami o cierpiącej klasie robotniczej. Równie źle jest na West Endzie. W Croydon też trafiły bomby.

Diana pokręciła głową.

- Ale nie tak jak w Stepney czy w Poplar.

Czuła się przybita i zniechęcona. Właściwie to co chciała udowodnić?

- Wszyscy teraz mówią o bombardowaniach. Całe cholerne miasto o tym gada. To już

się robi nudne. Zgadnij, kto jest w Egipcie.

- Kto?

- Hilda. Szczęściara. Bardzo bym chciała dostać przydział do egzotycznego Orientu. Wszędzie, byle nie ten cholerny Londyn. Masz jakieś wieści o naszej starej paczce? Dostałam list od Erica.

- Od Erica?

Diana nie mogła go sobie przypomnieć. Ten brak pamięci, to oderwanie się od przeszłości były czymś absurdalnym. Jakby w ogóle nie istniały wspomnienia.

- Od Erica, głuptasie. Pamiętasz go? Jest w lotnictwie. Przecież chodziliście ze sobą przez dwa miesiące.

Siedziały w sali balowej hotelu Albion, królewskiego hotelu Albion, słuchając Jerry'ego Rollo i jego orkiestry. Na parkiecie z pół tuzina par tańczyło cza-czę. Od czasu do czasu Jerry Rollo wykrzykiwał „Ole!”, żeby wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

- Oczywiście, że pamiętam Erica.

- Jest w Kanadzie na obozie szkoleniowym. Zdaje się, że będzie latał na bombowcach. Pisz, że tam ciągle pada śnieg.

Zaczęły wyc syreny. Ten wznoszący się i opadający dźwięk wywoływał w sercu panikę, a na czole i pod pachami krople potu.

- Boże, znów to samo - stwierdziła z ciężkim westchnieniem Meg.

Jerry Rollo uciszył orkiestrę, po czym odwrócił się do zdeorientowanych tancerzy z olśniewającym uśmiechem na twarzy.

- Panie i panowie, zdaje się, że mamy gości. Nie sądzę jednak, by chcieli tańczyć tango. Jeżeli zechcą państwo skorzystać z hotelowego schronu, serdecznie zapraszam. Jednak orkiestra zostaje na posterunku.

Rozległy się śmiechy. Ludzie spoglądali na siebie nerwowo, jakby bali się popełnić gafę. Jedna czy dwie pary wstały od stolików z zamiarem wyjścia, ale może i tak zamierzały to zrobić. Człowiek czułby się lepiej, gdyby był w tej chwili na służbie, zamiast siedzieć przy stoliku i udawać, że nic się nie stało).

Orkiestra ponownie zaczęła grać, zagłuszając dalekie odgłosy dział przeciwlotniczych.

- Zdaje się, że to daleko stąd - powiedziała Meg. Zapaliła papierosa i wypuściła smugę dymu w stronę sufitu. W tle granej melodii słychać było wybuchy bomb w okolicy doków. Tym razem ucierpiał ktoś inny, nie hotele, kluby i kina na West Endzie.

- A co u ciebie, kochanie? Masz jakieś wiadomości od Guya?

- Prawdę mówiąc, tak.

Orkiestra przestała grać cza-czę, a na scenę wszedł zespół przebrany za Murzynów i zaśpiewali *If I Didn't Care*. Kołysali się, zawodzili słodkimi głosami i przewracali oczami.

- Nadal walczy o pokój i cywilizację? Znaczą się Guy.

- Trybunał odrzucił jego prośbę. Guy będzie się odwoływał.

- Wcale mnie to nie dziwi. Czy on nie jest przypadkiem komunistą? Nic dziwnego, że trybunał odrzucił jego prośbę. Zdaje się, że tylko względy religijne zwalniają od wojska. Spójrz, przy tamtym stoliku siedzi dwóch facetów. Patrzą na nas. No, pokaż swój najlepszy profil.

- Meg, jestem w ciąży.

- Hej, popatrz, oni chyba do nas idą.

- Meg?

- Co, kochanie?

Rzeczywiście szli w ich stronę. Jeden z nich miał na sobie mundur, drugi był po cywilnemu. Sprawiali miłe wrażenie.

- Czy urocze damy zechciałyby zatańczyć? - spytał ten w mundurze.

Meg spojrzała na Dianę z udaną obojętnością.

- Co ty na to, kochanie?

Diana wzruszyła ramionami.

- Czemu nie?

Wstały, żeby zatańczyć. Parkiet był w połowie pusty lub w połowie pełny, zależnie od interpretacji. Meg uznałaby, że jest w połowie pełny, Diana zaś, że w połowie pusty. Pokręciła się po parkiecie, lecz gdy melodia dobiegła końca, podziękowała partnerowi i powiedziała, że trochę boli ją głowa i jeżeli nie ma nic przeciwko temu, chciałaby następnym kawałek przesiedzieć. Oczywiście nie miał nic przeciwko temu. Odprowadził ją do stolika i usiłował nawiązać rozmowę. Pracował w Ministerstwie Żywności, nie otrzymał więc powołania do wojska. Mógłby załatwić jej różne rzeczy.

- Rzeczy?

Spojrzał na nią znacząco, zupełnie jak pan Warren.

- No wie pani, poza przydziałem.

Śpiewacy zaczęli java jive. Lubili pić kawę, lubili pić herbatę, teraz jednak nie zawsze mogli ją zdobyć, chyba że znali tego niebudzącego zaufania młodego człowieka o z pozoru miłym sposobie bycia. Przyszły Warren. Diana nagle wyobraziła go sobie w następnej wojnie jako pięćdziesięcioletniego mężczyznę, obmacującego dziewczęta, które dostały u niego przydział na mieszkanie.

- Ma pan na myśli czarny rynek?

- Ciii, na litość boską! Bo będę miał przez panią kłopoty.

Meg wróciła do stolika uwieszona na ramieniu partnera.

- Meg?

- O co chodzi? Słuchaj, Dan...

- Don.

- Don. - Zaśmiała się beztrosko ze swojej pomyłki. - Don proponuje, żebyśmy poszli w jedno takie miejsce przy Shaftesbury Avenue. To coś w rodzaju klubu. O której zaczynasz dyżur, kochanie?

- Meg, muszę ci coś powiedzieć.

- No to mów, kochanie.

- Na osobności.

W tym momencie rozległ się głośny huk eksplozji i ziemia lekko zadrżała. Zadźwięczały kieliszki i talerze. Słysząc było kanonadę dział przeciwlotniczych, tym razem bliżej, prawdopodobnie w St. James's Park. Ponad muzykę pana Jerry'ego Rollo wzbił się warkot samolotu. Meg uśmiechnęła się do obu panów i poprosiła, aby zostawili je na chwilę same.

- Tylko na chwileczkę. To taka babska rozmowa. Zaraz do was dołączymy. - Meg wyjęła papierosa, stuknęła nim niecierpliwie o paczkę i zapaliła zapalniczkę.

No więc o co chodzi, kochanie?

- Jestem w ciąży.

Meg znieruchomiała. Wyglądała komicznie z uniesionymi brwiami, na wpół otwartymi ustami i papierosem przyklejonym do karminowych warg. Zapalniczka wypaliła się do końca i Meg wstrząsnęła dłonią.

- W ciąży? Boże, jesteś pewna?

- Mów trochę ciszej.

- O Boże, to straszne! Kim on jest? Od jak dawna o tym wiesz?

- Trzeci raz z rzędu nie miałam okresu.

- Boże, a więc to trzeci miesiąc. - Wyglądało na to, jakby trzy miesiące jeszcze pogarszały sprawę. - Postąpiłaś niemądrze, nic mi o tym nie mówiąc. To śmieszne ukrywać ciążę. Kim on jest, na Boga? - Meg zaczęła liczyć w myślach, cofnęła się o dwanaście tygodni i zatrzymała w Walii, w dolinie Ogwen w sierpniowy weekend. - Boże, czy to nie pan przeciwnik służby wojskowej?

Diana skinęła głową.

- Boże, przecież on jest dwa razy starszy od ciebie.

- A co to ma do rzeczy?

- A to, że powinien zdawać sobie sprawę z konsekwencji. Czy on czegoś używał?

Diana wzruszyła ramionami i spojrzała na parkiet przez zaslonę łez. Meg zapaliła drugą zapałkę i przytknęła ją do papierosa. Orkiestra grała, a zespół śpiewał. Dwaj mężczyźni, którzy z nimi tańczyli, siedzieli przy barze i od czasu do czasu zerkali przez ramię, zastanawiając się, czy mają czekać, czy też poszukać innej zdobyczy.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - spytała Meg, wypuszczając ustami i nosem chmurę modnej szarości, która poszybowała do sufitu jak szyfonowy szal. - Mówiłaś rodzicom?

- Tylko ty o tym wiesz.

A co z nim? Skoro ma tak wielkie poczucie odpowiedzialności, powinien zachować się przyzwoicie i zrobić z ciebie uczciwą kobietę. Wyobrażałaś już sobie siebie jako panią Matthewson?

- W ogóle sobie tego nie wyobrażałam.

- Ja również nie. Guy to przystojny facet, tylko że...

- Nie powiedziałam mu o tym.

- To on nie wie?

- Meg... chcę się tego pozbyć.

Drogi Guyu!

Dziękuję za Twój ostatni list. Cieszę się, że Twoja sytuacja uległa poprawie. Tu nic się nie zmieniło, o czym zapewne dowiesz się z gazet. Londyn to smutne miejsce, na wpół opustoszałe, szare i zrujnowane, lecz jeszcze nieunicestwione.

Przykro mi to pisać, ale muszę Ci powiedzieć, że chciałabym zakończyć tę korespondencję. Świat szybko się zmienia, a my wraz z nim. Cieszę się, że Cię poznałam, i mile wspominam naszą krótką znajomość, teraz jednak nadszedł czas, by patrzeć w przyszłość. Doświadczenie tu zdobyte podpowiada mi, że możesz to źle zrozumieć, ale moja decyzja nie ma nic wspólnego z Twoim stanowiskiem przeciw czynnemu udziałowi w wojnie.

Serdecznie pozdrawiam.

Diana S.

Pisała i poprawiała ten list, zmieniając jedynie detale. Najpierw zakończyła go słowami: „Szczerze oddana”, lecz zaraz przerobiła na „Serdecznie pozdrawiam”. Początkowo napisała „przeciw uczestniczeniu w wojnie”, a potem „przeciw czynnemu udziałowi w wojnie”. Zmieniła charakter listu z przyjacielskiego i szczerego na bardziej oficjalny i chłodny. Zaskoczyło ją to, że potrafi manipulować słowami dla uzyskania pożądanego efektu,

i łatwość, z jaką odsunęła Guya w przeszłość. Znalazła w sobie ogromne pokłady racjonalizmu, o które nigdy siebie nie podejrzewała. Zawsze uważała, że jest osobą kierującą się uczuciem, i uczucia przedkładała nad rozsądek. A teraz odkryła w sobie nową cechę charakteru nakazującą kierować się chłodną logiką i rozsądkiem.

Oczywiście to Meg znalazła tego człowieka. Meg знаła ludzi, którzy z kolei znali innych ludzi.

- To nie jest tanie - powiedziała.

- Ile?

- Pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt funtów?

- Myślę, że gwinei.

Dianie zrobiło się niedobrze. Czy to były mdłości, które ostatnio często odczuwała, czy też szok wywołany wysokością sumy?

- Nie mam aż tyle - wyszeptała. - Zarabiam sześć funtów miesięcznie. Meg, co ja mam zrobić?

- Pójdziemy tam i zobaczymy. Pójdziemy i porozmawiamy z tym człowiekiem. Podobno jest świetnym fachowcem. Znajoma znajomej знаła kogoś, komu on to zrobił. Może uda się go przekonać, by obniżył honorarium. Mogę ci trochę pożyczyć.

- Czy on...?

- Czy on co?

- Czy on jest lekarzem?

Meg uśmiechnęła się uspokajająco. Powinna być pielęgniarką z tym swoim uroczym ciepłym uśmiechem.

- Oczywiście, że tak. Dlatego honorarium jest w gwineach. Nie martw się, nie wpełchnę cię w ręce jakiejś okropnej baby. Właściwie on nie jest zwykłym lekarzem, lecz ginekologiem i chirurgiem. Nazywa się Mandeville. Przyjmuje na Harley Street.

- Harley Street? Myślałam, że takie rzeczy są nielegalne.

Meg poklepała ją po ręku.

- Są pewne sposoby i środki - wyjaśniła z miną osoby dobrze poinformowanej.

Musiały czekać kilka dni na wizytę. Było wczesne popołudnie, a Diana zaczynała dyżur dopiero o szóstej. Pewnie ten lekarz najpierw ją zbada, zanim coś postanowi. Spotkały się z Meg na stacji, a potem pojechały metrem do Bond Street i stamtąd poszły już pieszo. W ten zimny, ponury dzień niebo przykrywały gęste chmury i padała mżawka. Meg miała solidne wojskowe palto, ale cienki płaszcz Diany nie dawał zabezpieczenia przed chłodem.

Dziewczyna drżała z zimna i z obawy przed tym, co ją czeka, wyobrażając sobie, jak leży z uniesionymi nogami, a obcy mężczyzna jej dotyka.

Harley Street odpychała swym powściągliwym splendorem, beznamiętnymi fasadami z ciemnej cegły, pomalowanymi na biało drzwiami, oknami i parkanami, mosiężnymi tabliczkami informującymi o tajemniczych specjalizacjach i dziwnych tytułach.

Humphrey Mandeville FRCS, FRCOG

Była też ubrana na biało pielęgniarka i recepcjonistka z pełnym dezaprobaty wyrazem twarzy, jakby doskonale wiedziała, po co tu przyszły. Usiadły w poczekalni z rozłożonymi na stoliku egzemplarzami „Tatlera”. Na ścianach wisiały reprodukcje obrazów Stubbsa przedstawiające konie, a właściwie klacze z ich właścicielami.

Mandeville - wysoki mężczyzna ze sztywnym kołnierzykiem i binoklami wiszącymi na łańcuszku wokół szyi - miał w sobie coś z ptaka drapieżcy - po części z sowy, po części z orła. Siedział za szerokim biurkiem i patrzył na dwie młode kobiety z wyrazem lekko skrywanej srogości.

- Która z pań jest panną Sheringham?

- Sheridan - poprawiła Diana. - Diana Sheridan. Tak jak ta aktorka.

- Pani jest aktorką?

Zaczerwieniła się.

- Nie. Tylko nazywam się tak jak ta aktorka, Dinah Sheridan. Diana Sheridan.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Sztywny kołnierzyk i binokle sprawiały, że wyglądał jak z innej epoki, w której nawet aktorka była czymś nieprzyzwoitym, a co dopiero panna w ciąży!

- Jaka aktorka? Dlaczego mówi pani o aktorce, skoro nią nie jest?

Diana poczuła, że opuszcza ją odwaga. Wstyd mieszał się w niej z gniewem i zakłopotaniem dziecka, które stało się obiektem żartu dorosłego. Pot wąskim strumyczkiem spłynął jej spod pach na materiał halki.

- To nie ma znaczenia - wymamrotała.

- Skoro więc nie jest pani aktorką, to kim?

- Pielęgniarką.

- Pielęgniarką?

Właściwie sanitariuszką. Pracuję w oddziale pogotowia w Holborn.

- Sanitariuszka. - Położył łokcie na oparciach fotela i złączył końce palców. - Czy mogę spytać, sestro Sheringham, jak doszło do tego, że znalazła się pani w... obecnej sytuacji?

- Chciałam być użyteczna, a pielęgniarki są zawsze potrzebne, więc ukończyłam kurs...

Na twarzy lekarza pojawiło się coś na kształt bólu.

- Obawiam się, że źle mnie pani zrozumiała. Nie chodziło mi o pani chwalebne wysiłki, mające na celu pokonanie Niemiec hitlerowskich. Miałem na myśli pani ciążę. Jak doszło do tego, że zaszłaś w ciążę, dziecko?

Zapewne to słowo „dziecko” wywołało gniewną reakcję Meg.

- Myślałam, że pan wie, skoro ciąża to pańska specjalność - rzuciła opryskliwym tonem. - Di spała z mężczyzną. Kochali się. Jak inaczej można to zrobić, doktorze?

Mandeville przeniósł wzrok z czerwonej ze wstydu Diany na Meg.

- Dziękuję za wyjaśnienie. O to właśnie chodzi, panno..

- York. Tak jak miasto. I jestem kobietą, nie dzieckiem.

- Miło mi to słyszeć, panno York. Musi pani zrozumieć, obie musicie zrozumieć, że okoliczności związane z poczęciem tego dziecka mają tu zasadnicze znaczenie. Jeżeli panna Sheridan, jak pani to sugeruje, kochała się, to czym należy tłumaczyć chęć zgładzenia dziecka?

Zdanie to zawisło w powietrzu, odbiło się od szyb okiennych zaklejonych na krzyż taśmą i zadudniło w głowie Diany. Zgładzenie dziecka.

Musi pan określać to tak dosadnie? - spytała Meg.

- Ależ to jest dokładnie to, panno York. Usunięcie płodu jest zgładzeniem dziecka, uznanym w ustawie z tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku za przestępstwo popełnione przeciw drugiej osobie. Zgodnie z paragrafem pięćdziesiątym ósmym tejże ustawy za dokonanie aborcji zarówno panna Sheridan, jak i ja możemy zostać skazani na ciężkie roboty do końca życia. - Przeniósł wzrok z jednej kobiety na drugą. - Do końca życia - powtórzył, jakby mówił „do śmierci”. - Nawet pani, panno York, za współudział w przestępstwie grożą trzy lata więzienia.

Zaległa cisza jak na sali sądowej. Za oknem słychać było warkot przejeżdżającego samochodu i szum opon toczących się po mokrej nawierzchni. Diana siedziała w fotelu ze złączonymi nogami i dłońmi zaciśniętymi na kolanach, a w głowie wibrowały dwa słowa: „życie” i „zgładzenie”.

- Z drugiej strony - ciągnął Mandeville - ustawa o ochronie praw dziecka z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku dopuszcza możliwość dokonania zgodnego z prawem poronienia. Ale żeby nie złamać prawa, muszę mieć pewność, że odbierając życie dziecku, ratuję życie matce.

Popatrzył na Dianę przez binokle. Wyglądała jak okaz zdrowia, wprost tryskała zdrowiem, a jednocześnie przytłaczało ją poczucie winy. Mężczyzna przesunął językiem po wargach, jakby testując jej stan zdrowia i poczucie winy. Potem pociągnął nosem, spojrzął na biurko i kontynuował prawniczy wywód.

- Orzeczenie sądu w sprawie Boume'a z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku określa dość obszernie, kiedy należy chronić życie matki. - Wziął do ręki kartkę papieru, jakby odczytywał ją przed ławą przysięgłych. - Usunięcie płodu jest dopuszczalne, jeżeli, cytując: „lekarz przedstawi rozsądne powody poparte wiedzą na temat ewentualnych skutków, że dalsza ciąża może uczynić z kobiety fizyczny lub psychiczny wrak”. - Uniósł wzrok znad kartki. - Dziwny język, prawda? Fizyczny lub psychiczny wrak. W sprawie Boume'a ową matką była czternastoletnia dziewczynka, która została zgwałcona. Doktor Boume dokonał aborcji i został uniewinniony przez sąd. Pytanie jest następujące: czy mogę mieć pewność, że panna Sheringham...

- Sheridan.

- ...panna Sheridan stanie się fizycznym lub psychicznym wrakiem, jeżeli donosi ciążę? Jeżeli została zgwałcona, to może mógłbym to zrobić, niestety nie ma pani czternastu lat. Panna York sugerowała, że panna Sheridan i jej partner kochali się. Poza tym widzę przed sobą zdrową młodą kobietę, która wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi będzie w stanie wydać na świat równie zdrowe dziecko. Oczywiście nie miałem jeszcze okazji zbadać pani, panno Sheridan, ale jeżeli nie ma pani żadnych widocznych fizycznych problemów, pozwolę sobie stwierdzić, że prosi mnie pani o dokonanie czynu niezgodnego z prawem. T to bardzo poważnego, a nawet niemoralnego. Co niekoniecznie musi znaczyć to samo.

Wstał. Binokle spadły mu z orlego nosa i zawisły na piersi jak zdechła mysz.

- Przypuszczam, że moje badanie jest zbyt cenne, naraziłoby jedynie panią na koszty. Proponuję więc zakończyć to nieprzyjemne spotkanie. Proponuję też, żeby pani wydała to dziecko na świat i stała się przyzwoitą matką. Obecnie dość jest śmierci i zniszczenia. Czemu nie wziąć udziału w tworzeniu nowego życia, panno Sheringham?

Wyszły na deszcz. W sąsiedni budynek trafiła bomba. Pozostał po nim jedynie szkielet przypominający maskę tragika - puste oczodoły, bezzębne usta, zmarszczone czoło i zapadnięte policzki. Popalone drewniane belki wyglądały jak resztki sceny. Diana usiadła na niskim murze w pobliżu ruin i rozplakała się. Płakała z żalu nad sobą, nad dzieckiem, którego nigdy nie zobaczy, nad krótkotrwałym uczuciem do Guya, a także z żalu nad tymi bezimiennymi ludźmi zabitymi przez bomby, martwym dzieckiem leżącym na chodniku w Stepney, ciężarną kobietą, którą pomogła wyciągnąć spod gruzów w Clerkenwell, a która

umarła na jej oczach, nad zszokowanymi mieszkańcami Hast Endu, rozkopującymi gruzy w poszukiwaniu resztek ich dawnego życia. Płakała również ze zwykłego autentycznego zmęczenia, które niczym rak drażyło umysł i ciało, niszcząc arterie i nerwy. Siedziała tak i płakała, a Meg stała nad nią. Deszcz spływał jej po twarzy jak łzy z chłodnego spowitego szarością nieba. Wilgoć na policzkach i rozmazany msz mogły więc być następstwem deszczu, a nie współczucia.

Tej nocy bomby spadły na Bethnal Green. Trafiły w cmentarz, rozrzucając z bezmyślną ironią trumny i pomniki. Spadły również na dzielnicę mieszkaniową, rzędy nędznych domków ze spadzistymi i płaskimi dachami, ustępami na zewnątrz i nędzą w środku. Kruszący materiał wybuchowy zmienił domy w gruzowiska. Jedna z bomb trafiła w schron, jedną z tych śmiertelnych pułapek, które władze miejskie wybudowały w wielkim pośpiechu na początku wojny. Zginęło w nim dwadzieścia pięć osób. Na ruiny spadły jeszcze bomby zapalające, wzniecając łuny pożarów. Na miejsce tragedii ściągnięto karetki z innych sektorów - z Hackncy, Holbom i Stepney - a także ekipy strażackie z całego miasta. Po chodnikach wiły się wielkie czarne węże, w spowite dymem niebo sunęły drabiny, ponad szum płomieni wzbijały się wykrzykniki poleceń i skośne strumienie wody.

Ambulans Diany wezwano na miejsce o trzeciej nad ranem. W ostatniej chwili do ekipy dołączył lekarz.

- Pomyślałem, że mogę się przydać na pierwszej linii frontu - powiedział.

Nazywał się Dewar i był Szkotem. Miał rudawe włosy, piegowatą twarz i jasne, niemal przezroczyste rzęsy, pod którymi kryły się błękitne oczy o niewinnym dziecięcym spojrzeniu, okolone czerwoną obwódką.

- Skoro taki pan chętny, może pan poprowadzić tego cholernego grata - zaproponował Bert.

- Jestem pewien, że z panem będziemy bezpieczniejsi.

Z pobliskiego Spitalfields Market dochodziła kanonada dział przeciwlotniczych. Brzmiała głucho i bezdźwięcznie na tle wstrząsów rozrywających się bomb. W niebo strzelały pociski, które nie trafiały w cel, opadając w postaci chmury metalowych odłamków.

Jechali ciemnymi ulicami z widoczną w oddali pomarańczową luną pożarów. Diana siedziała z przodu między Bertem i doktorem. To dziwne, pomyślała, jak bardzo gruzy domu zamożnej klasy średniej są podobne do gruzów nędznego robotniczego baraku: jakby te belki, cegły, tynk i gęsty dym osiągnęły coś w rodzaju demokratycznego porozumienia. Ciało człowieka też jest bezklasowe. Niczego nie wnosimy na ten świat i z niczym z niego odchodzimy. Gdzie ona słyszała te słowa? Dźwięczały jej w uszach w czasie jazdy. Jak

również te: „Człowiecze, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Tej nocy Bethnal Green obróciło się w proch.

Szrapnel zaterkotał na ulicy. Gdzieś wysoko wśród chmur warczały silniki bombowców. Ich dźwięk dziwnie wznosił się i opadał, jak stary samochód jadący pod górę.

- To się nazywa dudnienie - wyjaśnił Bert. - To taki termin techniczny. Silniki nie są ze sobą zsynchronizowane, co wywołuje ten wznosząco-opadający dźwięk. To się nazywa interferencja. Rozumie pani?

Nie rozumiała. W ogóle niczego nie rozumiała. Myślała jedynie o dzieciach ginących pod gruzami domów i o dziecku w jej łonie.

- Pewnie myślała pani, że interferencja oznacza coś innego, prawda?

- Myślała - poprawiła go.

- A ta ciągle swoje. Tylko dlatego, że nie wyrażam się jak dżentelmen. Założę się, że pani też tylko udaje, i gdybym obudził panią w środku nocy, mówiłaby pani tak jak ja.

- Pan nigdy nie będzie miał okazji obudzić mnie w środku nocy - rzuciła opryskliwie.

- Mogie mieć jednak nadzieję.

Doktor odwrócił wzrok w stronę okna i wpatrywał się w mglistą noc. Przez warkot silnika samochodowego przebił się dźwięk przypominający grzechot zrzucanego do piwnicy węgla i lekarz skulił się mimowolnie.

- Bomby zapalające - powiedział Bert, patrząc przez przednią szybę. Był dumny z tego, że potrafił odróżnić bomby gazowe od kruszącego materiału wybuchowego i bomb zapalających, tak jak Diana nauczyła się rozróżniać rany.

Żółty znak nakazywał im zawrócić w stronę Commercial Road.

Nie chcę tamtędy jechać - zaprotestował Bert. - Dobrze by było, gdyby udało nam się pojechać kawałek Brick Lane.

Pochylił się ku kierownicy, wypatrując jakiegoś skrót. Koniec ulicy tonął w gęstym żółtym dymie. Poruszały się w nim jakieś sylwetki przypominające postacie z sennego koszmaru.

- Nie tylko my mamy problemy - mruknął Bert, skręcając w boczną ulicę.

Minęli pub z oknami zabitymi deskami. W innych budynkach w ogóle nie było okien i drzwi. Jechali wąskimi, ciemnymi uliczkami, które jakby odgrodziły się od świata. Gdzie się podzieli ci wszyscy ludzie? - przemknęło jej przez myśl.

- To dzielnica Kuby Rozpruwacza - powiedział Bert. - Wie pan, że Kuba Rozpruwacz też był doktorem tak jak pan?

Lekarz zaśmiał się.

- Naprawdę takim jak ja?

- No, w każdym razie musiał nim być, bo znał się na kobiecych narządach. - „Kobiece narządy” zabrzmiały w jego ustach jak „kurze podroby”.

- Może był tylko amatorem zapaleńcem.

Bert pokręcił przecząco głową.

- Wszystkie poszlaki wskazywały na to, że on wiedział, czego szuka. - Pod kołami ambulansu trzeszczało potłuczone szkło. Z lewej strony minęli stację kolejową z ludźmi kulącymi się z zimna i z obawy przed bombami. - Jak pan sobie radzi z kobiecymi narządami, doktoru?

- Czy powinniśmy o tym rozmawiać w obecności siostry Sheridan?

- Och, jest do tego przyzwyczajona.

- Obawiam się, że ja nie. Poza tym jestem ortopedą, nie ginekologiem.

- To chyba dziecięca specjalność? Ortopedia?

Lekarz znowu się roześmiał.

- Przeważnie kontuzje podczas meczów w rugby.

- Rugby. - W głosie Berta zabrzmiał gniew. - Trzeba zabronić uprawiania tego przeklętego rugby. - Zerknął przez przednią szybę. - Jesteśmy na miejscu. Musimy tylko skręcić w Kubę Napaleńca.

- Czyja dobrze słyszałam?

- Co?

- Powiedział pan: Kubę Napaleńca.

Bert pociągnął nosem i popatrzył na swoich pasażerów.

- To na użytek szkockich turystów.

Zatrzymał samochód przed grupą osób w hełmach na głowach. Drugi koniec ulicy zasypany był górą gruzu wyglądającą jak hałda odpadów kopalnianych. Przy świetle palącego się nieopodal magazynu pracowali ratownicy. Wchodzili i schodzili, balansując na deskach, unosząc belki, odrzucając rękami cegły i podając kosze z gruzem ustawionym w rzędzie pomocnikom. Cała scena wyglądała jak żywcem wyjęta z teatru: z dekoracją, kurtyną i światłami. Była nawet publiczność - kilka tęgich kobiet, anemicznie wyglądające dzieci i dwaj starsi mężczyźni - która pomimo apeli cywilnej obrony przeciwlotniczej, by zejść do schronów, przyglądała się przedstawieniu.

Diana, Bert i doktor wysiedli z karetki. Podszedł do nich nadęty szef obrony. Na hełmie miał niebieską płachtę.

- Ja tu dowodzę - oznajmił, jakby ktoś kwestionował ten fakt. - Gdzie, do cholery,

byliście?!

- Trafił mi się kurs do Cafe de Paris - odciął się Bert.

- Nie potrzeba nam tu pyskaczy. Mamy ludzi uwięzionych pod gruzami. Według naszych wyliczeń jakieś pół tuzina. Są też ranni.

- Cisza! - krzyknął ktoś ze szczytu hałdy gruzu.

Ten rozkaz brzmiał raczej śmiesznie, bo nad głowami słychać było ryk bombowców, kanonadę dział przeciwlotniczych, odgłos szalejących płomieni i warkot pomp strażackich. Mimo to wszyscy pracujący na gruzowisku znieruchomieli. Jak kukielki, którym przecięto sznurki, jak pozbawione życia istoty z bezwładnie zwisającymi rękami. Na szczycie hałdy klęczał mężczyzna w hełmie i rozmawiał z kimś znajdującym się w środku.

- Czy jest tu lekarz? - zapytał w końcu.

- Jestem. O co chodzi?

Szkocki akcent doktora brzmiał dziwacznie wśród londyńskich dźwięków. Kiedy zaczął się wspinać wąską ścieżką wykopaną przez ratowników, Diana wyobraziła go sobie w kilcie, wdrapującego się na jakąś szkocką górę.

Gruzowisko miało kształt stożka z kraterem. Z jego wnętrza wydobywał się zapach gazu zmieszanego ze ściekami i siarką.

- Mamy tu uwięzioną kobietę - wyjaśnił ratownik. - Jest przytomna. Chyba uda nam się ją wydostać. Bardzo cierpi. Pewnie jest połamana.

Wśród gapiów nastąpiło poruszenie.

- To mama Philips! - zawołał dziecięcy głosik.

Trudno było uwierzyć, że w miejscu tej góry stał kiedyś dom, i ułożyć z tego chaosu belek stropowych, rur i gruzu ściany, podłogi i ramy okienne. Tymczasem w kraterze gruzowiska tkwiła ludzka noga. Miała kolor pyłu pokrywającego wszystko wokół, ale to była jednak noga, i to w pantoflu. Sterczała z ciemnego otworu przykrytego belką. Obok klęczał ratownik i coś mówił. Diana nie rozróżniała słów, jedynie ton głosu, ciche śpiewne mruczenie, przywodzące na myśl matkę uspokajającą dziecko. Odpowiedział mu jęk bólu, nieartykułowane zwierzęce zawodzenie.

Lekarz wsunął się do wnętrza krateru.

- Siostró, potrzebna mi morfina! - zawołał.

Inny ratownik, leżąc na boku, usiłował wepchnąć w dziurę kawałek belki. Gruzowisko poruszyło się i mężczyzna przerwał pracę.

- Uważaj, George - ostrzegł jego towarzysz. - Nie martw się, kochana, zaraz cię wyciągniemy! - zawołał w głąb krateru.

Diana napełniła strzykawkę i podeszła do miejsca, gdzie klęczał lekarz, który jakby coś rozgrzebywał, oczyszczał fragment ciała na brudnym udzie należącym przypuszczalnie do mamy Philips. Uwięziona w grobowcu kobieta jęknęła. Wzywała kogoś o imieniu Edith lub Eddie. A może Eddy. Doktor wziął strzykawkę, przytrzymał ją przez chwilę w górze, póki na czubku igły nie pojawiła się kropla płynu. Nastąpił moment dziwnego rytualnego zawieszenia, po czym lekarz wbił igłę w udo i pchnął tłok.

- W porządku, doktorze - powiedział ratownik. Miał twarz czarną od sadzy. Oczy świeciły mu jak w masce ze święta Halloween. - Wyciągniemy ją tak szybko, jak to możliwe. Dajcie nam piętnaście minut.

Odwrócił się i zaczął rozgarniać cegły, a jego kolega usiłował kawałkiem belki poszerzyć otwór. Diana i doktor wydostali się z krateru na szczyt hałdy, gdzie czekał z noszami Bert. Lekarz pomógł Dianie wejść na górę.

- Dobra robota, siostrze - powiedział.

Nagle usłyszeli za sobą jakiś hałas. Obejrzeni się. Z wnętrza krateru dobył się jęk, jakby hałda ożyła i wciągnęła powietrze w płuca. Po chwili wypuściła powietrze, a z wąskich ust buchnęła chmura pyłu. Kiedy opadł kurz, nie było już nikogo, ani ratowników, ani otworu, ani nogi.

Ktoś krzyknął. Szef ratowników zaczął wydawać głośnie rozkazy. Obok Diany i doktora przebiegli ludzie. Nagle poczuli pęd powietrza i ostry gwizd spadającej bomby trzy lub cztery ulice dalej, po którym zaległa nieoczekiwana cisza.

Diana zaczęła schodzić z gruzowiska. W pewnym momencie poślizgnęła się i upadła. Zmęczenie spowiło ją niczym woal. Miała ochotę zostać na tej górze, poleżeć na rumowisku z krzyczącymi i rozkopującymi krater ratownikami. Może nawet by usnęła.

Doktor Dewar postawił ją na nogi.

- No, siostrze, proszę się wziąć w garść.

Równie dobrze tym okrzykiem mógł wzywać Piktów do boju.

Podtrzymując ją, pomógł jej zejść na dół. Przy ambulansie czekali już ranni: stary człowiek na noszach i ki licu lżej rannych. Przypominało to sceny z pierwszej wojny, uwiecznione na fotografiach zrujnowane domy z frontu zachodniego. Tylko że te postacie w łachmanach nie były żołnierzami, którzy wydostali się spod obstrzału, lecz cywilami, których wyciągnięto z ich domów.

- Odjeżdżajcie stąd! - krzyknął jeden z ratowników. - W drodze jest następny ambulans.

Pomogli wsiąść rannym.

- Proszę się nie martwić - uspokajała ich Diana. - Zawieziemy was do szpitala.

Słyszała, jak ludzie rozkopują gruzowisko pozostałe po domu mamy Philips. Trwała kanonada dział przeciwlotniczych. Nieco dalej w asfalt uderzył szrapnel. Diana usiłowała unieruchomić kobiecie złamaną rękę i obandażować głowę dziecku. Czuła ich zapach. Ranni ludzie wydzielają specyficzny zapach potu, moczu i fekalii. Mieli też pewnie wszy i świerzb.

- Źle pani wygląda, siostró - powiedział doktor, wsiadając za nią do karetki.

- Nic mi nie jest - odparła z uśmiechem, by udowodnić, że dobrze się czuje.

- Trzymajcie się! - zawołał Bert i ambulans ruszył.

Ściśnięta między rannymi a doktorem, Diana poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Głowa opadła jej na ramię lekarza, lecz nie miała siły, by ją unieść. Mężczyzna nie zaprotestował, nie poruszył się, najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Silnik huczał jej w uszach, a kołysanie pojazdu sprawiło, że Diana znalazła się na granicy snu. Wokół niej siedzieli i leżeli ranni mieszkańcy Bethnal Green.

Zakończyli dyżur o świcie.

- Siostró Sheridan! - zawołał doktor, gdy Diana szła do umywalni.

- Tak?

Zatrzymała się, zbyt zmęczona, by do niego podejść, zbyt zmęczona, by tytułować go doktorem. Zastanawiała się, czego on może od niej chcieć. Morfina leżała schowana w sejfie, sól fizjologiczna na swoim miejscu, strzykawki przygotowane do sterylizacji, a łubki w szafce. Wypełniła wszystkie obowiązki.

O co więc mu chodziło? Chyba nie będzie jej przy ganiał za to, że usnęła w ambulansie? Z tego, co wiedziała, to był jego pierwszy wyjazd w miasto. Czyżby okazał się jednym z tych idiotów odgrywających ważniaków?

- Zastanawiałem się...

Ten twardy szkocki akcent. Wyglądał na zakłopotanego. Do tej pory zwracał się do niej tylko wtedy, gdy było to konieczne. A teraz sprawiał wrażenie zażenowanego. Na piegowatych policzkach wykwitły rumieńce.

- Zastanawiałem się, czy nie zjadłaby pani ze mną kolacji, jeżeli, oczywiście, nie sprawiłbym tym kłopotu.

Usiłowała się uśmiechnąć. Czuła się chora, zmęczona i pragnęła znaleźć się w domu. Dom to niewłaściwe słowo. Chciała wrócić do Warrenów, wziąć kąpiel i położyć się do łóżka. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Doprawdy...

- Jeżeli sprawiam tym kłopot...
- To nie żaden kłopot, tylko...
- Nie może pani mówić w swoim imieniu?

Nie mogę mówić w swoim imieniu? Cóż za dziwaczne sformułowanie! Pewnie szkockie.

Nic, nie o to chodzi.

Pomyślała o Guyu i o rosnącym w niej dziecku. Przyszło jej nawet na myśl, że ten doktor mógłby rozwiązać jej problem. To był zupełnie absurdalny pomysł. „Czasami myślę o trzech niemożliwości ach przed śniadaniem”. Kto to powiedział? Chyba Biała Królowa.

- Tylko że... - Co tylko? - Ja nawet nie znam pańskiego imienia.

Uśmiechnął się z ulgą. Niemal jak chłopiec.

- Mam na imię Alan. Czy to usuwa wszelkie przeszkody?

- Niezupełnie.

- To może w czwartek?

- To mój wolny dzień.

Speszył się.

- Wiem. Zajrzałem do księgi dyżurów.

- Niestety, w czwartek jestem zajęta.

- No to może w przyszłym tygodniu.

- Może - odparła.

- Świetnie - powiedział, wcale tym niezrażony. - Świetnie.

Poszła do łazienki umyć ręce i twarz w letniej wodzie i zmienić kombinezon na zwykłe ubranie. Pomyślała o lekarzu. Dlaczego mu odmówiła? Wielu lekarzy wstąpiło do wojska, lecz Dewar był niezdolny do służby wojskowej, zaczęto więc plotkować, że ma tylko jedno płuco. „Jedno płuco, jedną nerkę, może nawet jedno jądro - powiedział Bert. - Tak jak Adolf”. Ale przecież nie odmówiła mu z powodu głupiej plotki. Okazał się miłym, odważnym i odpowiedzialnym człowiekiem. Odmówiła mu, bo się bała, bo go polubiła, bo nosiła dziecko innego mężczyzny. Tu nie chodziło o to, że nie mogła mówić sama za siebie, to było coś znacznie gorszego.

Podróż metrem była koszmarem. Pociąg stał w tunelu z przygaszonymi światłami ponad pół godziny. Jej widmowa twarz odbijała się w oknie na tle czarnej ściany. Diana poczuła wzbierającą panikę. W końcu mszyli i zatrzymali się na następnej stacji. Drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka powiew smrodliwego powietrza. Wszędzie wały się pozostałości po nocnej sypialni: kawałki gazet, tekturowe pudełka i inne śmiecie. Pociąg

czekał na stacji przez kolejne dwadzieścia minut. Kiedy Diana dotarła do domu Warrenów, musiała pobiec do łazienki, bo dostała mdłości. Po wyjściu natknęła się na panią Warren, która przyglądała się jej z uwagą.

- Dobrze się czujesz, złociutka? - spytała.

- Dobrze, dziękuję.

Pani Warren jednak nie dawała za wygraną. Swoim zwyczajem trzymała w ustach papierosa i mówiła razem z nim, a dym osłaniał jej twarz jak woalka.

- Rzygałaś w łazience?

Dziewczyna obląła się rumieńcem.

- Nie narobiłam bałaganu...

- Jestem pewna, że nie, i jestem pewna, że to nie odjedzenia.

- Myślę, że od jedzenia. Pewnie zaszkodziły mi te okropne kanapki, którymi nas karmią.

Próbowała przejść, lecz pani Warren nie ruszała się z miejsca, wypełniając obszerną tuszą przestrzeń między stołem a kredensem. Ręce skrzyżowała poniżej biustu, jakby go podtrzymywała.

- Czy chciałabyś mi o czymś powiedzieć, młoda damo?

- Powiedzieć?

- Tak, złociutka, powiedzieć. - W jej głosie brzmiał sarkazm. - Masz kłopoty, prawda?

Diana poczuła, że jej obrona słabnie pod ciężarem wzroku kobiety.

- Kłopoty?

- Tak, kłopoty. Nie myśl, że nie wiem, o co chodzi. Co rano rzygasz, wyglądasz jak nieszczęśnica. Nie jestem głupia. Wpadłaś, prawda?

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Doskonale wiesz, o czym mówię. Zaszłaś w ciążę, jesteś przy nadziei, czy jak to chcesz nazwać. - Papieros w ustach poruszył się. - Chyba nie z moim Rolandem?

Kto to jest Roland? Czyżby to ten jej okropny mąż? Diana pokręciła głową. Ten odrażający pan Warren nazywa się Roland? Wydało jej się to takie śmieszne, a przypuszczenie, że to on mógłby być ojcem dziecka, tak absurdalne, że miała ochotę się roześmiać lub rozplakać, nie była tylko pewna, które z dwojga przeważy, bo za jednym i drugim kryła się rozpacz. Pokręciła głową.

- No to całe szczęście. Więc co zamierzasz z tym zrobić? Ojciec dziecka o tym wie? Obchodzi go to czy też jesteś zdana na siebie?

Diana nie próbowała już dłużej bronić się przed łzami lub śmiechem i wybuchnęła

placzem. W obecności Meg wykazała większe opanowanie, z wyjątkiem tej chwili po wizycie u doktora Mandeville'a. Teraz jednak zupełnie się załamała i nie była w stanie zareagować, gdy pani Warren - wciąż z papierosem w ustach - podeszła i objęła ją. Kobieta poruszała się dziwnym, wahadłowym ruchem, wysuwając najpierw jedną potężną nogę w przód, a potem drugą, jakby brodziła po wodzie. Pachniała zjełczalym, spalonym tłuszczem i potem.

- Dobrze, już dobrze - powiedziała, przytulając Dianę do wielkich piersi. - Popłacz sobie. Dobrze ci to zrobi. A kiedy się wypłaczesz, porozmawiamy.

- Nie zrobisz tego - zdenerwowała się Meg, niemal krzycząc do słuchawki. - Nie pozwolę ci oddać się w łapy jakiejś strasznej baby. Mówiłam ci, że zdobędę ten adres. Pójdziemy tam w czwartek.

Nadszedł czwartek - ów dzień, który mogła spędzić z tym szkockim lekarzem, kiedy mogła odpocząć i pospać trochę dłużej, a potem cieszyć się popołudniem i na przykład pójść do kina lub do restauracji. Tymczasem spotkała się z Meg. Wsiadły obie do autobusu, który miał je zawieźć na drugą stronę rzeki do Camberwell.

- To ktoś z branży medycznej, więc wszystko w porządku - zapewniła ją Meg.

- Medycznej? To jakiś kolejny lekarz?

Meg sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej.

- Właściwie to dentysta.

- Dentysta? - Wydało jej się to śmieszne, a nawet komiczne i absurdalne. - Co dentysta ma z tym wspólnego?

Zaczęły chichotać, a gdy autobus przejechał przez most i znalazł się w ubogiej dzielnicy Kennington, chichot zmienił się w śmiech.

- Z czego się tak śmiejecie? - spytała konduktorka.

Wyciągała bilety z bloczka z taką zręcznością jak magik chusteczki z cylindra. Była starsza od nich, miała około czterdziestu lat, krzykliwy makijaż i ufarbowane na blond włosy, zebrane na czubku głowy.

- Moja przyjaciółka musi iść do dentysty - wyjaśniła Meg.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. Dla mnie dentysta to tragedia. Wolałabym zginąć od bomby niż iść do dentysty.

Podróż sprawiła im niemal przyjemność. Zniszczenia spowodowane bombardowaniami skończyły się mniej więcej przy Elephant i Castle. Był chłodny listopadowy dzień, lecz ulice tonęły w słońcu, dając złudzenie ciepła. Kiedy wysiadły przy Camberwell Green, konduktorka machnęła im ręką na pożegnanie.

- Obyście nie musiały niczego wyrywać! - zawołała, co wcale nie zabrzmiało

śmiesznie.

Ulica, której szukały, biegła na tyłach kościoła. Napis na tablicy głosił: „Saint Botolph's, kościół anglikański”. Miały wrażenie, że znalazły się na wsi: strzelista iglica, szeroki zielony trawnik i rosnące na nim platany, londyńskie platany z cętkowaną korą, jak połowy mundur. Na przykościelnym cmentarzu widniały świeże groby, jeszcze bez nagrobków. Meg zajrzała do kartki z zapisanym adresem. „Podrzyj ją i wyrzuć, gdy już nie będzie ci potrzebna” - poradziła osoba, która go dała. Jakby były szpiegami i uczestniczyły w tajnej misji.

- To ta ulica.

Stał wzdłuż niej rząd bliźniaczych domków z wykuszowymi oknami i różnymi ogródkami, w których teraz sterczały patyki. Sprawdziły numery domów po jednej i po drugiej stronie ulicy, lecz dwudziestego piątego nie znalazły. Nie było też dwudziestego siódmego, sąsiedniego numeru. Pozostało po nich jedynie zwęglone gruzowisko: kawałek muru, furtka i ścieżka prowadząca do góry cegieł, a za nią podwójny ogród z przewróconym płotem pośrodku i podwójnymi schronami. Na furtce z numerem dwadzieścia siedem widniała kartka z wyblakłym, rozmazanym od deszczu nowym adresem. Przy numerze dwadzieścia pięć nie było nic.

Ich poszukiwania obserwowała kobieta pracująca w sąsiednim ogrodzie. Kopała ziemniaki i miała umazane błotem ręce.

- Szukacie dentysty? - spytała.

- Wie pani, gdzie on jest? Moją przyjaciółkę strasznie boli ząb.

- Nie wątpię - zaśmiała się kobieta, ale w jej śmiechu nie było wesołości. - Obawiam się, że przyszłyście za późno. - Wskazała głową gruzowisko. - Leżał pod tym. Jakiś tydzień temu. Od podmuchu wyleciały mi wszystkie szyby w oknach. Jeżeli chcecie złożyć kondolencje, to radzę pójść do kościoła.

Wróciła do kopania ziemniaków. Lecący w górze samolot zostawiał białe smugi na błękitnym niebie. Dzień był słoneczny i jasny, lecz od wschodu wiał przenikliwy, zimny wiatr.

3

Przyjaciółka pani Warren nazywała się Maud. O nazwisku żadna z kobiet nie wspomniała. Po prostu Maud. Diana sądziła, że będzie równie wielka jak pani Warren - imię Maud pasowało do dużej i grubej osoby - tymczasem okazała się drobną, szczupłą kobietą z lekkim zezem i utykała trochę na nogę. W kąciку ust tkwił papieros. Miała spierzchnięte

czerwone dłonie, jak to bywa u praczek od długiego moczenia w mydlinach.

- Nigdy mnie nie widziałaś, tak, złociutka? Nie tylko mnie nie znasz, ale i nigdy nie widziałaś.

To bardzo doświadczona kobieta, zapewniła pani Warren. I czysta.

- Dziesięć funtów - powiedziała Maud. - Specjalna cena dla przyjaciół. - Czekala, uśmiechając się jak ktoś, kto ma do czynienia z osobą niespełna rozumu, po czym dodała: - Z góry, złociutka.

Diana w pierwszej chwili nie zrozumiała.

- Z góry?

- Zapłata z góry.

- Ach tak. Zostawiłam torebkę w pokoju.

- No to zaczekamy, aż ją przyniesiesz.

Nigdy tego nie zapomni. Wspinając się po skrzypiących schodach, wiedziała, że nigdy nie zapomni tych dwóch kobiet w kuchni, ich zjadliwej uprzejmości, skrzypiących schodów i ściany oklejonej szarą tapetą. To wspomnienie pozostanie na zawsze w jej pamięci, trwalsze niż dziecko w jej łonie.

Wróciła z pieniędzmi i wręczyła je kobiecie. Gdyby dała jej monetę, z pewnością by ją nadgryzła dla sprawdzenia, natomiast duże białe banknoty po złożeniu zniknęły za dekoltem sukienki.

- W porządku, złociutka - oznajmiła. - A teraz przygotuj się.

Diana uśmiechnęła się do niej. Chciała być miła dla Maud, chciała ją polubić, nawet pokochać. Pragnęła, by głos kobiety brzmiał słodko, miódopłynn timer, kojąco i ciepło. Nie miała jednak pojęcia, o co jej chodzi.

- Przygotować się? - spytała. - Jak?

Maud westchnęła.

- Majtki, złociutka. Zdejmij majtki i połóż się na stole. Jesteś, zdaje się, pielęgniarzką, tak?

- Sanitariuszką.

- W takim razie powinnaś się na tym znać. Co z tego młodego pokolenia wyrośnie, pani Warren? Bardzo jestem ciekawa.

Maud przyniosła ze sobą starą skórzaną torbę. Wyjęła z niej gumowy wąż, strzykawkę, tarkę do sera, kawałek mydła „Lifebuoy” i butelkę ze środkiem odkażającym. Na kuchni zagwizdał czajnik.

- Poproszę o gorącą wodę, złociutka - powiedziała Maud do pani Warren.

Gospodyni zmieszała gorącą z zimną, podwinęła rękaw, odsłaniając ramię grube jak szynka i białe jak mąka, po czym zanurzyła łokieć, by sprawdzić temperaturę wody. Maud zabrała się do ścierania mydła na tarce, spod której zaczęły spadać jasnoróżowe skrawki niczym kawałki żywego ciała. Gwizdała przy tym, wypuszczając przez zęby bezdźwięczne tony na melodię *Mountains of Mourne*. Kuchnię wypełnił zapach karbolu i fenolu. Do końca życia ta melodia, zapach mydła karbolowego i środka odkażającego będą się kojarzyły Dianie z kuchnią WaiTenów, uczuciem strachu ściskającym jej żołądek i chudą kobietą ścierającą mydło na tarce.

- W porządku, złociutka? - spytała Maud, odwracając się do niej z gumowym węzłem w dłoni. - Jesteś gotowa?

Diana postanowiła, że nawet nie jęknie. Widziała już tyle ofiar cierpiących w milczeniu. Zachowa się tak jak one, jakby nic nie miało znaczenia, ani zburzony dom, ani zabicie dziecka. Leżała więc na stole kuchennym i wpatrywała się w plamy na suficie i w gołą żarówkę. Tymczasem Maud przykucnęła między jej nogami i wsunęła do środka gumowy wąż. Diana miała wrażenie, że przesywa jej duszę. Poczowała zalewający ją strumień płynu i fale bólu. Była to agonia głęboko zranionej, a może nawet zniszczonej duszy. Zamknęła oczy i zaczęła myśleć o różnych sprawach, o pokoju w domu rodzinnym, wędrówkach po górskich dolinach Yorkshire, o Meg, Ericu innych, o rodzicach i o licznej rodzinie. Starła się tylko nie myśleć o Guyu, o tym, co było w jej łonie, o śmierci i zniszczeniu, które ją otaczały.

- Gotowe, złociutka. Poleż jeszcze chwilę.

Maud zwinęła gumowy wąż i odłożyła na bok. Pani Warren wycierała podłogę.

- To wszystko? - spytała Diana.

Kobieta zachichotała.

- Nie, złociutka. To dopiero początek.

Nastąpiła złowieszcza przerwa, zawieszenie broni i czas kolejnego dyżuru Diany w pogotowiu.

- Jeżeli nic się nie zdarzy, trzeba będzie to powtórzyć - powiedziała Maud przed odejściem tonem osoby dorosłej ostrzegającej dziecko, by się grzecznie zachowywało.

Diana czekała, wsłuchując się w najdrobniejszy ruch w swoim ciele. Przypominało to przerwę w nalotach, nienaturalną ciszę, bez warkotu samolotów i gwizdu lecących bomb. Panował spokój, lecz każdy wiedział, że jest on tylko pozorny. Na pogotowiu musieli opatrzyć jedynie kilka niewielkich ran: dwójkę dzieci, które bawiły się kawałkami szrapnela, i kobietę, która przewróciła się na gruzowisku, usiłując ratować resztki nędznego dobytku.

Kiedy Diana poszła do toalety, wypłynęło z niej trochę zabarwionego na czerwono

płynu. Nie wiedziała, czy to mydło, czy krew.

- Źle pani wygląda, siostró - zauważył po jej powrocie doktor Dewar.

Na opatrzenie czekały dwie osoby: jedna z rozcięciem podczas nieudanej próby otwarcia puszkę i druga, która się poparzyła. Śmieszne, że w obliczu takich nieszczęść ktoś mógł ulec zwykłemu wypadkowi w kuchni.

Uśmiechnęła się blado do lekarza.

- Nic mi nie jest. Ale chyba pójdę do domu, gdy tu skończymy.

Poczuła ból, jak w czasie okresu, i mdłości. Co mdłości mogą mieć z tym wspólnego, z wyjątkiem faktu, że jedno i drugie jest blisko siebie? Jak te dwie sprawy wiążą się ze sobą? Jak jeden symptom może następować po drugim? Odstawiając na półkę środki odkażające, poczuła zapach fenolu i zakręciło jej się w głowie. Ten sam zapach unosił się w kuchni Warrenów, zapach karbolu, który wżerał się w jej pamięć i myśli.

Zebrała instrumenty i włożyła je do sterylizatora, potem wyszorowała zlew i wzięła worek z zużytymi opatrunkami. Podczas dyżuru w pogotowiu trzeba było nosić biały fartuch sztywny czepek. Kiedy szła wrzucić worek do pieca, dostrzegła swoje odbicie w szybie. Wyglądała jak stara doświadczona pielęgniarka.

Poczuła gwałtowne poruszenie w dole brzucha. Zatrzymała się i zamknęła oczy, usiłując zapanować nad bólem, i nagle wydało jej się, że czuje w łonie dziecko, które walczy o życie, tonąc w karbolu. Fala drżenia przebiegła przez jej ciało i ktoś chwycił ją za rękę.

- Pytałem, czy wszystko w porządku, siostró.

Pokój zawirował, jakby trafiła w niego bomba. Podobno tak jest, gdy człowiek znajdzie się blisko wybuchu - ściany się ruszają i chwieją jak statek w czasie sztormu. I podobno często nie słychać huku eksplozji.

- Muszę wrócić do domu - powiedziała.

- Nie w tej chwili - zabrzmiał męski głos ze szkockim akcentem. - Teraz powinna się pani położyć.

Kiedyś był tu sklep mięsny i z tyłu mieściła się chłodnia, w której stało teraz sześć metalowych łóżek z gołymi materacami. Wzdłuż ścian nadal biegły rury i haki do wieszania sztuk wołowiny. Doktor pomógł Dianie położyć się na jednym z łóżek i zdjął jej buty. Omal nie rozpląkała się ze wzruszenia. Miała dziurę w pończosze, przez którą wystawał duży palec. Matka nazywała takie dziury kartoflami. Łzy napłynęły jej do oczu. Leżała na łóżku z obciągniętą równo spódnicą, z dziurą w pończosze i płakała. Tymczasem doktor Dewar zmierzył jej puls. W pobliżu kręciła się jedna z pielęgniarek. Nie można było zostawiać kobiety pacjentki samej z lekarzem.

- Czy to czas pani miesiączki?

- Może to od tego.

Położył jej dłoń na czole. Była chłodna i sucha.

- Może. Ale zmierzmy pani temperaturę i sprawdzimy, czy nie jest pani na coś chora. To prawdopodobnie skutek przemęczenia. Widziałem, jak pani pracuje, Diano... Tego nie wytrzymałby nawet mężczyzna.

Nigdy przedtem nie zwracał się do niej po imieniu. Zauważyła to, pomimo fali nudności napływającej do gardła. Skąd on je zna? - pomyślała. Zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę.

- Ja...

- O co chodzi?

- Ja chyba muszę do łazienki.

Zawołał drugą pielęgniarkę, żeby jej pomogła. W łazience zwymiotowała i zaczęła krwawić. Potem musiała zemdleć, bo kiedy doszła do siebie, siedziała na podłodze, a ktoś walił w drzwi. Słyszała też stłumiony głos Dewara. Mówił coś o zdjęciu tych cholernych zamków, i że takie zamki są cholernie niebezpieczne w cholernej klinice. Zwróciła uwagę, jak akcentował słowo „cholerny”. Wkrótce wyłamali drzwi, ale było jej to obojętne. Słyszała, jak ktoś woła, by przyniesiono ręczniki, poczuła, że podnoszą ją czyjeś ręce, i znowu rozległ się głos Dewara ostrzegający, by szli ostrożnie. Miała krew na nogach. Wynieśli ją na zewnątrz, załadowali do karetki, później były nosze, stuk drzwi, jasne światła na długim korytarzu, pokój z umywalką, rynną do spłukiwania i oszkloną szafką. Poczowała ostry ból w dole brzucha, odruch parcia i odgłos spływającej wody. Potem przenieśli ją na wózek i zawieźli na salę pełną kobiet.

- Gdzie ja jestem? - spytała pielęgniarki.

- W Royal Free.

Gdy postawili parawany wokół jej łóżka, zobaczyła przed sobą męską twarz. Przypominała doktora Mandeville'a. Ten mężczyzna też miał sztywny kołnierzyk, wąski czarny krawat, a nad uszami smugi siwizny jak mewa. Na tabliczce widniało jego nazwisko: doktor Guli.

- Czy zdaje sobie pani sprawę z konsekwencji swego czynu? To należałoby zgłosić na policję.

- Czy straciłam je? - spytała.

Czy można pragnąć jednocześnie pozytywnej i negatywnej odpowiedzi, mieć sprzeczne myśli, pragnąć jednocześnie śmierci i życia, czuć ulgę i ból, radość i rozpacz?

Lekarz popatrzył na nią z wyrazem cierpienia i wyrzutu na twarzy.

- Tak, straciła je pani. To była dziewczynka - dodał. - Ale to chyba pani nie obchodzi.

- Oczywiście, że obchodzi.

- W takim razie dlaczego pani to zrobiła?

Odwróciła od niego twarz i utkwiała wzrok w szarym parawanie. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na zadane pytanie. Jak przez mgłę zdała sobie sprawę z tego, że mężczyzna wstaje z krzesła.

- Będziemy musieli zrobić mały zabieg, by dokładnie wszystko oczyścić - powiedział, odwracając się z zamiarem odejścia.

Poczuła przyływ paniki i chwyciła lekarza za rękę.

- Czy to mnie uszkodzi? To znaczy, czy nie będę mogła mieć dzieci?

Zawahał się, pragnąc zapewne przekazać najgorszą nowinę.

- Miejmy nadzieję, że nie.

Potem przysła pielęgniarka i spytała, kogo powinni zawiadomić.

- Wyjdzie pani pojutrze i ktoś musi się panią zaopiekować.

Diana podała numer telefonu do Meg. Oprócz niej nie miała nikogo. Za ścianą było całe miasto, a jej wiedza ograniczała się do pogotowia, punktu pierwszej pomocy, domu Warrenów i Meg. Nawet we wsi znało się więcej ludzi.

Wieczorem rozległo się wycie syren. Trzeba było ewakuować kobiecy oddział. Pacjentki w szlafrokach i kapciach musiały zejść do piwnicy. Te, które nie mogły chodzić, przewieziono na wózkach. Jedną lub dwie zniesiono razem z łózkami. Siedziały w półmroku pod rurami centralnego ogrzewania, kanalizacyjnymi i przewodami wentylacyjnymi, słuchając stłumionych wybuchów. Diana pomyślała o swoim zespole, wyobraziła sobie Berta jadącego zasypanymi gruzem ulicami doktora Dewara opatrującego rannych w punkcie pierwszej pomocy. O trzeciej nad ranem syreny ogłosiły, że niebezpieczeństwo minęło, i wszyscy wrócili na górę, gderając i narzekając.

Następnego dnia rano przeprowadzili zabieg. Nazwali go D i C, jakby uznali, że Diana powinna wiedzieć, co te litery znaczą, ale nie wiedziała, a bała się spytać. Kiedy obudziła się z narkozy, leżała w łóżku. Tym razem bez parawanów. Otaczał ją hałas wielkiej sali, po której kręcili się ludzie, jeździły wózki, a leżące na niej pacjentki narzekały, wymieniały doświadczenia, dzieliły się problemami. Zajmująca sąsiednie łóżko kobieta obrzuciła ją krzywym spojrzeniem.

- Płukanka, co kochana? - spytała. - Zawsze to samo. Takich jak ty są tu tuziny.

Diana zauważyła, że ma na sobie własną koszulę nocną, a przy łóżku szlafrok.

- Kto to przyniósł? - zagadnęła przechodzącą pielęgniarkę.

- Jakiś lekarz. Chyba Szkot. Nigdy go tu przedtem nie widziałam.

Po południu były godziny odwiedzin. Diana usiadła na łóżku i przyglądała się wchodzącym ludziom - mężom z bukietami kwiatów, matkom z rzeczami, które miały podnieść chore na duchu, lecz żadnych dzieci poniżej dwunastu lat. Czasami w drzwiach pojawiał się strażnik trzymający na ręku dziecko, by mogło pomachać leżącej gdzieś daleko matce. Wówczas do sali wpadały hałasy z zewnątrz, z ulicy i pobliskiej stacji metra. Kiedy przewalił się pierwszy tłum odwiedzających, Diana również doczekała się swoich gości. Spoglądali na siebie podejrzliwe, bo żadne nie wiedziało, kim jest to drugie i ile wie.

- Przyniosłam ci czekoladki, kochanie - powiedziała Meg. - Black Magic. Kosztowały majątek.

Dewar przyniósł bukiet kwiatów.

- Od całego zespołu - wyjaśnił.

Na dołączonej do nich kartce napisano: „Podwędzone ze zbombardowanej kwiaciarni”. I podpis: „Bert i pozostali”. Uśmiechnęła się. Był to pierwszy uśmiech od chwili utraty dziecka, pierwszy uśmiech od wielu dni, cień uśmiechu dziecka, którego nigdy nie będzie.

Przez chwilę trwała chaotyczna, skrępowana rozmowa, po czym Meg pochyliła się i cmoknęła ją w policzek.

- Muszę lecieć, kochanie, nie chcę przeszkadzać. Zadzwoń.

Odprowadzili ją wzrokiem, patrząc, jak stuka koturnami po podłodze. Surowemu mundurowi królewskich lotników potrafiła dodać trochę blasku, wkładając przydziałowe pończochy. Mężczyźni powiedli za nią oczami, śledząc kołyszący ruch bioder i podziwiając zgrabne nogi.

- Atrakcyjna dziewczyna - stwierdził Dewar, przeciągając ostatnią sylabę, jakby się nią delectował.

- Wszyscy tak mówią. Czy to pan przyniósł moje rzeczy? - spytała po chwili niezręcznej ciszy.

- Tak. Poznałem też uroczą panią Warren.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Brzemienista w skutki - pomyślała Diana i ku swojemu zaskoczeniu uśmiechnęła się, rozbawiona tą grą słów.

- Czy ona to zrobiła? - spytał przyciszonym głosem, by nikt go nie usłyszał.

- Co?

- Och, Diano. Doskonale pani wie, co. Kiedy zapukałem do drzwi, myślała, że jestem

z policji.

Wzruszyła ramionami.

- Jeżeli zamierza mnie pan przesłuchiwać, lepiej będzie, jak pan pójdzie.

- Nie chcę pani przesłuchiwać. Ale to straszne, co pani zrobiła.

- Stało się - odparła, dziwiąc się w duchu, że tak łatwo się z tym pogodziła. - Nie ma sensu do tego wracać. No i to nie pańska sprawa, doktorze. Był pan bardzo miły, zaopiekował się mną i w ogóle, ale każdy lekarz postąpiłby tak samo.

Skinął głową i złapał za guzik marynarki. Oczywiście tweedowej marynarki z rudawą nitką pasującą do koloru jego włosów.

- Rozmawiałem z pielęgniarką. Wypiszą panią jutro rano. Dokąd pani pójdzie?

- Wrócę do Warrenów - wyjaśniła, wzruszając ramionami. - I do pracy. Dokąd miałabym iść?

- Powinna pani odpocząć. Pojechać do domu.

- I zdręzczać się myślami? Musiałabym też stawić czoło rodzicom. Nie, dziękuję.

- Moje zaproszenie jest nadal aktualne.

Uśmiechnęła się. Wyglądał zabawnie z tymi szkockimi manierami, szkockim sposobem wysławiania i chłopcę nieśmiałością.

- Może kiedyś - powiedziała.

- Znowu to samo. Nie mógłbym usłyszeć czegoś bardziej konkretnego?

- Chyba tak - odparła i nagle pomyślała, że ten człowiek, który nienawidzi tego, co zrobiła, nadal chce się z nią spotkać. Poczula piekące łzy pod powiekami, co wcale nie było dziwne w jej obecnym stanie. - Tak - powtórzyła.

Część piąta

1

Zaproponowałem Eve, żeby pojechała z nami, lecz odmówiła. Nie była to łatwa rozmowa.

- Nie chcę jechać i nie chcę, żebyś ty jechał. Nie chcę, żebyś się wspinał, i nie chcę czekać pod górą, kiedy zniosą twoje ciało.

- To śmieszne.

- Czyżby? Ilu już zabiła ta cholerna góra? Trzydziestu, czterdziestu?

Oczy jej błyszczały. Nie płakała, była na to zbyt twarda, ale znalazła się niebezpiecznie blisko granicy łąz. Jeden fałszywy ruch, a spadnie w przepaść.

- No i Ruth tam będzie, tak?

- Oczywiście.

- Nie możesz zrozumieć, że jej nie lubię? Nie przyszło ci to do głowy? Nie rozumiesz, że nie mogę znieść myśli, że się ze sobą pieprzycie?

- To już przechodzi ludzkie...

- Czyżby? - Uśmiechnęła się z przymusem. - Odpowiada wam to, co? Tobie i Jamiemu. Lubicie mieć pod ręką małą kobietkę, która będzie na was czekała, jak wrócicie z wojny. Ja w to nie wchodzę. Mam inne wojny do wygrania.

Wyruszyliśmy więc we trójkę starym samochodem kempingowym Jamiego. Pojazd miał wymalowany znak przekreślonej bomby, napis z przodu: „Czyń miłość, nie wojnę”, a po bokach kwiaty: goryczki, szarotki i stokrotki - dzieło Ruth. Po drodze co jakiś czas zmienialiśmy się za kierownicą.

Pierwszą noc po przyplłynięciu promem do Calais spędziliśmy na farmie pod Soissons. Rano obudziła nas córka gospodarza, stając w drzwiach furgonetki z trzema świeżymi jajkami na talerzu.

- *Pour le petit dejeuner* - powiedziała.

Co sobie pomyślała na widok dwóch facetów i kobiety z małym biustem i kanciastymi ramionami? Trio dręczone gorączką zazdrości i pożądania? Pewnie nic sobie nie pomyślała. Świat dorosłych różni się od świata młodych, świat cudzoziemców też jest inny.

Tego samego dnia przekroczyliśmy granicę ze Szwajcarią po południu dotarliśmy do Interlaken. Jeziora i góry tonęły w chmurach, a świat w dole był szary i zielony. Tym razem prowadziła Ruth, ja leżałem z tyłu na stosie sprzętu wspinaczkowego, a Jamie siedział z

przodu, bo znał drogę.

- Przyjeżdżałem tu kiedyś na narty z rodziną - wyjaśnił.

Droga wiała się doliną Lauterbrunnen wśród skalnych urwisk górskich zboczy. Tryskające wśród drzew liczne wodospady sprawiały wrażenie, jakby ktoś połączył ze sobą te wszystkie zbocza, nie troszcząc się o zachowanie porządku. Deszcz zaczął walić o przednią szybę, by po chwili przejść w deszcz ze śniegiem. Spieraliśmy się, dyskutując nad tym, ile dni potrwa jeszcze taka pogoda, choć to i tak nie mogło niczego zmienić.

- Równie fatalna jak w Walii - stwierdziłem.

Jamie uważał, że powinniśmy wrócić do domu i rzucić w diabły cały ten pieprzony interes.

- Nie kuście losu - zaprotestowała Ruth. - Co ma być, to będzie.

- Ten twój cholerny walijski fatalizm! - krzyknął Jamie. - Dlatego macie tyle angielskich zamków.

Rozpierała go energia, której nie mógł wyładować przez coś tak bezsensownego jak zła pogoda.

Ruth skręciła w boczną drogę przy drogowskazie z napisem Grindelwald. Silnik terkotał, a my ścinaliśmy ostre zakręty, uniknęliśmy zderzenia z miejscowym autobusem, wlekliśmy się za autokarem turystycznym, aż wreszcie otworzyła się przed nami szeroka niecka, w której leżał Grindelwald. Mieliśmy uczucie, że wydostaliśmy się z klaustrofobicznego tunelu i znowu mogliśmy swobodnie oddychać. Powietrze było chłodne, a na ocienionych stokach leżały płaty starego śniegu. Zatrzymaliśmy się przy boczniczy kolejowej. Rozległe łąki ciągnęły się aż do podnóża gór, które ginęły w gęstej warstwie chmur.

- Niech was cholera! - krzyknął do nich Jamie.

Na łąkach pasły się krowy wyglądające jak statystki czekające na fotografa. Wśród malowniczych domków toczył się, posapując, pociąg. Pomalowany na jasny kolor, przypominał elektryczną zabawkę. Jamie zwrócił się do mnie, jakbym był najwyższą instancją.

- Nie byłeś tu nigdy, ale mówię ci, tam w górze - machnął ręką w stronę szarego całunu chmur - rozciąga się północno-wschodnia grań Eigeru. A tam, właśnie tam jest ta przerażająca, mordercza Nordwand, czyli północna ściana. Już na samą myśl krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach.

Niestety, poza gęstniejącym mrokiem i chmurami niczego nie można było zobaczyć. Mimo to Jamie stał jak szalenciec na poboczu drogi i wskazywał z uporem maniaka na coś, co

tylko on widział.

Niepogoda sprawiła, że nasz przyjazd tutaj stał się w zasadzie bezcelowy: nie było gór, nie było więc północnej ściany strachu do pokonania. Rozstawiliśmy namiot na polu namiotowym i poszliśmy się powalęsać po okolicy. Grindelwald było czymś w rodzaju przyfrontowego miasteczka w tej turystycznej wojnie. Niedawno wyjechali stąd narciarze, by ustąpić miejsca armii Japończyków. Ku oburzeniu Jamiego Ruth kupiła nawet kilka pamiątek - miniaturowy czekan z wyrytym na trzonku napisem „Grindelwald” i kompozycję z szarotek z plastikowym modelem Eigeru.

- Moim rodzicom się spodobała - powiedziała. - Mów sobie, co chcesz. Już widzę ten czekan wśród końskich podków nad barem.

Następny dzień nie przyniósł zmian w pogodzie. Wpadliśmy do biura przewodników, by sprawdzić prognozę na następne dni. Powitał nas szczupły mężczyzna o ogorzalej od słońca twarzy.

- Proszę się nie martwić - pocieszał. - Prognoza jest dobra. Wypogodzi się i ciśnienie pójdzie w górę.

- Uwierzę, jak zobaczę - stwierdził Jamie.

- Jesteś pesymistą-wtrąciła Ruth. Ona jedna wprowadzała między nas pewną równowagę i starała się dostrzec pozytywne strony tej sytuacji.

- Wiesz, kto to jest pesymista? To ktoś, kto nigdy nie czuje się rozczarowany. - Jamie uśmiechnął się ponuro do przewodnika. - A jakie są warunki na ścianie? Dużo tam śniegu? Jaka jest izoterma? Czy to wszystko zmieni się w jeden wielki wodospad?

- O jakiej ścianie pan mówi? - spytał mężczyzna, marszcząc brwi.

- A ile ich macie? Chryste, kto to jest? Pytałem o Nordwand oczywiście.

- Wybiera się pan na Nordwand?

- Czy to zabronione? Zdaje się, że tylko w latach trzydziestych wprowadzono jakiś zakaz.

Ruth pociągnęła go za rękaw.

- Nie przeciągaj struny.

Przewodnik okazywał chłodną uprzejmość, jak policjant w stosunku do pijanego, którego za chwilę wepchnie do samochodu policyjnego.

- Czy pan wie, co pan robi? - spytał.

- Stoję tu i rozmawiam z panem.

Mężczyzna uśmiechnął się lodowato.

- Miałem na myśli odpowiednie kwalifikacje. Są problemy z angielskimi alpinistami.

- Na pewno nie takie, jakie czekają pana z tu obecnym.

Ruth uśmiechnęła się do przewodnika, jakby dawała mu do zrozumienia, że ma do czynienia z wariatem. Ja poradziłem Jamiemu, żeby się zamknął.

- Nie zamknę się - odpowiedział. - Co ten gość chce, żebym zrobił? Podpisał oświadczenie, że w razie kłopotów nie wezwiemy pomocy? Północna ściana to droga wspinaczkowa. A oni mówią o niej jak o swojej własności. - Odwrócił się do przewodnika. - Wszedł pan kiedy na nią?

Mężczyzna zrobił zakłopotaną minę.

- Byłem na niej.

- Ale pan nie wszedł.

- Byłem w zespole ratującym Anglika nazwiskiem Brewster - wyjaśnił dobitnie.

- No jasne - stwierdził z pogardą Jamie. - Założę się, że wjechał pan na górę kolejką i zrzucił im paczkę z kanapkami. Brewstera uratowali dwaj Anglicy: Bonington i Whillans.

Popchnęliśmy go w stronę drzwi.

- Czy ma pan doświadczenie?! - zawołał za nim mężczyzna. - Przecież w waszym kraju nie ma takich gór.

- Doświadczenie?! - wrzasnął Jamie. - Północna ściana to takie zimowe przejście szkockiej „piątki”. Cholera jasna, najtrudniejsze odcinki skalne są raptem nadzwyczaj trudne. Chciałbym zobaczyć, jak przechodzi pan ścianę Oriona.

Wypchnęliśmy go na ulicę.

- Czy on jest pijany? - spytał przewodnik.

- Nie, jest Anglikiem - odpowiedziała Ruth.

- Czy to nie to samo?

Główna ulica stanowiła centrum pamiątkarskie, zbiorowisko najróżniejszych świecidełek i drogiej soortowej odzieży, wśród której grasowały stada japońskich turystów. Ruth spytała Jamiego, dlaczego nie potrafi trzymać głowy na kłódkę, lecz ją zignorował.

- Ten pieprzony przewodnik prowadzi pewnie turystów na grań Mittellegi, a uważa się za wielkiego wspinacza - rzekł. - Pewnie nie wyszedł nawet poza tę cholerną dolinę. Jedyne, co potrafi, to zdobyć supermarket w Interlaken.

Chmury wciąż nisko wisiały. Siedzieliśmy na kempingu, porządkowaliśmy sprzęt i rozmawialiśmy z dwójką wspinaczy z Bradford, którzy wypytywali nas o grań Mittellegi, a także o to, gdzie można się napić przyzwoitego piwa.

- Od tego lagera dostaliśmy niestrawności - narzekali.

Oczywiście słyszeli o Jamiem.

- Jim Matthewson? To ty zrobiłeś sporo nowych dróg w Szkocji, tak? I poprowadziłeś wariant *direttissimi* na ścianie Oriona.

- Nasza dwójka - odparł Jamie.

- A co planujecie tutaj?

- Północną ścianę.

Pociągnęli nosem i spojrzeli na niego dziwnym wzrokiem, jak ludzie, którzy znaleźli się na pogrzebie kogoś, kogo mało znali.

- Byłoby to trzecie przejście Brytyjczyków.

Tryb przypuszczający miał tu zasadnicze znaczenie.

Jamie wzruszył ramionami.

- Nie studiuję ksiąg rekordów.

- No to powodzenia!

Wiał ostry wiatr i padał drobny deszcz ze śniegiem. Po południu chmury się rozsunęły, ukazując fragmenty ściany, lecz jakby wyrwane z całości, jak fragmenty pokoju widziane przez dziurkę od klucza.

- No i co z tą cholerną prognozą pogody? - denerwował się Jamie.

Czekaliśmy. Mieliśmy już dość tego napięcia przed wspinaczką i kaprysów aury. Eiger trwał gdzieś tam za chmurami czekał na nas niczym pająk na swoją ofiarę. Śmialiśmy się, kłóciliśmy, opowiadaliśmy niestworzone historie. Siedzieliśmy w samochodzie, przeglądaliśmy zdjęcia, przechodząc w myślach kolejne odcinki ściany, i zastanawialiśmy się, czy lepiej wyruszyć wcześniej rano i biwakować na Żelazku, czy też dojść do Jaskółczego Gniazda wieczorem, by rano następnego dnia jak najwcześniej zacząć wchodzić na pola lodowe. Czekaliśmy. Ta beczynność w oczekiwaniu na poprawę pogody, która wzmagała niepokój i działała na nerwy, miała nawet swoją nazwę: pilnowanie Eigeru. Wszystko tu zresztą miało swoje nazwy: Trudna Rysa, Biwak Śmierci, Trawers Bogów, Pająk. Cała ta cholerna góra była oblepiona nazwami formacji skalnych i nazwiskami ofiar.

Wieczorem Ruth zaczęła śpiewać i grać na gitarze smętne celtyckie ballady i kilku mieszkańców campingu przyszło jej posłuchać. Gdzieś w górze, przykryty chmurami, spał Eiger. Potem poszliśmy na piwo ze wspinaczami z Bradford. Jamie pokazał im miejsca, gdzie można dostać dunkela i heferweizen, a gdy wróciliśmy, Ruth przygotowała kolację z ryżu, wołowiny warzyw. Opróżniliśmy jeszcze dwie butelki drogiego szwajcarskiego wina.

- To było pyszne - stwierdził Jamie. - Jak to się nazywa?

- Chop suey. - Spojrzała na mnie. - Wiesz, Rob, że jest obraz, zatytułowany *Chop suey*? Namalował go Edward Hopper.

- Prawdę powiedziawszy...

- Czemu on stale to powtarza? - wszedł mi w słowo Jamie. - Prawdę powiedziawszy. Jakby był jakimś adwokatem w sądzie.

Zignorowałem go.

- Prawdę powiedziawszy, tak.

- Przedstawia samotną kobietę siedzącą w chińskiej restauracji.

- Wcale nie jest sama, ale w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich stoi tyłem do widza.

Ruth uśmiechnęła się. Wiedzieliśmy, i w tym tkwił problem. Ze zdradą zawsze jest ten sam problem: zdradzający wiedzą znacznie więcej niż zdradzani.

- Może rozmawiają o kimś - powiedziała. - O kimś, kogo oboje kochają.

Wybuchliśmy śmiechem, pod którym kryła się wiedza pożądanie. Pochyliła się i pocałowała mnie. Jamiemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Z kolei odwróciła się i pocałowała jego, a potem nas obu. Kiedy wstałem z zamiarem wyjścia, chwyciła mnie za rękę.

- Zostań.

Zostałem więc. Może to było nieuniknione. Oczywiście alkohol odegrał w tym znaczną rolę, a także zmęczenie, napięcie ciepło emanujące z naszych ciał. Nasze umysły tonęły w oparach alkoholu, przepełnione ideami o wolnej miłości, a ciała pragnęły spełnienia. Nasze nerwy były stargane oczekiwaniem świadomością, że gdzieś w chmurach czai się ten potwór Eiger. Ruth zaśmiała się i objęła nas obu ramionami, przyjmując pocałunki. Jamie też się roześmiał, lecz nie potrafiłem powiedzieć, czy w jego śmiechu brzmi zachęta, czy jedynie przyzwolenie.

Ruth miała na sobie podkoszulek. Takie szczegóły można niekiedy wyłowić z głębin pamięci. Zapamiętałem wzór na tym podkoszulku: biało-pomarańczowe promienie słońca na tle czarnego nieba. Pamiętam, że nas od siebie odepchnęła, skrzyżowała ręce, chwyciła za brzeg podkoszulka i ściągnęła go przez głowę.

- Już - powiedziała, odrzucając go na bok.

Jamie dotknął jej piersi. Śmiałyśmy się. Widok jego dłoni pieszczącej pierś wydał mi się jednocześnie zabawny i szokujący. Było w tym również coś grzesznego, co zapierało dech, jak dzieciom, które na widok napisu: „Pergyl, Cadwch Allan - wstęp wzbroniony” świadomie idą dalej. Wstępowaliśmy na nieznaną gruntu, dotykając nieznanego, śmiejąc się, odsuwając od siebie i zastanawiając, jak daleko zdołamy się posunąć i dokąd nas to zaprowadzi. Pamiętam do dziś jej gładką skórę i szorstką Jamiego. A potem śmiech zamarł, a

my staliśmy się trójkątem stworzonym z mięśni, kości i nerwów, poruszającym się niezdarnie w wąskiej przestrzeni, zmieniającym kształt, kąty nachylenia, ale zawsze z Ruth jako punktem stycznym. „Tak - szeptała nam do ucha i każdemu z osobna. - Tak, tak, tak”.

Następnego dnia żadne z nas nie odezwało się słowem. Była to cisza po upadku. Siedzieliśmy w furgonetce, piliśmy kawę, jedliśmy śniadanie i spoglądaliśmy w okno, by sprawdzić, jaka pogoda, i milczeliśmy. Chmury nadal otaczały niewidzialną górę.

- Co robimy? - przerwałem w końcu milczenie.

Ruth przeniosła wzrok ze mnie na Jamiego. Pił kawę i patrzył na nas w zamyśleniu.

- Pojedźmy do stacji Eigergletscher i przyjrzyjmy się zachodniej flance. Przyda nam się trochę ruchu.

- Czemu nie? - zgodziłem się.

Mieliśmy świadomość, że zapłata uległa odroczeniu, a było za co płacić. Zjedliśmy owoc z drzewa wiadomości, owoc rzadki i egzotyczny, lecz niemal na pewno trujący. Nie zdołamy wyjść z tego bez szwanku.

Wjechaliśmy więc kolejką na Eigergletscher i to chwilowe odroczenie poprawiło nam humory. Wrócił dobry nastrój i poczuliśmy coś w rodzaju ulgi.

Stacja Eigergletscher to ponury bunkier z żelazobetonu u podnóża zachodniej grani. Stoi tuż przed tunelem przebitym dokładnie przez środek góry, którym dojeżdża się do stacji Jungfrauoch. Tuż za nią, nad wejściem do tunelu, wznosi się zachodnia ściana, która sięga do szczytu odległego o tysiąc pięćset metrów w pionie. Po lewej stronie kryje się w cieniu północna ściana.

Tego dnia chmury wisiały tuż nad budynkami stacji. Opuściliśmy peron i przeszliśmy na tyły stacji, omijając tablice ostrzegające przed niebezpieczeństwami. Podnóże urwiska tworzyły rumowiska skalne i piargi. Nasza droga biegła zygzakiem w górę przez pochyłe półki i skalne stopnie. Miejscami pojawiała się udeptana ścieżka, oznakowana kopczykami. Tędy właśnie mieliśmy zejść ze szczytu, jeżeli, oczywiście, wszystko pójdzie dobrze. Od czasu do czasu przystawaliśmy, by zorientować się w położeniu, niestety wkrótce weszliśmy w chmury i przestaliśmy cokolwiek widzieć. Szliśmy każde osobno, zatopieni we własnych myślach. Zatrzymaliśmy się przed polem śnieżnym, by założyć raki.

- Jak wysoko wejdziemy? - spytała Ruth.

Jamie wzruszył ramionami. Droga prowadziła przez śnieg do stóp pokrytego lodem zlebu. Wyznaczały ją kopczyki i haki służące do zjazdu na linie. Wiatr szarpał nas za rękawy, jakby chciał o czymś przypomnieć. Potem znaleźliśmy się na ostrej jak żyleta grani i naszym oczom ukazała się pogrążona w złowieszczej ciemności północna ściana, na której zawodził

wiatr. Zimny i milczący obłok przepłynął nam nad głowami i zniknął w cieniu.

Spojrzałem na Ruth. Miała czerwoną z zimna twarz, otuloną kapturem. Wyglądała brzydko, jak stara pomarszczona babina w chustce. Uśmiechnąłem się. Odpowiedziała tym samym, ale jej uśmiechowi brakowała pewności. Poszliśmy jeszcze kawałek dalej, po czym zawróciliśmy, aż z mgły wyłonił się oświetlony dach stacji.

Przyjemnie było wyjść z chmur i ponownie znaleźć się wśród ludzi i światła. Kupiliśmy coś do picia w barze, po czym zeszliśmy ścieżką poniżej stacji. Nastroj uległ zmianie. Cywilizacja dotarła już do podnóża góry, wystarczyło więc kilka kroków, by wyjść z pustki w świat ludzi. Wędrowaliśmy ścieżką jak przyjaciele, którzy wybrali się na spacer. Zza chmur wyjrzało słońce, rzucając na ziemię długie smugi światła. Kiedy ścieżka rozszerzyła się, Ruth wzięła nas pod ręce, śmiejąc się i rozmawiając, jakby nic się nie stało. Ktoś jednak został zraniony; może cała nasza trójka. Każde z nas wyczuwało to na swój sposób. Popełniliśmy grzech i pod na pozór obojętnym zachowaniem kryliśmy głębokie rany.

Tego wieczoru zjedliśmy kolację, prawie się nie odzywając. Jamie i ja rozmawialiśmy o pogodzie, o prognozach, o sprzeczcie, który powinniśmy ze sobą zabrać, i o tym, gdzie zatrzymamy się na biwak. Oczywiście zakładając, że chmury znikną i będziemy mieli kilka dni przyzwoitej pogody. Ruth obserwowała nas z typową dla Walijszczyków chłodną rezerwą, niczym góry spoglądające na pobudowane przez Anglików zamki.

- A co będzie z nami? - spytała, kiedy już wszystko ustaliliśmy. - Jak mamy dalej żyć?

Zaczęliśmy rozmawiać. Tej długiej, chaotycznej, pokrętej rozmowy nie potrafię powtórzyć. Momentami sprawiała wrażenie nierealnej. Czyniliśmy zapewnienia o wiecznej miłości i oskarżaliśmy się o zdradę. Pamiętam, że Ruth płakała. Nigdy nie przypuszczałem, że to w ogóle możliwe. Jej blada twarz tonęła we łzach, a oczy i nos zrobiły się czerwone.

- Pragnę was obu - mówiła. - Kocham was obu, a wy kochacie mnie i siebie nawzajem. Czy nie może zostać tak, jak jest? To, co się stało, to coś wyjątkowego. Do cholery, czy nie możemy żyć tak, jak chcemy?

Pewnie wyobraziła sobie, że my dwaj to król Artur i Lancelot, a ona jest naszą Ginewrą. Ginewra była Walijską - Gwynhwyfar. Zresztą cała ta opowieść o Arturze powstała w Walii i świetnie pasowała do celtyckiego mistycyzmu Ruth.

Zabrzmiało to cynicznie, ale patrząc na wszystko z perspektywy lat, trudno nie być cynicznym. Byliśmy nieodrodnymi dziećmi tamtej epoki, gotowymi złożyć życie na ołtarzu miłości, co tak naprawdę nikomu się nie udało, choć wszyscy uważali, że to możliwe. W końcu niczego nie ustaliliśmy i poszliśmy spać.

Kiedy się obudziłem, podświetlony cyferblat zegarka wskazywał godzinę trzecią. Coś

się zmieniło. Zacząłem nasłuchiwać. Jamie i Ruth poruszyli się we śnie. Czułem, że na zewnątrz zaszły jakieś zmiany związane z kierunkiem i siłą wiatru, temperaturą i wilgotnością. Ostrożnie uchyliłem okno.

- Co jest? - wymamrotał Jamie.

- Nic. Śpij.

Nocne powietrze było chłodne i suche. Chmury zniknęły bez śladu, a na niebie błyszczały gwiazdy, jak tysiące rozsypanych kryształków lodu. Na ich tle, zajmując jedną trzecią przestrzeni, wznosił się potężny czarny ostrosłup. Tak oto po raz pierwszy zobaczyłem północną ścianę Eigeru. W tej jednolitej czarnej masie połyskiwały dwa jasne punkty niczym dwie samotne gwiazdy w wielkiej czarnej mgławicy, nadając jej pewną perspektywę. Były to światła tunelu wydrążonego w samym sercu góry.

Zadrzałem, nie z zimna jednak, lecz na myśl o tym, co mnie jutro czeka. Miałem się czego obawiać. Bałem się o naszą trójkę, odczuwałem też irracjonalny lęk przed nocą i jak najbardziej racjonalny strach przed Eigerem. Usnąłem z tym strachem, a sny mieszały się ze wspomnieniami. Gdy się obudziłem, nie byłem już pewny, co widziałem, o czym rozmawialiśmy i co robiliśmy, a co mi się śniło. Ruth spała obok mnie. Dotknąłem jej, chcąc się upewnić, że naprawdę istnieje. Jęknęła i odwróciła się do mnie plecami. Miejsce Jamiego było puste. Otworzyłem drzwi samochodu i zobaczyłem go - stał obok i patrzył na Eiger przez lornetkę.

- Jest - powiedział, nie odwracając się.

Ubrałem się i wyszedłem. Poranek był chłodny, bezchmurny i lśniący od mrozu. Stałem obok Jamiego i spojrzałem na północną ścianę. Ten widok znałem z tysiąca fotografii - zbocza dolnych partii góry, półki skalne, białe połacie pól lodowych, skały Żelazka wystające z masywu ściany niczym dziób statku, a nad tym wszystkim lodowy komin, czyli Pająk. Z tego miejsca ściana zdawała się odchylać od pionu. Stromiznę łagodziło coś, czego nie oddawała żadna fotografia - głębia. Sprawiała wrażenie, jakby zapraszała nas do swego wnętrza.

- Nie będę sławny - zaprotestowałem. Tym razem szampański humor Camilli działał mi na nerwy.

- Przecież już jesteś - odparła po prostu i wyprowadziła mnie z pokoju. - I nic nie możesz na to poradzić.

Zrozumiałe, że zachowałbym się niegrzecznie, wykręcając się od spotkania z gośćmi czekającymi na mnie na schodach. Uśmiechałem się melancholijnie, gdy mężczyźni ściskali mi dłoń i przedstawiali swoim małżonkom. Zręcznie odpowiadałem na komplementy pań,

które zależnie od typu osobowości chwaliły mnie za urodę lub za grę. Tego wieczoru miałem do czynienia z doborową publicznością. Regina Boardman zaprosiła swych najbogatszych i najbardziej wpływowych znajomych. Odniosłem wrażenie, że oni wszyscy uważali, iż należy im się bezpośredni kontakt z artystą, skoro tak dużo zapłacili za wstęp. Potulnie więc poddałem się ceremonii przedstawiania, bo przecież pani Boardman nie mogła rozczarować swojej publiczności. Prowadzony przez Camillę, schodziłem powoli po schodach wzdłuż szpaleru ludzi i uśmiechałem się ze skrupowaniem, starając się nie słyszeć tych wszystkich przesadnych komplementów. Tak jak człowiek na pustyni marzy o wodzie, tak ja marzyłem, by to wszystko się skończyło i zostawiono mnie w spokoju.

Gdy skręciłem na ostatnie półpiętro, na końcu rzadniejącej kolejki ujrzałem Alexandra i Pamelę Harcourtów. Zauważyłem, że ostatnie trzy lata nie obeszły się z nimi łaskawie. Co prawda fryzura Pameli była nienaganna jak zawsze, a dłonie upierścienione, lecz jej twarz zdradzała znużenie, którego nie mogło zatuszować ani dopracowane uczesanie, ani kosztowny strój. Widziałem, jak zbiegały jej kostki szczupłej dłoni, kiedy stojąc wsparta na ramieniu męża, zaciskała na nim palce. Ramię Alexandra wydało mi się niesamowicie chude, wręcz kruche, mimo że zakrywał je rękaw smokingowej marynarki. W jego sylwetce nie było dawnej sprężystości, a oczy straciły ów wyraz pewności siebie człowieka podziwianego przez otoczenie. Alexander wychudł i postarzał się, a jego dłoń, kiedy mi ją podał, lekko drżała.

- Dobry wieczór - odezwałem się pierwszy. Miałem przed oczami nasze ostatnie spotkanie w holu Grand Hotelu Europa, kiedy kłopoty Elli dopiero się zaczynały.

- Dobry wieczór, panie Farrell. Miło pana znowu widzieć - odpowiedział. Jego głos też zabrzmiał starzej, niż go zapamiętałem. Starzej i smutniej.

- Bardzo nam się podobała pańska gra. - Pamela rozciągnęła uszmińkowane usta w oficjalnym uśmiechu.

Potem nastąpiła cisza. Podziękowałem im, że przyszli na mój koncert, i już miałem ruszyć dalej, gdy Alexander przytrzymał mnie za ramię.

- Czy mógłbym... zamienić z panem parę słów? Na osobności? - Jego niebieskie oczy nieruchomo wpatrywały się we mnie.

Nie odpowiedziałem.

- Proszę.

Czułem, że Regina, idąca za mną po schodach, lada chwila zrówna się z nami.

- Myślałem o tym, żeby napisać do pana - rzekł szybko Alexanoe, odgadując zamiar Reginy. - Proszę mi wierzyć, będę bardzo zobowiązany za chwilę prywatnej rozmowy.

Ujęło mnie dumne opanowanie Alexandra. W wyrazie jego postarzałej twarzy

dostrzegłem mimikę Elli.

- Ależ oczywiście - zgodziłem się i zszedłem z ostatnich paru stopni.

Czekał na mnie w pobliżu frontowych drzwi. Kiedy wyszedłem na dwór, w odjeżdżającej taksówce mignęła mi twarz Pameli. Alexander doszedł do mnie i szliśmy razem w kierunku stacji metra. Przez moment milczał, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę, a kiedy się odezwał, zauważyłem, że drży mu głos.

- Z moją córką jest bardzo niedobrze - powiedział powoli.

Czekał na moją reakcję.

- To znaczy? - zapytałem w końcu, chociaż dobrze wiedziałem, o czym mówi.

- Zmieniła się nie do poznania po pobycie we Francji w towarzystwie pana i tego nieszczęsnego chłopaka.

Przeszliśmy kilkanaście metrów w milczeniu.

- Proszę nie myśleć, że obwiniam pana o cokolwiek - kontynuował. - Zachowanie Elli budziło mój niepokój, zanim wyjechała do Francji. Już wtedy nie była sobą. Lecz po powrocie jej stan wyraźnie się pogorszył. Nie chciała rozmawiać ani ze mną, ani z Pamelą. Stroniła od ludzi. Odniosłem wrażenie, że straciła chęć do życia. - Alexander zamyślił się. -

Z początku sądziliśmy, że śmierć tego Francuza... Jak on miał na imię?

- Erie - rzuciłem półgłosem.

- No, tak. Myśleliśmy, że to śmierć Erica tak nią wstrząsnęła. - Przerwał na chwilę swój monolog. - Więc daliśmy jej czas. Zostawiliśmy w spokoju. Niestety, jej stan wciąż się pogarszał. Nie chciała się z nikim widywać. Straciła całą radość życia. Trudno było nam na to patrzeć, bo Ella zawsze tryskała energią. Pamiętam, jaka była szczęśliwa w okresie narzeczeństwa.

Alexander wbił wzrok w ziemię, a ja pomyślałem o upojnych dniach i nocach tamtego lata, kiedy razem z Ellą uważaliśmy się za bólbogów.

- Wszyscy próbowaliśmy jej pomóc - Alexander podjął przerwany wątek. - A szczególnie jej kuzynka, Sara, starała się ją wesprzeć. Obecnie Ella nie chce nikogo widzieć. Oczywiście ten cały rozgłos w prasie też jej nie pomaga. Nie wychodzi ze swego pokoju. Nie rozmawia ze mną. Nie...

Nie mógł wymówić ani słowa więcej.

- James, proszę pana. - Spojrzał mi w twarz i wtedy w jego oczach spostrzegłem łzy. - Boję się o moją córkę. Nie wiem, co robić. Czuję, że ją tracę. Ella mówi, że pan jest jedyną osobą, z którą chce się widzieć.

Doszliśmy na Notting Hill Gate. Zaczynało padać.

- Wielokrotnie zabierałem się do napisania listu. A dzisiaj, kiedy pana zobaczyłem, pomyślałem, że muszę to wszystko powiedzieć. Ella twierdzi, że pan nie odpisuje na jej listy. Nie chciałem się do tego mieszać. Ale bardzo się tym wszystkim gryzę. Może, gdyby się pan z nią zobaczył, sprawy przyjęłyby lepszy obrót.

Staliśmy, nic nie mówiąc.

- Przynajmniej warto spróbować, prawda? - odezwał się po chwili.

Było coś tragicznego w tym mężczyźnie w średnim wieku, przemawiającym do mnie błagalnym tonem.

- Co ja mogę zrobić? - powiedziałem z namysłem bardziej do siebie niż do niego.

Chwycił mnie za ramię.

- Niech pan do niej napisze, James. Zadzwoń. Odwiedzi ją. - Zamilkł. - W przyszłym miesiącu mój brat wydaje przyjęcie w Setonie. Niech pan z nią przyjedzie.

Pokręciłem przecząco głową.

Opuścił wzrok.

- Niech pan coś zrobi. Proszę jej tak nie zostawiać.

Długo milczałem, tysiące myśli wirowały mi w głowie.

- No dobrze - zgodziłem się w końcu. - Napiszę do niej. Proszę jej powiedzieć, że do niej napiszę.

- Nie wiem, jak panu dziękować.

Alexander wyciągnął rękę. Gdy uścisnęliśmy sobie dłonie, nasze spojrzenia się spotkały.

- Do widzenia - rzekłem, siląc się na uśmiech. A potem odwróciłem się szybko i zszedłem schodami na stację metra.

2

Nie potrafię opisać, co czułem tamtej nocy. Dość, że powiem, iż nie mogłem zasnąć. Ukryłem się w pokoju na poddaszu, wiedząc, że tam nikt nie zauważy palącego się światła. Usiadłem w kącie, w którym lubiła siadywać Ella. Usiłowałem zebrać myśli, by znaleźć rozwiązanie, które stałoby się dla mnie tratwą pozwalającą przetrwać sztorm.

W końcu je znalazłem. Nie przyszło mi to łatwo, bo musiałem zaakceptować swoją słabość. Po raz pierwszy przyznałem się przed sobą samym, że nie mogę spędzić całego życia, żyjąc tak jak przez ostatnie trzy lata. Obojętnie, jak bardzo skrzywdziłem Erica; nieważne, jak bardzo zasługiwałem na karę; nie mogłem dłużej trwać w oddaleniu od mej ukochanej. Separacja z Ellą - główna kara, jaką sobie wymierzyłem, stawała się nie do zniesienia. Nawet jeżeli nie zasługiwałem na szczęście, nie potrafiłem go odrzucić.

Stwierdzenie tej prawdy wiele mnie kosztowało. Tracąc resztki i tak nadszarpniętego szacunku dla samego siebie, musiałem zaakceptować fakt, że nie jestem dostatecznie silny, by dalej znosić należną mi karę. Ja, który myślałem, że na zawsze uspiłem w sobie emocje, obudziłem się na nowo do życia w sposób, który był cudowny i bolesny zarazem.

Prośba Alexandra wywołała niespodziewany skutek. Spędziłem bezsenność, nie mogąc dłużej bronić się przed siłą wspomnień, a ciemny pokój wypełniały obrazy i dźwięki, które uważałem za stracone na zawsze.

Och, tak! Słowa Alexandra wywarły na mnie wrażenie. Dopóki nie zobaczyłem jego łez, uważałem, że jestem zdolny poświęcić miłość Elli, by spłacić w ten sposób niespłacalny dług. Ogłuszony bólem i poczuciem winy, postanowiłem zrezygnować z radości płynącej ze związku z Ellą w nadziei, że wyrzeczenie stanie się moją karą i odpokutuje za to, co zrobiłem; co razem zrobiliśmy. Dopóki nie usłyszałem pełnych niepokoju słów Alexandra, byłem zdecydowany wieść życie, w którym nie było miejsca na uczucia. Miałem nadzieję znaleźć pokój duszy, trwając w półmroku, tylko od czasu do czasu rozświetlanym muzyką. Teraz z perspektywy pięćdziesięciu lat widzę, że chciałem przynajmniej duchowo dzielić fizyczną śmierć Erica.

Tamtej nocy zrezygnowałem z moich zmagania. Po raz pierwszy od powrotu z Francji obudziła się we mnie szalona nadzieja i powróciła słodczy odczuwania miłości. Pierwszy raz od trzech lat niemal ze zdziwieniem odkrywałem na nowo urok nocnego nieba usianego gwiazdami. A stało się tak, ponieważ tym razem ciemności przyniosły mi myśli o Elli zamiast wizji związanych z Erikiem. Tamtej nocy nie widziałem martwego ciała mego przyjaciela, lecz delikatną sylwetkę Elli. Nie wpatrywały się we mnie nieruchome, zasnutę mgłą oczy Erica, tylko pełne życia oczy Elli. Roztrzęsiony, prawie bojąc się oddychać, czułem jej obecność. Znowu słyszałem jej dźwięczny śmiech i ciepły głos. Znowu całowałem aksamitne wgłębienie pod obojczykiem.

Siedząc sam w ciemnym pokoju, myślałem, że nie ma takiej siły, która utrzymałaby mnie z daleka od Elli, i że naszej miłości należy się jeszcze jedna szansa, bo uchroniła nas od zapomnienia. Zrezygnowałem z dumy, przyznałem się do słabości. Uświadomiłem sobie, że dłużej nie potrafię opierać się magnetyzmowi Elli i że jeżeli mnie potrzebuje, pójdę do niej, a jeśli mnie wezwie, polecę jak na skrzydłach.

Teraz widzę znaczenie tamtego przełomu. Widzę i rozumiem. Zanim zacząłem tę opowieść o moim życiu, nie sądziłem, że dowiem się tyle o sobie. Patrząc na swoje dzieje z perspektywy pięćdziesięciu lat, dochodzę do przekonania, że więź, którą na krótko zerwałem, była bardzo mocna. Nasze uczucie dawało nam siłę - co do tego nie mam wątpliwości.

Mogliśmy tę siłę wreszcie dobrze wykorzystać. Mogliśmy dojrzeć światełko w tunelu. Mogliśmy jeszcze być szczęśliwi.

Znowu snuję marzenia o tym, co mogłoby być. Wiem, że to bez sensu. Ważny jest wyłącznie opis tego, co naprawdę się działo. Tamtej nocy pękła tama wstrzymująca moje uczucie do Elli i nie mogłem dłużej walczyć z tęsknotą za nią. Tamtej nocy, siedząc na poddaszu w kręgu światła z małej lampki, napisałem do niej list. Drętwiejącą dłonią zapelniałem maczkiem sześć kartek z dużego notatnika.

Nie pamiętam tamtych słów płynących strumieniem ani zwrotów, które same przychodziły do głowy, kiedy siedziałem pochylony nad notatnikiem na kolanach. Pamiętam mniej więcej, co napisałem i jaki byłem rozgorączkowany. Ten list był miłości. O mojej miłości do niej i jej miłości do mnie. Pisałem o smutnej przeszłości i nadziei na przyszłość. Wyznałem Elli to, co wcześniej powinienem był jej powiedzieć - że nigdy nie przestałem myśleć ani marzyć o niej. I że miała rację, twierdząc, iż teraz jeszcze bardziej będziemy sobie potrzebni.

Zakończyłem list, gdy wstawał nowy dzień. Wyczerpany, położyłem się spać i po raz pierwszy od trzech lat nic mi się nie przyśniło. Obudziłem się, kiedy słońce stało wysoko, pierwszy raz od śmierci Erica czerpałem przyjemność ze zwykłego przyglądania się otoczeniu. Słyszałem dźwięki, które dotąd umykały moim uszom, widziałem dawno nie dostrzegane drobiazgi. Cieszyły mnie plamy słoneczne na ścianie, kolorowe grzbiety książek na półce i połyskliwe kałuże po wczorajszym deszczu. W moim życiu zaszła zmiana. Byłem tego pewien. Czuję, że wszystko odmieni się na lepsze.

Bez pośpiechu wstałem i ubrałem się.

Świeciło słońce, gdy wysyłałem list do Elli. Z poczty poszedłem do Guildhall, myśląc po drodze, jak różny od innych jest ten poranek i jak kolejne czekające mnie poranki będą różnić się od tych, które minęły. Zmieniłem się. Czerpałem radość z przyglądania się światu, poruszony myślą, że gdy zejdziemy się z Ellą, stawimy czoło demonom winy i razem je zwyciężymy, jako że osobno żadne z nas nie miało szansy ich pokonać. Pamiętam, tamtego dnia celowo unikałem pośpiechu, delektując się nawet najmniej wyczuwalnym smakiem czy zupełnie nieciekawym widokiem. Odżyłem, na nowo otwarty na możliwości, jakie niesie życie. Kiedy siedzę teraz po ciemku, zapatrzony w księżyc wynurzający się ze spienionych fal, potrafię przywołać tamto uczucie, mimo iż minęło tyle lat. Pamiętam ten przypływ nadziei, tak jak spragniony człowiek musi zapewne pamiętać widok wody. Jeszcze nie ugasilem pragnienia, lecz oaza była już w zasięgu wzroku. Uważałem, że nic nie może stanąć mi na drodze; że moje długo nie zaspokajane pragnienie - jedyna kara, jaką sam sobie

mogłem wyznaczyć, wkrótce zostanie ugaszone. Ciesząc się jak dziecko, rozkoszowałem się każdą chwilą i co rusz nachodziła mnie myśl, że życie mimo wszystko potrafi być cudowne.

Ta lekkość duszy i intensywność odczuć znalazły odzwierciedlenie w mojej grze. Przez tydzień ćwiczyłem zawzięcie. Dawno postanowiłem, że jeśli dojdę do finału w konkursie Hibberdsona, zagram Koncert skrzypcowy e-moll Mendelssohna. Już wcześniej podświadomie dedykowałem go Eli. Teraz, mając przed oczami źródło mojej inspiracji, grałem z pasją, nie odczuwając najmniejszego znużenia. Ćwiczyłem godzinami, ożywiając w wyobraźni tamte słoneczne popołudnia, kiedy grałem go dla Elli. Widziałem ją, jak zasłuchana siedzi na poduszce w kącie mego pokoju na poddaszu.

Nie liczyłem mijających dni. Zanadto pochłaniały mnie myśli o przyszłości, by przejmować się terażniejszością. Co prawda odpowiedź na mój list nie nadchodziła, ale przecież nie mogłem stracić nadziei z powodu kilkudniowej zwłoki po tylu miesiącach trwania w podświadomym oczekiwaniu. Przynajmniej jednej rzeczy nauczyło mnie cierpienie, a mianowicie cierpliwości. Powtarzałem sobie (całkiem słusznie, jak się potem okazało), że tysiąc najróżniejszych okoliczności może się składać na brak natychmiastowej odpowiedzi i że Ella na pewno odpisze. Byłem jej do tego stopnia pewny, że ze stoickim spokojem patrzyłem na pustą skrzynkę do listów.

Oczywiście w tym samym czasie działo się wiele rzeczy - spotykałem się z ludźmi, prowadziłem najróżniejsze rozmowy. Wtedy nie przykładałem do tych spraw zbyt wielkiej wagi, teraz jednak muszę je odtworzyć, jeżeli chcę ułożyć wydarzenia w kolejności, w jakiej rzeczywiście następowały. Wiem, że precyzja jest bardzo istotna. Spróbuję więc wszystko sobie przypomnieć. Dźwięczy mi w uszach modulowany głos Camilli Boardman. Tym razem mówi na wyższych tonach niż zazwyczaj. Camilla prowadzi mnie za rękę przez salę pełną ludzi. Słyszę głośnie rozmowy, ostry śmiech i szcęk sztuców o porcelanę. Jesteśmy w restauracji w małej uliczce odchodzącej od King's Road. Umówiliśmy się na lunch, moją przyjaciółkę roznosi podniecenie. Ledwo usiedliśmy przy stoliku przy oknie, który dostaliśmy dzięki memu nazwisku, a już Camilla ściska mnie za ramię i oznajmia, że ma wspaniałe wiadomości. Trafia jej się świetna okazja, ma szansę zaistnieć.

Odtwarzam w pamięci tamten dzień. Przypominam sobie ożywienie Camilli i jej zaraźliwy entuzjazm. Zapytała mnie, czy kiedykolwiek byłem w Setonie.

- Bo wiesz, to niesamowite miejsce. Ogromny zamek na wysepce u wybrzeża Kornwalii - opowiadała z przejęciem. - Wiążą się z nim niewiarygodne historie i pełno tam pięknych przedmiotów. - W tym miejscu Camilla zrobiła przerwę, bo wyczerpał jej się zapas przymiotników.

Czekałem na dalszy ciąg. Skrętnie ukrywałem podniecenie, słuchając opowiadania o wyspie Elli i o domu, w którym, być może, kiedyś zamieszkać razem z nią.

- Wiesz, to rodzinne gniazdo Harcourtów - odzyskała głos Camilla. - I oni wydają tam wielkie przyjęcie, żeby zebrać pieniądze na jakiś tam cel. Moja mama jest w to zaangażowana. Nie mogę sobie przypomnieć, jak nazywa się ta fundacja, zdaje się, Towarzystwo Ratowania Zabytków. Zresztą mniejsza o to. Istotne, że to najbardziej liczące się przyjęcie tego lata. A tak między nami mówiąc, obie z mamą praktycznie znamy każdego z zaproszonych gości. I mogę się z tobą założyć, że to właśnie ja zaprojektuję suknie dla wszystkich pań. - Camilla przerwała dla złapania oddechu. - Oczywiście, one jeszcze o tym nawet nie wiedzą - dodała z nie zamierzoną ironią. - Ale już pracuję nad kreacją dla Elli Etarcourt. Zobaczysz, że reszta pań pójdzie w jej ślady - mówiąc to, Camilla uśmiechnęła się promiennie i zamówiła szampana, a ja roześmiałem się w duchu, bo przecież słyszałem o tym przyjęciu od Alexandra o wiele wcześniej. Tym razem byłem lepiej poinformowany od wszystkowiedzącej panny Boardman.

Minęło dziesięć dni, a ja nadal nie miałem wiadomości od Elli. Zaczynałem się niepokoić. Może postąpiła z moim listem tak, jak ja z kilkoma jej listami - po prostu go nie otworzyła? Mimo dręczących mnie obaw pracowałem bez wytchnienia, bo finał konkursu Hibberdsona był tuż, tuż. Moje dni wypełniały próby, rozmowy z dyrygentami i uzgadnianie tysięcy szczegółów, typowych dla takich konkursów.

Jej list znalazłem, gdy wróciłem z ciągnącej się bez końca próby. Wystawał ze sterty korespondencji na wycieraczkę. Tym razem koperta była niebieska, lecz rozpoznałem nierówne litery i rdzawy atrament.

Pamiętam tamtą falę podniecenia. Z wrażenia zaschło mi w gardle. Chwyciłem list i pobiegłem do maleńkiego pokoju na poddaszu; tego pokoju, który od trzech lat nieodłącznie mi się z nią kojarzył. Rozdarłem kopertę - jeszcze pamiętam jej fakturę, grubość arkusza, który wypadł ze środka, i wytłoczony nagłówek z adresem Setonu. Ella nie zwróciła się do mnie po imieniu, a list nie był długi.

Kochany mój! Najdroższy!

Aż nie chce mi się wierzyć, że w końcu napisałeś i że wracasz. Sądziłam, że utraciłam Cię na zawsze.

Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi Ciebie brakowało, jak strasznie chciałam Cię zobaczyć. Te lata były potworne, ale pewnie nie muszę Ci tego mówić. Przepraszam, że pręcej nie odpisałam. Nie było mnie w Londynie. Siedzę w Setonie i pomagam wujowi Cyrylowi w przygotowaniach do przyjęcia. Panuje tu wielkie zamieszanie, całe młodsze

pokolenie zapędzono do roboty. Dlatego nie ma mnie w domu, no a Pamela zapomina o przesyłaniu poczty. Przeczytałam Twój list dzisiaj rano i od tej chwili nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Kochany, nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę i dotknę. Tak bardzo za Tobą tęsknię!

Niestety, nie wyjadę stąd wcześniej niż w przyszłym tygodniu, czyli już po przyjęciu, bo muszę dopilnować firmy, która je organizuje. Oczywiście mógłbyś przyjechać na bal, chociaż na dobrą sprawę to okropne, byśmy mieli się spotkać na oczach tylu ludzi. To ten rodzaj przyjęcia, jakie uwielbia Regina Boardman, a ja chcę Cię tylko dla siebie... Czy więc zgodzisz się poczekać na mnie jeszcze trochę? W tym czasie mógłbyś zająć się wygranem. Hibberdsona. Śledziłam Twoje osiągnięcia aż do wejścia do finału. Ciekawe, co będziesz grał. Marzę o tym, by móc Cię znowu posłuchać.

Tyle chcę Ci powiedzieć, tak wiele mam do opowiadania. List się do tego nie nadaje. Z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie.

Ella

To jej dokładne słowa. Kiedy je przytaczałem, miałem wrażenie, że to ona je wypowiada. Siedzę sam w ciemnościach i słyszę jej głos wołający do mnie z przeszłości. Widzę jej oczy szukające moich.

Od dnia, w którym przyszedł list, wydarzenia potoczyły się niby lawina.

Teraz wspominam finał konkursu Hibberdsona. Widzę jury, światła, kamery telewizyjne, siebie spoconego z nerwów i niespokojne twarze przyjaciół. To był wieczór mego sukcesu. Nigdy przedtem nie grałem z taką pasją. A miłość Elli jeszcze dodała mojej grze niewiarygodnej lekkości i niepowtarzalnej delikatności. Pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Pamiętam, co czułem, kiedy zwyciężyłem, pamiętam przyływ ulgi, w chwili gdy odłożyłem skrzypce i ukloniłem się publiczności. Widzę wyraźnie, jak rozsyłam uśmiechy, dziękuję członkom jury i opowiadam dziennikarzom, jaki jestem szczęśliwy. Rzeczywiście byłem szczęśliwy, bo chyba nic nie może równać się z satysfakcją, jaką daje idealne wykonanie, gdy artysta wznosi się na szczyty możliwości. Wiedziałem, że zwycięstwo nie było wyłącznie moją zasługą, ponieważ nie zagrałbym z taką brawurą, gdyby nie prześladowały mnie wspomnienia skrzekliwego śmiechu Erica oraz spojrzenia jego pustych oczu, i czułem, że Erie chciałby, abym wygrał. Poza tym wierzyłem, iż odtąd już na zawsze miłość Elli będzie chronić mnie przed upiorami.

Stałem na podium z brązowym laurem w dłoni i przesuwalem wzrokiem po rzędach rozentuzjasmowanych twarzy i dłoni migających w oklaskach. Przy kolejnym ukłonie zaparło mi dech w piersiach, bo dostrzegłem uśmiech i znajome wygięcie smukłej szyi. Spojrzałem

ponownie, aby się upewnić. Z szumem w głowie, nie przestając się uśmiechać, ruszyłem wzdłuż sceny. Ścisnąłem dłonie finalistów, odpowiadałem na ich gratulacje, myśląc tylko o jednym - jak wydostać się z sali koncertowej i uciec w noc z jedyną osobą, którą pragnąłem oglądać. Za kulisami czekali na mnie kamerzyści i reporterzy, a także mój agent, który nalegał, bym wrócił i jeszcze raz się ukłonił. Posłusznie poszedłem na scenę. W mojej głowie galopował oszalały puls, a dłonie spocily mi się ze strachu, że zgubię Ellę w tłumie i już jej nie odnajdę.

Nie czekałem, by po raz trzeci wyjść na scenę. Skierowałem się prosto do szatni, gdzie moi koledzy pakowali instrumenty i zdejmowali krawaty. Gorączkowo pożegnałem się z nimi i wrzuciwszy skrzypce do futerału, pobiegłem labiryntem korytarzy do wyjścia dla artystów z nadzieją, że wymknę się, zanim zrobi się przy nim tłoczno. Lecz ku memu rozczarowaniu, kiedy otworzyłem drzwi, usłyszałem piskliwy okrzyk. „Tutaj jest”. Otoczyła mnie grupa podekscytowanych wielbicieli i reporterów. Zarzucano mnie pytaniami, podsuwano albumy na autografy. Pomyślałem, że jeśli Ella ma mnie odnaleźć, najlepiej, bym stał w widocznym miejscu. Wziąłem głęboki oddech i stawiałem czoło żywej zaporze. Wyjąłem pióro i nakazując spokój swemu rozszalałemu tętnu, rozdawałem autografy.

- Czy mogę dołączyć do grona twych admiratorów, James?

Spostrzegłem ją, zanim jeszcze się odezwała, i poblądłem z rozczarowania, słysząc zaokrąglone samogłoski bardzo brytyjskiej wymowy.

- Mój Boże... Sara.

Obdarzyła mnie uśmiechem, a ja starałem się zapanować nad emocjami. Kiedy automatycznie składałem autograf na kolejnym programie, doszedłem do siebie na tyle, by zapytać ją, co tu robi.

- Przyszłam cię zobaczyć - odparła, nadal się uśmiechając. Wydała mi się sympatyczniejsza, niż ją zapamiętałem. - Pomyślałam, że może nadarzy się sposobność pochwalenia się znajomością z laureatem.

- Co mówisz?! - Hałas zagłuszał jej słowa.

- Gratulacje! - powiedziała głośniej, by przekrzyczeć tłum, i przechylając się do przodu, pocałowała mnie w policzek.

Błysnął flesz i reporter zapytał, kim jest ta piękna dziewczyna.

- Zdradź nam jej imię! - zawołał.

Sara oblała się rumieńcem, a ja z tęsknotą pomyślałem, że kuzynka Sary to dopiero skończona piękność.

- Dawno się na ciebie nigdzie nie natknęłam - rzekła Sara, gdy torowałem drogę w

tłumie, idąc do samochodu.

„- Tak.

- A co u ciebie słycać?

- Och... wiesz. Dużo pracowałem.

- Zdobywałeś nagrody.

- Tylko jedną.

- Ale za to jaką! - Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy tak, jakbyśmy od niepamiętnych czasów byli w świetnej komitywie.

- To ładnie, że przyszłaś, by się ze mną zobaczyć - powiedziałem. - Jak ci się udało wyrwać z Setonu?

- Przyjechałam po suknię.

- Aha.

Znowu się uśmiechnęła. Staliśmy chwilę, milcząc.

- No to do widzenia - odezwała się. - I gratuluję. Życzę ci wielu takich nagród.

- Dziękuję.

- Skoro już się na siebie natknęliśmy, dobrze byłoby pozostać w kontakcie.

- Oczywiście - odparłem już z kluczykiem w drzwiach.

- Do widzenia. James.

- Do widzenia, Saro. - Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. I wtedy owionął mnie jej zapach - kombinacja woni obcych papierosów, nie znanego mi mydła i innych perfum.

Wczoraj czułem ten sam zapach, tyle że pomieszany ze słodkawą wonią świeżej krwi. Poczulem go, gdy pochylałem się nad jej zakrwawionym ciałem.

Dni, które pozostały do rautu u Harcourtów po finale Hibberdsona, upłynęły mi bardzo pracowicie. Byłem zajęty udzielaniem wywiadów i przyjmowaniem gratulacji, niewiele więc miałem czasu dla siebie. Wolne chwile spędzałem z rodziną, chwalać mnie niezbyt wylewnie, ale za to szczerze, no i w towarzystwie Camilli Boardman, której fantastyczne proroctwa dotyczące mojej kariery praktycznie nie miały granic. Oczywiście, nie muszę mówić, że jedyną osobą, jaką pragnąłem widzieć, była Ella i że z niecierpliwością liczyłem dni do końca naszej rozłąki. Podobnie jak ona, nie chciałem, by nasze spotkanie po tak długim czasie odbyło się na oczach jej rodziny i naszych wspólnych znajomych. Skoro wytrzymałem tyle czasu, jeden tydzień dłużej nie miał znaczenia.

W każdym razie żyłem w euforii, jakiej później już nigdy nie zaznałem.

Nawet teraz po pięćdziesięciu latach nadal jestem przekonany, że wtedy, pierwszy raz

od trzech lat, czułem, że żyję naprawdę. Nabrały dla mnie znaczenia drobne sprawy, w których dotąd uczestniczyłem z udawanym zainteresowaniem. Pisząc do Elli, uznałem swoją przegraną. Zaakceptowałem fakt, że pokuta, którą narzuciłem sam sobie za udział w śmierci Erica, nie może trwać bez końca. To z kolei uczyniło mnie wolnym. Miłość Elli, a raczej świadomość, że ona nadal mnie kocha, przyniosła wyzwolenie od przeszłości. Dalszy opór nie miał sensu. Choćbym nie wiem jak się starał, nie potrafiłem zagłuszyć cichego, uporczywego głosu w mojej głowie, który podpowiadał, że życie mimo wszystko może być cudowne i że na pewno są inne sposoby zadośćuczynienia za krzywdę wyrządzoną Ericowi niż psychiczne unicestwienie. Na sześć nocy Erie zniknął z moich snów. Śmiech Elli zastąpił jego martwe oczy, a wspomnienie dotyku jej ciepłego policzka wyparło widok jego nasiąkniętego wodą ciała.

Mało brakowało, a w przyływie chęci podzielenia się moim szczęściem opowiedziałbym o wszystkim Camilli Boardman, lecz ona tyle mówiła o swoich działaniach i planach, że nie udało mi się dojść do słowa. Zbyt długo odgrywałem rolę wdzięcznego słuchacza, by teraz, gdy zbliżał się wieczór jej triumfu, można było nasze role odwrócić.

- Kochany, mam strasznie dużo pracy - skarżyła się przez telefon któregoś wieczoru. - Klientki przychodzą z poprawkami na ostatnią chwilę. No i w życiu bym nie sądziła, że można tyle rozmawiać o butach. Ortodoksyjni purytanie muszą się przekreślać w grobie.

Z biegiem czasu skłonność Camilli do przybierania męczeńskich tonów, czy to z powodów towarzyskich, czy w związku z interesami, zdecydowanie się nasiliła.

- Nie masz pojęcia, jak mnie to wykańcza.

- Nie, na pewno nie.

- Masz szczęście, muzykancie. Założę się, że łatwiej grać na skrzypkach te stare kawałki niż wybrać torebkę dla lady Markham.

- Och, zapewne.

- Nie bądź taki przemądrzały, młody człowieku. Wiadomo, że wszyscy nie możemy zostać laureatami Hibberdsona.

- Hrmmm - mruknąłem w słuchawkę, myśląc o tym, jak Ella będzie mi gratulować.

- A skoro już o tym mowa - ciągnęła moja przyjaciółka - w środę zabieram cię na kolację. Uczymy twój sukces. Przyjeżdżam po ciebie punktualnie o ósmej trzydzieści - oznajmiła i rozłączyła się.

Tak więc na trzy dni przed balem, przy kolacji, co msz zakłócanej terkotem telefonu komórkowego Camilli („to męczące, ale klientki muszą mieć możliwość kontaktu w każdej chwili”), dowiedziałem się od niej o wielu istotnych i nieistotnych sprawach. Muszę teraz

przywołać w pamięci i uporządkować te szczegóły, bo im także należy się miejsce w mojej opowieści.

Przypominam sobie, jak Camilla opisywała swoje klientki. („Wiem, że jestem okropnie niedyskretna, ale to takie zabawne. Poza tym tobie mogę zaufać”). Pamiętam, jak przyciszonym głosem zdradziła, że Ella nie wystąpi w sukni, tylko w dwuczęściowym stroju wzorowanym na smokingu, a Sara Harcourt („Pamiętasz ją, Jamie?”) przyszła do niej na wstępne przymiarki, a potem zdecydowała się na koszmarną, wręcz prostacką czerwoną suknię od konkurencji.

- Wielka szkoda, kochany. Przecież to niebrzydka dziewczyna i mogłaby naprawdę efektownie wyglądać - szeptała Camilla z wyraźnie wyczuwalną pretensją w głosie. - Ale cóż, gust nie podlega dyskusji, prawda?

Dzięki matce Camilla знаła szczegóły związane z organizacją balu, więc ochoczo się nimi podzieliła, gdy wjechały na stół nasze dania. Słuchałem nad talerzem z parującymi szparagami o planowanym ognisku (wiatr od Atlantyku nawet we wrześniu potrafi być lodowaty), fajerwerkach, szklarniowych różach i ogromnej markizie.

- Goście będą mogli wchodzić tylko do wydzielonej części domu - poinformowała mnie konfidencjonalnym tonem. - Oczywiście to w pełni zrozumiałe, tyle tam cennych przedmiotów. Sądzę, że markiza jest idealnym rozwiązaniem.

Przytaknąłem kiwnięciem głowy i spytałem, czy to prawda, co piszą w gazetach, że amerykańska gwiazda filmowa specjalnie na ten wieczór ściąga ze Stanów swoją fryzjerkę.

- Prawdopodobnie. Kochany, już lepszego numeru moja matka nie mogłaby sobie wymarzyć. Znasz ją przecież.

Och, tak, znałem Reginę. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Pamiętam podniecenie Camilli, pamiętam, z jakim przejęciem relacjonowała skandaliki poprzedzające raut. Zapamiętałem też pobrzmiewające w głosie Camilli poczucie dumy kobiety interesu, nadające jej wypowiedziom nowy ton, który nie pojawiał się we wcześniejszych okresach naszej przyjaźni.

- Możesz mi wierzyć, wszystkie panie w sukniach mojego projektu będą wyglądać fantastycznie - oświadczyła, płacąc rachunek kartą kredytową (bo przecież to ona mnie zaprosiła, to ona postawiła kolację z okazji mojego sukcesu).

- Jak wrócę, będziemy oglądać zdjęcia i wszystko ci opowiem - obiecała i pocałowała mnie na pożegnanie.

Gdy otoczywszy Camillę ramieniem, odprowadziłem ją do taksówki, pomyślałem z żalem, że nie zobaczę, jak ślicznie moja ukochana będzie wyglądać. Szkoda, że wcześniej do

niej nie napisałem. Moglibyśmy razem bawdć się na przyjęciu.

- Pa! - Camilla pomachała mi zza tylnej szyby. - Przywiozę ci mnóstwo wiadomości!

- Do widzenia! - odkrzyknąłem, żegnając ją tym samym gestem.

Ale to nie Camilla dostarczyła mi informacji o przyjęciu, chociaż to dzięki niej poznałem szczegóły parę dni później, gdy przebieg wydarzeń stał się własnością publiczną. To nie z jej ust dowiedziałem się o tym, co zaszło. Los nie bawił się w takie subtelności. Cztery dni po kolacji z Camillą, gdy jechałem dusznym, zatłoczonym metrem, przeczytałem o wszystkim na pierwszej stronie gazety w rękach współpasażera. PAR ANGLII ZAMORDOWANY NA DOBROCZYNNYM RAUCIE! - krzyczał nagłówek. Poczulem suchość w ustach i strach chwycił mnie za gardło, bo spod tytułu patrzyły na mnie oczy ojca Elli. Uśmiechał się, obejmując ramieniem córkę w smokingowej marynarce.

Nie wierząc własnym oczom, wysiadłem na najbliższym przystanku. Z początku w miarę spokojnie przeciskałem się przez tłum, lecz już po chwili biegłem niecierpliwie po ruchomych schodach, ocierając się o stojących na nich ludzi. Na koniec, miotając przekleństwa, pokonałem zacinającą się bramkę i z szumem w uszach dobiegłem do kiosku przed wejściem na stację.

Camilla zadzwoniła do mnie, kiedy zmartwiały siedziałem w domu.

- O Boże, James! Słyszałeś już? - zapytała, tłumiąc szloch.

Oczywiście, że słyszałem. Jak mogło być inaczej, skoro wszystkie gazety o tym pisały, komentowały wszystkie stacje telewizyjne, a przechodnie rozprawiali na ulicy? W przerwie na lunch ludzie przystawali przed wystawami sklepów z telewizorami, żeby obejrzeć najnowsze wiadomości.

- Wszyscy to widzieli, wiesz - powiedziała Camilla. - Setki ludzi patrzyło na nią, kiedy to zrobiła.

Słuchając Camilli, myślałem - jak to się czasem, nie wiadomo czemu, zdarza w ekstremalnych sytuacjach - że jej głos jest dziwnie pozbawiony wyrazu jak na kogoś, kto potrafi tak barwnie opowiadać. Że brzmi inaczej, jakoś obco, zupełnie jak nie jej. Słuchałem tej historii tak, jakbym nie znał jej bohaterów, jak gdyby nie wkroczyli w moje życie ani teraz, ani w przeszłości. Słuchałem o nich, jak ludzie potrafią słuchać o zdarzeniach z życia sławnych osób, których losy są odległe od ich własnych doświadczeń. Dopiero później, w samotności, z pewnym opóźnieniem dotarł do mojej świadomości fakt, że Ella jest morderczynią. Ta dziewczyna, w której byłem zakochany i dla której dwukrotnie zrezygnowałem z szacunku dla samego siebie; ta dziewczyna ze śpiwnym głosem i z poobgryzаныmi paznokciami była główną bohaterką opowieści Camilli. To ona z zimną krwią

zabiła własnego ojca na oczach co najmniej dwustu osób,

- Jamie, trudno w to uwierzyć - mówiła Camilla przez łzy. - W życiu bym nie uwierzyła - zająknęła się. - Ale ja widziałam - wydusiła. - Widziałam, jak to zrobiła. Tam było tyle ludzi. Nie wywinie się od odpowiedzialności.

Milczałem.

- Musiała sobie zdawać z tego sprawę.

- Powiedz, co widziałas - poprosiłem ją, powoli wymawiając słowa.

I Camilla opowiedziała mi. To właśnie dzięki jej relacji i późniejszym szczegółowym zeznaniom na procesie poznałem przebieg wypadków z tamtej nocy. Kiedy teraz przywołuję je po pięćdziesięciu latach, nadal zadziwia mnie premedytacja i arogancja, z jaką to wszystko zostało przeprowadzone. Tak, nawet dzisiaj arogancja, bardziej nawet niż bezwzględność, wywołuje zdumienie i gorycz.

Niestety, moja uśpiona pamięć pracuje powoli. Mam trudności z przywołaniem dokładnych słów Camilli, nie potrafię odtworzyć szczegółów z tamtych potwornych tygodni po śmierci Alexandra. Przez pięćdziesiąt lat bardzo dbałem, by wszystkie sprawy związane z procesem Elli i śmiercią Erica pozostawały uśpione w zakamarkach pamięci. Nie chciałem nich myśleć. Muszę przyznać, że moje wysiłki w zapominaniu zostały uwieńczone sukcesem. W tej chwili widzę to bardzo wyraźnie i bardziej niż kiedykolwiek, widzę również, ile pod tym względem zawdzięczam Sarze. To ona nauczyła mnie sztuki oszukiwania samego siebie i pokazała, jak izolować się od wszystkiego, co mogłoby zaburzyć wewnętrzny spokój.

Teraz muszę wysilić pamięć i uporać się z historią Elli oraz śmiercią jej ojca, tak jak uporałem się z historią śmierci Erica. Jeszcze raz przyjdzie mi uchylić tamte zamknięte drzwi wypuścić upiory. To trudne dla takiego starego człowieka jak ja, ponieważ rozgoryczenie jest najsmutniejszą z życiowych blizn. Teraz mój gniew miesza się z ubolewaniem nad samym sobą, a to dlatego, że dopiero co ofiarowane mi po raz drugi życie zostało brutalnie zabrane, zanim nawet zdążyłem go posmakować. Płaczę nad losem tamtego młodego człowieka (już nie chłopca, o nie), który siedział oniemiały, gdy Camilla Boardman opowiadała mu, co Ella zrobiła; jakiego czynu Elli była naocznym świadkiem. Tak bardzo pragnę pocieszyć tamtego młodego człowieka! Ale nie mogę. A nawet gdyby była taka możliwość, co bym mu powiedział? On nie mógł niczego zrobić. Nie było żadnych kroków, które mógłby przedsięwziąć. I chociaż jeszcze o tym nie wiedział, już był przegrany.

Świadomość, że Ella jest morderczynią, odmieniła wszystko. To, co było między nami, zmieniła w kłamstwo, z którego nikomu nie mogłem się zwierzyć.

Po rozmowie z Camillą poszedłem wieczorem na moje poddasze i przy świetle

księżycą usiadłem w miejscu, w którym Ella siadywała. Słyszałem jej głos i widziałem, jak pali jednego papierosa za drugim. Wspominałem nasze spotkanie w parku, ogłoszenie zaręczyn z Charliem na urodzinowym przyjęciu Camilli, podróż do Setonu. Przywołałem jej obraz, gdy siedząc skulona na kamiennym parapecie wysoko nad morzem, szybkim ruchem odgarniała włosy z oczu. Słyszałem, jak opowiada historię rodziny, mówiła o Blanche i o Sarze. Ten dom kryje mnóstwo ponurych tajemnic - powiedziała wtedy. Widziałem jej przestraszone oczy, gdy stojąc ze mną i z Erikiem nad kamieniołomem, domagała się, bym powiedział mu prawdę. Widziałem i słyszałem to wszystko. Poczułem się tak, jakby przestało działać zaklęcie, i osoba, którą kochałem, zniknęła, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała.

Gdy w dusznej, zatłoczzonej hali na stacji metra czytałem o zabójstwie Alexandra, czepiałem się jeszcze złudnej nadziei w tym samym zaślepieniu, które nie pozwoliło mi potępić Elli po śmierci Erica. Lecz kiedy słuchałem, jak Camilla cichym, nieswoim głosem relacjonuje, co widziała, doszedłem do wniosku, że się pomyliłem. A potem, siedząc samotnie w tym samym pokoju, gdzie grałem dla niej i gdzie niedawno w liście wyznawałem jej miłość oraz pisałem o tęsknocie słowami pełnymi naiwnego uwielbienia, poczułem ogarniającą mnie odrazę. W ciemnościach powrócił obraz ciała Erica, ciężkiego od wody. Znowu widziałem, jak chwiejąc się, przesuwa się ku górze wzdłuż ściany kamieniołomu, by w końcu znaleźć się u mych stóp. Zobaczyłem łzy w oczach doktora Petina. I z uczuciem podobnym do złości pomyślałem, że dwukrotnie poświęciłem się dla dziewczyny, która zabiła rodzzonego ojca. Zdradziłem przyjaźń, by zyskać jej zaufanie; aby się z nią zobaczyć, obróciłem w niwecz trzy lata ciężkiej pokuty. Pocięły mi z oczu łzy. Lecz tym razem płakałem nie nad Ellą ani nawet nad Erikiem, lecz nad sobą.

Sądzę, że nawet tamtym potwornym wydarzeniom z przeszłości należy się chwila uwagi, bo przeszkody na drodze do pomyślnego przeprowadzenia intrygi były ogromne. Teraz nawet lepiej to rozumiem niż kiedyś. Przede wszystkim goście mogli wchodzić jedynie do kilku pomieszczeń, a sama Wielka Sala została zamknięta na klucz (zdeponowano w niej najbardziej wartościowe przedmioty z komnat dostępnych dla uczestników przyjęcia). Tylko z tej sali można było wyjść na balkon, natomiast jedyny klucz do niej miał Cyryl Harcourt. Później policja zabezpieczyła ten klucz. Leżał na swoim miejscu w jego biurku. Kiedy rozegrał się dramat, na tarasie pod balkonem musiało przebywać ponad dwieście osób. Goście stali przy ognisku, rozmawiali, śmiali się. Mimo chłodu najwyraźniej woleli przebywać na powietrzu niż w dusznych pomieszczeniach. Kiedy więc ona to zrobiła, patrzyło na nią ponad dwieście osób, z których wiele dobrze ją znało.

Ze smutkiem odtwarzam wydarzenia tamtej nocy, ponieważ bardzo dobrze poznałem

dom, w którym się rozegrały. Wszystko jest takie rzeczywiste. Kiedy słuchałem relacji Camilli, mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak to wszystko wyglądało. Wtedy obce mi były emocje, jakie to miejsce wzbudza we mnie teraz, po pięćdziesięciu spędzonych tam latach. Teraz znam dokładnie ten taras; wiem, pod jakim kątem trzeba zadrzeć głowę, by zobaczyć, co dzieje się na balkonie wiszącym wysoko nad nim. Wiem, jak pachnie morze we wrześniu i jakiego odcienia nabierają mury zamkowe w świetle ogniska. Wydaje mi się nawet, że czuję na karku chłodny powiew wiatru od Atlantyku. Odtwarzając wydarzenia sprzed lat, wszystko widzę i czuję. Wypatruję jakiegoś ostrzegawczego znaku, który można było wtedy zauważyć, czy szczegółu, który być może przeoczono. Ale nic takiego nie ma. Widzę jedynie podekscytowany tłum, słyszę tu i ówdzie radosne okrzyki, gdy pojawia się Ella z Alexandrem.

Ale wyprzedzam wypadki, pomijam kolejność wydarzeń. Choćby nie wiem jak bolało, muszę je ten jeden raz skrupulatnie prześledzić. Skoro doszedłem tak daleko w mojej historii, nie wolno mi teraz zawrócić. Powoli, bez emocji muszę odtworzyć przekaz Camilli i uzupełnić go o szczegóły ustalone później przez policję. Przy tylu świadkach zdarzenia śledztwo nie nastroczało trudności, właściwie w ogóle nie stanowiło wyzwania. Ale policjanci przeprowadzili je bardzo starannie. Być może nie byli zbyt lotni, lecz na pewno uczciwie przyłożyli się do pracy. Trudno ich obwiniać o niedopatrzenie. Ja, podobnie jak oni, również nie wykazałem się zbyt głębokim myśleniem. Teraz więc muszę zdobyć się na spokojną, wyważoną relację. I zdobędę się. Przynajmniej tyle jej się należy.

Goście przyjechali do Setonu pomiędzy dziewiętnastą a dziewiętnastą trzydzieści. W sali balowej roznoszono koktajle z szampanem. Tak jak już wspomniałem, wiele osób wyszło na taras. Pół godziny, może czterdzieści pięć minut później, na chwilę przed rozpoczęciem kolacji, Ella wraz z ojcem pojawiła się na balkonie nad nimi, dokąd można się dostać wyłącznie przez oszklone drzwi w Wielkiej Sali. Według zeznań większości obecnych oboje wydawali się pogodni, chociaż ostatnie lata odcisnęły swe piętno na Alexandrze, bo w opinii wielu ludzi, którzy jakiś czas go nie widzieli, znacznie się posunął. Goście zaczęli uciszać się nawzajem, tu i ówdzie rozległy się okrzyki: „Prosimy o mowę!” oraz wiwaty. Ella ubrana w smokingową marynarkę stanęła za ojcem i czułym gestem położyła mu ręce na ramionach. Zza przewyższającego ją wzrostem mężczyzny widać było jedynie jej jasne włosy rozdzielone równiutkim przedziałkiem. Lord Markham zawołał: „Ello, pokaż się! Nie bądź taka nieśmiała”. Ktoś w tłumie wybuchnął śmiechem.

Alexander zaczął przekładać notatki.

I wtedy Ella uniosła z gracją ramiona i gwałtownie opuściła je na szyję Alexandra. On

krzyknął zaskoczony, notatki wyleciały mu z rąk. Kartki poszybowały na taras, parę wpadło w ognisko. Ludzie rzucili się je łapać. Niektórzy goście, stojący na skraju tarasu, gdzie widoczność była ograniczona, zaczęli się śmiać. Lecz ci, co stali w centralnej części, patrzyli w osłupieniu, jak zdumiony Alexander odwrócił się do córki, a ona pochyliła się i błyskawicznym, idealnie odmierzonego ruchem złapała go za nogi w kostkach i wypchnęła za balustradę. Alexander zdołał uchwycić się barierki i na jedną przerażającą chwilę zawisł w powietrzu. Śmiech zamarł ludziom na ustach. Ella przechyliła się nad balustradą, jakby chciała wciągnąć go za tę rękę z powrotem na balkon. Jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie. I wtedy Alexander spadł. Leciał w dół i krzyczał. Jego krzyk ucichł, gdy ciało grzmotnęło taras. Ella zniknęła z balkonu.

Znaleziono ją w sypialni Alexandra, szukała go tam, jakby nigdy nie. Wydawała się zaskoczona widokiem policjantów, a kiedy oznajmili jej, że jest aresztowana, „wpadła w szal zachowywała się jak wariatka”, jak to określił jeden z oficerów na rozprawie. Krzycząc histerycznie, nie pozwalała zakuć się w kajdanki. Wołała ojca i Pamelę, miotała przekleństwa pod adresem Sary, która stała zapłakana w holu. Wreszcie siłą sprowadzono ją na dół i wywleczono z domu, a wszystkiemu przyglądał się tłum zmartwiałych gości.

- Nie wyobrażasz sobie, jakie to było okropne - powiedziała Camilla. - Wyraz jej oczu i to, jak krzyczała. Gdy Sara zwróciła się do policjantów, by traktowali Ellę delikatnie, rzuciła się na nią.

Camilla zaszlochała w słuchawkę.

- Znam ją tyle lat - mówiła, łkając. - Odkąd wróciła z Ameryki. Nie potrafię opisać, jak strasznie było patrzeć na nią. Te jej wrzaski i okropne rzeczy, które wykrzykiwała o Sarze. Włącznie z oskarżaniem jej o zabójstwo. - Camilla wydmuchała nos. - Wtedy zrobiło mi się żal Elli, o ile w ogóle można mówić o żalowaniu kogoś, kto zrobił coś tak ohydneho. Poczulałam litość, gdy spychała winę na Sarę w obecności tych wszystkich ludzi, którzy widzieli całe zdarzenie. Jamie, to było żalosne, naprawdę żalosne.

Słuchałem Camilli z ciężkim sercem.

- Może jednak w gazetach pisali prawdę - zastanawiała się Camilla. - Słyszałeś o obłądnie w jej rodzinie, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- Słyszałeś o tym?

- Tak - odparłem po dłuższym milczeniu. - Tak, słyszałem.

Camilla powiedziała jeszcze, że jej matka dowiedziała się od Pameli, iż w komisariacie w Penzance trzeba było zaaplikować Elli środki uspokajające, bo „kopała i

wrzeszczała jak opętana”.

W trakcie przeszukiwania policjanci znaleźli klucz w kieszeni smokingowej marynarki Elli. Jak się okazało, był to klucz do drzwi Wielkiej Sali, dokładnie taki sam, jak ten, który leżał na swoim miejscu w biurku Cyryla Harcourta. Wezwany na świadka ślusarz z Londynu zeznał, że przed terminem przyjęcia dorobił dla niej dwa takie klucze. Ponieważ drugiego nigdy nie odnaleziono, przyjąłem, że Ella musiała go ukryć albo wyrzucić do morza.

- To było potworne. Słyszeć, jak Alexander krzyczy - mówiła Camilla. - Patrząc, jak go spycha.

Gdy tej nocy kładłem się spać, cały czas dudniły mi w głowie słowa Camilli: *gospycha-gospycha-spycha...*

Następnego ranka cała prasa rozpisywała się o aresztowaniu Elli. Przez dwa miesiące, z wyjątkiem może trzech dni, jej sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet. Taki proces jak Elli nie mógł odbyć się bez rozgłosu. Dziennikarze na podobieństwo stada hien węszyli w poszukiwaniu sensacyjnych szczegółów, bo sprawa Elli doskonale nadawała się do popularnych popołudniówek. Było w niej wszystko, co trzeba - znana osoba, uroda, brutalne zabójstwo. Żadna gazeta nie zrezygnuje z takiej historii. Oczywiście uwagi dziennikarzy nie umknął fakt, że życie dopisało kolejny, efektowny rozdział do - dopiero co opublikowanej przez Sarę - monografii rodziny. Wątek obłądu, mimo swego tragizmu, dodawał całemu wydarzeniu posmaku sensacji, więc walcowano go jak kraj długi i szeroki. Przez wiele tygodni wizerunek filigranowej postaci Elli atakował mnie z billboardów i okładek czasopism. Z czasem moje serce stwardniało, a oczy uodporniły się na widok drobnej twarzy o delikatnych rysach i bladej cerze.

Rozgoryczenie uczyniło mnie bezbronnym wobec dawnych upiórów. Podczas bezsennych nocy znowu słyszałem skrzekliwy śmiech Erica. Ten śmiech dręczył mnie ze wzmożoną siłą, jakby karząc za chęć ucieczki przed konsekwencjami mego czynu. Z niecierpliwością czekałem świtu, bo wtedy śmiech cichł. Niestety, dzień nie przynosił ulgi; przytłaczały mnie kolejne doniesienia z procesu Elli i szkice jej zapadniętej twarzy o zaciśniętych ustach, wykonane podczas rozpraw. Przygarbiony nad kubkiem porannej kawy, czytałem o procesie z czymś w rodzaju chorobliwej fascynacji, współczując jednocześnie rodzinie, do której, niewiele brakowało, bym należał. Znowu samotny, podwójnie odczuwałem izolację. Ponośliem karę za swoją arogancję. Tym razem już nic nie mogło mnie uratować. Byłem rozbity i osamotniony, ponieważ nie miałem do kogo się zwrócić ani komu się zwierzyć. Jak na ironię, moim smutkiem mogłem podzielić się tylko z Ellą lub Erikiem, lecz oni oboje byli dla mnie straceni na zawsze. Nie miałem nikogo na świecie. Mój gniew - a

byłem wściekły na Ellę za to, że mnie oszukała, że nigdy nie była wobec mnie szczerą - stopniowo przeradzał się w rozgoryczenie. W miarę jak śledziłem doniesienia z procesu i wina Elli nie pozostawiała śladu wątpliwości, rosła moja pogarda dla samego siebie. To uczucie miało mi towarzyszyć przez całe życie. O ile w ogóle mogę uznać, że kiedykolwiek wierzyłem w siebie, to śmierć Erica znacznie zachwiała moją wiarą, a tamta jesień i zima, kiedy toczył się proces Elli, zniszczyły ją na zawsze. A miałem wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat.

Oczywiście Ella nie przyznała się do winy.

Z powodu ciężaru zbrodni odmówiono jej wyjścia z więzienia za kaucją, więc jak przeczytałem w gazetach, oskarżona opuszczała celę wyłącznie na czas rozpraw. Ella nie widywała się z nikim prócz swego adwokata. Nie odwiedzała jej ani rodzina, ani znajomi. Co prawda napisała do mnie chaotyczny list, w którym usiłowała się bronić, oskarżając innych. Zaledwie rzuciłem na niego okiem i nie odpisałem. Zdecydowałem, że nie dam się zwieść kolejny raz. Ponieważ nie odpisałem, ona też więcej nie napisała.

Ella niezmiennie zaprzeczała oskarżeniom, a wzrastająca histeria, z jaką wypierała się mimo niezachwianych dowodów winy, nie budziła sympatii ani sędziego, ani ławy przysięgłych. Twierdziła, że o śmierci ojca dowiedziała się od policjantów. I chociaż prokurator powołał na świadków wiele osób, które widziały ją na balkonie, z uporem trwała przy swojej historii, nie zgadzając się na wersję o chwilowej niepoczytalności, o której coraz częściej przebąkiwali komentatorzy sądowi, w miarę jak proces się posuwał.

Camilla słyszała od swojej matki, że Ella zupełnie załamała się w więzieniu i opowiadała brednie o Sarze; o tym, że to ona musiała zabić Alexandra. Lecz Sara w swjej czerwonej sukni była cały czas na oczach ludzi. Z wieloma osobami rozmawiała. Gdy schodziła z tarasu, zjawiała się w holu lub sali balowej, doglądała kelnerów i witała gości w imieniu wuja. Mimo że Sara pojawiała się i znikwała, jej alibi było niepodważalne. Policja przestała je sprawdzać zaledwie po kilku godzinach zadawania uprzejmych pytań, na które padały udzielane przez łży odpowiedzi.

Ella twierdziła, że kiedy ubierała się na przyjęcie, dostała karteczkę od Alexandra z prośbą, by nie mówiąc nic nikomu, przyszła o ósmej do jego pokoju i zaczekała na niego, gdyby go nie było. Wypytywana przez sędziego, wyjaśniła, iż przypuszczała, że ojciec chce przejrzeć z nią mowę powitalną. Ella nie miała dowodu w postaci owej kartki od Alexandra, a zapytana, co mogło się z nią stać, odparła, że ktoś musiał zabrać ją z jej pokoju. Po Elli zeznawał psychiatra sądowy. Jego opinia przesądziła sprawę. Byłem nieco zdumiony, że Ella opowiedziała mu o swojej obsesji dotyczącej Sary. Najwyraźniej usłyszał od niej to samo,

czego ja dowiedziałem się dawno temu w okrągłym pokoju w baszcie. Lecz tym razem jej tak zwana szczerość jeszcze pogorszyła sprawę, a oskarżenia ciskane pod adresem Sary podczas aresztowania oraz, niestety, na jednej z rozpraw cytowano jako dowód nieuleczalnej paranoi, która według orzeczenia lekarza była „tragicznym, aczkolwiek nieuniknionym następstwem wcześniejszych zaburzeń emocjonalnych”. Żaden z powołanych biegłych psychiatrów nie uznał wyjaśnień Elli, iż udawała załamanie nerwowe, aby zerwać niechciane zaręczyny. To, co mówiła mi w Pradze, w sądzie brzmiało naiwnie i nieprzekonywająco. Przeklinałem siebie za łatwowierność; za to, że dałem się nabrać na jej szalone wynurzenia.

Ława przysięgłych najwyraźniej nie miała zamiaru powtórzyć mego błędu.

Upór Elli nie budził sympatii ławników, a adwokat, który w połowie procesu doradzał jej, by przyjęła linię obrony chwilowej niepoczytalności, pod koniec bronił jej bez większego przekonania. Po czternastu dniach rozpraw widać było wyraźnie, że czeka ją maksymalny wyrok. W mowie końcowej sędzia stwierdził, że w swej karierze nie orzekał dotąd w tak potwornej sprawie.

Poszedłem na ogłoszenie wyroku. Tego dnia nie potrafiłem trzymać się z daleka od sądu. Wysłuchałem wyroku i patrzyłem, jak wyprowadzają Ellę z powrotem do więzienia. W przegrzanej sali pełnej widzów widziałem jej bladą twarz oczy w czerwonych obwódkach. Ella wyraźnie wychudła. Nagle odkryłem zaskoczony, że się postarzała. Że nie jest już tamtą dziewczyną z moich marzeń ani nawet tą ze zdjęć w gazetach, tylko przedwcześnie dojrzałą kobietą o twarzy pokrytej zmarszczkami. Kiedy szła chwiejnie pomiędzy dwoma potężnie zbudowanymi policjantami, nie patrzyła na nikogo. Wydawała się nieświadoma obecności rodziny w pierwszym rzędzie ław dla publiczności. Jej znajomi nie przyszli na rozprawę. Cały Londyn z wyjątkiem dziennikarzy umywał ręce, jak gdyby bojąc się splamić znajomością z nią. A ja pomyślałem, kiedy patrzyłem, jak ją wyprowadzają, że dla mnie obraz Elli morderczyni, chociaż bardzo przygnębiający, czyni pewne sprawy łatwiejszymi. W obawie przed dręczącymi mnie wyrzutami sumienia w związku z Erikiem wmawiałem sobie, że skazanie Elli zdjęło ze mnie odpowiedzialność za jego śmierć; że ja także stałem się ofiarą. Mówiłem sobie w duchu, że sam niewinny, zbłądziłem pod wpływem tej umysłowo chorej młodej kobiety. Uznałem, że jej szaleństwo oczyszcza mnie z zarzutów; że mam prawo przerzucić na nią moją część winy. Lecz, niestety, wtedy nie byłem jeszcze tak wprawiony w obłudzie. I choćbym nie wiem, co sobie wmawiał, wiedziałem, że czekają mnie bezsenne noce i ponure dni, a ulgę znajdę wyłącznie w ciężkiej pracy, bo na więcej sobie nie zasłużyłem.

Przed drzwiami prowadzącymi do aresztu Ella zatrzymała się i rozejrzała po sali. W

spojrzeniu jej zaczerwienionych i zamglonych od łez oczu pozostały resztki dawnego magnetyzmu. Obserwowałem, jak powoli przesuwając wzrokiem po twarzach swoich krewnych, jak gdyby chciała nauczyć się ich na pamięć. Zauważyłem, że Pamela odwróciła głowę. Ella powiodła spojrzeniem po dziennikarzach, po publiczności, popatrzyła na Sarę siedzącą pośrodku rodziny, z kasztanowymi włosami opadającymi na klapy płaszcza, i na koniec zatrzymała wzrok na mnie. Wiedziałem, że mnie wypatrywała. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Nie uciekłem od spojrzenia, tego zrobić nie mogłem. Ale nie zdobyłem się również na żaden gest. Nie uśmiechnąłem się ani nie wyszeptalem żadnego serdecznego czy niosącego otuchę słowa. Po prostu ona patrzyła na mnie, a ja na nią.

A potem Ella zdecydowanym ruchem odwróciła się, pozwalając się wyprowadzić.

W strumieniu ludzi opuszczających sąd dostrzegłem Charlesa Stanhope'a. Stał zagubiony w ciżbie z twarzą ściągniętą i nieruchomą jak maska i sprawiał wrażenie, jak gdyby nie wiedział, co ma robić czy dokąd pójść. Ogarnęło mnie współczucie dla niego, gdy dziennikarze potracali go, przepychając się do Pameli. Współczułem mu, ale nie mogłem pomóc, nie potrafiłem nawet spojrzeć mu w twarz. Lawirując więc między mikrofonami i kamerami oraz omijając grupki zmarzniętych turystów kulących się pod parasolami, zbiegłem ze schodów i w nasilającym się deszczu szedłem szybkim krokiem do domu, by jak najprędzej wziąć do rąk skrzypce i szukać ucieczki w muzyce. Uświadomiłem sobie, że jestem samotny jak palec i im prędzej przyjmę to do wiadomości, tym lepiej dla mnie. Owinąłem ciasno szyję szalikiem, bo wiał zimny wiatr, i idąc, walczyłem ze łzami.

Chyba spotkałem ją przy zejściu do metra. Tak, to było tam. Widzę ją, jak stoi przy barierce, długie włosy spływają jej na ramiona, jest blada, trzęsie się z zimna. Zdaje się, odpowiedziałem na jej pozdrowienie. Może uściśnąłem jej rękę, a może pocałowałem ją w policzek. Nie wiem. Nie pamiętam... Mam bardzo mglisty obraz tamtego spotkania, bo przysłoniły je ważniejsze wydarzenia. Nawet wiele lat później rzadko wracaliśmy w rozmowach do naszych pierwszych wspólnych dni. Ja odczytywałem jej milczenie jako oznakę taktownego przyjęcia do wiadomości, że kochałem kogoś innego; jako wyrozumiałość, za którą przecież tak bardzo ją ceniłem. To właśnie powściągliwość pociągała mnie w Sarze i akceptacja faktu, że o pewnych sprawach, oczywistych i wiadomych, po prostu się nie mówi. Ten pogląd uważałem za idiotyczny, kiedy byłem do szaleństwa zakochany w Elli. Teraz jednak, po pięciu ciężkich latach, doszedłem do wniosku, że byłem powierzchowny w moich sądach. Już pierwszego popołudnia intuicyjnie wyczułem, że mogę polegać na rezerwie Sary; że ona oddzieli mnie od świata skuteczniej od wszelkich barier, jakie sam sobie dotąd wymyślałem.

Moja żona, jak miałem się przekonać, potrafiła zachować krzepiące milczenie na temat wszystkich bolesnych spraw. Taktownie nabierając wody w usta, najpierw sprawiła mi ulgę i uwiodła, a potem stopniowo uczyła, jak uspić własny umysł i ciągle podsycać stan błogiej śpiączki.

Lecz znowu wtrącam dygresje, odchodzę od tematu. Zapewne pragnę usprawiedliwić się, zanim przejdę do sedna. Powiniennem już wiedzieć, że prawdę można wyjawić jedynie słowami. Muszę wreszcie przerwać milczenie Sary. Wiem o tym i postanowiłem podjąć się tego zadania. Powraca mi pamięć. Najmniej istotne szczegóły powracają pierwsze. Pamiętam, że kiedy przytuliła mnie na deszczu, jej włosy pachniały szamponem, a na obiad, na który siłą mnie zaciągnęła, jedliśmy żabie udka i steki.

- Nie chcę dzisiaj być sama - oznajmiła, obejmując mnie.

Nie potrafiłem odmówić, a jej podobieństwo do Elli sprawiło, że łyzy dusiły mnie w gardle.

Dałem się więc zaprowadzić do małej francuskiej restauracji, gdzie nadskakujący kelnerzy szeptali między sobą po kątach. Sara opowiadała o tym, co przeżyła w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Jej ogromne, jasne oczy szukały moich, a drżące dłonie zachęcały, by je przytrzymać, kiedy zapalała kolejne papierosy. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to już nie jest ta nieprzystępna osóbką z parku ani chłodna dama z przyjęcia zaręczynowego. W jakimś sensie proces Elli obudził ją. Patrząc na jej łyzy, pomyślałem, że stać ją na uczucia.

Moja żona знаła wiele forteli. Jako osoba wyrafinowana działała dyskretnie i osiągała zamierzony efekt. Ja, mężczyzna, w tej dziedzinie nie byłem dla niej partnerem. Teraz otwarcie się do tego przyznaję. Być może wiedziałem o tym już wtedy. Możliwe, że nawet tego pierwszego dnia dzięki jej mistrzowskim zagranom odnalazłem poczucie bezpieczeństwa. Tego rodzaju poczucie bezpieczeństwa, jakiego tak długo brakowało mi w życiu. Rzeczywiście z miejsca uległem jej urokowi. Zwiódł mnie jej spokojny głos i poruszyły łyzy, których nie potrafiła powstrzymać, kiedy opowiadała mi o rozpaczach Pameli i o swoim smutku. Rozgrzani winem, siedzieliśmy przy narożnym stoliku, a deszcz spływał po obu szybach. Być może podniecało mnie wrażenie (dopiero teraz mogę to wyznać), że dzięki jej osobie odzyskałem Ellę. Przyciąganie się dwojga ludzi jest bardzo zagadkową sprawą; życia nie starcza, by zrozumieć złożoność i siłę tego zjawiska. W wieku siedemdziesięciu lat powiniennem mieć pewną mądrość życiową, a tymczasem okazuje się, że dopiero zaczynam odkrywać siłę i kapryśną naturę przyciągania się płci. W wieku lat dwudziestu pięciu byłem na to za młody. Widzę, że uroda pociąga nas w sposób nie do końca zrozumiały. Kiedy przypatruję się memu życiu, dochodzę do wniosku, że zakochałem się w Elli z powodu jej

fizycznej atrakcyjności; że u podstaw mojej miłości leżała fascynacja jej ciałem i typem urody.

To samo zafascynowanie przyciągało mnie ku Sarze, a ona o tym wiedziała.

Wiedziała i bez wahania wykorzystwała tę wiedzę. To nie jej słowa, lecz ciało przemawiało do mnie. Teraz po tych wszystkich latach intryguje mnie jej wyrachowanie. Ze zdumieniem myślę, jak niby to dzieląc się ze mną smutnymi wspomnieniami, niepostrzeżenie okręciła mnie sobie wokół małego palca.

Kochaliśmy się tego popołudnia, oczywiście Sara z góry wiedziała, że do tego dojdzie.

Jak gdyby przyciągani ku sobie jakąś nieodpartą siłą, wyszliśmy z restauracji, w strugach deszczu złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do mnie. Weszliśmy na poddasze, które kiedyś zaanektowała Ella. Myślę, że wybierając to miejsce, chciałem wypłoszyć duchy przeszłości. To Sara przejęła inicjatywę, to ona pierwsza mnie pocałowała, gdy staliśmy na stopniach przed domem, a ja szukałem kluczy po kieszeniach. A ja dawałem się prowadzić. Nasze zbliżenie, tak inne od miłości z Ellą, przyniosło mi ukojenie, bo to, co było w nim obce, przedziwnie mieszało się z tym, co znajome. Seks z Sarą uspokajał mnie i zarazem podniecał. I wtedy pomyślałem, że może znalazłem ratunek, że nie wszystko zostało stracone.

W tygodniach, które nastąpiły po tamtym popołudniu, mimo niewysłowionej tęsknoty za Ellą, nauczyłem się czerpać radość z widoku smukłego ciała jej kuzynki, z dotyku jej gładkiej, bladej skóry i z jej pocałunków. Przyglądałem się, jak Sara, podobnie jak kiedyś Ella, zapala papierosa pełnym gracji ruchem, patrząc przy tym na mnie swymi wielkimi niebieskimi oczami. Znajdowałem urok w jej braku żywiołowości, cieszyłem się, że niepostrzeżenie przejęła kontrolę nad moim życiem. Potwierdziło się moje przypuszczenie z pierwszego popołudnia: obecność Sary rzeczywiście dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Byłem jej wdzięczny, że uratowała mnie przed samym sobą. Wspólnie spędzane chwile upływały w harmonii i spokoju, a tego przecież od dawna brakowało mi w życiu. Z bezmyślnym uczuciem ulgi zdałem się na jej opanowanie, licząc, że w nim odnajdę upragniony spokój. Uwierzyłem, że w sile jej charakteru znajdę azyl. Chociaż trudno dokładnie odtworzyć tamten czas, a jeszcze trudniej przyznać, że złudzenia przesłoniły rzeczywistość, nie wątpię, iż równowaga Sary uspokoiła mnie. Że ochroniła mnie jej powściągliwość oraz pierwsza lekcja w samooszukiwaniu, jakiej mi nieświadomie udzieliła. To ona pokazała mi drogę do zapomnienia i wciągnęła z powrotem na bezpieczną mieliznę. I za to byłem jej wdzięczny.

W naszą pierwszą noc rozmawiała ze mną o El li. Widzę ją, jak oparta o ścianę, siedzi na łóżku z kołdrą naciągniętą na piersi i paląc papierosa, mówi cicho, stonowanym głosem,

który później tak dobrze poznałem.

- Pewnie wiesz, jak bardzo Ella mnie nienawdziła - zaczęła. W jej spokojnym, beznamiętnym stwierdzeniu nie było pretensji. - Zdaje się, mówiłam ci już o tym, wtedy, w parku.

Obojgu nam stanęło przed oczyma tamto słoneczne popołudnie, kiedy kupiłem jej lody.

- Tak - odparłem, zastanawiając się, ile Sara wie o mnie i o Elli. - Tak, przypominam sobie.

- I na pewno powiedziała ci, że ja też jej nie znoszę.

Nie odpowiedziałem, pochłonięty studiowaniem zarysu jej piersi i drobnego nadgarstka ręki, w której trzymała papierosa. A może raczej ostatej raz zawahałem się przed zdradą zaufania Elli.

- W porządku - rzekła Sara, wyczuwając moją rozterkę. - Nie musisz mówić. Przecież zarzuciła mi prosto w twarz, że zabiłam jej ojca. Nic gorszego nie mogłeś usłyszeć.

- Nie.

Nie drażyła dalej tego tematu. W milczeniu przyglądałem się zarysowi jej nosa, gdy wydmuchnęła dym. Na tle białej ściany jej cera wydawała się bardzo blada.

- Biedna Ella.

- Tak - powiedziałem.

Kiedy pomyślę o współczuciu Sary dla Elli tamtej nocy, trzęsę się z gniewu i płoną mi skronie. Wspomnienie wyrazu jej twarzy i smutnych oczu wpatrzonych we mnie rozwiewa wszelkie wątpliwości. Sara zasłużyła na śmierć. Słusznie postąpiłem, pozbawiając ją życia. Biurokratyczna machina ziemskiej sprawiedliwości nie ukarałaby jej dostatecznie, wtrącając do więzienia. Bóg ją osądzi. On tego dokona. A mnie, staremu, samotnemu człowiekowi, który nie może cofnąć czasu, również pozostało jedynie czekać na Jego sąd. Czekać i rozpamiętywać.

Tamtej nocy, kiedy znalazłem się w łóżku z Sarą, byłem stracony.

Ta świadomość powinna ostudzić emocje, bo już wtedy tkwiłem w pułapce. Wpadłem w sidła Sary tak samo jak Ella, tyle że skutek nie był taki okrutny. Nic nie mogłem zrobić, bo nie byłem godnym Sary przeciwnikiem. Nikt nim nie był. Prowadziła swą grę według zasad, które, w przeciwieństwie do mnie, dobrze znała. Czy zmieniłoby się coś, gdybym z większą ostrożnością podszedł do jej wyrachowanej serdeczności? Czy to samo mogłoby uratować Ellę? Jakie szanse miało którekolwiek z nas w konfrontacji z Sarą? Szczerze mówiąc, żadne. Wstyd mi, lecz muszę to powiedzieć. Moja żona była urodzoną manipulatką. Teraz kiedy

leży martwa i czeka na pochówek, a ja wreszcie wyrwałem się spod jej wpływu, wyraźnie to dostrzegam. W dodatku widzę, że z wielką ostrożnością posługiwała się swoją władzą. Zaatakowała kuzynkę dopiero wtedy, gdy była gotowa. Wykonanie jej planu poprzedziły cztery lata dyskretnych obserwacji. Widzicie, Sara dobrze znała ludzką naturę, mało kto potrafił ją zaskoczyć. Od dawna manipulowała ludźmi. Teraz o tym wiem. Chociaż ta prawda późno do mnie dotarła, wreszcie przejrzałem na oczy. Jeszcze wczoraj nawet nie podejrzewałem, co mi zrobiła. A dzisiaj już to wiem.

Jakie to dziwne, że w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin całe życie może legnąć w gruzach. Aż trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie zawaliły się fundamenty małżeństwa, które trwało czterdzieści pięć lat. Poznanie prawdy może wywołać destrukcję. Rozpamiętując przeszłość, zburzyłem dzieło Sary. I chociaż nie mam ani czego, ani z kim odbudowywać, to przynajmniej uświadomiłem sobie, jaką władzę miała moja żona. Nigdy nie zapominała krzywdy, rzadko wybaczała wrogom, ale za to lojalność nagradzała tak hojnie, że osoba nią obdarowana czuła się dłużnikiem do śmierci. Właśnie takimi metodami posługiwała się Sara. Kiedy tamtej pierwszej nocy słuchałem jej słów, nie byłem świadomy (przysięgam, że nie byłem), jak subtelnie i niezauważalnie, krok po kroku uzależnia mnie od siebie.

- Tak bardzo starałam się pomóc Elli - zwierzała się. - Widziałam, co się z nią dzieje. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałam zapobiec tragedii... Ja... ja... w pewnym sensie czuję się odpowiedzialna za to, co stało się w Setonie. - Kiedy to mówiła, zdaje się, popłynęły jej łzy z oczu.

Pamiętam płacz Sary. Umiała płakać z dużym wdziękiem. Jej łzy sprawiały, że miało się ochotę dotknąć delikatnej skóry pod jej oczyma. Pamiętam, jak ostrożnie ścierałem z policzków te łzy, a ona całowała moje palce.

- Dziękuję - powiedziała, głaszcząc mnie po włosach. - Usiłowałam ostrzec rodzinę - podjęła przerwane opowiadanie. - Ale nikt nie chciał mnie słuchać z wyjątkiem wujka Alexa. On jeden prawidłowo oceniał stan Elli. Wiesz, on wcześniej widział podobne objawy u swojej matki i siostry.

Z ciężkim sercem pokiwałem głową.

- On też chciał pomóc Elli. To właśnie wujek znajdował tych wszystkich lekarzy. Może dlatego ona... - Sarę na moment zawiódł głos. - Lecz Ella nie chciała jego pomocy. Szczerze mówiąc, nie chciała niczyjej pomocy. Zawsze była taka uparta. A kiedy próbowałam zbliżyć się do niej... Nie, nie powtórzę ci, co powiedziała. To zbyt okropne.

- Powiedz - poprosiłem szeptem. I rzeczywiście, jakaś częśćka mojej osoby chciała usłyszeć to najgorsze.

- Nie mogę.

- Powiedz.

Podniosła na mnie niebieskie oczy, w których znowu zakręciły się łzy.

- No, cóż. Jeżeli musisz wiedzieć...

- Powiedz mi - przekonywałem ją łagodnie.

- Zagroziła, że mnie zabije.

Zawiesiła głos, by jej słowa wywarły lepszy efekt.

- Oczywiście, nie potraktowałam tego poważnie - kontynuowała, widząc, że osiągnęła zamierzony cel. - Gdyby mi wtedy przyszło na myśl, że ona mówiła poważnie... może mogłabym jakoś zapobiec... może...

- To nie twoja wina - odparłem jak na zawołanie.

- Ale czuję się odpowiedzialna.

- Nie powinnaś - powiedziałem i w odruchu współczucia przytuliłem ją mocno do siebie.

- Chyba masz rację - odezwała się po chwili. - Nie powinnam. - Wdzięcznym gestem otarła oczy. - W końcu to Ella nigdy nie przyjęła do wiadomości, że ma problem. Wszyscy lekarze po kolei tłumaczyli jej, że zanim można ją będzie wyleczyć, musi zaakceptować swoją chorobę. Nie chciała słuchać. Była taka uparta. I co w takim wypadku mógł zrobić Alexander, Pamela, ja czy ktokolwiek inny?

- Nic - wymruczałem. Starałem się odsunąć od siebie dźwięczące mi w uszach słowa Elli sprzed paru lat, z kawiarni w Pradze. Starałem się zagłuszyć tamto jej pytanie zadane z gorzkim humorem, czy wiem, jak bardzo trzeba być odpornym psychicznie, by przetrwać sesję z wytrawnym psychiatrą.

- Zrobiłaś, co mogłaś - uspokoiłem Sarę, w tej samej chwili postanawiając odciąć się od przeszłości. Nie chciałem żadnych wspomnień.

- Wiem - odparła z namysłem. - Wiem, że nie powinnam się obwiniać. - Oparła głowę o moją pierś. - Jamie, ona była taka zazdrosna o mnie. Tak okropnie zazdrosna.

- Wiem.

- Powiedziała ci?

- Tak.

- A co mówiła?

- Głównie opowiadała o waszej babce.

- A o Selonie?

- Też.

- Nie mogła znieść, że ja lepiej pasuję do tego miejsca. Wiesz, Ella nienawidziła mnie za moją angielskość. Za to, czego jej brakowało, mimo że się tutaj urodziła.

Pominałem jej słowa milczeniem.

- Nie mogła znieść, że ja rozumiem życie na wyspie. Cały czas starała się udowodnić, że potrafi zadbać o nią lepiej ode mnie. A przecież prawie jej nie znała.

- Naprawdę?

- Przyjeżdżała wyłącznie na urodziny i czasami na Boże Narodzenie.

Spojrzałem na Sarę i wtedy z jej oczu popłynęła kolejna porcja łez.

- Odpowiedzialność za Seton bardzo jej ciążyła - opowiadała, zmieniwszy nieco ton. - Przygniatała ją. Wiesz, ona bała się, że sobie nie poradzi.

- Biedna Ella. - Przypomniały mi się ciepłe łzy Elli spływające po mojej szyi, kiedy dawno temu popłakała się w pokoju w wieży, wysoko nad morzem.

- Tak, mnie też było jej żal. - Sara zawahała się. - Może właśnie dlatego na oczach wszystkich zabiła wujka Alexa. Może chciała, by ją złapano. Przynajmniej tak sobie to tłumaczę.

- Dlaczego miałyby tego chcieć?

- Bo w ten sposób uniknęła odpowiedzialności za Seton.

- Nie rozumiem. - Mówiąc to, usłyszałem głos Elli, kiedy wyjaśniała mi, że ani katoliczka, ani rozwódka, ani skazaniec nie ma prawa odziedziczyć zamku.

- W tych okolicznościach nigdy go nie dostanie - odparła cicho kuzynka mojej ukochanej.

- A co będzie, kiedy umrze wuj? Teraz gdy nie ma Alexandra?

Sara uniosła głowę, przybierając odpowiednio posępną minę. Jednak w wyrazie jej dużych niebieskich oczu było coś niepokojącego.

- Przypadnie mnie - rzekła powoli. Teraz przypominam sobie, że wypowiedziała te słowa niemal pieszczotliwie. - Wyspa, zamek, tytuł. Wszystko będzie moje.

- A Ella?

- Ella nic nie dostanie.

Leżeliśmy milcząc. Sara gładziła mnie po plecach.

- Trudno mi uwierzyć, że się tu znalazłam - odezwała się po jakimś czasie.

- Mnie również.

- Cieszysz się, że jestem z tobą?

- Czy się cieszę? - powtórzyłem z namysłem.

Pokiwała głową.

- Bardzo - odpowiedziałem.

- Mówisz to serio?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak serio - odparłem po dłuższym milczeniu.

Przez jakiś czas leżeliśmy w ciszy. Włosy Sary załaskotały mnie w podbródek, więc przesunąłem głowę, a wtedy ona przetoczyła się na bok i popatrzyła na mnie z powagą.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

Zamyśliła się, jakby szukała odpowiednich słów. A kiedy się odezwała, jej głos był rozbijającym delikatny.

- Czy przeraża cię myśl, że Ella była szalona?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Przeraża cię to, prawda? - powtórzyła jakby z naciskiem, ignorując moje pytanie.

Nie odpowiedziałem wprost. Poczułem natomiast, jak do oczu napływają mi łzy, i czerwieniąc się, zawstydzony, pokiwałem głową, mrugając, by powstrzymać płacz.

- W takim razie nigdy więcej nie będziemy o niej myśleć. - Mówiła wolno, a w jej nadal łagodnym tonie zabrzmiała zdecydowana nutka. - Nigdy więcej o niej nie pomyślimy.

A ja, patrząc w twarz Elli, tyle że o oczach niebieskich, a nie zielonych, i być może o nieco wyższym czole, pochyliłem się, by pocałować te usta, których prawie wcale nie znałem, a w których zakochałem się tak dawno temu.

- Nigdy więcej - powiedziałem.

Pół roku później byliśmy małżeństwem.

Wiecie, to dziwne. Naprawdę dziwne, że prawie doszedłem do końca opowieści, a ponad czterdzieści lat z mego życia pozostało nietknięte. Dokładnie czterdzieści pięć lat, bo tyle właśnie trwało nasze małżeństwo. Jak się nad tym zastanowić, to szmat czasu, przynajmniej takie się ma wrażenie. Kawał życia. Przedział wieku, uważany przez wielu ludzi za najlepszy. To niesamowite, lecz jeszcze tydzień, rok, dziesięć lat temu ja też bym tak sądził. I odczuwałbym wdzięczność wobec Sary za szczęśliwe życie. I w pewnym sensie ta wdzięczność jej się należała. Nadal tak uważam, nawet teraz, gdy wiem, czego się dopuściła.

Jeszcze nie wyzbyłem się poczucia wdzięczności dla niej; trudno pozbyć się starych przyzwyczajeń. Według utartych kanonów nasze małżeństwo uchodziło za szczęśliwe, a Sara była idealną i kochającą żoną. Myślę, że bez problemu zapłacę na jej pogrzebie. Łzy same popłyną, gdy w przyszłym tygodniu zajmę moje miejsce w kaplicy, na specjalnym podwyższeniu dla rodziny Harcourtów, ustawionym na prawo od ławek dla wiernych, pod zbutwiałymi sztandarami i pajęczynami rozsnutymi między lukami sklepienia. Tak jak

należy, będę płakał na oczach całej kongregacji z żalu za moją żoną i matką mego dziecka. A w duchu będę ronił łzy nad nami wszystkimi: nad Ellą, Erikiem, Sarą i samym sobą. Przede wszystkim nad sobą. Nie wiem, czy w moim podeszłym wieku wypada przyznawać się do takiego egoizmu, ale zrozumcie, ja jeden z nas wszystkich zostałem i muszę żyć dalej samotny i nie osądzony. Spodziewałem się, że prawda mnie wyzwoli lub przynajmniej odmieni moje życie, tymczasem nic się takiego nie stało. To całe opowiadanie, rozpamiętywanie, wyzwalanie się spod wpływu Sary... jedynie mnie zmęczyło, nic więcej. To był bardzo długi dzień. Z jednej strony chcę do końca prześledzić knowania Sary, by zniszczyć to, co przez lata konsekwentnie budowała, z drugiej odzywa się we mnie tęsknota za bezpieczeństwem, jakie zapewniała mi jej obłuda. Lecz fundamenty jej dzieła zostały wrzuczone, ściany drżą, wzbiera woda. Za daleko doszedłem, żeby teraz zawrócić. Nie mogę jeszcze raz szukać ratunku na bezpiecznej mieliźnie, na której utrzymała mnie dzięki subtelnie i dyskretnie sprawowanej władzy. Muszę przyjrzeć się naszemu małżeństwu. Wiem, że muszę to zrobić. Muszę zobaczyć je na nowo w świetle nowo zdobytej wiedzy. Nie mogę dłużej tkwić w komforcie niepamiętania, jak tego nauczyła mnie Sara.

Lecz co tu jest do wspomniania? Te długie lata wydają się dziwnie pozbawione dramatycznych wydarzeń. Przynajmniej tak je widzę, porównując z okresem sprzed naszego małżeństwa. Sara potrafiła nadawać sprawom pozory, zmniejszać ich ciężar gatunkowy. Myślę, że przerażały ją głębsze doznania, mnie także nauczyła się ich bać. Pracowała nad tym, by usunąć emocje i niepotrzebne wstrząsy z naszego życia. I dopiero teraz widzę, że robiła to po mistrzowsku.

Nie wszystkich jednak uczuć się bała.

Pamiętam moją pierwszą podróż tutaj już jako właściciela. Kiedy, jadąc pociągiem, mijaliśmy wyspę, słońce odbijało się w miedzianych kurkach na dachu zamku. Wtedy Sara z satysfakcją szepnęła do mnie: „Jest nasza wyspa”. Wiem, jak bardzo kochała to miejsce.

Była też zdolna do zaborczej, wręcz obsesyjnej miłości. Swoje uczucie dla domu przetrzymała później na nasze dziecko. Sara miała duszę dziedziczki - potrzebowała następcy. Kiedy urodziła się Maggie, cieszyłem się po cichu, że ma rysy Farrellów. Praprawnuczka Blanche w przeciwieństwie do Elli i Sary w ogóle nie była podobna do swej antenatki. Cieszyło mnie to symboliczne zerwanie z przeszłością.

Sara zasugerowała, by dać córce na imię Margaret na pamiątkę pierwszej hrabiny Seton. Teraz Maggie jest dorosła i ma dzieci. Przyjedzie jutro, pewnie z całą rodziną. Dom.

- A jeżeli nie uda im się podlecieć bliżej, co wtedy? - spytałem.

Sigi wrzucił ramionami.

- Jeżeli nie uda im się nas stąd zabrać, zjedziemy na linie. Może spuszczą kogoś ze szczytu. Może zjedziemy do, jak to będzie po waszemu? *Bügeleisen*?

- Żelazko.

- Właśnie. A tam już sobie poradzimy. Miejmy jednak nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Czekaliśmy. Czas, ten względny wymiar, płatał figle i biegł wielotorowo: czekanie zdawało się nie mieć końca, a cenne godziny dnia uciekały jak szalone. Co się działo? Śmigłowiec, błyskając światłami, niczym wielki owad odleciał w stronę stacji Männlichen, leżącej za przełęczą Kleine Scheidegg. Czyżby zamierzał tankować tam paliwo? Chyba się modliłem, tylko nie bardzo wiedziałem, do kogo. Myślałem też o Jamiem, o Ruth i o Eve. Bardzo jej w tym momencie potrzebowałem. Nie miała z tym wszystkim nic wspólnego, z lekceważeniem odnosiła się do religii wspinaczkowej, a moja wiara gwałtownie słabła.

Sigi znów rozmawiał przez krótkofalówkę, obcując z siłami, które zdolne były mnie wybawić. Helikopter ponownie wystartował. Pamiętam, jak wstąpiła we mnie nadzieja. Miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu.

- Przyleci? - spytałem z uczuciem bliskim ekstazy.

- Możliwe. Wiatr wprawdzie osłabł, lecz mogą zejść chmury.

- Miejmy nadzieję, że nie.

Nie potrafię powiedzieć, czy moje modlitwy zostały wysłuchane, ale wiatr nagle się uspokoił i śmigłowiec podleciał pod ścianę i zawisł nad nami, kołysząc się w powietrzu. Z góry spłynęła fontanna pyłu śnieżnego i kryształków lodu. Otoczył nas hałas wirujących śmigieł i warkot silnika. Sigi krzyknął coś do krótkofalówki. Spuszczono linę, tę cienką nić łączącą życie ze śmiercią. Sigi wychylił się, próbując złapać ją tym swoim śmiesznym kijkiem narciarskim.

- *Lose!* - zawołał. - *Lose!*

Odurzony morfiną i zobojętniały na to, co się wokół dzieje, domyśliłem się jednak, że chce, aby dali więcej luzu. W końcu złapał linę i przyciągnął do nas.

- Wypnij się! - krzyknął do mnie.

Sięgnąłem dłonią do trzymającego mnie karabinka. Jakoś udało mi się go otworzyć i wypiąć. Przez jedną straszną chwilę zostałem bez żadnej asekuracji i zacząłem zsuwać się z półki. Wtedy Sigi przypiął linę do mojej uprzęży.

- *Gehen wir!* - krzyknął. - Jedziemy!

Poczułem szarpnięcie i poleciałem w przepaść, obracając się pod czerwonym brzuchem maszyny. Spoglądałem teraz z góry na moją nędzną małą półkę ze stosem pętli i lin

i stojącym na niej Sigim. Prócz tego kawałka skały i ratownika zostawiłem na tej półce jeszcze coś: moją miłość, w najlepszym wypadku ryzykowną, do wszystkiego, co związane jest z alpinizmem.

Poszybowałem w górę. Półka skurczyła się do rozmiarów plamy w szarej masie skał piętrzących się nad Trawerssem Bogów. W dole widziałem rynny i zleby, wielkie ukośne pęknięcie Rampy, bezimienne urwiska opadające ku szarym piargom zielonym łąkom, na których pasły się krowy. Nie czułem strachu. To była kapitulacja, strach nie ma do niej dostępu. Czerwony spód helikoptera powoli się zbliżał, aż w końcu chwyciły mnie czyjeś ręce i wciągnęły do wibrującego wnętrza kadłuba.

- *Gut?* - spytał ktoś, przekrzykując warkot silnika.

- Okay! - odkrzyknąłem, gdy przenosili mnie na nosze układali nogi. - A co z Sigim?

- Zabierzemy go. A może niech sam zejdzie.

Wybuchnęli śmiechem.

Pamięć w tym miejscu przekazuje jedynie wrażenia dźwiękowe i ruch - unoszą mnie czyjeś ręce, terkoczą śmigła helikoptera. Kilka chwil później znowu słyszę warkot wciągarki w otworze drzwiowym pojawia się uśmiechnięta twarz Sigiego. Krzyczy coś do mnie, lecz nic mogę go zrozumieć. Moja świadomość zarejestrowała jedynie wznoszenie się śmigłowca, opadanie i ciężkie zetknięcie z ziemią. Byłem oszołomiony środkiem przeciwbólowym i czułem się tak, jakby ktoś spuścił ze mnie powietrze. Jacyś ludzie pochylali się nade mną. Wśród nich dostrzegłem twarz Ruth. Mokrą od łez.

- Gdzie jest Jamie? - pytała. - Gdzie jest Jamie?

Słyszałem szum deszczu i wiatru, trzask grzmotu. Potem znów światła i twarze, tupot nóg po betonie, sylwetka odrywającego się od ziemi helikoptera, kołysząca się w podmuchach wiatru, potem stromy zjazd w dolinę, w błogi, narkotyczny sen.

3

Śniły mi się potwory: skrzyżowanie Eigeru i bestii o twarzach Ruth, Jamiego, Eve. Doświadczałem lęku, radości i jako trzeciej w tej trójcy - metamorfozy: strach zmieniał się w radość, ból w ekstazę, ignorancja w wiedzę. Obudziłem się w białym pokoju z widokiem na lesiste zbocza i gęste sine chmury. Deszcz spływał po szybie okiennej, a gdzieś z góry dobiegł gniewny pomruk grzmotu.

- Gdzie ja jestem?

Pielęgniarka uniosła głowę.

- Obudził się pan.

Robiła coś przy mojej stopie przykrytej kocem i leżącej na czymś w rodzaju

rusztowania.

- Gdzie ja jestem?

Odżyły w pamięci fragmenty wspomnień: zimno, szum wiatru, poczucie osamotnienia.

- Jest pan w szpitalu.

- To chyba oczywiste.

- W Interlaken.

Nagle wróciła mi pamięć. Wstrząs był gwałtowny, spotęgowany przez hałas, ruch i strach.

- Gdzie jest mój przyjaciel?

- Przyjaciel?

- Tak. Gdzie on jest?

Wzruszyła ramionami. Przyglądałem się przez chwilę temu, co robi. Przy łóżku niczym wykrzyknik stał stojak z kroplówką rurką, której drugi koniec tkwił w moim ramieniu.

- Co oni mi zrobili?

- Pójdę po lekarza.

- Proszę mi powiedzieć, co oni zrobili. Chcę wiedzieć, co się dzieje,

Wyprostowała się. Była korpulentną dziewczyną, która w innych warunkach pasłaby krowy na jakimś szwajcarskim pastwisku. Zmarszczyła brwi, usiłując złożyć zdanie po angielsku.

- Starali się coś zrobić z pańską nogą i z... - Wzruszyła bezradnie ramionami. - *Zehen*.

- Z czym?

- Z palcami stopy.

- Palcami?

- Odmroził je pan.

Wkrótce zjawił się lekarz, mały, ciemny mężczyzna, który sprawiał wrażenie wielce rozbawionego. Mówił po angielsku całkiem płynnie.

- Mój dzielny prawie zdobywca Eigeru - powitał mnie.

- Co się stało z moim przyjacielem? - spytałem.

- Znaleźli go na zachodniej flance.

- Znaleźli?

- Och, żyje - odparł ze śmiechem, jakby świetnie się bawił. - Był w trakcie schodzenia ze ściany. Założył biwak.

- Biwak?

- Podczas zejścia założył biwak na zachodniej ścianie. Nic mu się nie stało. Jest bardzo dzielny. - Uśmiechnął się. - Tak piszą w gazetach.

Zazdrość opanowała moją duszę niczym robactwo. Przyznaję, że miewam myśli o śmierci, przeżyciu, zemście i karze, wówczas jednak zabrakło mi odwagi, żeby się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

- Boli mnie noga - powiedziałem.

- Odstawiliśmy morfinę. Jeżeli ból się nasili...

Lubiłem morfinę, lubiłem komfort psychiczny i sny.

- Co zaś się tyczy pańskiej stopy - ciągnął doktor - to musimy poczekać. Leczymy ją i zobaczymy, jak się będzie goić. Nie powinien pan teraz palić.

Odsunął koc i kołdrę, by pokazać mi tkwiącą na wyciągu nogę. Była spuchnięta, biała, pokryta pęcherzami, a palce przypominały gnijące warzywa.

- Chryste Panie!

- Nie jest tak źle, jak na to wygląda. Trudno cokolwiek powiedzieć na tym etapie. Całe szczęście, że tak szybko zdjęli pana ze ściany, bo zaraz potem nastąpiło załamanie pogody. Gdyby im się wtedy nie udało, nadal by pan tam tkwił.

- Co będzie z moją stopą?

Wzruszył ramionami.

- Zobaczymy. Najlepszym lekarstwem na odmrożenie jest czas. Miał pan pecha. Złamanie przerwało cyrkulację krwi w stopie. Ale teraz jest pan w dobrych rękach.

- Czy stracę palce?

- To się okaże dopiero za jakiś czas.

- To znaczy kiedy?

- Za kilka tygodni. Może za osiem.

- Dwa miesiące? Rany boskie! A co z moją nogą?

- Och, złamanie nie było groźne. W tej chwili unieruchomiliśmy ją, kiedy jednak spadnie opuchlizna, złożymy ją panu. Potrafimy naprawiać złamane nogi jak dentyści dziurawe zęby.

Żart był wyświechtany. Chirurg powtarzał go pewnie setki, a może tysiące razy każdemu narciarzowi, który lądował w tym szpitalu.

Po południu przyszedł Jamie w towarzystwie Ruth. Twarz miał zniszczoną od słońca i mrozu, czterodniowy zarost i wyraz nieufności i podejrzliwości w oczach. Stanęli oboje w nogach łóżka i zaczęli wypytywać, jak się czuję, wyrażać zadowolenie, że, dzięki Bogu, nic

mi się nie stało, i tym podobne dyrdymały. Poczułem, jak strach wywołany wstrząsem zmienia się w gniew.

- Zostawiłeś mnie, Jamie - powiedziałem. - Ty skurwielu, zostawiłeś mnie na łasce losu!

- Poszedłem po pomoc, Rob. Przecież wiesz o tym.

Nie byłem w stanie zapanować nad swoimi emocjami, podobnie jak dziecko, które wpadnie w histerię. Szalejący we mnie gniew podchodził do gardła i domagał się ujścia.

- Porzuciłeś mnie. Poszedłeś dalej i zostawiłeś mnie.

Pokręcił przecząco głową.

- Nawet nie wiesz, przez co przeszedłem podczas wychodzenia ze ściany. Spieprzyłem zejście. Było już prawie ciemno. Poszedłem za daleko w lewo i utknąłem na szczycie lodowca. A potem dopadła mnie lawina i musiałem biwakować w szczelinie.

Tak jak powiedział Sigi, to Ruth wezwała pomoc. Zobaczyła sześć długich sygnałów świetlnych. Wiedziała, że jest to sygnał wzywania pomocy, bo wspomnieliśmy o tym na odchodnym jakby żartem, jakby nas to nie dotyczyło. Patrzyła właśnie w górę, gdy chmury się rozstały i zobaczyła światło.

- Gdyby cię wtedy nie zdjęli, nadal byś tam tkwił - rzekł Jamie. - Po tygodniu zwieźliby cię w worku. Ruth ocaliła ci życie, Rob.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Dzięki - powiedziałem, nie bardzo wiedząc, co jeszcze mógłbym dodać.

Podeszła bliżej, pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

- Najdroższy - szepnęła.

Z jakichś powodów, których nie potrafiłem sprecyzować, poczułem się dotknięty. Widziałem Ruth stojącą nago nad brzegiem jeziora wśród wzgórz. Trzymałem ją w ramionach. Kochałem ją. Wszystkie te głęboko skrywane emocje zmieniły się nagle w coś innego. Miłość - w nienawiść, wdzięczność w urazę.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, kręcąc się wokół półprawd, niedomówień i nieszczerości. Na koniec umilkliśmy, czując, że więź łącząca naszą trójkę zerwała się jak lina. Moje ocalenie przyczyniło się do tego bardziej niż to głupie rzucanie monetą. Ciekaw byłem, czy Ruth o tym wiedziała, czy Jamie jej powiedział, a może jeszcze powie.

- Przynajmniej Jamie zdobył tę cholerną ścianę - stwierdziłem.

- Ty też byś ją zdobył, Rob. Lawiny nie da się pokonać. Pomyśl, co by się stało, gdyby coś podobnego spotkało mnie tam w górze.

- Zeskrobywaliby cię z piargów na dole.

- Wróciłbym w kilku workach.

Zaśmialiśmy się, lecz w tym śmiechu nie było ani uczucia, ani więzi. Byłem przekonany, że Jamie mnie zostawił, i żadne tłumaczenia do mnie nie trafiały.

Nieco później przyszli w odwiedziny dwaj ratownicy - Sigi pilot helikoptera. Sigi szczerzył zęby jak mały chłopak.

- Mieliśmy szczęście - rzekł. - Nawet nie wiesz, jakie. Ueli już myślał, że nie wróci po nas.

Ueli uśmiechnął się i kiwnął głową.

- *Der Wind* - powiedział. - *Stark, stark*. - I machnął rękami, naśladując dziecko bawiące się w samolot.

- On myślał, że z powodu pogody zostaniemy odcięci - wyjaśnił Sigi. - Wyobrażasz sobie zjeżdżanie na linie w czasie burzy? Z twoją nogą?

Nie chciałem sobie tego wyobrażać. Po ich wyjściu zjawiała się ekipa angielskiej telewizji. Patrzyli na mnie przez czarny obiektyw kamery i zadawali idiotyczne pytania na temat lęku śmierci. Dziennikarz zaczął kusić propozycją zrobienia filmu dokumentalnego o wspinaczce.

- Odpieprz się pan ode mnie z tym filmem dokumentalnym. Ja nawet nie wiem, czy w ogóle będę mógł się wspinać i czy będę chciał to robić.

- Pański kumpel jest tym zainteresowany.

- Nie wątpię.

Jakiś czas później zadzwonił telefon stojący przy łóżku. A może to było następnego dnia. A może jeszcze następnego. Czas przestaje się liczyć, kiedy człowiek leży w sterylnej celi. Podniosłem słuchawkę.

- Chryste, nie mogłam się do ciebie dodzwonić - zabrzmiał mi w uchu znajomy głos. - Jesteś tam? Co z tobą? Wszystkie gazety o was piszą.

Najzabawniejsze było to, że się rozplakałem. Rozplakałem się na sam dźwięk jej głosu.

- Jesteś tam, Rob? Chryste, czyżby znowu coś przerwało połączenie? Robert, jesteś tam?

- Jestem - odparłem. - Jestem cały i zdrow. Mniej więcej.

- A Jamie? Też jest z tobą? A Ruth?

- Chyba pojechali do domu.

- No jasne. Kiedy cię stamtąd wypuszczą?

- Jeszcze nie wiem. Odmroziłem sobie palce u nogi. Mogę je stracić. - Zaśmiałem się

gorzko. - Nic, co by szpeciło, dopóki nie zrzucę z siebie ubrania.

Roześmiała się. Tak bardzo pragnąłem być teraz z nią w Londynie.

- Nie przejmuj się. To nie ma żadnego znaczenia.

Kochałem jej głos, nawet zniekształcony przez łącza telefoniczne. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo kocham ten głos. Miał w sobie szorstkość i chropowatość starego pijaka.

- Eve - wyszeptałem. - Eve.

- Co się stało? Możesz mówić głośniejsze? Chryste, te cholerne łącza.

- Eve, kocham cię.

Zapadła cisza.

- Porozmawiamy o tym później - powiedziała w końcu. - Na razie... - Urwała. Lub połączenie zostało przerwane.

- Eve?

- Wracaj do zdrowia - odezwała się. - Na razie wracaj do zdrowia. Potem zobaczymy.

Od tego dnia zaczęła dzwonić do mnie raz czy dwa razy w tygodniu. Przypuszczam, że telefonowała z domu rodziców. Nie była na tyle głupia, żeby nabijać własny rachunek telefoniczny rozmowami międzynarodowymi.

Pobyty w szpitalu wspominam jako rodzaj czyśćca, w którym ubezpieczał mnie nieznośny ból i pilnowały demony. Bez końca pokonywałem ten ostatni odcinek. Pokonywałem go w myślach i w snach. Może chciałem go wyrzucić z pamięci, lecz ciągłym wspomnianiem tylko go utrzymywałem, aż w końcu nie potrafiłem już oddzielić przeżyć od wspomnień, rzeczywistych faktów od sennych fantazji. Czasami spadałem z zimną lawiną śnieżnych kryształków, czasami to Jamie ściągał linę, i to przez niego odpadałem od ściany, a on śmiał się, gdy leciałem w dół, a potem zmieniał się w Ruth, Ruth w Caroline, która znów stawała się kimś innym, mężczyzną i kobietą, przyjacielem wrogiem.

- Musi pan uzbroić się w cierpliwość - powtarzali lekarze, kiedy pytałem, jak długo będę tu jeszcze tkwił. - Czas to najlepsze lekarstwo - zapewniali. - Przywraca cyrkulację, zmniejsza obrzęk i odbudowuje zniszczoną tkankę. Potrzeba panu więcej cierpliwości.

Nie sądzę, by cierpliwość była cnotą. Na cnoty trzeba sobie zapracować, a do cierpliwości potrzebne jest tylko czekanie. Czekałem sześć tygodni, by w końcu zgodzili się mnie wypisać, ale nawet wówczas zostałem przykuty do wózka jak jakiś starzec. Płytę lotniska pokonałem meleksem i pomimo moich zapewnień, że dam sobie radę, na pokład samolotu wjechałem windą.

W drzwiach czekała na mnie jasnowłosa stewardesa, równie sztuczna jak jedzenie,

które zaserwowano.

- Wypadek na nartach? - spytała, gdy wprowadzono mnie do środka.

- Niezupełnie. Właściwie to odpadłem z północnej ściany Eigeru.

Roześmiała się. Uznała to za żart.

Lot trwał godzinę. Lecieliśmy wysoko nad górami, a na lotnisku Heathrow, wśród krewnych i turystów wracających z Malediwów i Seszeli, czekała na mnie Eve.

Latem tego roku nakręcili film ze wspinaczki na Pendragonie. Dwóch zawieszonych na linach operatorów rejestrowało, jak Jamie pnie się w górę z tą swoją nonszalancką zwinnością i opowiada jednocześnie o wspinaczce. Zrobił sobie nawet przerwę na papierosa w punkcie kulminacyjnym.

- Człowiek, który rzucił wyzwanie przerażającej północnej ścianie Eigeru i wyszedł z tej próby zwycięsko, staje teraz przed kolejnym wyzwaniem - powiedział komentator.

- Widziałeś? - pytali znajomi. - Widziałeś Jima na Pendragonie?

Tak, widziałem. Znów siedziałem na wózku po amputacji trzech palców lewej stopy i oglądałem przedstawienie. Była ze mną Eve, która wpatrywała się w ekran telewizora z napięciem zaciśniętymi wargami, jakby uważała to za coś obraźliwego gdyby trwało to dłużej, napisałaby skargę do swojego posła.

Często ją w tamtych dniach widywałem. Pociągał mnie w niej trzeźwy stosunek do życia. Nie przeraził jej widok dwóch białych kikutów, jakie pozostały po palcach lewej stopy. Sprawiała wrażenie szczęśliwej, nie przeszkadzały jej mój gniew i gorycz. Podawała mi kule, wozila na wózku po szpitalnych korytarzach, przynosiła książki do czytania, karty, układanki, głupie drewniane klocki, z których trzeba było zbudować możliwie najwyższą wieżę. Potrafiliśmy w to grać godzinami. Ten, komu wieża się przewróciła, przegrywał.

- Podobnie jest we wspinaczce - stwierdziła chłodnym tonem. - Nie ma zwycięzców, są tylko przegrani.

Jamie tylko raz wpadł mnie odwiedzić. Nawał pracy, wyjaśnił, jakby chciał się usprawiedliwić. Wciąż kręcił kolejne filmy.

- Mówi się o czymś większym, może o którejś z alpejskich dróg albo o Ameryce Południowej. Szykuje się też międzynarodowa wyprawa na Everest południowo-zachodnią ścianą. Chcą, bym w niej uczestniczył. Myślę, że to jest właśnie to, mały, prawdziwy przełom.

- Jak tam Ruth? - spytałem.

Wzruszył ramionami. W porządku. Przesyła pozdrowienia. Coś mi mówiło, że niezbyt dobrze się między nimi układa.

- Mogłaby mnie czasami odwiedzić.

Jamie kiwnął głową. Przyjrzał mi się z uwagą, jakby chciał mi coś powiedzieć, lecz obawiał się mojej reakcji. Co to mogło być? Że już nie są razem? Kiedy wreszcie zaczął mówić, okazało się, że sprawa jest znacznie prostsza. Powiedział, że mu bardzo przykro z powodu tego, co się stało, z powodu mojej stopy, z powodu wszystkiego.

- To nie twoja wina, Jamie.

- Może i nie, ale cała ta sprawa to cholerny pech. Na szczęście wkrótce wszystko wróci do normalności.

- Lekarze mówią...

- Co mówią?

Wzruszyłem ramionami. Jakże to miało znaczenie?

- Nie da się w pełni przywrócić krążenia w tej stopie. Zawsze będą z nią problemy, zawsze będzie wrażliwa na zimno.

Wyglądał na zmartwionego.

- Przykra sprawa.

Czy rzeczywiście? Problem w tym, że nie potrafiłem óddzielić tego, co się stało, od tego, czego sam chciałem. Nie będę już mógł się wspinać, w każdym razie nie tak jak dawniej. Z drugiej jednak strony nie chciałem się wspinać, już nie. Ten upadek czegoś mnie pozbawił: straciłem poczucie niezniszczalności. A gdy się je utraci, na jego miejsce pojawia się coś nowego: kłopotliwa świadomość, że człowiek jest istotą śmiertelną.

Tak więc Jamie odszedł, by stać się gwiazdą, bohaterem, czyli tym, kim był jego ojciec, ja zaś zostałem z Eve. Wydawała się szczęśliwa ze mną, chociaż ja nie byłem tego wart. Nie miałem pracy, tytułu, palców u jednej stopy, straciłem też chęć do robienia jedynej rzeczy, którą umiałem robić, to znaczy do wyszukiwania najtrudniejszej drogi na skałce po to, by móc ją pokonać. Kiedy wydawało się, że nie mam nic, czemu mógłbym się poświęcić, i jest to wyłącznie moja wina, jedna Eve okazała mi coś w rodzaju przywiązania. Więc przeprowadziłem się do niej po wyjściu ze szpitala. Pracowała wówczas dla jakiegoś lewicującego magazynu. Tematem numer jeden stałą się wtedy wojna w Wietnamie i kampania na rzecz rozbrojenia atomowego, później ekologia, prawa zwierząt i zakaz polowania na lisy. Pewnie byłem dla Eve jedną ze spraw, o które walczyła.

- Zawsze przecież mogę wrócić do domu. Matka by tego chciała.

- I zajmowałbyś się prowadzeniem pensjonatu?

- Hotelu - sprostowałem.

- Oszałałbyś. Już cię widzę w wieku czterdziestu lat: gruby facet zanudzający gości w

barze opowieściami o tym, jak to się kiedyś wspinał i jak omal nie został bohaterem.

- Tam nie ma baru. Prowadzenie baru wymaga koncesji.

- Na pewno byś dostał. Jeżeli mam cię uratować, to musisz zdobyć jakąś pracę tu, w Londynie. Ale co taki gość jak ty mógłby robić? Oczywiście oprócz posuwania matki najlepszego przyjaciela.

Pamiętam twarde spojrzenie jej błękitnych oczu, równie zimne i intensywne jak paski na kurkach od kranu oznaczające zimną wodę.

- Nie udawaj - ostrzegła. - Wiem doskonale. W porządku, zapewne była z niej niezła dupa, miała przecież doświadczenie, ale teraz z tym koniec, rozumiesz?

- Albo?

- Albo ja z tym skończę. - Uśmiechnęła się, lecz w jej oczach nie dostrzegłem wesołości. - Mój ojciec ma znajomego, który chyba mógłby ci pomóc znaleźć pracę... - Powiedziała „ojciec”. Gdyby powiedziała „tata”, pewnie odparłbym, żeby się wypchała. - To może być coś, co cię zainteresuje.

Poszedłem więc na rozmowę. Słowo „poszedłem” kojarzy się z szybkością i sprawnością, tymczasem ja kuśtykałem; dokuśtykałem do taksówki, potem wysiadłem z niej i pokuśtykałem do domu, w którym mieścił się kiedyś magazyn, stojącego na końcu King's Road. Nad drzwiami widniał napis „Galeria Porteus”, a wysokie skromne okna zastąpiono płaskimi szklanymi szybami, pozwalającymi przechodniom zajrzeć do pomalowanego na biało przestronnego wnętrza z dużymi abstrakcyjnymi płótnami. Kiedy weszliśmy do środka, podeszła do nas dziewczyna w krótkiej sukience w geometryczne wzory - bez wątpienia prosto od Courrèges - z krótką fryzurą śmiesznie długimi sztucznymi rzęsami.

- Jestem umówiony z panem Porteusem - wyjaśniłem.

- Zapewne pan Dewar - odezwała się, efektownie przeciągając zgłoski. - Zechce pan pójść tędy? - spytała.

Eve to powiedziała. Nie pamiętam dokładnie, jak to brzmiało, ale mniej więcej tak: „Skoro potrafi tak chodzić, to niepotrzebne mu palce”.

Część szósta

Londyn 1945

1

Londyn przeszedł całkowitą metamorfozę: z prowincjonalnego, kulącego się pod bombami miasta zmienił się w metropolię pełną mundurów, rozbrzmiewającą językami ze wszystkich zakątków ziemi. Wszędzie widać było zniszczenia wojenne - wystarczyło skrócić za róg, by natknąć się na porośnięte chwastami ruiny domu. Bombowce zrobiły już swoje, wraz z nimi spadające bomby i wojna przeniosły się dalej.

Jak się miewa Alan? - pytała w liście Meg. - Przekaż mu pozdrowienia. Jest miły i szczerze Ci oddany. Bardzo się cieszę, że się zaręczyłaś, choć teraz czuję się jak stara panna. Oczywiście żartowałam. Świetnie się bawię i nawet nie myślę o zamążpójściu. Jak to mówią - wychodzisz z Polakiem, a wracasz do domu z Czechem.

Na wszelki wypadek dodała w nawiasie „z czekiem”, gdyby Di nie zrozumiała żartu. Odkąd przeniosła się do Ministerstwa Lotnictwa, nie narzekała na brak rozrywek. Café Royale, Trocadero i tym podobne miejsca. Tego wieczoru wybierała się do Café Élysée.

Poznałam bardzo atrakcyjnego młodego pułkownika (wyobrażasz sobie, by pułkownik mógł mieć trzydzieści lat?), który jest kimś w Służbach Specjalnych. Ciekawe, czy znów stracę cnotę.

Café Élysée mieściło się przy Leicester Square. Do wnętrza prowadziło skromne w ejsie sąsiadujące z kinem z jednej strony i kioskiem z drugiej. Na dole był bar, a na wprost schodów podwójne drzwi, otwierające się ku zaskoczeniu gości na balkon, z którego rozciągał się widok na usytuowaną w dole kawiarnię, przypominającą scenę widzianą z galerii dla publiczności, z połączanymi stolikami, krzesłami z czerwonego pluszu, świeczkami na każdym stoliku i lustrami odbijającymi wewnątrz. Zawsze był tu tłum gości; przeważali mężczyźni w mundurach, którzy niedawno wrócili z Bliskiego Wschodu lub z Europy, gdzie narażali życie i kończyny, w towarzystwie kobiet gotowych zaryzykować co innego.

Pułkownik Tommy, jak go nazywała Meg, bo tak zwracał się do niego kierowca, co uznała za pociągające, uprzedził ją telefonicznie, że się spóźni, i zaproponował, by poszła bez niego. Uznała, że niech ją cholera, jeśli będzie się tym przejmować. Zeszła więc po schodach do stolika zarezerwowanego dla jej znajomych. Nagle jej uwagę przyciągnął mężczyzna siedzący w towarzystwie dwóch mężczyzn i dwóch kobiet. Natychmiast go poznała.

Stanęła. Ktoś z jej znajomych uniósł w górę rękę. Mężczyzna podniósł wzrok. Oczywiście nie poznał jej. Miał wyrazistą, ogorzałą od słońca twarz i wyglądał na bardziej dojrzałego od wielu innych. Nosił mundur Wojskowych Służb Pomocniczych był w randze majora.

- Guy? - spytała Meg.

Wstał. Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego zakłopotania.

- Tak. Obawiam się jednak, że...

- Margaret York. Zupełnie jak z wojny Dwóch Róż. Tak pan wówczas powiedział. Ludzie mówią do mnie Meg, ale ja uważam, że to raczej pasuje do psa.

Podali sobie ręce, lecz widziała, że on nadal jej nie poznaje. Orkiestra weszła właśnie na małe podwyższenie, witana brawami.

- Jestem przyjaciółką Diany Sheridan - wyjaśniła. - Poznaliśmy się w Walii.

Poczerwieniał. Nawet przyćmione światła kawiarni nie były w stanie tego ukryć.

- O mój Boże, faktycznie - rzekł i opadł na krzesło, jakby go popchnęła. - Ma pani z nią jakiś kontakt? Co u niej?

A może przysiądzie się pani do nas i napije czegoś. Pozwoli pani, że przedstawię...

Wymieniła uściski dłoni i krótkie zdawkowe uśmiechy z jego znajomymi. Zamówiła dżin z tonikiem. Guy przystawił jej krzesło. Usiadła, skrzyżowała nogi i popatrzyła na niego z uwagą.

- Nie spodziewałam się, że zobaczę pana w mundurze. Właściwie to w ogóle nie spodziewałam się, że pana spotkam. Ale na pewno nie w mundurze.

Skurczył się pod wpływem jej wzroku.

- Zmieniłem zdanie.

- Co takiego? Dobry Boże, sądziłam, że jest pan stały w poglądach.

- To dowód strasznej słabości, prawda? Gdy jednak wyszła na jaw sprawa z obozami koncentracyjnymi... Kiedy to było? Chyba dwa lata temu. To wystąpienie Edena w parlamencie... przemyślałem wszystko jeszcze raz. - Wzruszył ramionami popatrzył na nią, jakby szukał pomocy. - Wie pani, o co mi chodzi?

Obrzuciła go miazdzącym spojrzeniem.

- Większość ludzi już dawno doszła do tego wniosku.

- Może trochę wolniej myślę. - Zaśmiał się niepewnie. - Tak czy owak potrzebowali kogoś z moimi umiejętnościami do szkolenia ludzi we wspinaczce po skałach, i to właśnie robiłem w północnej Walii. Nazywali to wyczerpującym treningiem. Teraz jednak przenieśli mnie do biura przy Whitehall. Typowe, prawda?

Orkiestra zaczęła grać - jakiś kawałek Benny'ego Goodmana - i kilka par wyszło na parkiet.

- A co u Diany? - spytał. - Jak ona się miewa?

- Nie miał pan od niej żadnych wiadomości?

- Przez jakiś czas pisaliśmy do siebie, lecz ona... nie chciała dłużej korespondować.

Kiedy jednak przyjechałem do Londynu, próbowałem ją znaleźć. Poszedłem nawet pod ten adres, gdzie mieszkała.

- I?

- Nic. W ten dom trafiła bomba. Oczywiście pomyślałem, że Di... Zacząłem pytać sąsiadów, w miejscowym pubie, w sklepie na rogu, w miejscowym oddziale obrony przeciwlotniczej. Wygląda jednak na to, że jedynymi ofiarami byli właściciele tego domu. Pan i pani Wardle czy jakoś tak.

- Warren.

- Znała ich pani?

- Poznałam.

- Oboje zginęli. Zimą zeszłego roku. W dom trafiła bomba V jeden. Odetchnąłem z ulgą, słysząc od pani, że z Di wszystko w porządku.

- O tak, w jak najlepszym - odpowiedziała. Popijając dzin, przyglądała się uważnie Guyowi. Wyglądało na to, że on o niczym nie wie. - Prawdę powiedziawszy, wyszła za męża.

- Wyszła za męża? Dobry Boże!

- Tak. To się zdarza. Mąż Di jest lekarzem. Pracuje w centralnym szpitalu w Liverpoolu, chociaż poznali się tu, w Londynie. Są bardzo szczęśliwi.

Trudno było wyczytać coś z jego twarzy, ale Meg wydało się, że dostrzega w niej odcień nostalgicznego smutku, jakby Guy żałował wielu rzeczy, nie tylko Diany - życia przed wojną, może gór, utraty poglądów pacyfistycznych.

- To wspaniale - powiedział. - Mam nadzieję, że jest szczęśliwa.

Meg rozejrzała się po sali. Z galerii schodzili kolejni goście, a wśród nich jej pułkownik.

- Niestety, muszę już iść.

Guy wstał z krzesła.

- Może spotkalibyśmy się kiedyś?

Zastanawiała się przez chwilę nad tym, co ta znajomość może jej dać, potem otworzyła torebkę, wyjęła pióro i zapisała coś na odwrotnej stronie rachunku.

- Mój numer telefonu. Mieszkam razem z trójką dziewcząt, więc zawsze któraś

odbierze. Jedna z moich współmieszkanek pracuje na nocną zmianę, dlatego lepiej nie dzwonić rano.

A potem, lawirując zgrabnie między stolikami, dołączyła do grupki znajomych i pomachała Tommy'emu, który wydał jej się nagle nieciekawym, pozbawionym ogłady, hałaśliwym facetem. Czowała, że Guy odprowadza ją wzrokiem, sunąc spojrzeniem wzdłuż szwów na pończochach.

Zadzwoił kilka dni później. Poszli do kina, a potem na kolację. Trudno to było nazwać namiętną randką. Guy zachowywał się uprzejmie, lecz z rezerwą, jakby Meg była daleką krewną, a on opiekował się nią z poczucia obowiązku. Przez cały wieczór czowała się zawiedziona, że nie przystawia się do niej, że ma czelność umawiać się z nią i nic poza tym, że Diana przebiła się przez ten mur, który dla niej jest niezniszczalny.

Potem odwiózł Meg do domu taksówką, wysiadł i nawet odprowadził ją pod drzwi, ale podziękował za zaproszenie na kawę, tłumacząc, że powinien wracać, bo jutro musi wczesnie wstać. Wyciągnął rękę, oczekując, że ona poda mu swoją, że uściśnie tę jego cholerną dłoń.

- Nie dostanę nawet całusa? - spytała.

Uśmiechnął się niepewnie, po czym pocałował ją lekko w policzek. Jak brat siostrę - pomyślała. Odwróciła się i weszła do środka, nie oglądając się za siebie. Więcej się z tym cholernym panem Guyem Matthewsonem nie spotka. Wyrzuci go na złomowisko beznadziejnych przypadków.

2

Ślub Diany odbył się wkrótce po dniu zwycięstwa w Europie, zakończeniu wojny na Zachodzie i dwóch dniach wypełnionych radością, śmiechem i włóczęgą bez celu ulicami Londynu. W porównaniu z tymi dniami była to raczej skromna, bezbarwna uroczystość. Oczywiście uczestniczyli w niej wujowie, ciotki i kuzyni, lecz brakowało wielu dawnych przyjaciół. Meg jednak to nie przeszkadzało. Znajomi sprzed wojny to jakby znajomi innej osoby, należącej do innych czasów.

- Jestem zaszczycona, kochanie - powiedziała Meg, gdy Diana poprosiła ją, by została jej druhną. - Nie wiem tylko, czy to właściwy wybór. Czy druha nie powinna być, no wiesz...?

- Nie wiem.

- Panienką, kochanie. *Virgo intacta*. Trudno mnie zaliczyć do tej kategorii. Nie masz jakichś miłych kuzyneczek, skromnych i nudnych aż do mdłości?

- Mnie też trudno zaliczyć do tej kategorii, a będę miała białą suknię.

- No to może lepiej zostanę świadkową - zaproponowała Meg. - Pomyśl, jak to brzmi, jakbym miała ze sto dwadzieścia w biodrach.

Ślubna suknia Di została przerobiona z sukni jej matki, ponieważ racjonowano odzież i nie było mowy o kupieniu nowej. Ale i tak Diana wyglądała w niej ładnie, może tylko trochę *passé*. Alan prezentował się niezwykle uroczyście w szkockim kilcie i czarnej krótkiej marynarce. Wszystkim, którzy chcieli słuchać, opowiadał ze szczegółami o każdej części szkockiego stroju, łącznie z tym, z jakiego materiału uszyta jest spódniczka. Było to dość nudne. I oczywiście nie obeszło się bez kawałów o skórzanych torbach i pytań typu „Co Szkot ma pod kiltem?”, naturalnie nie w obecności pana młodego Państwo młodzi sprawiali wrażenie szczęśliwych i zgodnie z twierdzeniem Di byli szczęśliwi.

- On jest bardzo miły - zapewniała Diana. - Taki opiekuńczy.

Ślub odbył się w kościele we wsi Diany, a przyjęcie w hotelu w Chester. Tę raczej nudną uroczystość, okraszona wodnistym szampanem, zdominowali hałaśliwi wujowie i szczebioczące ciotki. Meg wymknęła się z sali i poszła na górę poszukać Di. Znalazła ją w jednym z pokoi. Stała przed lustrem w bieliźnie, przyciskając do piersi sukienkę, która wyglądała jak bezwładne, krnąbrne dziecko. Diana wydała na nią dwanaście kuponów, lecz szara nijaka wełna nie prezentowała się najlepiej.

- Jest bardzo ładna, kochanie - zapewniła ją Meg. - Wyglądasz w niej bardzo porządnie.

- Problem w tym...

- Jaki problem, kochanie?

- Alan wie, że wcale nie jestem porządna.

- Och, nie bądź głupia. Nie ty jedna miałaś takie kłopoty.

- Ty nie.

- Zapewniam cię, że kilka razy o włos uniknęłam nieszczęścia. Kochanie, nie ma sensu sterczeć tu przed lustrem. Wkładaj tę cholerną sukienkę. A tak na marginesie, spotkałam niedawno twojego starego znajomego - rzuciła obojętnym tonem, jakby ciskała kamień w wodę, by popatrzeć na rozchodzące się fale.

- Kogo? - spytała Di. - Erica?

- Nie bądź głupia, kochanie. Jakim cudem mógłby to być Erie? Przecież trzy lata temu uznano go za zaginionego. Guya Matthewsona.

Diana zbladła. Stała przed lustrem w majtkach uszytych z jedwabiu przeznaczonego na spadochrony - o czym Meg wiedziała, bo pomagała go zdobyć - przyciskając do piersi

sukienkę, i wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Klapnęła ciężko na łóżko.

- O mój Boże! - wyszeptała.

- Kochanie, co się stało?

Diana pokręciła głową.

- Tylko nic nie mów. Alanowi oczywiście. Ani słowa o Guyu.

- Ależ, kochanie, dlaczego miałabym mówić?

- Ani słowa, rozumiesz?

- Oczywiście, że nie powiem.

- Alan był taki wyrozumiały...

- Oczywiście.

- Ale...

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła matka Diany, która szukała córki, zastanawiając się, co ją zatrzymało czy dobrze się czuje.

- Chyba nie denerwujesz się przed nocą poślubną?

- Daj spokój, mam. Jestem tylko podekscytowana.

- A więc pospiesz się, na Boga.

Diana zaczekała, aż matka wyjdzie, po czym zaczęła krzątać się nerwowo wokół siebie: chwyciła sukienkę, wygładziła kapek, przesunęła dłonią po pończochach, sprawdzając, czy nie poszło jej oczko.

- Co u niego? - spytała.

- U Guya? Nigdy byś nie zgadła.

Diana nie potrafiła ukryć zaciekawienia.

- Czego bym nie zgadła?

- Te jego pacyfistyczne poglądy to już przeszłość. Włożył mundur tak jak inni.

Chciałam cię spytać...

- O co?

- Czy nie masz nic przeciwko temu...

- Przeciwko czemu?

- Zaproponował mi spotkanie.

Diana przełknęła ślinę. Poczowała, że kręci jej się w głowie z gorąca, z nerwowego napięcia.

- Daj spokój, kochanie. Przecież nie masz do niego żadnych praw.

- Rzeczywiście - przyznała Diana. - Żadnych praw.

- Ty chyba nie...

- Co ja chyba nie, Meg?

- Chyba to nie była żadna wielka miłość. Jedyne weekendowa znajomość, która źle się skończyła.

Diana utkwiała w niej wzrok. Meg dostrzegła w spojrzeniu przyjaciółki strach, zdumienie i coś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać, a co uznała za cokolwiek przerażające.

- Aleja go kochałam, Meg. Naprawdę kochałam.

- Nie bądź głupia.

- Kochałam - powtórzyła Diana. - Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna w życiu.

To zdumiewające, ale ona wcale nie miała zamiaru się rozplakać. Była twarda. Może to przez te naloty. Odetchnęła głęboko i wstała. Straszna chwila słabości minęła. Diana włożyła sukienkę, podciągnęła ją do bioder i wsunęła ręce w rękawy.

- Zapniesz mi guziki, kochanie?

Wygładziła materiał na biodrach, gdzie się trochę marszczył, podciągnęła rękawy do ramion i uśmiechnęła się do odbicia Meg w lustrze.

Meg zapinała przez chwilę guziki.

- Więc wolałabyś, żebym mu odmówiła? - spytała.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Ale pomyślałaś.

- No dobrze, pomyślałam.

- Czy nie zachowujesz się przypadkiem jak pies ogrodnika?

- To nie ja zachowuję się jak pies ogrodnika - odparowała Diana.

- Więc kto?

Zapadła cisza. Diana patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Jak długo można trzymać kogoś w niepewności?

- Jego żona - odpowiedziała w końcu.

Oczy Meg zrobiły się okrągłe, a twarz wykrzywił lekki grymas, nad którym pospiesznie usiłowała zapanować.

- Jego żona?

- Tak, kochanie, jego żona. To ktoś taki jak ja, kto zawiera z mężczyzną związek małżeński, co ciebie, zdaje się, nie interesuje.

Meg nie zwróciła uwagi na złośliwy przytyk.

- Mój Boże, ten drań nie zająknął się nawet słówkiem.

3

Kilka dni później zadzwonił ponownie. Czy mógłby rozmawiać z oficer York?

Zdenerwowała ją pewność siebie brzmiąca w jego głosie.

- Tak, słucham - odparła cierpko.
- Mówi Guy.
- Wiem.
- Skąd wiesz?
- Rozpoznałam po skruszonym i nieszczerym tonie głosu.

Z przyjemnością słuchała, jak Guy się śmieje. Wybierał się na mecz krykieta w Lord's. Pomyślał, że może chciałaby pójść. A jeśli to dla niej zbyt nudne? Dochód z meczu przeznaczony jest na Czerwony Krzyż. Nazwali go Meczem Zwycięstwa. Co ona na to?

Co ona na to? Przez chwilę zastanawiała się, czy mu nie odmówić, czy nie palnąć czegoś niegodnego damy, na przykład: „Odpieprz się, panie Matthewson, rozkochałeś w sobie dziewczynę, uwiodłeś ją, zaszła z tobą w ciążę, a wszystko nieświadomie i pomimo faktu, że jesteś żonaty”. Jednak zamiast tego powiedziała: „Dobrze”. Nic więcej. Nic, co pokazałoby, że O11 wzbudza w niej jakieś uczucia, choćby gniew i coś bardziej nieokreślonego - pożądanie, które falami przepływało przez jej ciało, rozpaczliwe pragnienie, do którego nie śmiała się przyznać nawet przed sobą, a które ogniskowało się gdzieś w dole brzucha. Tak więc umówili się przed wejściem na boisko, a wówczas okazało się (co nie było wielkim zaskoczeniem), że Guy poprowadził ją do wejścia dla członków klubu, że miał na sobie szkaradny, pomarańczowo-żółty krawat klubowy, a gospodarze zwracali się do niego po imieniu.

Przyszło wielu widzów chętnych do obejrzenia czegoś tak spokojnego jak mecz krykieta po burzliwych latach wojny. Meg i Guy siedzieli w promieniach wiosennego słońca, przyglądając się biegającym po boisku, ubranym na biało postaciom. Popatrzyła na tablicę wyników i poprosiła, by wytłumaczył jej zasady gry.

- Ty też mi coś wytłumacz - powiedział. Najwyraźniej czekał z tym pytaniem na właściwy moment. - Dlaczego sądzisz, że jestem skruszony i nieszczerzy?

- Bo masz ku temu powody.
- Chodzi o Dianę?
- Może. - Droczenie się z nim sprawiało jej przyjemność.
- Czy ona wie o nas?
- Niby co takiego?
- Że się spotykamy.
- A spotykamy się?
- Anie?

Na boisku ktoś coś zrobił, trafił do bramki, zdobył pięćdziesiąt punktów, w każdym razie coś, co wywołało aplauz publiczności. Nawet Guy zaczął klaskać.

- Bravo! - krzyknął, po czym spojrzał na Meg. - Nie bardzo wiem, co mam o tym myśleć. Mam wrażenie, że ty wiesz o czymś...

- O czym nie powinnam?

- Może.

- Na przykład to, że zaciągnęłaś Dianę do łóżka po dwudziestu czterech godzinach znajomości.

Rozejrzał się nerwowo wokół siebie, czy nikt tego nie słyszał.

- Skoro w ten sposób to określasz.

- A można inaczej? Jesteśmy teraz starsi i mądrzejsi. Przez tych kilka ostatnich lat wskakiwaliśmy i wyskakiwaliśmy z czyichś łóżek. Po co owijać w bawełnę?

- Może ty - odparł. - Nie sądzą, by dotyczyło to wszystkich członków klubu krykietowego. - Milczał przez chwilę. - To był dla mnie wyjątkowo trudny czas.

- Dla Diany również.

- No, ale wszystko się ułożyło. Przynajmniej dla niej.

Nie ulegało wątpliwości, że Guy o niczym nie wie. Niewiarygodne. Diana nic mu nie powiedziała. Meg zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna zburzyć tego jego samozadowolenia i właśnie tu i teraz, w obecności tej szacownej publiczności szacownego klubu, opowiedzieć mu o usunięciu dziecka.

- Ale dla ciebie nie? - spytała.

Pokręcił przecząco głową i popatrzył na boisko.

- Dla mnie nie.

Bramka musiała się przewrócić, bo nastąpiła zmiana pałkarza.

- To Edrich - wyjaśnił Guy. - Bill Edrich. Brzmi z niemiecka, prawda?

Na widowni zaległa cisza, gdy zawodnik rzucający piłkę pobiegł w stronę bramki. Piłka zatoczyła łuk, pałkarz błyskawicznie ją odbił, wyrzucając poza linię, nadbiegli gracze z pola, pałkarz przeciął im drogę i piłka wróciła do rzucającego.

- Jest dowódcą szwadronu - powiedział Guy. - Pilotem bombowca.

- Kto?

- Edrich.

- Nie rozmawiamy o Edrichu - odparła Meg - tylko o tobie i może o mnie.

Skinął głową, oparł łokcie na kolanach i podłożył ręce pod brodę. Pałkarz nazwiskiem Edrich znowu przykucnął przy kresce, czekając cierpliwie na następną piłkę. Nadbiegł

rzucający i tym razem pałkarz zakołysał się na stopach i odbił mocno piłkę poza linię punktową. Wywołało to kolejny aplauz publiczności.

- Prawdopodobnie wejdę w skład Sojuszniczej Komisji Zwierzchniczej, którą właśnie kompletują - poinformował ją Guy. -1 pewnie pojedę do Niemiec.

- Do Niemiec?

Wzruszył ramionami.

- Ze względu na moją znajomość niemieckiego. Uznali, że to bardziej użyteczne niż umiejętność wspinania się po górach. Teraz nawet to się skończyło.

- Znasz niemiecki?

Skinął głową.

- Diana ci nie powiedziała?

- Że znasz niemiecki?

Popatrzył na nią, zaskoczony.

- Nie, Meg. Że jestem żonaty. Że mam żonę i córkę, że są Niemkami. Przynajmniej miałem żonę i córkę - dodał po chwili. - Nie wiem, co się z nimi dzieje. Nie miałem o nich żadnych wiadomości od trzydziestego dziewiątego. Nie wiem nawet, czy żyją.

Meg wzruszyła ramionami.

- Takich historii jest teraz całe mnóstwo.

- Co o tym myślisz?

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Sądziłem, że to mogłoby cię zniechęcić. Sądziłem, że dlatego jesteś taka... wroga.

Meg zaśmiała się.

- Chyba pomyliłeś wrogość z nieufnością.

- Nie ufasz mi?

- Nie ufam żonatemu facetowi, który umawia się z dziewczyną, nie wspominając, że ma żonę.

- Myślałem, że wiesz...

- Podejrzewam również, że nadal ją kochasz.

Czyżby wyglądał na zaskoczonego?

- Kogo?

- Twoją żoneczkę, oczywiście.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Wątpię. Może kocham wspomnienie o niej, nie wydaje mi się, bym nadal ją kochał.

Już nie.

- A twoją córkę?

Wyraz jego twarzy się zmienił. Pod powłoką zewnętrznego spokoju krył się ból, jak drzazga tkwiąca w ciele.

- Nie widziałem twojej słonecznej twarzy i nie słyszałem twojego srebrzystego śmiechu - powiedział cicho.

- Co to ma być?

- *Co Alicja widziała po drugiej stronie lustra.* - Popatrzył na nią i uśmiechnął się z trudem. - Dalej idzie tak... - Urwał i przeniósł spojrzenie na boisko. - Przepraszam. Robię się sentymentalny.

- Nie, powiedz.

Chwilę zmagał się z głosem, jak ktoś, kto próbuje nastroić instrument. Odchrząknął, zawahał się i zaczął od nowa.

- Żadna moja myśl nie znajdzie miejsca w twoim pośmiertnym życiu. Tak to brzmi.

- Jakie to smutne. Ale odnajdziesz ją, więc te słowa nie będą miały zastosowania.

- Możliwe - odparł bez przekonania. - Usiłowałem się czegoś dowiedzieć. Nie wiem, kiedy otrzymam jakieś wiadomości.

Oglądali mecz przez następną godzinę, do momentu gdy gracze poszli na herbatę.

- Idziemy? - zapytał. - Na pewno znudziła cię ta gra.

- Chodźmy do mnie - zaproponowała.

Złapali więc autobus jadący Edgware Road i wysiedli przy Sussex Gardens. Mieszkanie Meg mieściło się parę kroków dalej, w nowoczesnym budynku z czerwonej cegły, z fasadą zniszczoną przez odłamki bomby, która spadła po drugiej stronie ulicy. Weszli przez oszklone drzwi, niezabite już deskami i zaskakująco przejrzyste, do bezbarwnego hallu i wjechali windą na górę. Przepraszając za bałagan, Meg wprowadziła Guya do mieszkania. Usiedli, skrzepowani, na wytartej kanapie, gdy tymczasem jedna z jej współlokatorek, ta która pracowała nocami, chodziła tam i z powrotem do łazienki, przez cały czas narzekając na racjonowanie, ograniczenia, niedogodności jazdy metrem i całe mnóstwo innych rzeczy, co wywoływało uśmiech na twarzy Guya i gniewny grymas Meg. Kiedy dziewczyna w końcu wyszła, wybuchnęli śmiechem, dając upust zniecierpliwieniu, jakie wywołała w nich postrzelona i roztrzepana dziewczyna. I jak to zwykle bywa, śmiech zburzył dzielący ich mur. Guy dotknął ramienia Meg, a ona pozwoliła, by ją pocałował (z niezwyklej delikatnością). W tej samej jednak chwili ku własnemu zaskoczeniu odsunęła się od niego, kładąc mu rękę na piersi.

- Nie - powiedziała, kręcąc przecząco głową, nie bardzo wiedząc, czemu się

sprzeciwia.

Robiła to z tuzinem innych mężczyzn, to i znacznie więcej, czasami z nieprzyzwoitym gorączkowym pośpiechem, czasami zaś ze strasznym, rozkwitającym w niej pożądaniem. Jednak tym razem pokręciła głową i odwróciła się od niego.

- Nie, Guy, nie teraz.

Wstała, by zebrać filiżanki, nastawić wodę na herbatę i zmyć naczynia, swoje i te pozostawione przez współlokatorkę.

- Nie wiem, Guy - powiedziała, gdy poszedł za nią do kuchni. - Tylko że...

- Tylko że co?

- Tylko że ty jesteś żonaty i jakoś nie jest mi to obojętne.

Dziwne, bo dotąd było.

4

Kilka tygodni później otrzymał list, który przeszedł przez kręte kanały maszyny wojskowej, sprawującej teraz władzę na gruzach Niemiec. Kopertę osteplowano urzędowymi pieczęciami, w tym cenzorską z niebieskimi literami, i nieczytelnym podpisem jakiegoś kapitana. Guy zatelefonował do Meg do pracy. W jego głosie brzmiała niepewność, jakby nie bardzo wiedział, co ma z nim zrobić, jakby przechodził właśnie mutację.

- O co chodzi, Guy? - spytała. - Co się stało?

- Właśnie dowiedziałem się o Grecie i Lotti. - Odkaslnął, a może odchrząknął. -

Przepraszam - powiedział. - Właśnie otrzymałem list od ojca Grety.

- I co?

- One...

Zapadła cisza.

- Guy, jesteś tam?

Zaległa cisza, taka jak wtedy, gdy połączenie zostaje przerwane i ma się wrażenie, że rozmówcy w ogóle nie ma.

- Guy?

- Nie żyją - wyszeptał. - Zginęły w zeszłym roku podczas nalotu.

- Spotkajmy się - zaproponowała. - Możesz?

- Chyba uda mi się wyrwać.

- Na pewno. Przecież wojna się już skończyła. Spotkajmy się przed wartownią Horse Guards Parade za dziesięć minut.

Czekał już na nią, kiedy tam dotarła. Wartownicy wciąż mieli na sobie polowe mundury, ale w środku stała ciężarówka i zniknęły worki z piaskiem, leżące wokół budynku

przez ostatnie pięć i pół roku. Wszystko się zmieniało i kraj zaczynał swobodniej oddychać. Pomachała Guyowi i przeszła na drugą stronę. Znalazłszy się przy nim, ujęła go za rękę, stanęła na palcach i cmoknęła w policzek.

- Kochany - szepnęła. - Tak mi przykro.

Przeszli przez bramę do parku St. James's. Dzień był ciepły. Na trawie siedzieli ludzie, tak jak niegdyś w czasie pokoju. Teraz też nastał czas pokoju, chociaż wciąż dominowały sprawy wojskowe. Na scenie występował jakiś wojskowy zespół, matki pchały wózki z dziećmi i Meg poczuła się nagle dziwnie szczęśliwa. Ścisnęła Guya mocno za rękę, jakby w ten sposób chciała go pocieszyć.

- Nie było ich w mieście - powiedział. - Najwidoczniej pojechały do krewnych na wsi, gdzieś na południe od Frankfurtu. Dla bezpieczeństwa - dodał tytułem wyjaśnienia i dla podkreślenia ironii tego faktu. - Nastąpiła jakaś pomyłka, jakiś cholerny pathfinder zrzucił rakietę w złym miejscu i miasteczko zostało zbombardowane. Zmiecione z powierzchni ziemi. Pięćset bombowców czy coś koło tego, wszystkie poleciały nad Frankfurt i wszystkie zrzuciły bomby nie tam, gdzie trzeba.

Szli dalej. Zespół grał *Land of Hope and Glory* i ktoś ze słuchających zaczął bić brawo.

- Kurwa mać! - zaklął stłumionym głosem Guy. Te słowa w jego ustach były czymś nie na miejscu, czymś bardziej niestosownym, niż gdyby wyszły z ust Meg. - Pieprzyć to wszystko.

Powiedział to na tyle głośno, że przechodnie go usłyszeli.

Jakaś kobieta spojrzała na niego zaskoczona i mruknęła coś do swego towarzysza. Pewnie „szok pourazowy” albo „socjalista”, a może „jacy to ludzie noszą dziś oficerskie mundury”.

- Przepraszam - zwrócił się do Meg, kiedy kobieta się oddaliła.

- Nie szkodzi.

- Przecież tu chodzi o Lotti, moją córkę. I o Gretę w pewnym sensie. Ale Lotti...

- Oczywiście. - Co można rzec komuś pogrążonemu w smutku? Ostatnio tyle było ku temu okazji, a jednak nikomu nie udało się wymyślić właściwych słów.

- Biedna mała Lotti. Tak właśnie powiedziałem w czasie meczu.

- Mecz?

- Krykieta. Ten cytat z Alicji.

- Nigdy nie lubiłam tych książek o Alicji - stwierdziła Meg.

Przeszli na drugą stronę alei The Mail. Stojący przed pałacem Buckingham ludzie

mieli nadzieję, że zobaczą kogoś z członków rodziny królewskiej. Stąd również zniknęły worki z piaskiem.

- Czas jest na to jedynym lekarstwem. Potrzebujesz czasu, Guy. On leczy wszystkie rany.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Ale my nie mamy czasu. Musisz przecież wracać do pracy.

To był żart, więc roześmiała się zachęcająco.

- Mam całe mnóstwo czasu. Oznajmiłam mojemu dowódcy, że biorę dzień wolny, a O11 zawsze się ze mną zgadza.

- Jak ci się to udaje?

- Nie idę z nim do łóżka.

Prawie cały czas szli parkami. Najpierw St. James's, potem Green Park, wreszcie znaleźli się w Hyde Parku. Na Rotten Row spotkali kilku jeźdźców na koniach, a po Serpentine, sztucznym jeziorze, pływało kilka łódek. W Speaker's Corner jak zwykle było pełno mówców; ktoś opowiadał o głodzie w Indiach i o rozbiórce Imperium Brytyjskiego; ktoś inny głosił koniec świata; mężczyzna bez ręki malował wizję przyszłej Europy i przekonywał, że czas zrzucić jarzmo kapitalizmu. Bramę Marble Arch zdobiły flagi Zjednoczonego Królestwa, lecz w mieście nie czuło się już tej dumy z własnego kraju. Przyszłość niosła ze sobą zbyt wiele niewiadomych i rewolucja wisiała w powietrzu.

- Co zamierzasz robić? - spytała Meg, gdy minęli Bayswater Road, po raz pierwszy czując chodnik pod stopami. - Kiedy zostaniesz zdemobilizowany.

- Pewnie wrócę do rodzinnego interesu. Buty. Niestety, nie jest to najlepszy czas na szycie butów, ale jakoś dajemy sobie radę.

- Szyliście buty dla wojska?

Roześmiał się.

- Tak. Teraz jednak spadł na nie popyt. - Umilkł. - Chciałbym też wrócić do wspinaczki, zanim będzie za późno.

Meg zadrżała, jakby nagle w ten słoneczny dzień zrobiło jej się zimno.

- Chyba nienawidzę gór.

- Przecież wtedy byłeś tam, w północnej Walii.

- Wtedy... wtedy byłam inną osobą w innym miejscu. Od tego czasu wiele się zdarzyło.

Znaleźli się nagle przed jej mieszkaniem. Nie planowali tego, choć taki był kierunek ich spaceru.

- Jest tam kto?! - zawołała Meg po otwarciu drzwi.

Nie doczekała się odpowiedzi. W pustym salonie grało radio. Właśnie mówili o nowej bombie, którą zrzucono na Japonię. Nazwali ją atomową. Rozbili atom, rozbijają więc świat.

- Kiedy ta Deidre wreszcie się nauczy? - powiedziała Meg i wyłączyła radio.

Obejrzała się na Guya. Wyglądał jak uosobienie smutku, stojąc pośrodku przeładowanego salonu. Nie pasował do szarych, bezbarwnych mebli, zniszczonej sofy i wielkich foteli.

- Napijesz się czegoś? Herbaty? Może whisky albo dżinu? Mamy tego pełno. Pewien mój znajomy z Ministerstwa Żywności...

Wyrzucała z siebie zdania w nerwowym pośpiechu.

Guy wzruszył ramionami.

Podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach, stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Nie poruszył się, nie oddał pocałunku. Odsunęła się i uśmiechnęła figlarnie.

- Nie powinnam tego robić? - spytała.

Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał odpowiednich słów wśród porozrzucanych tanich magazynów i poduszek.

- Przepraszam. Jestem jakiś... rozkojarzony i zakłopotany.

I nagle się rozplakał. Wodził wzrokiem po pokoju, szukając słów, i płakał, a Meg objęła go niezdarnie, jakby chciała powstrzymać przed zrobieniem sobie krzywdy.

Popołudnie zmieniło się w wieczór. Przez okna do pokoju wpadały promienie słońca, znacząc porozrzucane części garderoby, splątane nogi, pomarszczone twarze i zmrużone od blasku oczy. Rozmawiali niezbyt dużo, ale o przyszłości, o dziwacznych, szalonych marzeniach, górach i lodowcach. Guy pojedzie w Alpy i Himalaje, kupią dom w Walii, doczekają się dzieci. Znowu zaczną żyć, nie w tym więzieniu, w którym tkwił od tak dawna. Jej gorące, wilgotne ciało dało mu nadzieję. A on dał jej nadzieję, że znajdzie wreszcie zadowolenie i przestanie gonić za czymś nieuchwytnym. Meg nigdy nie była równie optymistycznie nastawiona do życia, jak w tej chwili.

- Kochanie - powiedziała, ujmując go w sposób, w jaki Greta nigdy tego nie robiła. - Chciałbyś to zrobić jeszcze raz?

Pobrali się następnego roku na wiosnę. Uroczystość odbyła się w urzędzie stanu cywilnego w Kensington, gdzie znaleźli również mieszkanie. Diana obiecała, że przyjedzie z Liverpoolu, lecz w ostatniej chwili musiała zrezygnować z powodu jakichś rodzinnych problemów w Szkocji. Przesłała jedynie telegram: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO NA NOWEJ DRODZE ŻYCIA STOP UCAŁOWANIA DI ALAN. Uroczystość miała w sobie

coś z absurdu, bo urzędnik stanu cywilnego usiłował zrobić z niej obrzęd religijny. „Małżeństwo to związek zawierany w obecności przyjaciół, krewnych i państwa, którego jestem przedstawicielem”. Na przyjęcie weselne, z udziałem matki Guya, starej i kruchej, i nieprzychylnie nastawionej do Meg, przybyło pół tuzina jego kolegów wspinaczy, członków Alpine Club, nad którymi unosił się duch Harrisa Tweeda. Nie zabrakło również znajomych z pracy. Pułkownik Tommy za dużo wypił i powiedział Guyowi, że jest pieprzonym szczęściarzem, bo udało mu się zdobyć Meg, i skończonym kutasem, bo mu ją zabrał. Spytał Guya, czy wie, że ona potrafi robić wspaniałe rzeczy ustami i dłońmi.

- O tak.

Ułożył wargi w literę O i ścisnął je palcami, wydając jednocześnie nieartykułowane dźwięki jak małe dziecko. Potem, śmiejąc się, zapytał, czy Guy nie był kiedyś przeciwnikiem służby wojskowej. Pan młody zeszytniał.

- Szczerze mówiąc, tak - odparł.

- Spictrałeś się, co? Cholerny tchórz.

W tym momencie jak spod ziemi wyrosła Meg.

- Tommy, jesteś pijany - powiedziała, odciągając Guya na bok. - Kiedy spadały rakiety V jeden, Tommy siedział w schronie pod ministerstwem. Twierdził, że miało to coś wspólnego z tajnymi planami. Nie wiem, co O11 tam robił, ale w portki na pewno.

Po przyjęciu nowożeńcy wsiedli do starego riley'a Guya z napisem wymalowanym na bagażniku kremem do golenia: „Alpinista z kamieniem u szyi”, i mszyli w podróż, pobrzękując przywiązany do błotnika puszkami. Zatrzymali się po drodze, by zdjąć dekoracje, i pojechali do Oksfordu, gdzie spędzili noc w Mitre. Następnego dnia kontynuowali podróż drogą A5 prowadzącą do Walii.

- W pewne wyjątkowe miejsce - wyjaśnił Guy, gdy Meg spytała, dokąd jadą. - Gdzieś, gdzie na pewno jeszcze nie byłaś.

I miał rację. Rzeczywiście tam nie była, nawet nie wyobrażała sobie, że takie miejsce może istnieć w szarej, nudnej Walii. Ujrzała bowiem dziwną, małą nadmorską miejscowość z kolonią domków na cyplu, przyklejonych do klifów i zwróconych frontem w kierunku ujścia rzeki. Meg pomyślała, że przypomina to wybrzeże Amalii we Włoszech, mimo że nigdy go nie widziała. Były tu domki pomalowane na różowo i żółto, brukowane zaułki, małe łuki i kampanile. Były fontanny i posągi, sosny, rododendrony i dęby skalne. Przypominało to senną fantazję w monotonnym, monochromatycznym powojennym świetle.

- Tu właśnie Noël Coward napisał *Blithe Spirit* (Wesoły Duch) - powiedział Guy, gdy przechodzili obok jednego z domków.

Całe to miejsce wydawało się jakby stworzone do fantazjowania i wyczarowywania marzeń. Zamieszkali w domku z sypialnią i salonikiem, który lekko pachniał wilgocią. Z okien rozciągał się widok na ujście rzeki i Harlech. Przez pięć spędzonych tu dni w dość niewygodnym podwójnym łożu, z otwartymi oknami i światłem fal dragającym na niskim suficie, czuła się szczęśliwa.

Część siódma

1

- Widziałeś? - spytała któregoś dnia Eve.

Było to niedługo po tym, jak zacząłem pracować w galerii. Wynajmowaliśmy wtedy mieszkanie w Fulham. Wróciłem wcześniej do domu, a ona przyszła tuż po mnie i rozpakowując zakupy na kuchennym blacie, mówiła do toreb z warzywami i paczkami herbaty.

- Widziałeś?

Zawsze pytała w ten sposób, zakładając, że natychmiast domyślę się, o co jej chodzi.

- Co takiego?

- A więc nic nie wiesz?

- Skąd mam wiedzieć, skoro mi nie powiedziałaś?

- Jamie Matthewson żeni się z Ruth - poinformowała obojętnym tonem z tym swoim londyńskim akcentem, który jej ojca doprowadzał do szału.

Nie patrzyła na mnie, lecz natychmiast wyczuła moją reakcję - subtelną zmianę nastroju i zaskoczenie. Może przekazałem jakiś zapach lub mój mózg wysłał informację o elektrycznych zakłóceniach. Ona wszystko potrafiła dostrzec.

- Co się wydarzyło, Rob?

- Nie rozumiem.

- Między tobą, Jamiem i Ruth w Szwajcarii. Nigdy o tym nie mówiłeś.

- Och, na litość boską!

Nie dała się jednak zbyć udanym gniewem. Była w pierwszej linii na Grosvenor Square. Została zaatakowana przez konny oddział policji i pobita pałkami gumowymi. W Paryżu oczy łzawiły jej od pocisków gazowych. Mój gniew nie stanowił dla niej przeszkody.

- No więc co się tam wydarzyło? - powtórzyła.

Poczułem, że muszę się wytłumaczyć, jak świadek przesłuchiwany przez prokuratora.

- Mieszkaliśmy w samochodzie, czekała nas największa wspinaczka w życiu...

- I?

- Sprawy wymknęły się spod kontroli.

Eve uśmiechnęła się, widząc moje zmieszanie.

- Ona lubi takie rzeczy, co? Taką lekkość obyczajów.

- Zdaje się, że ty też nie miałaś nic przeciwko temu.

Uśmiechnęła się.

- Teoretycznie, kochanie, teoretycznie.

- Tak czy owak wiele jej zawdzięczam. Przecież ocaliła mi życie.

Oczy Eve przygasły, pojawiło się w nich coś, jakby żal.

- No cóż, nie potrafię ocalić ci życia, Rob, za to mogę ci je zapewnić - powiedziała.

Trudno było temu zaprzeczyć. Rzeczywiście zapewniła mi warunki do życia. Kiedy zaczęło się nam dobrze powodzić, nasze życie rozkwitło, rodzina również. Dorobiliśmy się dwójki dzieci: pierwsze urodziło się jako nieślubne, drugie wkrótce po ceremonii w urzędzie stanu cywilnego. Tymczasem Galeria Porteus zaczęła świetnie prosperować. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych był duży popyt na dzieła sztuki. Obrazy o ostrych, nasyconych kolorach doskonale oddawały charakter tamtych czasów, czasów powstawania zuchwałych fortun i emocjonalnego nihilizmu. Nasi klienci dysponowali tymi pierwszymi, a aspirowali do tego drugiego. Ulegaliśmy ich rozrzutności i chciwości artystów, przy okazji zarabiając pieniądze. I tak oto zatrudniony przez Harolda Porteusa niedoszły student bez palców u nogi z asystenta zmienił się w cenionego kierownika, a potem we współnika dzięki zastrzykowi gotówki częściowo od Eve, która otrzymała spadek po zmarłym wuju, i częściowo mojej własnej, kiedy matka zdecydowała się przejść na emeryturę i sprzedać hotel.

Nie pojechaliśmy na ślub Jamiego i Ruth. Otrzymaliśmy zaproszenie, ale byliśmy wówczas za granicą, we Francji, u rodziców Eve z okazji sześćdziesiątych urodzin jej ojca. I więcej już nie rozmawialiśmy ani o Jamiem, ani o Ruth. Zostali poza nawiasem życia niczym wspomnienia z przeszłości, z którymi można robić, co się chce, lecz do których się nie wraca.

Kupiliśmy dom na południe od rzeki. Rejon ten właśnie na nowo odkryto i rozpoczęto prace remontowe. Usytuowane szeregowo domy podniesiono z upadku jak stare dziwki, które w końcu przyjęto do towarzystwa. Później kupiliśmy drugi dom na wsi z wybiegiem dla koni i dwójką kucyków dla każdej z córek. Eve zmieniła poglądy z lewicowych na laburzystowskie i zrezygnowała z rzucania kamieniami w policjantów na rzecz zbierania pieniędzy dla górników i wymachiwania transparentami potępiającymi miejscowe organizacje łowieckie. Ustatkowaliśmy się.

Zależność między przyciąganiem ziemskim a przyspieszeniem jest powszechnie znana, co jednak z zależnością między czasem a przyspieszeniem? Czy można pokusić się tu o jakieś równanie? Przez pierwsze dziesięciolecia zjeżdża się po pochylni jak dzieci z pokrytej śniegiem góry, śmiejąc się i żartując. Można nawet udawać, że sprawia nam to przyjemność. Podobnie było z grupą uczniów pod szczytem Snowdonu pewnej zimy. Czytałem o tym w gazecie. Kilkoro z nich poślizgnęło się i przy wtórze śmiechu i krzyku

zaczęło zjeżdżać po ubitym śniegu na grani w dół stoku. Ale na stoku - podobnie jak w życiu - czyhają niebezpieczeństwa. Im niżej uczniowie zjeżdżali, tym zbocze stawało się bardziej strome. W dodatku nie mieli czekanów ani raków i w ogóle to przestało być zabawne, bo na dole czekało na nich urwisko.

Któregoś dnia stałem właśnie na takim stromym zboczu, zastanawiając się, gdzie się podziało ostatnie dwadzieścia lat, kiedy recepcjonistka w galerii (ubrana już nie w sukienkę od Courrèges, lecz w czarną garsonkę z wywatowanymi ramionami) poinformowała mnie przez interkom, że ktoś chce się ze mną zobaczyć.

- Chyba artystka - dodała, zawieszając głos.

Westchnąłem. Nie zawsze ma się ochotę na spotkania z artystami. Wprawdzie zapewniają byt, ale bywają również ciężarem.

- Nie może się pani nią zająć?

- Ona bardzo nalega, panie Dewar.

- Nie może pani umówić jej na spotkanie?

- Obawiam się, że nie.

Skończyłem więc to, co robiłem, i przeszedłem do lśniącej białej galerii, gdzie wisiał obraz Davida Hockneya, przedstawiający kalifornijski basen. Obraz miał być wystawiony na aukcji. W galerii snuło się kilka osób, rozmawiających przyciszonymi głosami jak turyści zwiedzający kościół, którzy wiedzą, że coś tu się odbywa, lecz nie bardzo rozumieją, co. Przed płótnem Hockneya stała dość niekonwencjonalna artystka ubrana w zwyczajne dzinsy i skórzaną kurtkę. Odwróciła się na dźwięk moich kroków.

Dwadzieścia lat i tuzin kart wysłanych na Boże Narodzenie dzieliło to spotkanie przed błękitnym basenem, w którym odbijały się promienie słońca. Poczulem gwałtowny przypływ emocji: lodowaty strumień mieniący się kryształkami wspomnień, pięknych, choć niebezpiecznych. Dwadzieścia lat to kawał czasu, może nawet całe życie, jeżeli los okazałby się niełaskawy. Ona przyglądała mi się z uwagą, bo wiedziała, na kogo czeka, i była na tę sytuację przygotowana, ja zaś oniemiałem, zaskoczony.

- Ruth.

Uśmiechnęła się chłodno. Była w tym dobra.

- Poznałeś mnie.

Wciąż brzmiał w jej głosie ten walijski akcent, płynący jak strumień pod powierzchnią słów z odcieniem lekkiej ironii. Naturalnie postarzała się; jej cera przypominała pergamin zahartowany przez wiatr i słońce. Na szyi i dłoni odsuwającej kosmyk włosów z czoła dał się zauważyć wyraźny upływ czasu. Dekolt zdobił złoty łańcuszek z egipskim znakiem anch.

- Świetnie wyglądasz - powiedziałem.

Skrzywiła się. Naprawdę dobrze wyglądała. Miała ten typ urody, który ładnie się starzał: kanciaste rysy twarzy i silną, szczupłą sylwetkę. Włosy nadal farbowała henną, ale nie nosiła już tych cygańskich strojów, które kiedyś skrytykowała moja matka. Zamieniła je na czarny podkoszulek i obszerną marynarkę. Ile mogła mieć teraz lat? Czterdzieści siedem?

Pocałowaliśmy się. Nie był to zdawkowy pocałunek, chociaż żadne z nas by się do tego nie przyznało. Wymieniliśmy zwyczajowe komunały. Ile to już lat? Jak się miewasz? Jak tam Eve? Jak dzieci? Pewnie już prawie dorosłe. A jak tam Jamie?

- Jest w Patagonii - wyjaśniła, unikając odpowiedzi na moje pytanie. - Wraca za dwa tygodnie.

Od czasu do czasu miewałem z nim jakiś kontakt: raz to była pocztówka, kiedy indziej telefon i kartki na Boże Narodzenie. Dwa lata z rzędu uczestniczyłem w kolacji organizowanej przez Londyński Klub Wysokogórski. Jamie też tam był. Dużo wtedy piliśmy, trochę wspominaliśmy, zapronował nawet, że może zrobilibyśmy coś wspólnie, ale tak naprawdę pochłaniało go wówczas zdobywanie kolejnych ośmiotysięczników himalajskich. Ryzykował obrzęk mózgu dla satysfakcji, jaką dawało wejście na szczyt i oglądanie panoramy środkowej Azji. K2, Annapurna i Everest, te dwa ostatnie bez aparatu tlenowego. Często przekraczał tę krytyczną wysokość siedmiu tysięcy pięciuset metrów, z której tylko połowa wracała. On jednak wracał. Miał pojemne płuca, silne serce i mocne tętnice, wysoki poziom kwasu mlekowego i wysoki hematokryt, wszystkie te fizyczne i psychiczne cechy, które trzeba mieć, jeśli się przebywa na dużych wysokościach. I jeszcze coś - obsesję. Podczas jednej z wypraw, jak powiedział mi znajomy, Jamie spędził cały dzień na wysokości ponad siedmiu tysięcy pięciuset metrów, szukając na ścianie Yalung ciała ojca. Nigdy go nie znalazł. Może Kanczcndzonga zrzuciła zwłoki Guya Matthewsona niżej, grzebiąc je w lodowcu, by za tysiąc lat, gdy spłyną na dół, stały się archeologicznym odkryciem. Takich himalaistów spoczywających w lodowych trumnach, odzianych w różne odcienie tweedu, kurtki puchowe, skórę i plastik, czekających, by pojawić się w świetle dnia, musiało być tam mnóstwo. A może Jamie po prostu nie miał szczęścia i do spotkania ojca z synem nie doszło jedynie przez przypadek.

- Właściwie to przyjechałam tu w interesie - wyjaśniła Ruth. - Wiem, że powinnam umówić się na spotkanie, ale... -

Chciała, byśmy obejrzeni jej prace. Ma ich kilka w furgonetce. - Może...

Zaśmiała się niepewnie, jakby nie wierzyła we własne siły.

- Może?

- Może zainteresują galerię Porteus-Dewar.

Uśmiechnąłem się. Popatrzyłem na zegarek, na Ruth, na obraz Hockneya z ostrym błękitem, prawie identycznym jak kolor oczu Eve.

- Może lepiej...

- Zapomnijmy o tym?

- Pójdźmy gdzieś na lunch. Pozwól się zaprosić i dać mi trochę czasu na ochłonięcie.

- Czy to odprawa?

- To rzeczywistość. Prosisz mnie o dwie rzeczy. Po pierwsze, mam ocenić dawną miłość...

- Czy tym właśnie byłem?

- I po drugie, ewentualną klientkę. Potrzebuję trochę czasu, by oddzielić jedno od drugiego.

- Jak zawsze drań - stwierdziła ze śmiechem.

- Czy tym właśnie byłem?

- I nawet nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

Poszliśmy do pobliskiej knajpki. Wśród panującego tu w porze lunchu gwaru wymieniliśmy się życiowymi doświadczeniami. Mówiłem za dużo, śmiałem się nerwowo ze spraw, które nie były śmieszne, i opowiadałem o sprawach, o których nie powinienem, na przykład związanych z Eve. O życiu Ruth niewiele się dowiedziałem. Pomagała Jamiemu prowadzić sklep ze sprzętem górskim, fotografować i organizować wyprawy. Nawet w kilku uczestniczyła, między innymi na Makalu i na Ziemi Baffina. Jakiś czas była wolontariuszką w wioskach w Nepalu. Dwa lata spędzili wspólnie w Kalifornii.

- A teraz zastanawiam się, co ja robiłam przez te dwadzieścia lat.

- Wszyscy się nad tym zastanawiamy. To się nazywa starość.

- Pomyślałam więc, że zacznę od tego, kim byłam dwadzieścia lat temu.

- I dowiedziałaś się?

Zmarszczyła brwi, jakby usiłowała przypomnieć sobie, skąd mnie zna i jak mam na imię.

- Właśnie po to tu przyjechałam.

- Czy Jamie wie o tym, że tu jesteś?

Pokręciła głową jak ktoś, kto kątem oka widzi spadający kamień i porusza głową, by uniknąć zderzenia.

- Bardzo często o tobie mówi. Zawsze tak było.

- A co mówi?

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna zagłębić się w przeszłość, jej i naszą, czy też pozostać z boku.

- Dziwny z niego człowiek - powiedziała w końcu. - Początkowo sądziłam, że ma w sobie coś z dziecka. Kiedy was poznałam, pomyślałam: „Para dzieciaków szukających przygód”. Potem zdałam sobie sprawę, że to coś więcej. Dzieci przynajmniej wracają na kolację. On nigdy nie wracał, a jeżeli już, to tylko po to, by chwycić coś na ząb i znowu uciec. I to nie była zabawa w udawanie niebezpieczeństwa, w kowbojów i Indian czy Anglików i Niemców. Pif-paf, jesteś martwy, liczysz do dwudziestu. To było prawdziwe niebezpieczeństwo i broń z ostrymi nabojami. A jednak on wciąż się w to bawił. - Na chwilę pozbyła się tej swojej rezerwy. Oczy jej błyszczały w świetle wpadających przez okno promieni słonecznych. - Czy wiesz, że sprowadzili go z K2 w stanie jakiejś zapaści? Obrzęk mózgu czy coś w tym rodzaju. Spędził wiele tygodni w szpitalu. Oczywiście odzyskał sprawność umysłową. Tu nie chodzi o zniekształconą stopę, jak w twoim przypadku, on ryzykuje całą swoją osobowość. A ja wciąż się zastanawiam, co jeszcze się za tym kryje prócz obsesji.

Po lunchu podjechała furgonetką na tyły galerii. Wyczuwałem w niej napięcie, jak w chwili, gdy ława przysięgłych wraca na salę po długich obradach i przewodniczący wstaje, by ogłosić wyrok. Tylko że tu ja pełniłem rolę sędziego, prokuratora i ławy przysięgłych. Otworzyła drzwiczki furgonetki, a ja pomogłem jej wynieść kilka starannie opakowanych płócien.

Spodziewałem się tego. Jej uśmiech mnie w tym utwierdził, kiedy rozwiązywałem sznurek i rozpakowywałem pierwszy obraz. Cofnąłem się i spojrzałem na płótno, którego nie widziałem od dwudziestu lat, a które w pewnym sensie było częścią mnie. Przedstawiało kormorany unoszące się na ołowianej tafli jeziora i nagą kobietę, smukłą jak ostrze, szykującą się do skoku.

Cofnęła się i popatrzyła na mnie, próbując odczytać coś z mojej twarzy.

Kiwnąłem głową.

Następnego obrazu nie znałem. Ta sama sceneria, tylko jakby chwilę później: wygięte w łuk długie szyje kormoranów i biała sylwetka, która niczym strzała przebija powierzchnię wody - celtycki *Wielki plusk*, kalifornijskie słońce zastąpione plamą wodnego światła w perłowym kolorze.

- Co o tym sądzisz?

Miałem ochotę się roześmiać.

- Jak niby mam je ocenić? Na Boga, Ruth, jak mogę być obiektywny?

- Więc spójrz na te. Namalowałam je niedawno.

Były to abstrakcyjne prace, które przy bliższej obserwacji okazały się malarstwem figuratywnym - drobiazgowo oddane płyty skalne, rysy i kominy, zebra i ściany, i wąskie, zdradliwe półki. Jedna z prac nosiła tytuł *Kolumna*, a druga *Kopula*.

- To Yosemite - wyjaśniła. - Jamie się wspinał, a ja malowałam.

Powiedziała to przeprasającym tonem, choć nic było za co przepraszać. Płótna wydały mi się intrygujące, na pograniczu czystej abstrakcji i malarstwa figuratywnego, struktura skały, cień i subtelna gradacja barwy i tonu, jak sama skała - skalna architektura. Inna praca, zatytułowana *Pendragon* - kompozycja różu, szarości i ołowianej bieli, mieszanina ciała, kości i ścięgien, przecięta w środku nieregularną cętko waną linią - przedstawiała trasę naszej wspinaczki.

Uśmiechnąłem się z zadowoleniem.

- A teraz maluję takie rzeczy.

Obrazy miały mniejszy format i znacznie ciekawszą formę. Ruth nazywała je łupkami, płaskorzeźbami w różnych odcieniach i barwach skały. Były to abstrakcyjne kompozycje wyobrażające strukturę i kształt gór zbudowanych z tego kamienia.

Poczułem na sobie jej wzrok.

- Sprzedajesz swoje prace? - spytałem.

- Niewiele. Moim źródłem utrzymania są krajobrazy.

Uśmiechnąłem się.

- Naszym też.

Rozmawialiśmy chwilę o rynku sztuki, o szansach i możliwościach. Zastanawiałem się, czego ona tak naprawdę chce i czego ja chcę. Jedno z wielkich płócien przedstawiało trzy postacie stojące na czymś w rodzaju sceny. Postacie nagie, jakby bezpłciowe i pozbawione twarzy. Za nimi wznosił się wielki czarny trójkąt, groźny jak sęp i przytłaczający jak góra. Obraz nosił tytuł *Trio*.

- To było niebezpieczne - powiedziałem, patrząc na obraz. - Myślę o naszym związku.

Wzruszyła ramionami.

- To już przeszłość.

- A może wrócić?

Odwróciła się do mnie z uśmiechem i pokręciła przecząco głową.

- Nie sądzę, Rob.

- Dlaczego nie?

- Bo stawka jest zbyt wysoka: dzieci, dom, mąż, żona. Nie rzucisz o to monetą.

- Wiesz o tym.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Kiedy mi powiedział, chciałam do ciebie zadzwonić i zapewnić, że to ty wygrałeś.

- Kiedy to było?

- Kilka miesięcy później.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba z powodu Eve. Ten jeden jedyny raz nie zachowałam się jak egoistka. Ale i tak odeszłam od Jamiego.

- Odeszłaś od niego?

- Powiedziałam mu, że jest męskim szowinistą, i odeszłam od niego. - Roześmiała się.

- Nie byliśmy ze sobą prawie rok.

- Nie wiedziałem.

- O wielu rzeczach nie wiedziałaś.

- Na przykład jakich?

Odwróciła się w stronę płócien i wzięła jedno z nich, jakby chciała je zanieść z powrotem do furgonetki.

- Dotyczących Jamiego i mnie. Razem jesteśmy beznadziejni, lecz osobno jest jeszcze gorzej. Taki to związek.

- Zostaw - powstrzymałam ją.

Znieruchomiała z obrazem przy piersi jak z tarczą.

- Zostawić?

- Obraz - wyjaśniłem. - Przecież chcesz go sprzedać.

Popatrzyła na płótno i roześmiała się, chyba z ulgą.

- Nie zgadniesz - powiedziałem, gdy wróciłem wieczorem do domu.

Eve nie odwróciła głowy i nie przerwała czegoś tam, co robiła przy komputerze. Pewnie była to kolejna sprawa, którą zajmowała się jedna z jej grup nacisku.

- To moja rola - odrzekła.

- Zgadnij, kto przyszedł dziś do galerii.

- Picasso?

- Nie żyje.

- To smutne. W takim razie Matisse. Na litość boską, skąd mam to wiedzieć?

- Ruth. Żona Jamiego Matthewsona. Ruth Phoenix.

- Myślałam, że też nie żyje.

- Jak Feniks odrodziła się z popiołów. Chce, żebym ją reprezentował. Przywiozła kilka swoich prac do pokazania. Są niezłe.

Czułem, że mówię zbyt szybko.

- Z jakich popiołów? - spytała cierpko, odwracając wreszcie ku mnie twarz.

2

Pokazaliśmy jedno czy dwa płótna Ruth w galerii w Londynie i kilka następnych w nowo otwartej filii w Birmingham. Nie było trudno zachęcić klientów do ich kupowania. Krajobrazy, przypominające prace Stanieya Spencera z kamiennymi murkami, drutem kolczastym i wyschniętymi kępkami orlicy, znikwały z pewną regularnością. Ich nabywcy mogli sobie powiesić na ścianie w salonie coś lepszego niż widoczki z górami i pasącymi się krowami. Pewnego dnia ktoś zgłosił chęć kupienia tego dużego obrazu, który nazwałem *Walijskim wielkim pluskiem*, potem zapragnął obejrzyć inne prace artystki, a na koniec poznać ją osobiście. Był Amerykaninem o walijskich korzeniach. Właśnie kogoś takiego potrzebowała, kolekcjonera z zakusami na mecenasa.

- On budzi we mnie odrazę - stwierdziła.

- Ale uwielbia twój akcent - odrzekłem.

Tak więc pewnego dnia znalazła się w pierwszej klasie samolotu lecącego do Stanów. Na lotnisku Logana czekała na nią limuzyna Fundacji Howella Jonesa. Jedno z amerykańskich pism poświęconych sztuce opublikowało zdjęcie Ruth na tle pustych białych ścian. Wyglądała na nim jak rzeźba Giacomettiego. W galerii w SoHo zorganizowano wystawę jej prac. Zainteresowały się nią media, jak zwykle łase na nowe twarze. Zupełnie nieoczekiwanie stała się sławna.

Jamie przewijał się gdzieś tam na marginesie tego wszystkiego. Ruth opowiadała o nim, kiedy się spotykaliśmy, o jego planach, wyjazdach i przyjazdach.

- Co on o tym wszystkim sądzi? - spytałem, mając na myśli jej sukces artystyczny.

Wzruszyła ramionami.

- Nie bardzo zdaje sobie z tego sprawę. Nie rozum'c tego, więc mało go to obchodzi. Uważa, że dobrze mi to robi, jak gimnastyka czy zdrowa dieta.

- A ja? Co on myśli o naszej współpracy?

Zaśmiała się z odcieniem ironii i zdumienia.

- Nie wiem, co on czuje, Rob. Nigdy tego nie wiedziałam. Nie sądzę, by O11 sam to wiedział. Myślę, że...

- Co?

- Myślę, że wspinanie jest dla niego substytutem uczuć. Ucieczką przed nimi.

Może i miała rację. Może wspinaczka jest jak kokaina dla narkomana, kolorowym snem zastępującym szarą rzeczywistość.

- Tak czy owak pozdrów go ode mnie.

- Oczywiście - odparła, lecz jakaś nuta w jej głosie powiedziała mi, że tego nie zrobi.

Któraś dnia wpadł mi w oko plakat wiszący w jednej z witryn księgarskich. A może zobaczyłem go w metrze. *W strefie śmierci* - brzmiał tytuł książki. A pod spodem mniejszymi literami: *Życie powyżej siedmiu tysięcy pięciuset metrów*. I twarz Jamesa Matthewsona na tle śnieżno-lodowej piramidy, która mogła być Mustagh Tower lub Jannu. Sprawiało to wrażenie, jakby tkwił we wnętrzu góry. „Spotkanie z Jimem Matthewsonem w Królewskim Towarzystwie Geograficznym” - informował napis w dole plakatu. Podano również datę, godzinę, a nawet cenę książki.

Zastanawiałem się, czy pójść i czy powiedzieć o tym Eve. W końcu jednak poszedłem sam i stanąłem w kolejce po bilet w różnobarwnym tłumie wspinaczy na coś, co środki przekazu zapowiadały jako niezwykle spotkanie ze światem wspinaczki wysokogórskiej. Weszliśmy do tchnącego aurą skupienia i podziwu teatru niczym wyznawcy do nowego kościoła. Przywitała nas zwieszająca się z sufitu tablica z tą samą co na plakacie górą i wpatrującą się w nas twarzą Jamiego. Obok katedry stał stół z egzemplarzami książki Jamiego w błyszczącej okładce z tym samym zdjęciem, co na plakacie, i tytułem: *W strefie śmierci*.

- On jest nadzwyczajny - powiedział ktoś idący obok mnie. - To jedyny Brytyjczyk, który dorównał Messnerowi i Kukuczce.

Słyszałem o Messnerze, lecz nie miałem pojęcia, kim jest Kukuczka.

Zajęliśmy miejsca. Światła przygasły, dając znak do zakończenia rozmów, i głos z głośników poinformował nas o tym, co już wiedzieliśmy, że gość dzisiejszego wieczoru zdobył sławę dzięki odwadze i determinacji, że wspaniał się na wszystkich kontynentach i stanął na szczycie sześciu ośmiotysięczników, że jest czołowym brytyjskim wspinaczem swojego pokolenia. A potem do mikrofonu podszedł Jamie oświetlony punktowym reflektorem jak artysta cyrkowy.

Przez widownię przetoczyła się burza oklasków niczym potężna lawina kamieni. Jamie popatrzył na widzów z lekkim cynicznym uśmiechem na twarzy, który przypomniał mi Caroline. Miał zniszczoną, pooraną zmarszczkami twarz - skutek oddziaływania wiatru, słońca i dużych wysokości. Nie wiem, czy zauważył mnie wśród publiczności. Pewnie nie. Pewnie tkwił zamknięty we własnym kręgu światła, a my byliśmy dla niego jedynie

anonimowym tłumem poza granicami wąskiego świata sceny.

- Wspinanie się powyżej siedmiu tysięcy pięciuset metrów - zaczął i spojrzał na nas - to przekraczanie granicy śmierci.

Na umieszczonym z przodu ekranie pojawiły się fotografie alpinistów ubranych w barwne kurtki puchowe - niebieskie, czerwone i pomarańczowe. Wspinali się po stromych zboczach pokrytych śniegiem, ciągnąc za sobą kolorowe liny, z kolorowymi Czekanami i młotkami w dłoniach, wpinając kolorowe karabinki w jedyne przedmioty pozbawione koloru: stalowoszare haki i srebrzystoszare lodowe śruby. Niebo miało ostrą błękitną barwę, charakterystyczną dla dużych wysokości.

- Ponad połowa ludzi, którzy przekroczyli tę granicę, zmarła podczas wspinaczki - powiedział Jamie.

Na ekranie pojawiło się czarno-białe zdjęcie przedstawiające mężczyznę siedzącego na głazie i palącego papierosa. Ubrany był w zniszczone pumpy i koszulę bez kołnierzyka. Góra widoczna w tle to północna ściana Eigeru.

- W ich liczbie znalazł się i mój ojciec - ciągnął Jamie i czarno-białe zdjęcie zmieniło się w kolorowe, na którym mężczyzna siedzący na lodowym stoku opiera się plecami o brązową skałę; obok niego tkwił kijek z chorągiewkami modlitewnymi powiewającymi na himalajskim wietrze.

To był wspaniały spektakl, poruszał serca, przywoływał wspomnienia strachu i krańcowego wyczerpania. Na koniec tej mieszanki potu i bólu, uwieńczonej zdobyciem szczytu dla piętnastominutowej chwili szczęśliwości, na ekranie pojawiła się wielka twarz Jamiego, krwistoczerwona i szaropopielata, odrażająca w swym cierpieniu, które niosła ze sobą ekstremalną wysokość. Zabrzmiały huraganowe oklaski. Ludzie siedzący w pierwszym rzędzie nawet wstali, jakby Jamie był jakąś operową diwą.

- Fantastyczne - rzekł mój sąsiad do swego towarzysza. - Zdumiewające.

Dołączyłem do kolejki wielbicieli zamierzających uścisnąć bohaterowi dłoń, kupić książkę i zdobyć autograf. On zaś uśmiechał się z roztargnieniem, jakby nie bardzo wiedział, po co tu jest i kim są ci ludzie. Może błędził myślami po himalajskiej dolinie. Byłem ciekaw, czy mnie pozna.

- Cześć, Jamie - zagadnąłem, gdy przyszła moja kolej.

Uścisnął mi dłoń i uśmiechnął się jak do kogoś obcego.

- Cześć.

- Robert - powiedziałem.

- Robert - powtórzył i pochylił się, by wpisać moje imię do książki.

- Robert Dewar - dodałem. - Na litość boską, Jamie, to ja, Rob!

Ludzie zaczęli się na nas gapić.

- Proszę się przesuwac - odezwał się ktoś stojący za mną. - Nie jest pan tu jedyny.

Jamie uniósł wzrok znad książki, na której właśnie napisał „Dla Roberta”. Patrzyłem, jak jego wyraz twarzy zmienia się z obojętnego, przechodząc przez różne fazy wspomnień i żalu, by w końcu zastępnąć w pełnym rezygnacji uśmiechu, którym obdarza się kogoś, kto setki razy postąpił niewłaściwie, lecz mimo to jest się skłonnym mu wybaczyć. Ludzie usunęli się, wyczuwając, że są świadkami czegoś więcej niż zwykłego spotkania i może się zdarzyć coś interesującego.

- Rob - odezwał się. - Co ty tu robisz, na Boga?

- Ciekaw byłem, czy też jestem w tej książce.

Zmarszczył lekko brwi.

- Mam nadzieję, że za nią nie zapłaciłeś.

- Oczywiście, że zapłaciłem.

- No to muszą ci oddać pieniądze. - Zwrócił się do stojącej obok dziewczyny: - Proszę mu oddać pieniądze. On już za nią zapłacił swoimi palcami.

Pomimo protestów wetknięto mi do ręki pieniądze. Ktoś mnie odepchnął i podsunął do podpisania swój egzemplarz. Jamie zignorował go, położył mi dłoń na ramieniu i odciągnął od kolejki i stolika z książkami. Wśród wielbicieli przeszedł pomruk niezadowolonia.

- Rob - powtórzył. - Miło cię widzieć. Ruth mi o tobie opowiadała.

Wskazałem na kolejkę oczekujących na autograf.

- A co z tymi ludźmi?

Rozejrzał się wokół z roztargnieniem.

- Zaczekaj chwilę. Pójdziemy gdzieś się napić. Co ty na to? Zrobię, co do mnie należy, i pójdziemy na jednego.

- Proszę nie zapomnieć, że jesteśmy umówieni na kolację, panie Matthewson - odezwała się przedstawicielka wydawcy.

Popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

- Właśnie została odwołana.

Znaleźliśmy jakiś pub przy tej samej ulicy. Na zewnątrz ustawiono stoliki w nadziei na ciepły i słoneczny wieczór. Przepisnąłem się przez tłum studentów do baru. Czekaając na zamówione piwa, zastanawiałem się, dokąd to wszystko zmierza. Teraz najważniejsza dla mnie była Ruth i jej obrazy, Jamie stał się jedynie ciekawostką, na którą trafia się

przypadkiem, wracając do wspomnień z przeszłości. Przestał się już dla mnie liczyć.

Kiedy zaniósłem piwa do stolika, przy którym siedział, spoglądał przez okno na ulicę jakby z nadzieją, że stojące po drugiej stronie domy zmieniają się w coś mniej obcego - na przykład w komin skalny, wzgórze morenowe lub w bramę lodowcową. Sprawiał wrażenie kogoś, kto mieszka w puszczy i źle się czuje w mieście i niewygodnie w miejskim ubraniu. Zauważyłem, że poklepał się po kieszeniach i rozejrzał wokół nerwowo, zanim wziął do ręki szklankę z piwem. Kiwnął głową, jakby upewniał się, że naprawdę tu jesteśmy i pijemy wspólnie piwo w londyńskim pubie.

- Jak tam twoja stopa? - spytał.

- Zimą trochę mi dokucza, ale da się znieść.

- No tak. Ile to już lat minęło?

- Ponad dwadzieścia.

- Szmata czasu. Dobrze wyglądasz, chociaż brzusek ci się zaokrąglił.

- To pewnie od tego krążenia po galeriach.

Roześmiał się.

- Ruth mi mówiła. Podobno byłeś jak sęp, który rozrywa na strzępy niczego niepodważającą artystkę. Wyrobiłeś jej niezłą markę.

- To jej zasługa, nie moja.

- Ale tylko dzięki tobie osiągnęła sukces. Od kiedy się nią zająłeś.

- Pewnie zastanawiasz się, czy nie jest jedną z moich ofiar?

Choć powiedziałem to żartem, on wziął na serio moje słowa.

Czyżby to był skutek zbyt długiego przebywania na dużych wysokościach i niedoboru tlenu? Może te wszystkie wspinaczki w strefie śmierci zniszczyły mu poczucie humoru razem z milionami komórek mózgowych.

- Może i tak - odpowiedział. - Może coś w tym jest. Znasz przecież to uczucie zazdrości.

- Myślisz, że moglibyśmy powrócić do tego tematu sprzed lat?

- Może.

Pokręciłem przecząco głową.

- Sytuacja się zmieniła, Jamie. Ludzie też. Jestem mężem Eve od piętnastu czy szesnastu lat. Zawsze zapominam, lecz ona pamięta. Przedtem mieszkaliśmy razem przez dwa lata. Mamy dwoje dzieci, psa, trzy koty, kucyka i papuzkę falistą. Nie rzucę tego wszystkiego dla wspomnienia z młodości, a zwłaszcza papuzki.

Wreszcie się roześmiał.

- Pewnie masz rację. To były dobre wspomnienia, prawda?

- Jak to wspomnienia. Każde można nagiąć według własnej woli.

Sączył w milczeniu piwo.

- Miałeś szczęście, że się z tego wyrwałeś, wiesz?

- Dlaczego szczęście?

- Bo możesz robić coś innego. - Wskazał na otaczające nas stoliki, na tłum gości. - Bo przywykłeś do tego gówna. Czy wiesz, że zaczynam się pocić, gdy przyjeżdżam do miasta? Odczuwam większy lęk, niż gdybym utknął w ścianie, wyobrażasz sobie?

- Bo nie jesteś do tego przyzwyczajony.

- Ja nie jestem przyzwyczajony do ludzi. - Uśmiechnął się do szklanki z piwem. - I do rozmów. Spójrz na to miejsce. Jak możesz to znosić?

Wzruszyłem ramionami.

- Za rzadko bywasz w domu, nie mówiąc już o Ruth.

- Jasne. Ale przecież nic nie trwa wiecznie. Zaczynam odczuwać ograniczenia związane z wiekiem. A potem? Co będzie potem?

- Osiądziesz w Walii. Przecież masz tam interes.

Skrzywił się.

- Ten cały interes to jedno wielkie gówno. Prowadzi go muskularny dwudziestolatek, który przechodzi E siedem, gdy jest bez formy, ubrany w purpurową bularkę, z przytroczonym w pasie woreczkiem z magnezją. Kiedy się nie wspina, pieprzy się z Ruth.

Zaprotestowałem, lecz zbył mnie śmiechem.

- Skąd możesz to wiedzieć? Byłby idiotą, gdyby tego nie robił. Ona maluje te swoje cholerne obrazy, a ja tkwię gdzieś na jakiejś zapomnianej przez Boga górze w Karakorum. Co innego może robić wieczorami? Albo on? Pewnie odpowiada jej taki układ. Zawsze chciała mieć więcej, niż mogła.

Rzucił mi to swoje nieufne spojrzenie spod przymrużonych powiek. Dawniej często przyłapywałem go na tym, jak mi się przygląda. Odwracałem głowę i napotykałem jego wzrok.

- Ruth bardzo cię ceni.

Uśmiechnął się, jakbym był naiwnym dzieckiem.

- Pamiętasz Grindelwald przed wejściem na Eiger?

- Jak mógłbym zapomnieć?

Zaśmiał się głośno, piskliwie. Ten śmiech przypominał krzyk niosący się po górskiej dolinie. Ludzie przy sąsiednich stolikach obejrzel się na nas.

- Co wówczas myślałeś?

Nie chciałem o tym mówić. Miałem dość tych jego kłótni. Unikałem ich przez ponad dwadzieścia lat, a kiedy spotkaliśmy się przez czysty przypadek, no powiedzmy: czysty, on znowu wracał do tej sprawy.

- Może miałbyś ochotę coś zjeść - zaproponowałem. - Mają tu niezły wybór. A może znajdziemy jakąś restaurację.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Jamie, przecież wiadomo było, jak to się skończy. Sporo wypiliśmy, puszczały nam nerwy, czekaliśmy na poprawę pogody, denerwowaliśmy się przed największą w życiu wspinaczką.

Poczułem, że wzbiera we mnie fala emocji: mieszanina gniewu, zawodu, strachu i niepewności. Rozejrzałem się po sali, jakbym chciał stąd wyjść. Przy jednym ze stolików siedziała grupa francuskich turystów: popijali bittera z wyraźnym obrzydzeniem i sprzeczali się na temat ceny czegoś; przy drugim siedziała para uczniów z Imperial College. Ich włosy sprawiały wrażenie, że są ze skóry. Dziewczyna miała kolczyk na języku i rząd kółeczek wzdłuż małżowiny usznej, które wyglądały jak małe karabinki na kółku. Odwróciłem się do Jamiego.

- Jamie, to było ponad trzydzieści lat temu.

Uśmiechnął się, jakby znał jakiś kawał, którego ja nie znałem.

- Nigdy z nią o tym nie rozmawiałeś? W przerwach między dyskusjami o obrazach?

- Rozmawialiśmy o interesach, nie o dziecinadzie. Rozmawialiśmy o wystawach, kontraktach, procentach i o wszystkich tych bzdurach. To były kontakty wyłącznie robocze.

- Myślę, że Ruth wiedziała od samego początku.

- O czym wiedziała? O czym ty, kurwa, mówisz?

- Kobiety to czują. Są bardziej spostrzegawcze od nas.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Pamiętasz Bethan? Pamiętasz to nasze wspólne popołudnie? Tylko my dwaj?

- Chłopięcy wygłup.

Odchylił się na oparcie krzesła. Nie patrzył na mnie, tylko na piwo stojące przed nim, na strumyczki piany spływające niczym łzy po ściankach szklanki. Wytarł je palcem i uśmiechnął się z trudem, jak ktoś cierpiący, lecz starający się znieść to cierpienie, jak znosi się ból głowy, ból w płucach, obrzęk mózgu, biegunkę, wymioty, wszystkie te symptomy choroby wysokościowej. Potem spojrzał mi prosto w oczy.

- Całe moje życie było ucieczką. Ucieczką przed Guyem Matthewsonem, przed moją

matką, ale przede wszystkim - kiwnął głową, jakby dopiero teraz to sobie uświadomił - przed tobą.

Zdaje się, że wbiłem w niego wzrok. To było jak... nie wiem, uderzenie pioruna, spadającej na mnie lawiny kamieni czy czego tam jeszcze. Albo jak cios zadany pięścią w twarz. Nagle całe nasze dzieciństwo objawiło mi się w zupełnie innym świetle, a nasza przyjaźń nabrała innych barw i odcieni. Poczulem chyba coś na kształt paniki.

- Jamie... - zacząłem i urwałem, bo nie potrafiłem znaleźć właściwych słów.

Podniósł szklanę do ust, opróżnił ją i odstawił na stół.

- Problem w tym, że cały czas się myliłem. Myślę, że jedyną osobą, przed którą uciekałem, byłem ja sam. Dlatego to takie trudne.

Po tych słowach wstał i wyszedł na ulicę, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. Krzyknąłem za nim, ale nawet się nie obejrzał. Może nie słyszał.

Francuscy turyści skończyli pić piwo i również wyszli. Uczniowie college'u kłócili się przyciszonymi głosami, a miasto dalej żyło swoim życiem, obojętne na to, co się wokół działo.

3

Budynek, w którym odbywała się rozprawa, tchnął niezwykłą powagą, niczym walijska kaplica. Możliwe, że był kiedyś kaplicą, na co wskazywałyby strzeliste okna i spadzisty dach. Przed wejściem było trochę przepychanki, strzelały flesze, a ekipa Harlech Television machała nad tłumem dziennikarzy mikrofonem na wyciągnięciu. Wewnątrz jednak panował nastrój powagi jak podczas niedzielnego nabożeństwa u metodystów.

Koroner spojrzał na Ruth znad brzegu okularów i wyraził swój żal z powodu przedwczesnego zgonu jej męża. Użył słowa „zgon”, jakby „śmierć” była tu niewłaściwym słowem. Następnie dał znak patologowi, który przeczytał swój raport jak wyuczoną lekcję.

- Liczne rany czaszki i rozległe obrażenia wewnętrzne. Pęknięta wątroba i śledziona.

Siedząca obok mnie Ruth zeszywniała i ścisnęła mnie za rękę.

- Śmierć mógł spowodować każdy z tych urazów - stwierdził patolog, jakby zapraszał nas do dyskusji.

Potem nastąpiła chwila przerwy, zamiana miejsc i swoje zeznania zaczęli składać świadkowie: przedstawiciel zespołu ratowników górskich i turysta, który widział całe zdarzenie. Ten ostatni przypominał wyglądem nauczyciela - łysy, w tweedowej marynarce - reprezentujący typ dżentelmena, którego można spotkać w Hotelu Pen-y-Gwryd, jak opowiada gościom spotkaniu z Hillarym i Tenzingiem.

0 On nie miał żadnych lin - powiedział teraz. - Niczego. nagle spadł.

- Czy widział pan początek wspinaczki?

- Nie. Zauważyliśmy go, kiedy był już na ścianie. Ktoś z mojej grupy mówił, że ta droga nazywa się Ścianą Mistrza i jest jedną z najtrudniejszych.

Koroner spojrzał na ratownika, który siedział wśród publiczności.

- Czy to prawda? - spytał. - Czy to rzeczywiście była Ściana Mistrza?

Wywołany do odpowiedzi poza kolejnością, ratownik nie bardzo wiedział, jak się zachować.

- Myślę, że chodzi tu o Wielką Ścianę. To jest inna droga, bardziej na lewo. Ściana Mistrza jest znacznie trudniejsza.

- Więc są jeszcze trudniejsze trasy od tej? - spytał koroner. - Czy ta ściana nie jest pionowa i pozbawiona chwytów?

To pytanie było zręcznym posunięciem, wywołało bowiem dyskusję na temat terminów „pionowa” i „pozbawiona chwytów”, jakby chodziło o jakieś pojęcia filozoficzne, a nie czysto techniczne określenia.

- Ściana Mistrza jest sklasyfikowana jako E siedem - wyjaśnił ratownik - natomiast Wielka Ściana jako E cztery.

- E siedem, E cztery, zupełnie jakby mówił pan o konserwantach dodawanych do żywności.

Przez salę przeszedł pomruk rozbawienia. Nawet Ruth się uśmiechnęła.

- E to skrót od „skrajnie trudny”. Kiedyś stosowało się skrót XS. E siedem plasuje się na tej skali wysoko. Wielka Ściana jako E cztery jest znacznie prostsza.

- Łatwiejsza?

- Żadna z tych dróg nie jest łatwa. Dla niewspinacza obie wydają się niemożliwe do przejścia.

- A dla pana?

Ratownik uśmiechnął się krzywo.

- Są poza granicą moich możliwości.

- W takim razie może słowo „ekstremalny” byłoby tu lepszym określeniem - zasugerował koroner.

- Są przecież różne sposoby asekuracji - odpowiedział ratownik. Zorientował się, że wspinaczka stała się nagle przedmiotem krytyki. - Dzisiaj używa się specjalnego sprzętu, który chroni przed skutkami odpadnięcia od ściany.

- Ma pan na myśli liny?

- Liny, a także kostki, friendly i mnóstwo innych rzeczy. Wspinaczka może być bardzo

bezpieczna.

- Ale pan Matthewson nie żyje. Wygląda na to, że nie miał tych, jak pan powiedział, friendów.

- Jim Matthewson nie używał żadnego sprzętu asekuracyjnego. Wszedł się solo.

- Czy można założyć, że pokonałby drogę o takiej skali trudności bez - tu koroner zerknął do notatek - takiej asekuracji?

Na sali zapadła cisza, tym wymowniejsza, że pozorna: słyhać bowiem było kręcącą się w krzesłach publiczność, skrzywienie piór reporterów i czyjeś szepty.

- Trudno powiedzieć. On był bardzo doświadczonym wspinaczem. Myślę, że kiedyś pokonywał drogi o takiej skali trudności.

- Kiedyś?

- Nie wiem, jak by sobie radził teraz.

- Pan Matthewson miał pięćdziesiąt dwa lata.

Ratownik wzruszył ramionami.

- Ekstremalna wspinaczka to sport dla młodych.

Ruth pochylała się ku mnie. Poczułem na uchu jej oddech, subtelne muśnięcie, które wywołało falę wspomnień.

- Czy to jakiś sąd? - szepnęła. - Nie mógłby po prostu podpisać tych papierów i nas puścić?

Z kolei koroner wezwał na świadka Dominica Lewisa, i znowu powrócono do zawiloci przesyłuchania, drobnych kruczków prawnych, ostrych komentarzy z ukrytymi podtekstami.

Lewis czuł się niepewnie przy stole koronera. Wiercił się nerwowo, unosił kolana, jakby miał ochotę czmychnąć z sali. Żółtodziób w męskim przebraniu. Przypomniałem sobie, co o tym chłopaku i o Ruth mówił Jamie. Ruth nie poruszyła się, gdy Lewis zaczął zeznawać, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Niewiele mam do dodania - stwierdził Lewis. - Nie byłem naocznym świadkiem.

- Ale był pan przyjacielem pana Matthewsona. A także jego partnerem wspinaczkowym i współnikiem.

- Tak.

- Więc może nam pan powiedzieć, czy jego wczorajsze zachowanie odebrał pan jako normalne i czy można się było po nim tego spodziewać.

Lewis wzruszył ramionami.

- Ja też takie rzeczy robiłem.

- Ale nie jest pan panem Matthewsonem.

- Nie.

Koroner zastanawiał się przez chwilę.

- A czy pan też wspinał się solo na tak zwaną Wielką Ścianę?

Lewis pociągnął nosem.

- Prawdę mówiąc, tak. Dwa lata temu.

- Więc uważa pan to za coś normalnego?

- Dla kogoś dostatecznie sprawnego i z dobrym przygotowaniem psychicznym tak.

- Czy to odnosi się również do pana Matthewsona?

- Tamten gość już to mówił. Ekstremalna wspinaczka to sport dla młodych.

- A pan Matthewson nie był młodym człowiekiem.

- To przekraczało jego możliwości. Szczerze mówiąc, dla kogoś takiego jak on to po prostu samobójstwo.

Siedząca obok mnie Ruth zeszytniała i wbiła mi paznokcie w rękę. Koroner uniósł wzrok znad kartki, na której coś pisał.

- Jakie drogi byłyby w zasięgu możliwości pana Matthewsona?

- Oczywiście skrajnie trudne. Może E dwa, E trzy, lecz z liną. Rozumie pan? Z liną, nie solo. Może HVS solo, ale nie Wielka Ściana.

- HVS?

- Hard Very Severe (droga skrajnie trudna).

- On jednak zdecydował się na Wielką Ścianę.

- Tak - odparł Lewis, wruszając ramionami. - Kto to wie, dlaczego. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Koroner zamyślił się. Ludzie na widowni poruszyli się niespokojnie, niepewni, dokąd to śledztwo prowadzi.

- Ten interes, w którym byliście współnikami - powiedział. Ani razu się nie pomylił, ani razu nie użył czasu teraźniejszego, mówiąc o nieżyjącym człowieku, ani razu nie popełnił błędu językowego. - Jak to się nazywa? Aha, „Ośrodek Wspinaczkowy Matthewsona”. Czy dobrze prosperował?

- Mieliśmy wzloty i upadki, jak to w interesach.

- A ostatnio?

- W porządku. Wprowadziliśmy nowy typ plastikowych butów górskich, no i oferujemy usługi przewodnickie. Zapowiada się nieźle. Wygląda na to, że teraz wszyscy chcą się wspinać na Everest.

Koroner kiwnął głową, popatrzył na Lewisa, a potem na Ruth siedzącą w pierwszym rzędzie obok mnie.

- Czy jest jakiś powód, by przypuszczać, że pan Matthewson celowo wybrał tę drogę?
- rzucił nieoczekiwane pytanie. - Chodzi mi o to, czy to możliwe, by specjalnie wybrał tę trasę, bo wiedział, że nie da rady jej przejść.

Na sali zapanowała kompletna cisza. Słysząc było nawet ruch uliczny. Ruth coś szepnęła. To mogło być „O mój Boże!” Słowo „Bóg” na pewno usłyszałem.

- Nie rozumiem - odpowiedział Lewis. - Jim miałby specjalnie wybrać tę drogę?
Chyba pan żartuje.

- Nie sądzę, by to było odpowiednie miejsce na żarty, panie Lewis.

Wszyscy czekali. Lewis lekko się zaczerwienił.

- Nie - odrzekł. - Takie ryzyko nie leżało w charakterze Jima.

- I nie znajduje pan żadnych powodów, dla których pan Matthewson mógłby się zachowywać niezgodnie ze swoim charakterem?

- Nie.

Koroner kiwnął głową i podziękował Lewisowi za zeznania. Potem popatrzył po sali na zgromadzoną publiczność, na dziennikarzy, na alpinistów, na ludzi, którzy przyszedli tu z ciekawości, i na urzędników, którzy przyszedli tu z obowiązku, i uznał, że dość już usłyszał.

- Wyrażam współczucie pani Matthewson, że musiała przez to wszystko przejść w chwili, gdy potrzebuje spokoju i pociechy najbliższych - powiedział, po czym napisał coś na leżącym przed nim dokumencie. - Stwierdzam, że śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Czy nie takiego wniosku należało się spodziewać? Jim Matthewson, wspinacz, alpinista, zakończył życie jak wielu jemu podobnych. Zamarzasz na jakiejś himalajskiej grani z braku tlenu i z wychłodzenia albo kończysz u stóp jakiejś skałki we własnym kraju. Można by pomyśleć, że wspinaczka to śmiertelna choroba.

Ulica przywitała nas drobnym deszczem i błyskami fleszy. Wyszliśmy z sądu, trzymając z Lewisem Ruth między sobą, okrytą płaszczem przeciwdeszczowym. Przypominała matkę, której porwano dziecko. Przeprowadziliśmy ją przez zebrany przed wejściem tłumek do mojego samochodu.

- Ja wracam do ośrodka - oznajmił Lewis.

- W porządku - odpowiedziałem.

Ruth siedziała na miejscu obok kierowcy i cicho płakała. Czarne łzy spływały jej po policzkach. Umalowała się dziś rano, by dobrze wyglądać w obecności kamer - co rzadko

robiła - i cały makijaż jej się rozmazał. Usiadłem obok niej i zatrzasnąłem drzwiczki samochodu.

- Wiesz, co on myślał? - wyszeptała, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem aparatów fotograficznych i kamer. - On myślał, że Jamie zrobił to celowo. Specjalnie wybrał tę drogę, wiedząc, że nie da rady jej przejść i spadnie. On uważał, że to było samobójstwo.

Wycieraczki sunęły po szybie tam i z powrotem, oczyszczając przestrzeń z deszczu.

- Czemu Jamie miałby to zrobić?

Popatrzyłem na pobladłą twarz Ruth. Wiedziałem. Czułem to w kościach, czy gdzie tam się czuje takie rzeczy. W żołądku, czułem to w żołądku. Czemu ludzie zawsze uważają, że to serce kieruje emocjami, kiedy wiadomo, że żołądek. Chyba powinienem być na niego zły. Czy w ogóle można coś odczuwać w stosunku do drugiego człowieka?

Wyjechaliśmy z miasta, a potem przez most na wyspę.

- Wiesz, że on cię kochał? - spytała Ruth.

- Wiem. Rozmawialiśmy o tym przy okazji spotkania w Londynie. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Nic nie odpowiedziała. Patrzyła w milczeniu przez przednią szybę na znajomy krajobraz. Wybudowano nowe autostrady, by ułatwić przejazd turystom, lecz my pojechaliśmy starą drogą wijącą się wśród pól. Miałem wrażenie, że wsie i osiedla zostały daleko w tyle, a my pniemy się w górę ku czemuś dzikiemu i nieznanemu. Minęliśmy przyklejony do zbocza pub, który kiedyś należał do jej ojca. Na jego widok Ruth westchnęła, czy raczej zaśmiała się z odcieniem ironii.

- Kto go teraz prowadzi? - spytałem.

- Nie mam pojęcia. Chyba należy do jednego z wielkich browarów. Pewnie jakiś ich przedstawiciel.

Za pubem, na szczycie klifowego urwiska, znajdował się teraz przyzwoity parking oraz tablica informująca o tym, jakie zwierzęta i rośliny można zobaczyć, idąc ścieżką wzdłuż wybrzeża, okazy, które zginą, jeżeli nie będzie się szanować środowiska. Umieszczone na tablicy zdjęcia przedstawiały maskonury, alki i nurzyki.

Kiedy zatrzymałem samochód, Ruth siedziała jeszcze przez chwilę, zapewne zbierając siły do tego, co ją czekało. Potem sięgnęła do tyłu i wyjęła urnę zrobioną z ciężkiego plastiku, imitującego kamień. Przytrzymała ją obiema rękami, jakby dużo ważyła.

- Chodźmy, miejmy to już za sobą.

Wysiedliśmy i ruszyliśmy ścieżką biegnącą wzdłuż skalnego wybrzeża. Widoczne z lewej strony morze miało kolor ołowiu i ciągnęło się aż po perłowszary horyzont. Mewy

zerwały się do lotu, krzycząc na nas w obawie, że zakłócimy ich spokój. W powietrzu czuło się wilgoć, lecz deszcz nie padał. To jedna z zalet tego miejsca; gdy w górach lało, tu można było się wspinać w promieniach słońca.

W miejscu, gdzie ścieżka podchodziła zbyt blisko urwiska, ustawiono ogrodzenie i tablicę ostrzegającą przed niebezpiecznymi skałami.

- Ruth, uważaj! - zawołałem. - Trawa jest wilgotna.

Ale ona już przeszła przez płot i schodziła w dół zbocza, mając na nogach miejskie pantofle.

Poczułem przyływ paniki.

- Ruth! Uważaj!

Co mi przyszło do głowy? Że skoczy ze skały? Ona tymczasem zatrzymała się, jakby nie dotarło do niej moje wołanie i brzącający w nim niepokój. Zszedłem na dół i ująłem ją pod łokieć.

- Żadne słowa nie przychodzą mi do głowy - mruknęła, bardziej do siebie niż do mnie.

- Jakiś wiersz czy modlitwa lub coś innego. Powinnam coś powiedzieć.

Otworzyła wieko, przechyliła urnę i wysypała jej zawartość. W powietrze wzbija się wielka szarobiała chmura i po chwili rozwiła się na wietrze.

- O Boże, jakie to okropne! - Ruth się rozpląkała.

Trawa wokół niej pokryła się szarością. Ruth zamknęła urnę odwróciła się do mnie. Łzy jak krople deszczu spływały jej po policzkach, a drobnym ciałem wstrząsało łkanie. Przytuliłem ją do siebie.

- Pamiętasz tę pierwszą wspinaczkę? - spytała, kiedy się trochę uspokoiła. - Tu, na tym klifie? Pamiętasz?

- Oczywiście, że tak.

Kiwnęła głową, jakby wystarczał jej już sam fakt, że pamiętam.

- Nie postępowaliśmy wobec niego właściwie.

Nie odpowiedziałem. A i ona nie oczekiwała ode mnie komentarza. Zresztą zajęłoby zbyt wiele czasu. Ramię w ramię wróciliśmy na ścieżkę i trzymając się za ręce, poszliśmy do samochodu.

- Wracasz do domu, Rob?

- Tak.

- Pozdrów Eve. Nigdy mnie nie lubiła, ale mimo wszystko ją pozdrów.

- Naturalnie, że pozdrowię.

- I twoją mamę też - dodała, wsiadając do samochodu. - Koniecznie ją pozdrów.

Lubiłam twoją mamę.

- Przecież widziałas ją tylko raz.
- Mimo to dobrze ją poznałam. Więc przekaż jej moje pozdrowienia.
- Nie zawsze wszystko pamięta, lecz spróbuję.
- Postaraj się.

Siedziała na miejscu obok kierowcy i wpatrywała się w przednią szybę. W jej twarzy dostrzegłem coś, co kazało mi zaczekać.

- Jedziemy? - spytałem, trzymając rękę na kluczyku.

Wciągnęła głęboko powietrze, po czym wolno je wypuściła.

- Jest jeszcze coś - powiedziała. Sięgnęła do kieszeni marynarki i wyjęła kopertę. - Znalazłam to wczoraj w jego rzeczach.

Koperta była pognieciona, a jej brzeg starannie otwarty. Przez chwilę myślałem, że znalazła coś, o czym napomykał koroner, list pożegnalny czy jakąś notatkę świadczącą o samobójstwie, ale koperta wyglądała na bardzo starą. Wziąłem ją do ręki i odwróciłem, by zobaczyć, do kogo jest adresowana. Przypuszczałem, że do Ruth albo do Caroline, a może nawet do mnie.

Nie było na niej adresu, jedynie nazwisko wypisane długopisem: „Pani Diana Dewar”.

- Co to jest, u diabła? Przecież to moja matka.

- Przeczytaj - powiedziała Ruth.

Wyjąłem dwie kartki cienkiego papieru. Nie było na nim adresu nadawcy, tylko: „Obóz IV - 6900 metrów, 15 kwietnia”. A potem: „Kochana Diano”.

Mówi się, że serce nagle zamiera. To tylko frazes, lecz jak każdy frazes poparty jest doświadczeniem. Serce mi zamarło - czy to było złudzenie, czy naprawdę tak się stało? Nie wiem. Poczulem, że czas się nagle zatrzymał, a ja zawisłem w próżni. Potem serce zaczęło gwałtownie bić i pojawił się gniew.

- Co to jest, na Boga? - spytałem.

Pokręciła bezradnie głową.

- Mówiłam ci. Znalazłam to, gdy porządkowałam jego rzeczy. Nie bardzo wiedziałam, co z tym zrobić. Może powinnam podrzeć.

Odwróciłem kartkę. Była do połowy zapisana i kończyła się podpisem: „Guy”.

- Co to jest? - Z trudem docierał do mnie sens słów. Poczulem przypływ paniki, jak wtedy, kiedy uświadamiamy sobie, że sprawy wymykają się nam spod kontroli i za chwilę spadniemy. - O co w tym wszystkim chodzi?

Guy. List z za grobu. Oczywiście został znaleziony razem z ciałem. Zacząłem liczyć

lata, dwadzieścia, trzydzieści? Kto go otworzył? Kto przeczytał? Kto o nim wiedział? I kiedy? Usiłowałem czytać list, ale nie mogłem. Czy straciły ostrość widzenia i mój umysł również. Popatrzyłem na Ruth, zobaczyłem jedynie boleść, żadnej pomocy i żadnej pociechy. Ponownie spojrzałem na zapisane strony i rozumiałem jedynie to, że niczego nie rozumiem. Nic rozumiałem mojej matki, nie rozumiałem Jamiego i Caroline, nie rozumiałem nawet siebie. Nie wiedziałem już, kim jestem i kim mógłbym być.

4

To był jeden z tych popularnych wśród alpinistów hotelików: grube belki na suficie, ściany wyłożone boazerią i kominek, w którym palono nawet wiosną. Czasami też latem. Siedziała przy oknie, z kuflem piwa w ręku, czując się trochę niepewnie, bo w takich miejscach wciąż przeważali mężczyźni, chociaż gdzie indziej wiele się pod tym względem po wojnie zmieniło. Kobiety służyły w wojsku, pracowały w pogotowiu, walczyły o wolność, kierowały fabrykami. Lecz jakie to mogło mieć znaczenie wobec nadal istniejących kartek na żywność, wysokiego bezrobocia i rządu laburzystowskiego, w którym wszyscy pokładali nadzieję, bo czasy były ciężkie. Jakoś nie mogła znieść myśli, że Churchill znów mógłby powrócić do władzy. To by oznaczało cofnięcie się do czasów wojny.

Popijała piwo, jadła kanapkę - oczywiście z mielonką z puszki - i patrzyła przez okno na tonące w chmurach, porośnięte trawą i wrzosem zbocze i na szare wyniosłe szczyty. Deszcz spływał po szybie. Clnury, ciężkie od wilgoci, były jak sufit, kiedy w łazience na górze woda zaleje podłogę. Czy zawałiłby się jej na głowę? Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Diana. Diana Sheridan.

Obejrzała się. Zobaczyła jedynie zarys sylwetki, bo oślepienie jaśniejszym światłem oczy odmówiły jej posłuszeństwa.

- Tak, ja...

- Guy.

Poczuła przypływ paniki. Spojrzała ponad nim na siedzących przy barze gości, tonących we mgle dymu papierosowego.

- O Boże!

- Czy pozwolisz...

- Co?

Zaśmiał się cicho. Jakże znajomo brzmiał ten jego śmiech zabarwiony lekką drwiną z odcieniem dezaprobaty.

- Chciałem tylko zapytać, czy mógłbym się przysiąc... czy nie masz nic przeciwko temu...

Panika, kropelki potu na czole i pod pachami. Zmusiła się do uśmiechu.

- Tak.

Zaśmiał się, nie otwierając ust.

- Tak masz, czy tak mógłbym?

- Słucham? - Czy on się z niej maśmiewał?

- Masz coś przeciwko temu, czy mogę się przysiąść.

- O Boże, tak, naturalnie. Siadaj. Przepraszam, ale to mnie...

Co to dla niej było? Szok? Niespodzianka? Wstrząs przyprawiający o palpitację serca? Nieprzyjemne uczucie, przypominające o istnieniu organu, na który nie mamy żadnego wpływu.

- Ale mnie zaskoczyłeś - zdecydowała wreszcie.

Przesunęła się, jakby chciała mu zrobić miejsce koło siebie, lecz on usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu, zachowując bezpieczną odległość, za co mu była wdzięczna.

- Wyrwałeś mnie z zamyślenia.

- Konia z rzędem za twoje myśli.

Uśmiechnęła się. Uczucie paniki powoli ustępowało.

- Jakie to dziwne spotkać cię po tylu latach! Czy Meg...?

- Jest w Londynie z dzieckiem.

- A tak. Przysłała mi zdjęcie. Mały jest uroczy. Pewnie jesteś z niego bardzo dumny.

- Tak, oczywiście. - Rozejrzał się po sali. - A gdzie twój mąż?

- Zjawi się - odparła, jakby Alan miał zaraz stanąć w drzwiach, masywny i godny zaufania, z tą swoją szkocką rezerwą, która sprawiała, że nigdy nie było wiadomo, co naprawdę myśli. - Ale później.

- Co za niespodzianka! Ile to już lat?

- Siedem - odpowiedziała stanowczo i zbyt szybko.

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

- Siedem? A jesteś mężatką od...?

- Dw óch lat.

- Masz dzieci?

- Jeszcze nie, ale się staramy. - Przytknęła do ust kufel piwa, czując, że się czerwieni. - Ty i Meg zawstydziliście nas. Dlaczego zostawiłeś świeżo upieczoną matkę samą?

- Przygotowania do wyprawy. Szykujemy się do zdobycia Everestu. Trwa prawdziwy wyścig, kto pierwszy tam dotrze. My czy Szwajcarzy. Niemcy i Włosi na razie nam nie

zagrożają.

- No to powodzenia!

- Dziękuję. - Zawahał się, jakby szukał jakiegoś pretekstu, by odejść.

- Współczuję ci z powodu Grety i Lotti - powiedziała. - Meg mi o tym napisała.

- Tak - odparł krótko. - Przeżywałem trudny okres, na szczęście Meg była wspianała.

- Jest bardzo pomocna w trudnych sytuacjach.

- Tak, to prawda. - Powiódł wzrokiem po sali z braku tematu do rozmowy.

- Czy twój mąż... Przepraszam, to okropne, ale zapomniałem, jak ma na imię.

- Alan.

- A tak, Alan. Czy Alan wie? O nas.

Odwróciła twarz w stronę okna, jakby Guy ją uderzył.

- O nas? - Popatrzyła na tonące w chmurach wzgórze, krople deszczu spływające po szybie i górę, szarą i połyskującą wilgocią niczym ołów. - Nie, nie wie - odparła, nie odwracając wzroku od okna.

- Nie żałujesz?

- A ty?

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Ja byłem pierwszy.

Oczywiście żartowałem.

- Rzeczywiście nie odpowiedziałam.

On o niczym nie wie - pomyślała. Nic nie wie o dziecku, o usunięciu ciąży, o tym strasznym ciężarze winy. W przeciwnym razie tak by się nie zachowywał. Meg mu nie zdradziła. To chyba jedyny sekret, którego dochowała w całym swoim życiu. Diana uśmiechnęła się z przymusem.

- Pomówmy o innych rzeczach, dobrze? Co teraz robisz, oczywiście oprócz wspinania się. Jak Meg i dziecko? A jak tam rodzinny interes? To były chyba buty, tak? Opowiedz mi o wszystkim.

Zaczął więc opowiadać o tych neutralnych sprawach, chociaż tak naprawdę trudno je było nazwać neutralnymi. Mówił o fabryce butów, która zmagala się z kryzysem na rynku, o trudnościach ze znalezieniem specjalistów, o dziecku, o kłopotach Meg z karmieniem piersią i różnych tym podobnych sprawach.

- Meg upiera się, żeby pozostać w Londynie, a ja usiłuję ją przekonać, że byłoby lepiej, gdyby przeniosła się z dzieckiem na wieś. W mieście ma... - zawahał się - bliskich przyjaciół. Właściwie to znalazłem takie miejsce. Chcesz wiedzieć, gdzie?

Oczywiście, że chciała. Chwytała się tych drobnych spraw jak szczątków statku, który

dawno poszedł na dno.

- Zamierzamy kupić tu dom.

- Tu, w Walii? To cudownie.

- Powiedziałem „zamierzamy”, ale właściwie to już kupiłem. Dlatego tu przyjechałem.

Muszę zobaczyć się z adwokatem w sprawie przekazania aktu własności. Nie dalej jak wczoraj wszystko załatwiłem.

- Gdzie to jest? I jak ten dom wygląda?

Wyobraziła sobie, że sama ma gdzieś w okolicy domek, na przykład w dolinie Nant Gwynant, otoczony drzewami, z widokiem na Snowdon. W jej marzeniu było też dziecko i mąż wracający wieczorem z gór. Słyszy jego kroki na ścieżce, skrzyp otwieranych drzwi i głos wypowiadający słowa powitania. Nie widać jego twarzy, jedynie zarys sylwetki...

- Miałaś wspaniały pomysł, żeby kupić tu dom.

Zaśmiał się z jej entuzjazmu.

- Nie wiem tylko, czy spodoba się Meg. Wynajmujemy mieszkanie w Londynie i to najwyraźniej jej wystarczy. „Kup coś w mieście” - radzi mi. Tylko nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie są ceny w Londynie. Tutaj to co innego. - Urwał. - Wiesz co?

- Co takiego?

- Kiedy przyjeżdża Alan? Może pojechalibyście ze mną obejrzeć dom.

- Jaki dom?

- Ten, który kupiłem, Żółwiu.

Nazwał ją Żółwiem. Zupełnie bez zastanowienia. Wymyślił to przezwisko w tamten weekend i używał go w listach do niej. A teraz znów je powtórzył, jakby było czymś zupełnie normalnym, jakby posługiwał się nim przez te siedem minionych lat.

Diana zaczerwieniła się i odwróciła twarz w stronę okna.

- Alan przyjeżdża dopiero pojutrze. Jest na jakiejś konferencji w Edynburgu, a ja nie chciałam siedzieć sama w domu, więc przyjechałam tu wcześniej.

- Och! - Umilkł i przez chwilę popijał piwo. - Szkoda. Do tego czasu muszę już być w Londynie.

- Szkoda - powtórzyła.

Zapadła cisza. Diana oczekiwała, że Guy wstanie. Nie było sensu ciągnąć tej niezręcznej rozmowy. Właściwie to miała nadzieję, że to on ją zakończy. Tak byłoby prościej. Uśmiechnęła się do niego, włożyła ostatni kawałek kanapki do ust i utkwiała wzrok w oknie.

- A może byś ze mną pojechała? - zapytał. - W taką pogodę nie ma co robić. Przejechalibyśmy się. Mam tam kilka rzeczy do zrobienia.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała cicho, bardziej do okna do szarego wzgórza niż do niego.

- Jeżeli masz inne plany, to trudno.

- Bardzo chętnie.

- Ale dojazd tam zajęłoby zaledwie pół godziny. No, może czterdzieści minut.

Spojrzała mu w oczy.

- Guy, bardzo chętnie - powtórzyła.

Jechali drogą wijącą się wśród stromych zboczy Glyderu. Na dnie doliny migotały wody dwóch bliźniaczych jezior niczym krople rtęci połyskujące w zagłębieniu dłoni. Minęli zszarzały i zaniedbany Hotel Royal. Wyglądał, jakby przetoczyła się przez niego wojna.

- Stacjonowała w nim armia kanadyjska - wyjaśnił Guy, czytając w jej myślach. - Znajdowało się tu centrum szkoleniowe.

Poczuła, że się czerwieni.

- Pamiętam, jak stałam w ogrodzie i patrzyłam w gwiazdy, szukając jakiejś znanej.

- Oriona.

- A ty powiedziałaś, że go w tej chwili nie widać.

- Staliśmy na nim.

- Właśnie. Staliśmy na Orionie. Ta myśl mnie przestraszyła.

- Nie wyglądałaś na przestraszoną.

- Nigdy na taką nie wyglądam - odparła.

Dom był usytuowany nieopodal gór, w niewielkiej dolinie. Jechali doń przez rzekę wąskim kamiennym mostem, potem przez miasto i stromą drogą wśród wzgórz, pól i lasów, aż znaleźli się w małej ukrytej dolinie. Guy zatrzymał samochód w miejscu, gdzie mogły się minąć jedynie dwa auta, przy łupkowym murze i łące, na której pasły się owce. Ich beczenie brzmiało niczym wieczna skarga. Dalej była brama i zniszczona tablica z wypisaną na niej nazwą domu - Gilead House. Do domu prowadził zwirowany podjazd, zarośnięty chwastami. Sam budynek wydawał się wtopiony w porośnięte lasem, łagodne zbocze, miał ściany z szarych łupków, pokryty łupkową kostką dach i pomalowane na białą okna i drzwi.

- Tak właśnie to wygląda - powiedział Guy.

- Jest śliczny.

- Sporo tu trzeba zrobić.

Wysiadł, by otworzyć bramę, po czym wjechał na podjazd przed domem. W grubej warstwie chmur pojawiły się pęknięcia i wyjrzało przez nie słońce, oświetlając zbocza gór, intensywnie zielone pola i ciemne lasy.

- Gilead to chyba z Biblii.

- W tym miejscu stała niegdyś kaplica - wyjaśnił Guy. - Chodź, oprowadzę cię.

Diana nagle przypomniała sobie słowa zapamiętane z lekcji w szkółce niedzielnej. Zawsze miała pamięć do słów, potrafiła cytować całe wersy, a nawet fragmenty z literatury.

- „Czy nie ma już balsamu w Gileadzie? Czy nie ma tam lekarza?”

Natychmiast pomyślała o lekarzu Alanie, którego tu nie było.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Guy, szukając klucza w kieszeni. - Z czego to?

- Chyba z Księgi Izajasza. A może z Jeremiasza.

Drzwi wejściowe, szerokie i masywne jak drzwi kaplicy, prowadziły do ciemnego hallu pachnącego kurzem i wilgocią. Przeszli się po pustych pomieszczeniach tonących w mroku. Tu i ówdzie natykali się na przedmioty pozostawione przez poprzednich właścicieli: połamane krzesło, wiklinowy stół, deskę, skrzynię do przewozu herbaty. W pokojach pozostało gazowe oświetlenie i taśmy do dzwonek, za pomocą których wzywało się służących zza drzwi obitych pogryzionym przez mole zielonym rypsem, oddzielających część przeznaczoną dla służby. Podłoga w kuchni wyłożona była łupkowymi płytami, a przy jednej ze ścian stała wielka czarna kuchnia węglowa. W zmywalni do naczyń pozostawiono stary magiel, budzący skojarzenia ze średniowiecznymi narzędziami tortur.

Guy martwił się, czy aby dom nie jest zbyt duży, czy zdoła się go ogrzać i zamieszkać w nim.

- Na pewno będzie się tu wam wspaniale mieszkało - zapewniła go Diana.

- Myślisz, że Meg się spodoba?

- A to już inna sprawa - zaśmiała się.

Weszli na górę po schodach prowadzących na pierwsze piętro. W połowie drogi, na podeście, ścianę zdobiło wysokie okno z witrażem przedstawiającym rycerza z damą, obramowane szarą z brudu winną latoroślą.

- Artur i Ginewra - powiedział Guy.

- A czemu nie Lancelot?

- Może i Lancelot.

Deski trzeszczały pod ich stopami. Długi korytarz prowadził do kilku pokoi. Wszystko pokrywał kurz i pajęczyny, boazerię zniszczyły komiki. Przez szczeliny w okiennicach wpadały smugi światła, wyławiając z mroku kłęby kurzu.

- Czy tu są duchy? - spytała.

- W każdym domu są duchy - odpowiedział.

Dom opierał się o zbcze i na końcu korytarza oszklone drzwi prowadziły do górnego

ogrodu. Pamięć wydobyła z mroków kolejny cytat. „Korytarzem, którym nigdy nie pójdziemy, do drzwi, których nigdy nie otworzymy”. Z czego to było? Szyby okienne zmełniały z bmdu. Diana oczyściła kawałek wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła zarośnięte chwastami ścieżki z niskim żywopłotem. Ktoś w chłodnym walijskim klimacie próbował stworzyć namiastkę włoskiego ogrodu. Guy walczył chwilę z kluczem i w końcu udało mu się go przekręcić. Z trudem pchnął drzwi i usunął się na bok, by przepuścić Dianę. Postąpiła krok do przodu i nagle zatrzymała się, niepewna, co robić. Guy wpadł na nią. Zniemchomlała, czując jego dłonie na ramionach.

Stali tak przez chwilę. Ciałem Guya wstrząsnął dreszcz, a ona przypomniała sobie inną okazję i to samo drzenie. Zapamiętała wszystko z taką wyrazistością, jakby to zdarzyło się zaledwie wczoraj.

- Guy - powiedziała obojętnym tonem, jakby zamierzała pokazać mu coś w połyskującym wilgocią ogrodzie, między ścieżkami lub wśród ciemniejących w oddali skalnych dębów.

- Och, Żółwiu - westchnął. - Co myśmy zrobili? Co my, do cholery, zrobiliśmy?

Poczuła gwałtowny skurcz żołądka, jak w chwili strachu, tak straszliwą rozpacz, że przez moment zastanawiała się, czy zdołają znieść. Zamknęła oczy i sięgnęła dłonią do gardła. Zaraz zemdleję - przemknęło jej przez myśl. Guy chwycił ją za ramię, jakby chciał uchronić przed upadkiem.

- Co my zrobimy, Żółwiu? - szepnął jej do ucha. - Co, u diabła, mamy zrobić?

Sięgnęła dłonią do jego policzka. Nic nie mogą zrobić. Z tej sytuacji nie ma wyjścia, ucieczki, rozwiązania. To jest jak śmiertelna choroba. Oczywiście starsz się pocieszyć pacjenta, lecz nie wolno ci go okłamywać, wzbudzać w nim fałszywych nadziei.

- Nic nie możemy zrobić - powiedziała do pustego ogrodu, zarośniętych ścieżek i niskiego żywopłotu.

- Czemu napisałaś ten list? Czemu zerwałaś znajomość?

Cokolwiek się teraz zdarzy, będzie nieodwołalne. Każdy błąd, każdy najmniejszy ruch będzie miał swoje konsekwencje. Jak podczas ich wspólnej wspinaczki przed laty. Jeden fałszywy ruch mógł mieć fatalne skutki.

- Nie miałam wyboru - zaczęła ostrożnie, żeby niczego nie zepsuć. - Byłaś żonaty. Nie mogliśmy tego ciągnąć. A teraz każde z nas ma zobowiązania.

- Więc co zrobimy? Nic?

Zwróciła się twarzą do niego.

- A co proponujesz? Rozbić dwa małżeństwa, by spróbować z trzecim? Jak długo ono

potrwa i ile wysiłku będzie nas kosztowało? Czy zdołamy je utrzymać? W dodatku ty masz dziecko.

- Przecież się kochamy.

Zabrzmiało to bardzo dziecinnie.

- Chyba tak - odparła. - Po tylu latach to chyba musi być miłość.

- Chyba musi.

Stali naprzeciw siebie - dwoje bezradnych dzieci. Dorośli powinni odpowiadać za swoje czyny i wiedzieć, co należy zrobić. Lecz, paradoksalnie, wśród całej tej bezradności Diana czuła się zadowolona i wolna w owych ściśle określonych granicach chwili.

- Ja chyba zawsze cię kochałam. To było jak w filmie, miłość od pierwszego wejrzenia, gdy tylko zobaczyłam cię idącego tą górską ścieżką.

- Ze mną było tak samo.

Dotknął jej twarzy, jakby chciał się upewnić, że to się dzieje naprawdę, i utrwalić to wspomnienie w pamięci. Przesunął palcami wzdłuż linii jej szczęki, po policzku i wargach.

- Mam bagaż w samochodzie - powiedział. - Zamierzałem tu nocować. Jest tu tyle miejsca.

- Mam pokój w hotelu.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chyba nie.

Zeszła z Guyem na dół, by mu pomóc przynieść rzeczy z samochodu. Rzeczywiście, nie miało to żadnego znaczenia. Czuli się jak dzieci, które bawią się w biwak, ale pamiętają, że to tylko zabawa, że wkrótce się skończy, że niedługo zawołają ich rodzice i trzeba będzie złożyć namiot. Wyjęli z bagażnika kuchenkę turystyczną, kilka garnków, puszki z jedzeniem i stary koc. Potem przeszukali dom i znaleźli dwa krzesła i stary materac, który wnieśli na górę. Wybrali pokój z widokiem na ogród. Stała tam połamana kanapa, stół, jakieś puste skrzynie stół bilardowy z porwanym suknem. Większość pokoi miała gazowe oświetlenie, ale w tym jednym był kominek z czarnym obramowaniem z kutego żelaza, prawdopodobnie z początku dwudziestego stulecia, z wężowymi, secesyjnymi ozdobami.

- Rozpalmy ogień - zaproponowała Diana.

- Niepotrzebny nam ogień przy tej pogodzie.

- Mimo to rozpalmy.

Drewno nie stanowiło problemu. Zebrali je w lesie na tyłach domu. Było wilgotne, lecz nie mokre. W jednej z przybudówek znaleźli szczapy na podpałkę, zgromadzone tu przez jakiegoś zapobiegliwego mieszkańca, który nigdy z nich nie skorzystał.

- Komin może być zapchany - zaniepokoił się Guy.

Ogień dał się jednak rozpalić i po pewnym czasie w palenisku huczały już i trzeszczały płomienie. Zakurzony i pusty pokój zrobił się nagle jasny i przytulny, ogień bowiem przydał szarym ścianom ciepłej żółci, a niepokój dwojga ludzi przemienił w szczęście. Guy odwrócił się do Diany i wziął ją w ramiona. Nie dbała o to, co się może zdarzyć. Alan mógł zadzwonić do hotelu i dowiedzieć się, że jeszcze jej nie ma, ale jakie to miało znaczenie? Jej dalsze życie mogło zmienić się w udrękę, ale jakie to miało znaczenie wobec tej chwili radości wyrwanej z czasu i kontekstu?

Kiedy kochali się tego wieczoru, przyszło jej to z łatwością. Wiedziała, co ma robić, jak się przed nim otworzyć, jak oddać mu najdrobniejszą nawet cząstkę siebie, z ciałem i duszą, bez wstydu. Z Alanem było inaczej. Przy nim czuła się skrępowana, jak przy kimś obcym, chociaż mmeło już tyle lat. To, czego teraz doświadczała, było potężną, obezwładniającą, nienasyconą siłą, która brała w posiadanie i ciało, i umysł, z pożądania zmieniając się w miłość. To doznanie, tak pełne i głębokie, sprawiło, że wydało jej się, iż na kilka krótkich chwil ich ciała stopiły się w jedno.

Potem, gdy leżeli przed kominkiem, Guy pochylił się i pocałował ją, a ona roześmiała się, podekscytowana i szczęśliwa, nie mogąc uwierzyć w to, że odzyskała Guya na nowo.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał.

- Nie śmieję się z czegoś, głuptasie, tylko ze szczęścia. Czuję się, jakbym była w raju.

- Ja też - przyznał. Przewrócił się na plecy i utkwił wzrok w suficie. Światło z kominka malowało na jego twarzy złociste wzory. - Ale co potem? - spytał. - Co będzie jutro?

- Jutro będę nieszczęśliwa.

- Chyba że znowu się spotkamy, tak jak dziś.

Serce zaczęło jej mocniej bić. Z podniecenia? A może ze strachu?

- Znowu?

Nie, to jednak strach. Spotkanie z Guyem mogła nazwać pomyłką, ale kolejne byłoby zdradą. Wkrótce i ono przejdzie do przeszłości. Już dawno się przekonała, że czas łagodzi wyrzuty sumienia jak biblijny balsam z Gileadu. Kolejne spotkanie musiałaby zaplanować, a planowanie należało do przyszłości. Czas nie potrafił uśmierzyć wyrzutów sumienia z powodu czegoś, co dopiero miało się zdarzyć.

Guy odwrócił ku niej głowę. Czy jej się zdawało, czy naprawdę dostrzegła na jego twarzy gorzki ironiczny uśmiech?

- Spójrzmy prawdzie w oczy - powiedział. - Meg nigdy tu nie przyjedzie. Może na krótko, na inspekcję swoich włości. Lecz nigdy tu nie zamieszka. To będzie mój dom. I twój.

To będzie nasze miejsce.

- A jaką rolę mnie w nim wyznaczasz? Twojej kochanki?

- Nie zamierzam na ten temat dyskutować. Znasz odpowiedź.

- W takim razie co powiesz na to: może ty potrafisz oszukiwać Meg, aleja nie mogłabym zdradzić Alana. Nie w ten sposób. Nie systematycznie.

- Czy to nie jest hipokryzja?

- Może i jestem hipokrytką. Może oboje jesteśmy.

Pochylił się i dotknął jej policzka.

- Nie kłóćmy się. Nie teraz. - Przesunął palcami wzdłuż linii jej warg, jakby chciał w ten sposób złagodzić wybuch gniewu. - A znasz inne wyjście? - spytał. - Rozstać się jutro rano nigdy więcej nie spotkać? Tego właśnie chcesz?

- Nie wiem, Guy. Po prostu nie wiem.

- Po latach znowu się spotkamy. Może przez przypadek, a może Meg coś zaaranżuje. Takie spotkanie starych znajomych. Wtedy popatrzymy na siebie i uświadomimy sobie, że ominęło nas w życiu coś wspaniałego. Czy tego właśnie chcesz?

- Już mówiłam. Nie wiem, czego chcę.

Pochylił się i pocałował ją. Poczula, że znowu go pragnie. To przerażające pożądanie ponownie zaczęło w niej wzbierać.

- Owszem, wiesz, Żółtciu - powiedział, odrywając wargi od jej ust. - Bardzo dobrze wiesz.

Dom opieki mieścił się w budynku z czerwonej cegły w solidnym wiktoriańskim stylu. Kiedyś była tu prywatna szkoła, a tam, gdzie biegały beztroskie dzieci, snuli się teraz cierpiący na zanik pamięci dorośli, powtarzając w kółko słowa, które zdołali sobie przypomnieć.

- Pan Dewar, prawda? - zagadnęła siedząca w recepcji kobieta. Uśmiechnęła się do mnie, chcąc pokazać, że mnie poznaje. - Jesteśmy dzisiaj w dobrej formie - poinformowała. - Bardzo dobrej. Wstaliśmy dziś zupełnie samodzielnie.

Nienawidziłem tej liczby mnogiej, jakby i ją dotknęła niemoc. Starość jest jak śmierć - trzeba ją znosić samemu.

- Jest w swoim pokoju?

- Z pewnością - odparła kobieta. - Przypuszczam, że odpoczywamy po lunchu.

Podłoga w korytarzu wyłożona była linoleum, a na ścianach wisiały reprodukcje obrazów, przedstawiających kompozycje kwiatowe, patery z owocami, dzieci bawiące się na podwórku w Delft, krowy pasące się na polu w okolicach Flatford. Zapewne wybrano je ze

względu na ich pozytywny i kojący charakter. W powietrzu unosił się zapach środka dezynfekcyjnego, jakiegoś kwiatowego odświeżacza i przygnębiający smród moczu. Po drodze mijalem osoby o wychudzonych twarzach. Jedna czy dwie uśmiechnęły się, jakby mnie rozpoznały, ale czy rzeczywiście? Kiedy pielęgniarka powiedziała: „Dzień dobry, panie Dewar”, pewność, że mnie poznała, i jej zdrowy wygląd niemal mnie zaszokowały.

Zatrzymałem się przed drzwiami z wizytówką, na której wydrukowano nazwisko Dewar. Zapukałem i usłyszałem zadziwiająco silny głos.

- Kto tam?

- To ja - odparłem i przekręciłem gałkę.

Matka siedziała zwrócona plecami do drzwi, przy biurku, które przywieźliśmy z hotelu. Robiła przy nim rachunki i pisała listy. Teraz również siedziała z kartką papieru przed sobą, chociaż nie wiedziała, co pisać i do kogo.

- Witaj - powiedziałem.

Odwróciła się w moją stronę i wyraz zagubienia zmienił się w uśmiech. Był jak promień słońca przebijający się przez zasłone z chmur. Czasami marszczyła brwi na mój widok i mówiła coś od rzeczy: „Nie chcę dzisiaj niczego, dziękuję” - jak do sprzedawcy, który zapukał do tylnych drzwi hotelu. Innym razem - co wydawało mi się lepsze - patrzyła nieruchomym wzrokiem, chyba w ogóle mnie nie dostrzegając. Niekiedy brała mnie za kogoś z personelu. Wówczas prawie się nie odzywała, traktując mnie z uprzejmą obojętnością, jak sąsiada, z którym wymienia się jedynie kilka zdawkowych uwag. Kiedy natomiast mnie poznawała, czułem coś na kształt radości więzi z tym kimś, kim jestem i kim byłem. To było jak ogniwo łączące mnie z przeszłością, zamazaną i nie do końca zrozumiałą, do której nie chciałem wracać, ale w jakimś sensie ważną, bo stanowiła część mnie samego.

- Witaj, mamo.

Uśmiechnęła się. Blask rozświetlający jej twarz wy dobył z mroku starości nikły obraz młodej kobiety, którą niegdyś była. Nie patrzyła na mnie, lecz jakby za moim pośrednictwem w przeszłość.

- Witaj, Guy - odparła.

- Ja nie jestem Guy - wyjaśniłem delikatnie. - Jestem Robert.

- Witaj, Guy-powtórzyła.

Wzruszyłem ramionami, wyjąłem z kieszeni list i położyłem go na jej kolanach.

- Proszę - powiedziałem. - To od Guya. Nie możesz go przeczytać, ale mimo wszystko daję ci go. Obawiam się, że jest spóźniony o jakieś czterdzieści lat.

Uśmiechnęła się. Pewnie nawet nie zauważyła kartki leżącej na bawełnianej sukience

w kwiaty. Dłonie miała starannie złożone na kolanach, jakby pozowała do fotografii, i nadal patrzyła gdzieś poza mnie.

- Na litość boską, dlaczego nigdy mi o nim nie powiedziałaś?! - spytałem.

Kochana Diano!

Piszę ten list w obozie IV, który składa się z jednego namiotu stojącego w śniegu i lodzie, lecz w bardzo bezpiecznym miejscu. Zanim dotarliśmy do naszej góry, szliśmy przez cudowny kraj - rododendrony i magnolie w pełnym rozkwicie, jeszcze bardziej efektowne niż na Zachodzie. Pamiętasz rododendrony w Port Meirion? Pomóż je przez, och, nie wiem, sto tysięcy! Teraz już jesteśmy wysoko w górach i szykujemy się do dokonania wielkich czynów. Czuję się, jakbym stal na dachu świata.

To przypomina mi, o czym tak naprawdę chciałem napisać. Właśnie dostałem list od Meg, który trafił do nas z resztką poczty ekspedycyjnej. Przed moim wyjazdem ostro się pokłóciliśmy, a teraz Meg pisze mi o tym, co zawsze podejrzewałem: James może nie być moim synem. Może nie być, nie jest! Takie problemy się dziś rozstrzyga. Wiele razy o tym rozmawialiśmy, o tym i o wielu innych sprawach, kiedy ostatnio byliśmy ze sobą. Powiedziałaś, że chcesz odejść od Alana i zabrać ze sobą Roberta, a ja - że nie mogę zostawić Meg i dziecka. I teraz te nowiny. Chociaż między Bogiem a prawdą James nie jest winny temu, że ma taką matkę, to nareszcie mogę się poświęcić bez reszty Tobie i naszemu synowi. Nie wiem jeszcze, co się stanie między mną i Meg - pewnie rozwód - ale jesieni gotów wypełnić wszystkie moje obowiązki względem Jamesa. To na przyszłość. Dziś mogę Cię jedynie zapytać: czy przyjmiesz mnie, Diano? Wrócę do Anglii za miesiąc. Czy przyjmiesz całą moją miłość do Ciebie i naszego syna na zawsze?

Guy

Od autora

Opisując fragmenty dotyczące współczesnej wspinaczki, musiałem się jedynie cofnąć do własnych wspomnień o szczytach i nizinach, jakie dzieliłem z moim byłym partnerem wspinaczkowym Lesem Littlefordem. Informacje na temat wspinaczek w latach czterdziestych czerpałem z różnych źródeł: od książki Jima Perrina *Menlove* (1985) po Colina Kirkusa *Let's Go Climbing!* (1941). Przy fragmencie dotyczącym Eigeru korzystałem z pozycji Daniela Ankera *Eiger: The Vertical Arena* (angielskie wydanie ukazało się w 2000 roku). Jest również fascynująca relacja Paula Harringtona z ostatniego wejścia na północną ścianę Eigeru w 1997 roku, którą można znaleźć na stronie internetowej pod adresem: <http://www.climbing.ie/exped/eiger/eiger.html>.

Przy rozdziałach dotyczących niemieckich nalotów na Londyn w czasie drugiej wojny światowej korzystałem z licznych opublikowanych relacji świadków tamtych zdarzeń, takich jak: *Post D* (1941) Johna Stracheya, *Raiders Overhead* (1943, 1980) Barbary Marion Nixon i *Westminster in War* (1947) Williama Sansoma. Jest również książka Angeli Raby *The Forgotten Service* (1999), zawierająca liczne fotografie, która opisuje pracę załogi ambulansu podczas niemieckich nalotów na Londyn.